

**Władysław Stanisław Reymont**

# **ZIEMIA OBIECANA**

**TOM PIERWSZY**

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • [Polska.pl](http://Polska.pl) • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów  
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”  
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

## SPIS TREŚCI

I.....	3
II.....	10
III.....	25
IV.....	53
V.....	58
VI.....	94
VII.....	116
VIII.....	129
IX.....	155
X.....	176
XI.....	194
XII.....	223
XIII.....	238
XIV.....	259
XV.....	274
XVI.....	283

## I

Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranku, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgiełkliwiej inne i darły się chrapliwymi, niesfornymi głosami niby chór potwornych kogutów, piejących metalowymi gardzielami hasło do pracy.

Olbrzymie fabryki, których długie, czarne cielska i wysmukłe szyje-kominy majaczyły w nocy, w mgłę i w deszczu – budziły się z wolna, buchały płomieniami ognisk, oddychały kłębami dymów, zaczynały żyć i poruszać się w ciemnościach, jakie jeszcze zalegały ziemię.

Deszcz drobny, marcowy deszcz pomieszany ze śniegiem, padał wciąż i rozwłóczył nad Łodzią ciężki, lepki tuman; bębnił w blaszane dachy i spływał z nich prosto na trotuary, na ulice czarne i pełne grzeskiego błota, na nagie drzewa, przytulone do długich murów, drżące z zimna, targane wiatrem, co zrywał się gdzieś z pól przemiękłych i przewalał się ciężko błotnistymi ulicami miasta, wstrząsał parkanami, próbował dachów i opadał w błoto, i szumiał między gałęziami drzew, i bił nimi w szyby niskiego, parterowego domu, w którym nagle zabyło światło.

Borowiecki się obudził, zapalił świecę i równocześnie budzik zaczął dzwonić gwałtownie, wskazując piątą.

– Mateusz, herbata! – krzyknął do wchodzącego lokaja.

– Wszystko gotowe.

– Panowie śpią jeszcze?

– Zaraz będę budził, jeśli pan dyrektor każe, bo pan Moryc mówił wieczorem, że chce dzisiaj spać dłużej.

– Idź, obudź.

– Klucze już brali?

– Sam Szwarc wstępował.

– Telefonował kto w nocy?

– Kunke był na dyżurze, ale odchodząc nic mi nie mówił.

– Co słyhać na mieście? – pytał prędko, prędzej jeszcze się ubierając.

– A nic, ino zaś na Gajerowskim Rynku zażgali robotnika.

– Dosyć, ruszaj.

– Ale spaliła się też fabryka Goldberga, na Cegielnianej. Nasza straż jeździła, ale wszystko dobrze poszło, ostały tylko mury. Z suszarni poszedł ogień.

– Cóż więcej?

– A nic, wszystko poszło fein, na glanc – zaśmiał się rechocząco.

– Nalewaj herbatę, ja sam obudzę pana Moryca. Ubrał się i poszedł do sąsiednich pokojów przechodząc przez stołowy, w którym wisząca u sufitu lampa rozrzucała ostre, białe światło na stół okrągły, nakryty obrusem i zastawiony filiżankami, i na samowar błyszczący.

– Maks, piąta godzina, wstawaj! – zawołał otwierając drzwi do ciemnego pokoju, z którego buchnęło duszne, przesycone zapachem fiołków powietrze.

Maks się nie odezwał, tylko łóżko zaczęło trzeszczeć i skrzypieć.

– Moryc! – zawołał do drugiego pokoju.

– Nie śpię. Nie spałem całą noc.

– Dlaczego?

– Myślałem o tym naszym interesie, trochę sobie obliczałem i tak zeszło.

– Wiesz, Goldberg się spalił dzisiaj w nocy, i to zupełnie, „na glanc”, jak Mateusz mówi...

– Dla mnie to nie nowina – odpowiedział ziewając.

– Skąd wiedziałeś?

– Ja miesiąc temu wiedziałem, że on się potrzebuje spalić. Dziwiłem się nawet, że tak długo zwleka, przecież procentów mu nie dadzą od asekuracji.

– Miał dużo towaru?

– Miał dużo zaasekurowane...

– Bilans sobie wyrównał.

Roześmiali się obaj szczerze.

Borowiecki wrócił do stołowego i pil herbatę, a Moryc, jak zwykle, szukał po całym pokoju różnych części garderoby i wymyślał Mateuszowi.

– Ja tobie zbiję ładny kawałek pyska, ja ci z niego czerwony barchan zrobię, jak mi nie będziesz składał wszystkiego porządnie.

– Morgen! – krzyknął przebudzony wreszcie Maks.

– Nie wstajesz? Już po piątej.

Odpowiedź zagłuszyły świstawki, które się rozległy jakby tuż nad domem i ryczały przez kilkanaście sekund z taką siłą, aż szyby brzęczały w oknach.

Moryc w bieliźnie tylko, z paltem na ramionach, usiadł przed piecem, w którym wesoło trzaskały szczapy smolne.

– Nie wychodzisz?

– Nie. Miałem jechać do Tomaszowa, bo Weis pisał do mnie, aby mu sprowadzić nowe gręple, ale teraz nie pojadę. Zimno mi i nie chce mi się.

– Maks, także zostajesz w domu?

– Gdzie się będę spieszył? Do tej parszywej budy? A zresztą wczoraj się z fatrem pożarłem.

– Maks, ty źle skończysz przez to żarcie się ciągle i ze wszystkimi!

– mruknął niechętnie i surowo Moryc rozgrzebując pogrzebaczem ogień.

– Co cię to obchodzi! – krzyknął głos z drugiego pokoju.

Łóżko zatrzeszczało gwałtownie i w drzwiach ukazała się wielka figura Maksa, w bieliźnie tylko i pantoflach.

– A właśnie, że mnie to bardzo obchodzi.

– Daj mi spokój, nie irytuj mnie. Karol mnie obudził diabli wiedzą po co, a ten znowu pyskować zaczyna.

Gadał głośno, niskim, silnie brzmiącym głosem. Cofnął się do swojego pokoju i po chwili wyniósł całą garderobę, rzucił ją na dywan i z wolna się ubierał.

– Ty nam psujesz interes tym swoim żarciem – zaczął znowu Moryc wciskając złote binokle na swój suchy, semicki nos, bo mu się ciągle zsuwały,

– Gdzie? co? jak?

– Wszędzie. Wczoraj u Blumentalów powiedziałaś głośno, że większość naszych fabrykantów to prości złodzieje i oszuści.

– Powiedziałem, a jakże, i zawsze to będę mówił. Jakiś niechętny, pogardliwy uśmiech przeleciał mu po twarzy, gdy patrzył na Moryca.

– Ty, Maks Baum, mówić tego nie będziesz, mówić ci tego nie wolno, to ja ci powiadam.

– Dlaczego? – zapytał cicho i oparł się o stół.

– Ja ci powiem, jeśli tego nie rozumiesz. Przede wszystkim, co ci do tego? Co cię to obchodzi, czy oni są złodzieje, czy porządni ludzie? My wszyscy razem jesteśmy tu po to w Łodzi, żeby zrobić geszeft, żeby zarobić dobrze. Nikt z nas tutaj wiekować nie będzie. A każdy robi

pieniądze, jak może i jak umie. Ty jesteś czerwony, ty jesteś radykał pąs nr 4.

– Ja jestem uczciwy człowiek – burknął tamten nalewając sobie herbatę.

Borowiecki oparty o stół łokciami, utopił twarz w dłoniach i słu-chał.

Moryc na odpowiedź usłyszaną odwrócił się gwałtownie, aż bino-kle mu spadły i uderzyły w poręcz krzesła, popatrzył się na Maksa z uśmiechem gryzącej ironii na wąskich ustach, pogładził cienkimi pal-cami, na których skrzyły się brylantowe pierścionki, rzadką, czarną jak smoła brodę i szepnął drwiąco:

– Nie gadaj, Maks głupstw. Tu chodzi o pieniądze. Tu chodzi, że-byś nie wyjeżdżał z tymi oskarżeniami publicznie, bo to naszemu kre-dytowi może zaszkodzić. My mamy założyć fabrykę we trzech; my nic nie mamy, to my potrzebujemy mieć kredyt i zaufanie u tych, co go nam dadzą. My teraz potrzebujemy być porządni ludzie, gładczy, mili, dobrzy. Jak ci Borman powie: „Podła Łódź”, to mu powiedz, że jest cztery razy podła – jemu trzeba przytakiwać, bo to gruba fisz. A coś ty o nim powiedział do Knolla? Ze jest głupi cham. Człowieku, on nie jest głupi, bo on ze swojej mózgownicy wyciągnął miliony, on te miliony ma, a my je także chcemy mieć. Będziemy mówić o nich wtedy, jak będziemy mieli pieniądze, a teraz trzeba siedzieć cicho, oni są nam po-trzebni; no, niech Karol powie, czy ja nie mam racji – mnie idzie prze-cież o przyszłość nas trzech.

– Moryc ma zupełną prawie słusność – powiedział twardo Boro-wiecki podnosząc zimne, szare oczy na wzburzonego Maksa.

– Ja wiem, że wy macie rację, łódzką rację, ale nie zapominajcie, że jestem uczciwy człowiek.

– Frazes! stary, wytarty frazes!

– Moryc, ty jesteś podły Żydziak! – wykrzyknął gwałtownie Baum.

– A ty jesteś głupi, sentymentalny Niemiec.

– Kłóćcie się o wyrazy – ozwał się chłodno Borowiecki i zaczął wdziawać palto. – Żałuję, że nie mogę zostać z wami, ale puszczam w ruch nową drukarnię.

– Nasza wczorajsza rozmowa na czym stanęła? – zapytał spokojnie już Baum.

– Zakładamy fabrykę.

– Tak, ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic – zaśmiał się głośno.

– To razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć wielką fabrykę. Cóż stracimy? Zarobić zawsze można – dorzucił po chwili.  
– Zresztą, albo robimy interes, albo interesu nie robimy. Powiedzcie raz jeszcze.

– Robimy, robimy! – powtórzyli obaj.

– Co to, Goldberg się spalił? – zapytał Baum.

– Tak, zrobił sobie bilans. Mądry chłop, zrobi miliony.

– Albo skończy w kryminale.

– Głupie słowo! – zachnął się niecierpliwie Moryc. – Ty sobie takie rzeczy gadaj w Berlinie, w Paryżu, w Warszawie, ale w Łodzi nie gadaj. To nieprzyjemne słowa, nam oszczędź ich.

Maks się nie odezwał.

Swistawki znowu zaczęły podnosić swoje przenikliwe, denerwujące głosy i śpiewały coraz potężniej hejnał poranny.

– No, muszę już iść. Do widzenia, spółnicy, nie kłóćcie się, idźcie spać i śnijcie o tych milionach, jakie zrobimy.

– Zrobimy!

– Zrobimy! – powiedzieli razem.

Uścisnęli sobie mocno, po przyjacielsku dłonie.

– Zapisać trzeba dzisiaj datę; będzie ona dla nas bardzo pamiętną.

– Dodaj tam, Maksie, taki nawias, kto z nas najpierw zechce okpić drugich.

– Ty, Borowiecki, jesteś szlachcic, masz na biletach wizytowych herb, kładłeś nawet na prokurze swoje von, a jesteś największym z nas wszystkich Lodzermenschem – szepnął Moryc.

– A ty nim nie jesteś?

– Ja przede wszystkim mówić o tym nie potrzebuję, bo ja potrzebuję zrobić pieniądze. Wy i Niemcy – to dobre narody, ale do gadania.

Borowiecki podniósł kołnierz, pozapinał się starannie i wyszedł.

Deszcz mżył bezustannie i zaciął skośnie, aż do pół okien małych domków, co w tym końcu Piotrkowskiej ulicy stały gęsto przy sobie, gdzieniegdzie tylko jakby rozepchnięte olbrzymem fabrycznym lub wspaniałym pałacem fabrykanta.

Szeregi niskich lip na trotuarze gięły się automatycznie pod uderzeniem wiatru, który hulał po błotnistej, prawie czarnej ulicy, bo rzadkie latarnie rozsiewały tylko koła niewielkie żółtego światła, w którym błyszczało czarne, lepkie błoto na ulicy i migały setki ludzi, w ciszy

wielkiej a z pośpiechem szalonym biegnących na głos tych świstawek, co teraz coraz rzadziej odzywały się dokoła.

– Zrobimy? – powtórzył Borowiecki, przystając i topiąc spojrzenie w tym chaosie kominów, majaczących w ciemności; w tej masie czarnej, nieruchomej, dzikiej jakimś kamiennym spokojem fabryk, co stały wszędzie i ze wszystkich stron zdały się wyrastać przed nim czerwonymi, potężnymi murami.

– Morgen! – rzucił ktoś stojącemu, biegnąc dalej.

– Morgen... – szepnął i poszedł wolniej.

Gryzły go wątpliwości, tysiące myśli, cyfr, przypuszczeń i kombinacji przewijało mu się pod czaszką, zapominał prawie, gdzie jest i dokąd idzie.

Tysiące robotników, niby ciche, czarne roje, wypełzło nagle z bocznych uliczek, które wyglądały jak kanały pełne błota, z tych domów, co stały na krańcach miasta niby wielkie śmietniska – napełniło Piotrkowską szmerem kroków, brzękiem blaszanek błyszczących w świetle latarń, stukiem suchym drewnianych podeszew trepów i gwarem jakimś sennym oraz chlupotem błota pod nogami.

Zalewali całą ulicę, szli ze wszystkich stron, zapełniali trotuary, człapali się środkiem ulicy, pełnej czarnych kałuż wody i błota. Jedni ustawiali się bezładnymi kupami przed bramami fabryk, drudzy, uszeregowani w długiego węża znikali w bramach jakby połykani z wolna przez buchające światłem wnętrza.

W ciemnych głębiach zaczęły buchać światła. Czarne, milczące czworoboki fabryk błyskały nagle setkami płomiennych okien i niby ognistymi ślepiami świeciły. Elektryczne słońca nagle zawisały w cieniach i skrzyły się w próżni.

Białe dymy zaczęły bić z kominów i rozwłóczyć się pomiędzy tym potężnym kamiennym lasem, co tysiącami kolumn zdawał się podpierać noc i jakby chwiały się w drganiach światła elektrycznego.

Ulice opustoszały, gaszono latarnie, ostatnie świstawki przebrzmiały, cisza, pełna chlupotu deszczu, coraz cichszych poświstywań wiatru, rozwłóczyła się po ulicy.

Otwierano szynki i piekarnie, a gdzieniegdzie, w jakimś okienku na poddaszu lub w suterynach, do których sączyło się uliczne błoto, błyskały światła.

Tylko w setkach fabryk wrzało życie wysilone, gorączkowe; głuchy łoskot maszyn drżał w powietrzu mglistym i obijał się o uszy Borowieckiego, który wciąż spacerował po ulicy i patrzył w okna fabryk, za



którymi rysowały się czarne sylwetki robotników lub olbrzymie kontury maszyn.

Nie chciało mu się iść do roboty. Było mu dobrze tak chodzić i myśleć o tej przyszłej fabryce, urządzać ją, puszczać w ruch, pilnować. Tak się zatapiał w tym rozmarzeniu, że chwilami najwyraźniej słyszał około siebie i czuł tę przyszłą fabrykę. Widział stopy materiałów, widział kantor, kupujących, szalony ruch, jaki panował. Czuł jakąś wielką falę bogactw płynącą mu pod stopy.

Uśmiechał się bezwiednie, oczy mu wilgotnymi blaskami świeciły, na bladą, piękną twarz występowały rumieńce głębokiej radości. Pogładził nerwowo brodę mokrą od deszczu i oprzytomniał.

– Co za głupstwo – szepnął niechętnie i obejrzał się dookoła, jakby z obawy, czy kto nie widział tej chwilowej słabości.

Nie było nikogo, ale już szarzało, ze słabego, przemglonego świtu zaczynały powoli wychylać się kontury drzew, fabryk i domów.

Piotrkowską zaczynały ciągnąć od rogatek sznury chłopskich wozów, od miasta turkotały po wybojach olbrzymie wozy towarowe ładowane węglem i platformy naładowane przedzą, bawełną w belach, surowym towarem lub beczkami, a pomiędzy nimi przemykały pośpiesznie małe bryczki lub powoziki fabrykantów spieszących do zajęć lub tłukła się z hałasem dorożka wioząca zapóźnionego oficjalistę.

Borowiecki przy końcu Piotrkowskiej skręcił na lewo, w małą, nie brukowaną uliczkę, oświetloną kilkoma latarniami na sznurach i olbrzymią fabryką, która już szła. Długi czteropiętrowy budynek świecił wszystkimi oknami.

Przebrał się szybko w zafarbowaną, brudną bluzę i pobiegł do swojego oddziału.

## II

– Murray, dzień dobry! – krzyknął Borowiecki. Murray, okręcony w długi, niebieski fartuch, wysunął się spoza rzędów ruchomych kotłów, w których się gotowały i robiły farby. W mdłym świetle elektrycznym, przesyconym kolorowymi parami, jego długa, koścista twarz, starannie wygolona i świecąca bladoniebieskimi, jakby wypełzłymi oczami, robiła wrażenie karykatury z „Puncha”.

– A, Borowiecki! Chciałem widzieć pana, byłem u was wieczorem, zastałem Moryca, ale że ja go nie cierpię, nie czekałem.

– Dobry chłopak.

– Co mi do jego dobroci! Nie cierpię jego rasy.

– Drukują już pięćdziesiąty siódmy numer?

– Drukują, Wydawałem farbę.

– Trzyma się?

– Pierwsze metry nieco lakowała. Przysłali z centrali zamówienie na pięćset sztuk tej pańskiej lamy.

– Aha, dwudziesty czwarty numer, seledynowa.

– Iz filii Bech telefonował o to samo. Czy będziemy robić?

– Dzisiaj już nie. Mamy bójki pilne, mamy jeszcze pilniejsze do drukowania te letnie korty.

– Telefonowali o barchan numer siódmy.

– W apreturze. Muszę tam zaraz iść.

– Chciałem panu coś powiedzieć...

– Słucham, słucham! – szepnął grzecznie, ale z pewną niechęcią.

Murray ujął go pod rękę i odprowadził w kąt za wielkie beczki, z których co chwila czerpano farby.

„Kuchnia”, bo tak nazywano tę salę, tonęła w zmroku. Pod okapami wiszącymi nisko, niby pod stalowymi parasolami, kręciły się wolno, automatycznie szerokie miedziane mieszadła, przegarniające farby w wielkich kotłach, błyszczących miedzią polerowaną. Budynek cały drżał od ruchu maszyn. Długie transmisje, niby węże bladeżółte nieskończonej długości, gonily się z szaloną szybkością pod sufitem, przewijały się nad podwójnym szeregiem kotłów, pełzały wzdłuż ścian, krzyżowały się wysoko, ledwie dojrzone w obłoku gryzących kolorowych par, co buchały ustawicznie z kotłów i przyciemniały światło, i

uciekały wskroś murów, przez wszystkie otwory, do innych sal. Sylwetki robotników w koszulach umazanych farbami przemykały cicho i jak cienie ginęły w zmroku; wózki z łoskotem wjeżdżały i wyjeżdżały obciążone farbami gotowymi, które wiozły do drukarni i farbiarni.

Ostry straszliwie zapach siarki rozchodził się wszędzie.

– Kupiłem wczoraj meble – szeptał cicho do

ucha Borowieckiemu. – Uważasz pan, do saloniku kupiłem żółte jedwabne w stylu empire. Do jadalnego obstałowałem dębowe w stylu Henryka IV, a do buduaru...

– A kiedyż się pan żeni? – przerwał mu dosyć niecierpliwie.

– No, nie wiem jeszcze. Chociaż ja chciałbym jak najprędzej.

– To już po oświadczeniach? – spojrzał dosyć ironicznie na zgarbionego i dosyć śmiesznie wyglądającego Anglika; jego garb wydał mu się teraz potwornym, a on sam przypominał małpę tą długą wystającą szczęką i szerokimi ustami, niezmiernie ruchliwymi.

– Tak jakby już. W niedzielę właśnie powiedziała mi, jak by chciała mieć urządzone mieszkanie. Wypytałem się szczegółowo, odpowiadała tak, jak odpowiadają kobiety, gdy idzie o ich przyszłe gospodarstwo.

– Ostatnim razem myślałeś pan tak samo.

– Tak, ale nie miałem takiej pewności ani w połowie! – zaręczał gorąco.

– No, kiedy tak, to winszuję panu szczerze, kiedyż poznam narzeczoną?

– Na wszystko przyjdzie czas, na wszystko.

– Dlatego też wierzę, iż się pan w końcu ożeni – szepnął drwiąco.

– Może byś pan przyszedł jutro do mnie, dobrze? Chciałem koniecznie usłyszeć pańskie zdanie o tych meblach.

– Przyjdę.

– Ale kiedy?

– Po obiedzie,

Murray wrócił do farb i laboratorium, a Borowiecki pobiegł dalej do farbiarni przez korytarze i przejścia zapchane wózkami naładowanymi towarem ociekającym wodą, ludźmi i stosami towaru, leżącego na ziemi w wielkich kupach, oczekującego swojej kolei.

Co chwila zastępowano mu drogę z najrozmaitszymi interesami.

Wydawał krótkie rozkazy, szybko decydował, pospiesznie informował, czasem obejrzał próbkę z farby, jaką mu przynosił robotnik,

rzucał stanowczo: „Dobre” lub „Jeszcze” – i leciał dalej wśród spojrzeń setek robotniczych i szumu fabryki, co niby piekło wrzała chaosem.

Wszystko się trzęsło: ściany, sufity, maszyny, podłogi, huczały motory, świszczwały przenikliwie pasy i transmisje, turkotały po asfaltowej podłodze wózki, szczękały czasem koła rozpędowe, zgrzytały tryby, leciały wskroś tego morza rozbitych drgań jakieś krzyki lub rozlegał się potężny, huczący oddech maszyny głównej.

– Panie Borowiecki!

Wyteżył oczy, bo wśród par, jakie zalegały całą farbiarnię, nie było nic prawie widać prócz słabych zarysów maszyn. Nie wiedział, kto woła.

– Panie Borowiecki? Drgnął, bo go ujęto pod ramię.

– A, pan prezes – szepnął, poznawszy właściciela fabryki.

– Ja pana gonię, ale pan dobrze uciekasz.

– Robota, panie dyrektorze.

– Tak, tak, ja to rozumiem. Zmęczyłem się na śmierć – trzymał go silnie za ramię, zamilkł i dyszał ciężko ze zmęczenia.

– Idzie, co? – zapytał po chwili.

– Robi się – rzucił krótko i szedł naprzód. Fabrykant uczepony u jego ramienia włókł się ciężko, podpierał się grubą laską i zgarbiony prawie we dwoje, podnosił okrągłe, czerwone oczy jastrzębie i twarz dużą, świecąca, okrągłą, ozdobioną małymi baczkami i wąsami przyciętymi równo.

– Cóż, te watsony dobrze działają?

– Po piętnaście tysięcy metrów dziennie drukują.

– Mało – mruknął cicho, puścił jego ramię i przysiadł na wózku pełnym surowego perkalu, obciągnął

gruby kaftan, w jaki był ubrany, podparł się laską i siedział.

Borowiecki pobiegł do wielkich kadzi farbiarskich, nad którymi na wielkich wałach rozwinięte zwoje materiałów kręciły się w kółko i kapały w farbę rozpryskując ją na twarze i koszule robotników, którzy stali nieruchomie, co chwila czerpiąc z kadzi wodę dłonią i patrząc, czy jest w niej jeszcze farba, którą wyciągał materiał.

Kilkadziesiąt tych wałów, ustawionych rzędem, toczyło się wciąż w kółko, z męczącą jednostajnością, długie, poskręcane zwoje materiałów pławiły się w farbach i błyskały w mgle matowymi plamami czerwieni, błękitu i ochry.

Z drugiej strony, za podwójnym rzędem żelaznych słupów, podtrzymujących wyższe piętra fabryki i rozrośniętych gęsto po olbrzymiej

sali, stały płuczkarnie; długie skrzynie, pełne wrzącej wody pieniającej się sodą, praczek mechanicznych, wyżymaczek, mydła, przez które przesuwał się surowy materiał; bryzgi rozbitej trzepaczkami wody rozsypywały się na salę i tworzyły nad praczkarniami tak gęsty tuman, że światła paliły się zaledwie jakby odbite w lustrze.

Mechaniczne odbieracze szczękały odbierając wyprany już towar na siebie niby na rozkrzyżowane ręce i oddawały go robotnikom, którzy prętami układali go w wielkie fałdy na wózki, podsuwane co chwila.

– Panie Borowiecki – zawołał fabrykant do jakiegoś cienia, co się wychylił z mgieł, ale to nie był Borowiecki.

Podniósł się i włókł swoje chore zreumatyzmowane nogi po sali, kąpał się z rozkoszą w tej rozpalonej atmosferze. Zatapiał swoje schorowane ciało w sali pełnej oparów, ostrych zapachów farb, wody pryskającej z płuczkarek i z kadzi, ściekającej z wózków, chlupiącej pod nogami, lejącej się ze sufitów, z których skroplona para opadała prawie strumieniami.

Szalony, podobny do drgającego Jęku szczęk centryfugi, wyciągającej wodę z materiałów, przenikał całe sale, wświdrowywał się w nerwy robotników pilnujących, wpatrzonych w robotę i pochłoniętych zupełnie czuwaniem nad maszynami i rozbijał się o kolorowe, powiewające niby sztandary materiały na „odbieraczach”.

Borowiecki teraz był w sąsiedniej sali, gdzie na niskich angielskich maszynach starego systemu farbowano ordynarny czarny towar na męskie ubrania.

Dzień wlewał się setkami okien i kładł zielonawy ton na czarne opary i na robotników, co niby kolumny z bazaltu stali nieruchomi, z założonymi rękami, wpatrzeni w maszyny, przez które przesuwały się dziesiątki tysięcy metrów gryzione przez spienione, bryzgające, czarne farby.

Mury drżały ciągle. Fabryka pracowała wszystkimi mięśniami.

Windy, osadzone w murach, łączyły dół fabryki z jej czterema piętrami wierzchu. Co chwila rozlegał się głuchy szczęk w innej stronie sali, to winda brała lub wyrzucała z siebie wózki, towary, ludzi...

Dzień i do wielkiej sali zaczął zaglądać, brudne światło wciskało się przez małe zapocone szybki, zasnutę brudem i parą, wyłaniając z nich zarysy pełniejsze maszyn i ludzi, ale w tym szarozielonawym świetle, po którym pływały długie smugi czerwonych oparów i gdzie pyliły się nimby gazowych świateł – i ludzie, i maszyny wyglądali jak

nieprzytomni, jak widziadła porwane straszną siłą ruchu; jak jakieś strzępy pyły, drzazgi, skłębione, splątane, rzucone w wir, który z hukiem się przewalał.

Herman Bucholc, właściciel fabryki, gdy obejrzał farbiarnię, powlókł się dalej.

Przechodził pawilony, podnosił się w górę windami, schodził schodami, sunął się długimi korytarzami, przyglądał się maszynom, oglądał towar, rzucał czasem posepnym okiem na ludzi, czasem rzekł jakieś krótkie słowo, które jak błyskawica oblatywało całą fabrykę, odpoczywał na stosach sztuk, czasem na progach; niknął, aby za chwilę pokazać się w innej

Stronie fabryki, przy składach węgla, pomiędzy wagonami, których rzędy stały z jednej strony olbrzymiego czworoboku dziedzińca, ogrodzonego niby parkanem murami fabryki.

Był wszędzie, a chodził jak noc jesienna ponury i milczący; gdzie się tylko zjawił, gdzie przeszedł, rozmowy milkły, twarze się pochylały, oczy przestawały widzieć, postacie się zginały i kurczyły, jakby chcąc ująć się spod promienia jego oczów.

Spotykał się kilkakrotnie z Borowieckim, biegającym ustawicznie po oddziale.

Spoglądali na siebie przyjaźnie.

Herman Bucholc lubił swojego dyrektora drukarni, więcej, on go szacował na całe te 10 000 rubli, jakie mu płacił rocznie.

– To jest najlepsza moja maszyna w tym oddziale – myślał patrząc na niego.

Sam już się nie zajmował niczym, zięc prowadził fabrykę, a on wskutek przyzwyczajenia całego życia no przychodził do niej razem z robotnikami. fabryce jadał śniadanie i przesiadywał do południa, a po obiedzie, jeśli nie jeździł do miasta, to łąził po kantorach, składach, magazynach bawełny.

Nie mógł żyć z dala od tego potężnego królestwa, które stworzył pracą własną całego życia i mocą swojego geniuszu przemysłowego; musiał czuć pod nogami, w sobie, te roztargane, trzęsące się mury; czuł się dopiero dobrze przedzierając się przez przedzę transmisji i pasów, rozwleczoną po całej fabryce, wśród ostrych zapachów farb, blichowni, surowego materiału i smarów rozgrzanych w tym upale strasznym.

Siedział teraz w drukarni i przysłoniętymi oczyma Patrzył na salę, jasno oświetloną wielkimi oknami. na maszyny drukarskie w ruchu, na te piramidy żelazne pracujące pospiesznie i w jakiejś groźnej ciszy.

Przy każdej „drukarce” osobna maszyna parowa świstała swym kołem pociągowym, które niby srebrne wypolerowane tarcze migotały z taką szaloną szybkością, że nie można było pochwycić konturów,

a tylko jakiś nimb srebrny wirował dokoła swojej osi i rozpylał świetlany, roziskrzony tuman.

Maszyny działały z nie ustającym ani na chwilę pośpiechem; długie nieskończenie pasy materiałów, co się przewijały pomiędzy walcami miedzianymi, odciskającymi na nich barwy deseni, ginęły w górze, na wyższym piętrze w suszarni.

Ludzie, z tyłu maszyn podkładający towar do drukowania, poruszali się sennie, a majstrowie stali przed maszynami, co chwila któryś się pochylił, przypatrywał walcom, dolewał farby z wielkich kadzi, patrzył na materiał i znowu stał zapatrzony w te tysiące metrów, biegnących z szalonym pośpiechem.

Borowiecki wpadał do drukarni, aby śledzić działanie świeżo umontowanych maszyn, porównywał próbki ze świeżo drukowanymi materiałami, wydawał polecenia, czasem na jego skinienie zatrzymano działający kolos, oglądał szczegółowo i szedł dalej znowu, bo ten potężny rytm fabryki – te setki maszyn, tysiące ludzi śledzących z najwyższą, prawie pobożną uwagą za ich działaniem, te góry towarów leżących, przewożonych wózkami, snujących się przez sale z pralni do farbiarni, z farbiarni do suszarni, stamtąd do apretury i w dziesięć jeszcze innych miejsc, nim wyszły gotowe – porywał go.

Chwilami tylko siadał w swoim gabinecie, położonym przy „kuchni”, i tam, w przerwie pomiędzy kombinowaniem nowych deseni, oglądaniem przysłanych z zagranicy próbek, których olbrzymie, naklejone w albumy stosy leżały po stołach – zamyślał się, a raczej próbował myśleć o sobie, o tym projekcie fabryki planowanej łącznie z przyjaciółmi – ale nie mógł zebrać myśli, nie mógł ani na chwilę zamknąć się w sobie, bo ta fabryka, której szum huczał w jego gabinecie, której ruch i pulsowanie czuł we własnych nerwach, w tętnie krwi nieomal, nie pozwalała się odosobnić, ciągnęła nieprzeparcie, zmuszała do służby i warowania każdego, który krążył w jej orbicie.

Zrywał się i biegł znowu, ale dzień mu się strasznie

dłużył, tak że około czwartej poszedł do kantoru, który był w innym oddziale, aby wypić herbaty i zatelefonować do Moryca, aby był dzisiaj w teatrze, gdzie dawano przedstawienie amatorskie na jakiś cel dobroczynny.

– Pan Welt dopiero z pół godziny jak od nas wyszedł.

– Tutaj był?  
– Brał pięćdziesiąt sztuk białego towaru.  
– Dla siebie?  
– Nie, na zlecenie Amfilowa, do Charkowa. Cygarem można służyć?

– Owszem, zapalę, bo jestem diablo zmęczony.

Zapalił i siadł na wysokim taburecie, przed pustym biurkiem.

Główny buchalter kantoru, który go z uniżonością traktował cygarem, stał przed nim, napychając sobie fajkę tytoniem, kilku młodych chłopaków, usadowionych na wysokich kobyłkach, pisało w wielkich czerwono poliniowanych książkach.

Cisza, jaka tutaj panowała, drażniący skrzyp piór, monotonne cykanie zegaru, denerwująco działały na Borowieckiego.

– Cóż słyhać, panie Szwarc? — zapytał.

– Rozenberg się załamał.

– Zupełnie?

– Nie wiadomo jeszcze, ale ja myślę, że się będzie Układał, no, bo co za interes robić zwykłą klapę?— zaśmiał się cicho i przybijał palcem wilgotny tytoń w fajce.

– Firma traci?

– To zależy od tego, ile będzie płacił za sto.

– Bucholc wie?

– Nie był jeszcze dzisiaj u nas, ale jak się dowie, zabolą go odciski; jest czuły na straty.

– Jego szlag może trafić – szepnął któryś z pochylonych przy robocie.

– Byłaby szkoda!

– Bardzo wielka, niech Bóg broni!

– Niecn żyje sto lat, niech ma sto pałaców, sto milionów, sto fabryk.

– I niech go razem sto choler ciśnie! – szepnął cicho któryś.

Cisza się zrobiła.

Szwarc patrzył groźnie na piszących, to na Borowieckiego, jakby chciał się usprawiedliwić, że on nic nie winien, ale Borowiecki znużonym wzrokiem patrzył w okno.

W kantorze panowała atmosfera przytłaczającej nudy.

Ściany aż po sufit wyłożone drzewem malowanym na dąb, pełne półek i książek rozstawionych systematycznie, żółciły się smutnie.



Na prost okien stał wielki, czteropiętrowy budynek z nagiej czerwonej cegły i rzucał szarordzawy, przygnębiający refleks do kantoru.

Przez podwórko, wylane asfaltem, po którym turkotały od czasu do czasu wózki i przechodzili ludzie, w kilku kierunkach biegły na wysokości pierwszego piętra grube, jak ramiona atlety, transmisje warcząc głucho, od czego szyby w kantorze ustawicznie drżały.

Wysoko nad fabryką wisiało niebo ciężką, brudną płachtą, z której ściekał drobny deszcz i spływał po zabrudzonych murach smugami jeszcze brudniej szymi i sączył się po oknach kantoru, zakurzonych pyłem węglowym i bawełnianym, niby wstrętne plwociny.

W kącie kantoru, nad gazem, zaczął szumieć samowar.

– Panie Horn, może pan dać mi herbaty?

– A może pan dyrektor zechce butersznik! – ofiarowywał uprzejmie Szwarc.

– Tylko trochę koszerny.

– To znaczy, że lepszy, niżli pan jadasz, panie von Horn!

Horn przyniósł herbatę i zatrzymał się na chwilę.

– Co panu jest? – zapytał go Borowiecki, który z nim znał się bliżej.

– Nic – odparł krótko i powłókł nienawistnym spojrzeniem po Szwarcu, który rozwijał buterszniki z gazety i układał je przed Borowieckim.

– Wyglądasz pan bardzo źle.

– Panu Horn nie służy fabryka. Po salonach trudno mu się przyzwyczać do kantoru i do roboty.

– Bydlę albo inny parszywiec może się łatwo przyzwyczać do jarzma, ale człowiekowi trudniej – syknął ze złością, ale tak cicho, że Szwarc nie zrozumiał słów, spojrzał uważnie, uśmiechnął się tępo i szepnął:

– Panie von Horn! Panie von Horn! Może pan dyrektor spróbuje, jest tu kombinacja szynki z pulardą, bardzo dobra, moja żona jest sławna z tego.

Horn odszedł, usiadł przy biurku i błędził spojrzeniem po murach czerwonych, po oknach, za którymi bielily się stopy szarpanej do przędzenia bawełny,

– Daj mi pan jeszcze herbaty. Borowiecki chciał go wy badać.

Horn herbatę przyniósł i nie podnosząc oczów zawrócił się do odejścia.

– Panie Horn, może pan za jakie pół godziny przyjdzie do mnie?

– Dobrze, panie dyrektorze. Ja nawet miałem interes i w tym celu jutro się wybierałem do pana. A może pan teraz zechcesz wysłuchać?

Chciał coś poufnie szepnąć, ale do kantoru weszła kobieta, czworo dzieci wpychając przed sobą.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – szepnęła cicho, ogarnęła wzrokiem te wszystkie głowy, co się podniosły znad pulpity, schyliła się pokornie do nóg Borowieckiego, bo stał najbliżej i miał najbardziej okazałą twarz.

– Wielmożny panie dziedzicu, a to z prośbą przyszłam, wedle tego, co mojemu mężowi głowę urwało w maszynie, co ja teraz sierota biedna z dziećmi, co my jesteśmy biedne. Tom przyszła dopraszać się sprawiedliwości, aby mi pan dziedzic dał wspomnienie, jako mojemu mężowi urwało głowę w maszynie.

Wielmożny panie dziedzicu – i schyliła się znowu do kolan Borowieckiego, wybuchając płaczem.

– Za drzwiami, wynosić się, tutaj takich spraw nie załatwia się! – krzyknął Szwarca.

– Cicho pan bądź! – zawołał na niego Borowiecki po niemiecku.

– Proszę pana, ona już od pół roku nachodzi wszystkie oddziały i kantory nasze, nie można się jej pozbyć niczym.

– A dlaczego nie załatwione?

– Pan się pyta? Ten cham umyślnie podłożył łeb pod koło, jemu się nie chciało pracować, a jemu się chciało okraść fabrykę! My teraz mamy płacić na jego babę i bękarty!

– A ty parchu jeden, to moje dzieci bękarty! – wykrzyknęła kobieta, w pasji przyskakując do Szwarca, który cofnął się za stół.

– Cicho, kobieto! Niech pani uspokoi się i coby te małe panowie nie płakali – zawołał przestraszony, wskazując na dzieci, które uczepliły się matki i krzyczały wniebogłosy.

– Wielmożny dziedzicu, jużci że prawda, co od samych kopań chodzę i ciągiem mi obiecują, że zapłacą, ciągiem chodzę i proszę, to mnie cyganią ino i wyciepują kiej sukę za drzwiami.

– Uspokójcie się, pomówię dzisiaj z właścicielem, przyjdźcie tutaj za tydzień, to wam zapłacą.

– Ażeby ci Pan Jezus i ta Częstochowska szczęściła na zdrowiu, na majątku, na honorze, o mój dziedzicu kochany! – wykrzykiwała przypadając mu do nóg, całując go po rękach.

Wydarł się jej i wyszedł, ale przystanął w wielkiej sieni i gdy wychodziła, zapytał:

- Z których wy stron?
- Adyć, panie, jaże spod Skierniewic.
- Dawno w Łodzi?
- A będzie ze dwa roki, jak my się tutaj przenieśli na swoje zatracenie.
- Chodźcie gdzie do roboty?
- A bo mnie to chcą gdzie przyjąć te poganiny, te heretyki zapowietrzane, a po drugie, kaj ja ostawię swoje sieroty? – Z czegoż żyjecie?
- Bidujem, wielmożmy panie, bidujem. Mieszkam na Bałutach z jednymi weberami i jaże całe trzy ruble płacę za pomieszkanie miesięczne. Póki mój nieboszczyk żył, to choćby często gęsto było ze solą albo i z głodem, ale się ta żyło, a teraz, kiej jego nie stało, to chodzę na Stare Miasto do posługi, czasem kto zawoła do prania i tak jest – gadała prędko, okręcając dzieci w jakieś ohydnie brudne strzępy chustek.
- Czemu nie wrócić na wieś do domu?
- Wrócę, kiej mi tylko zapłacą za chłopa, to juści, że wrócę, a niech tam to miasteczko Łódź mór nie minie, niech ją ta ogień spali, niech ich tam Pan Jezus niczego j nie żałuje, coby wszystkie wy zdychały, co do jednego.
- Cicho bądźcie, nie macie za co przeklinać – szepnął nieco podrażniony.
- Ni mam za co? – wykrzyknęła zdumiona, podnosząc na niego bladą, brzydką, przegryzioną przez nędzę twarz i zapłakane, wyblakłe, niebieskie oczy. – A to, wielmożny panie, my na wsi byli ino komorniki, bo mój miał trzy morgi grontu, co mu przyszły w schedzie po ojcu, to że nie było za co postawić chałupy, tośwa mieszkali u stryjecznych swoich. Myśwa żyli z wyrobku ino, ale zawždy człowiek mieszkał po ludzku i kartofli gdzie przysądził na odrobek, i gąskę się uchowało albo i świniaka, i jajko miał swoje, i krowę mieliśwa, a tutaj co? Harował nieborak od świtu do nocy i jeść nie było co, żyliśmy kiej te dziady ostatnie, a nie kiej krześcianie, kiej psy, a nie kiej gospodarze poczwi.
- Po cóżeście tutaj przyjechali, trzeba było siedzieć na wsi.
- Po co? – zawołała boleśnie. – A bo ja wiem! Szły wszystkie, to i myśwa poszły. Na wiosnę poszedł
- Jadam, ostawił kobitę i poszedł. Przyjechał po żniwach taki wystrojony, co go nikt nie mógł poznać, cały w kortacn i zygarek miał srybny, i piestronek, i tyła piniędzy, coby na wsi i bez trzy roki nie zarobił. Ludzie się dziwowali, a ten zapowietrzony cygań, bo mu za to zapła-

cili, żeby ludzi wieskich sprowadził, obiecywał Bóg wie nie co. Tak zaraz poszło z nim dwóch parobków, Janków syn i Grzegorza spod lasu, a potem to już kto ino mógł, to leciał do tego miasteczka Łodzi, kuźdymu się chciało kortów, zygarka i rozpusty! Ja mojego strzymałam, bo po co nam było tutaj iść, do obcych w tyli świat, to me sprąkiej bydlaka i poszedł, a potem przyjechał i zabrał ze sobą. Mój Jezu kochany, mój Jezu! – szeptała chlipiąc boleśnie i rozcierając sobie nos i łzy brudnymi rękami i tak się zaczęła trząść w tym rozpaczliwym płaczu, że dzieci przytuliły się do niej i także zaczęły płakać cicho.

– Macie tutaj pięć rubli i zróbcie tak, jak wam mówiłem.

Miał tego już dosyć, odwrócił się spieszenie i wyszedł, nie czekając podziękowań.

Nie cierpiał roztkliwiania i czułości, a ta kobieta poruszyła w nim zamierającą z wolna, duszoną świadomie – uczuciowość.

Stał czas jakiś przy kotle „oksydacyjnym” Mather-Platta, przez który przechodził towar suchy i już drukowany, i z pewnym roztargnieniem przyglądał się barwom świeżo wytworzonym, a raczej rozwiniętym w przesunięciu się towaru przez kocioł. Żółte, nałożone „bejcem” kwiatki zmieniły się na paśowe pod wpływem wysokiej temperatury i skomplikowanych roztworów soli anilinowej.

Fabryka po chwilowym odpoczynku podwieczorkowym pracowała znowu z jedną energią.

Borowiecki wyjrzał na świat z okien swojego gabinetu, bo poszarzało nagle i zaczął padać śnieg nadzwyczaj gęstymi płatami i pobielił ściany fabryk i dziedziniec. Spostrzegł Horna stojącego za domkiem szwajcara, przez który było jedyne wyjście z fabryki.

Horn rozmawiał z tą samą kobietą, która mu za coś dziękowała z uniesieniem i chowała jakiś papier za stanik.

– Panie Horn! – krzyknął wychylając przez lufcik głowę.

– Miałem przyjść właśnie do pana – ozwał się Horn zjawiając się po chwili.

– Coś pan radził tej babie? – zapytał surowym dosyć głosem, patrząc w okno.

Horn zawahał się przez mgnienie, rumieniec powlókł jego dziewczęco piękną twarz, a w niebieskich, dobrych oczach zamigotał płomień.

– Kazałem jej iść do adwokata, niechaj wytoczy proces fabryce o odszkodowanie, bo wtedy prawo zmusi ich do zapłacenia.

– Co to pana obchodzi? – zaczął lekko bębnić palcami po szybie i przygryzać usta.

– Co mnie obchodzi? – zamilkł na chwilę. – Bardzo mnie obchodzi wszelka nędza i wszelka niesprawiedliwość, bardzo...

– Czym pan tutaj jesteś? – przerwał mu ostro i usiadł przed długim stołem.

– No, jestem praktykantem kantorowym, pan dyrektor przecież wie najlepiej – odpowiedział zdumiony.

– No to, panie Horn, pan nie skończysz tej praktyki, jak mi się zdaje.

– Wreszcie, to mi jest już wszystko jedno – szepnął dosyć twardo.

– Ale nam nie jest wszystko jedno, nam – fabryce, w której pan jesteś jednym z miliona kółek! Przyjeliśmy pana nie na to, żebyś tutaj produkował się ze swoją filantropią, a tylko, abyś robił. Pan wprowadzasz zamęt, gdzie wszystko polega na najdoskonalszym funkcjonowaniu, na prawidłowości i zgodności.

– Nie jestem maszyną, jestem człowiekiem.

– W domu. W fabryce od pana nie wymaga się egzaminów na człowieczeństwo ani egzaminów na humanitarność, w fabryce potrzebne są pańskie mięśnie i mózg pański i tylko za to płacimy panu – rozdrażniał się coraz bardziej. – Jesteś pan tutaj maszyną taką samą jak my wszyscy, więc pan rób tylko to, co do pana należy. Tutaj nie miejsce do rozanień, tutaj...

– Panie Borowiecki! – przerwał mu szybko.

– Panie von Horn! Słuchaj pan, kiedy mówię do pana – zawołał groźnie, zrzucając gniewnie wielkie album próbek na ziemię. – Bucholc przyjął pana na moje zaręczenie, znam pańską rodzinę, pragnę dla pana najlepiej, ale pan jesteś, jak widzę, chory na dziecinną demagogię.

– Jeżeli pan tak nazywasz współczucie zwykłe u ludzi.

– Pan mnie kompromitujesz takimi radami dawany mi wszystkim, mającym jakie bądź pretensje do fabryki. Trzeba było zostać panu adwokatem, byłbyś się wtedy mógł opiekować nieszczęśliwymi i pokrzywdzonymi, ma się rozumieć, za dobrą zapłatą – dorzucił drwiąco, bo jego gniewny nastrój przepadł gdzieś pod wpływem tych dobrych oczów Horna, wpatrzonych w niego. – Zresztą, dajmy tej sprawie spokój. Będziesz pan dłużej w Łodzi, rozpatrzysz się w stosunkach, przyjrzyj się lepiej tym uciśnionym, to pan zrozumiesz, jak trzeba postę-

pować. A weźmiesz pan interes po ojcu, to wtedy przyznasz mi zupełną rację.

– Nie, panie, ja w Łodzi dłużej nie wytrzymam ani interesu po ojcu nie obejmę.

– Cóż pan chcesz robić? – wykrzyknął zdumiony.

– Jeszcze nie wiem. Przyznaję się panu szczerze, chociaż tak ostro, za ostro pan mówi do mnie, ale mniejsza z tym, bo wiem, że pan, jako dyrektor takiej wielkiej drukarni, mówić inaczej nie może.

– Więc pan odchodzisz od nas? tyle zrozumiałem, ale nie wiem dlaczego?

– Dlatego, że już wytrzymać nie mogę w tym podłym chamstwie łódzkim. Pan, jako człowiek pewnej sfery, rozumie mnie chyba. Dlatego, że ja całą duszą nienawidzę zarówno fabryk, jak i wszystkich Bucholców, Rozensztejnów, Entów, całej tej ohydnej, przemysłowej bandy – wybuchnął gwałtownie.

– Ha, ha, ha, pan jesteś wspaniały „fioł”, nieporównany! – śmiał się Borowiecki serdecznie.

– To już nic więcej nie powiem – rzekł mocno dotknięty.

– Jak pan chce, a zawsze lepiej głupstw mówić mniej.

– Do widzenia.

– Żegnam pana. Ha, ha, ha, pan masz zdolności aktorskie!

– Panie Borowiecki – zaczął prawie ze łzami w oczach Horn zatrzymując się i chciał coś mówić.

– Co?

Horn skłonił głowę i wyszedł.

– Kapitalny mazgaj – szepnął za nim Borowiecki i także poszedł do suszarni.

Owionęło go suche, rozpalone powietrze.

Olbrzymie czworoboki z blachy, wypełnione straszliwie rozpalonym i suchym powietrzem, brzęczały niby oddalone grzmoty, wymiotując nie kończący się pas materiałów kolorowych, suchych i sztywnych.

Na niskich stołach, na ziemi, na wózkach, które suwały się cicho, leżały całe sterty materiałów i w tym suchym, jasnym powietrzu sali, której ściany były prawie ze szkła, paliły się przyćmionymi barwami złota przykopczonego, purpury o fioletowym odcieniu, błękitu marynarskiego, starego szmaragdu – niby stosy blach metalowych o matowym, martwym blasku.

Robotnicy, w koszulach tylko i boso, z szarymi twarzami, z oczami zagasłymi i jakby wypalonymi tą orgią barw, jaka się tutaj tłoczyła, poruszali się cicho i automatycznie, tworzyli tylko dopełnienie maszyn.

Czasem, który patrzył przez szyby w świat, na Łódź, która z tej wysokości czwartego piętra majaczyła w mgłach i dyniach poprzecinanych tysiącami kominów, dachów, domów, drzew ogołoconych z liści; to znów na drugą stronę, na pola, co szły w głąb horyzontu – na szarobiałe, brudne, zalane wiosennymi roztopami przestrzenie, majaczące gdzieś czerwonymi gmachami fabryk, które z oddalenia czerwieniły się wskroś mgieł bolesnym tonem mięsa odartego ze skóry; na odległe linie wiosek małych, przywartych cicho do ziemi, na drogi, co się wywijały wskroś pól czarną, ciekącą błotem wstęgą, migającą pomiędzy rzędami nagich topoli.

Maszyny huczały bezustannie i bezustannie świślały transmisje, uczone pod sufitem i niosące siłę do innych sal, wszystko się poruszało w rytm tych olbrzymich pudeł, metalowych suszarń, które odbierały towar mokry z drukarni i wypluwały go suchym i stały w tej olbrzymiej, czworokątnej sali, pełnej smutnych barw i smutnego światła dnia marcowego, smutnych ludzi, niby kapliczki boga – siły, rządzącego wszechwładnie.

Borowiecki czuł się rozstrojonym i z roztargnieniem oglądał towar, czy nie jest zbyt przesuszony lub spalony.

– Głupi chłopak – myślał o Hornie i chwilami stawała mu w pamięci ta młoda, szlachetna twarz i te oczy niebieskie, patrzące na niego z jakimś niemym żalem zawodu i wyrzutu. Czuł w sobie jakieś ciemne zaniepokojenie. Niektóre słowa Horna przychodziły mu na myśl, gdy patrzył na te tłumy ludzi w milczeniu pracujących.

– Byłem takim – poleciał myślą do tamtych dawnych czasów, ale nie dał się ująć wspomnieniom w swoje szarpiące szpony, drwiący uśmiech wiał mu się po ustach, a oczy świeciły zimno i rozważnie.

– To przeszło! przeszło! – myślał z jakimś dziwnym uczuciem pustki, jakby mu żal było tamtych czasów, żal tych złudzeń niepowrotnych, porywów szlachetnych, zszarganych przez życie – ale to krótko trwało i znowu siebie odzyskiwał; był tym, czym był, dyrektorem drukarni Hermana Bucholca, chemikiem, człowiekiem zimnym, mądrym, obojętnym, gotowym do wszystkiego, prawdziwym Lodzermenschem, jak go nazwał Moryc.

W takim był właśnie nastroju przechodząc przez apreturę, gdy mu jeden z robotników zastąpił drogę.

– Czego? – zapytał krótko, nie zatrzymując się.

– A to nasz majster, pan Pufke, powiedział, że od pierwszego kwietnia będzie nas piętnastu ludzi mniej robiło.

– Tak. Ustawi się nowe maszyny, które tylu ludzi nie potrzebują do obsługi co stare.

Robotnik miał czapkę w rękę, nie wiedząc, co powiedzieć i nie śmiejąc, ale zachęcony spojrzeniami, które błyskały zza maszyn, zza sagów materiałów, zapytał idąc za nim:

– A co my będziemy robili?

– Poszukacie sobie roboty gdzie indziej. Pozostaną tylko ci, którzy dawniej u nas pracują.

– A i my robimy już po trzy roki.

– Cóż ja wam poradzę, kiedy maszyna was nie potrzebuje, bo zrobi sama. Zresztą, do pierwszego może się jeszcze co zmieni, jeśli będziemy powiększali blich – odpowiedział spokojnie i wszedł na windę, która zaraz z nim zapadła się w głębi ściany.

Robotnicy spoglądali na siebie w milczeniu, niepokój świecił im w oczach, niepokój przed jutrem bez roboty, przed nędzą.

– Ścierwy nie maszyny. Psy, psiakrew – szepnął robotnik i kopnął z całą nienawiścią w bok jakiejś maszyny.

– Towar idzie na ziemię! – krzyknął majster. Chłop prędko nadział czapkę, przygiął się nieco i ze spokojem automatu odbierał barchan czerwony z maszyny.



### III

W restauracji hotelu „Victoria” było pełno. Wielkie, niskie pokoje o ciemnych ścianach i żółtych stiukowych sufitach, udających drzewo, napępiał hałaśliwy gwar.

Wejściowe drzwi z bramy co chwila brzęczały mosiężnymi prętami, zabezpieczającymi szkło, co chwila ktoś wchodził i ginął w mgłę dymów i w tłumie ludzi zapelniających restaurację; elektryczne światła w sali bufetowej wciąż drgały spazmatycznie i przygasały, a gazowe baki, płonące równocześnie, rzucały mętne światło na zbitą około licznych stolików masę ludzi i na białe obrusy.

– Kelner, bitte, zahlen!

– Piwa!

– Kelner, Bier!

Krzyżowały się wołania razem z głuchym stukiem kufli.

Garsoni w zatłuszczonych frakach, z serwetami podobnymi do ścierek, przesuwali się we wszystkich kierunkach, błyskając brudnymi gorsami nad głowami pijących.

Wrzawa podnosiła się bezustannie napływającymi ludźmi i wykrzykiwaniem:

– „Lodzer Zeitung”! „Kurier Codzienny”! – jakie rzucali chłopcy kręcący się pomiędzy stołami.

– Szczygieł, daj no „Lodzerkę” – zawołał Moryc, siedzący w pokoju bufetowym, pod oknem, w otoczeniu kilku aktorów, wiecznie przesiadujących w knajpie – uważacie, co zrobił wczoraj nasz „fiol”, vel dyrektor.

– Mów: arcyfiol – wtrącił szeptem jakiś zgarbiony stary aktor.

– Głupiś – odpowiedział mu pierwszy tajemniczym szeptem do ucha. – Otóż nasz arcyfiol wczoraj w antrakcie drugim przyszedł za kulisy i skoro tylko Nusia zeszła ze sceny, powiada jej: „Tak pani grała wspaniale, że jak tylko kwiaty będą trochę tańsze, to kupię pani bukiety, chociażby za całe pięć rubli!”

– Co powiedział? – zapytał stary aktor nachylając się do ucha sąsiada.

– Żebyś pan pocałował psa w nos. Wybuchnęli śmiechem.

– Panie Welt, panie Maurycy, czy pan nie jesteś za cwajkoniak systemem, co?

– Panie Bum-Bum, ja jestem za systemem wyrzucenia pana za drzwi.

– Chciałem kazać dać...

– Pan lepiej każ błagować za siebie.

– Cóż, kiedy pan mnie wyęciesz. Panno Ani, koniaczek – zawołał poprawiwszy binokle i uderzając w zaciśniętą pięść otwartą dłonią prawej ręki.

– Pański przodek, panie Maurycy, miał więcej wychowania – zaczął znowu Bum-Bum stojąc na środku pokoju z kawałkiem kielbasy na widelcu.

– Ja o pańskim tego nie mogę powiedzieć.

– Warum? – rzucił ktoś od sąsiedniego stolika.

– Bo go wcale nie miał.

– Nie, nie dlatego, tylko że nie bywał grzecznym względem swoich pachciarzy. Welt to zna z tradycji domowych.

– Wysortowany dawno dowcip, pięćdziesiąt procent niżej kosztu. Bum-Buma, panowie, sprzedaje się przez publiczną licytację. Kto da co? – wykrzyknął złośliwie Moryc.

– Co on mówi? – zapytał znowu stary aktor szeptem, kiwając równocześnie na garsona.

– Żeś głupi! – odpowiedział mu tym samym tonem sąsiad,

– Kto co da za Bum-Buma? Panowie Bum-Bum się sprzedaje. Stary jest, brzydki jest, głupi jest, zdezelowany jest, ale tanio się sprzedaje! – wykrzykiwał i zamilkł, bo Bum-Bum stanął i patrzył na niego, a po chwili rzekł krótko:

– Parch! Panno Ani, koniaczek!

Moryc hałaśliwie stukał kuflem i śmiał się głośno, ale nikt mu nie wtórował.

Bum-Bum wypił i z pochyloną kwadratową twarzą koloru szmalcu przekrwionego, z oczami wypukłymi, bladoniebieskimi, przykrytymi binoklami na bardzo szerokiej wstążce, z grzywką rzadkich włosów oblepiających mu wysokie kwadratowe czoło o pomarszczonej, wymiętej, chropowatej skórze, z pochyloną naprzód figurą starego rozpustnika chodził po całej knajpie, powłócząc drgającymi tabetycznie nogami, przyczepiał się do rozmaitych grup, gadał dowcipy, z których sam śmiał się najgłośniej, albo usłyszane kawały roznosił i powtarzał z lubością, poprawiał obu rękami binokle, witał się prawie ze wszystkimi

wchodzącymi, a przynajmniej połową, podchodził do bufetu, słychać było bardzo często jego chrapliwy, rozłażący się głos:

– Panno Ani, koniaczek – i trzaśnięcie dłonią w pięść zaciśniętą.

Moryc przebiegł oczami „Zeitung”, niecierpliwie spoglądał na drzwi. Czekał na Borowieckiego. Wstał wreszcie, bo zobaczył w drugim pokoju znajomą twarz.

– Leon, kiedyś przyjechał?

– Dzisiaj rano.

– Jakże ci poszedł sezon? – pytał siadając obok niego na zielonej kanapce.

– Świeeeeetnie! – wyciągnął nogi na krzeselku i rozpiął kamizelkę.

– Myślałem dzisiaj o tobie, a nawet wczoraj z Borowieckim mówiliśmy.

– Borowiecki! ten od Bucholca?

– Tak.

– On wciąż drukuje swoje bojki? Słyszałem, że ma założyć na siebie.

– Dlatego właśnie mówiliśmy o tobie.

– I co, wełna?

– Bawełna!

– Sama?

– Co to można dzisiaj wiedzieć.

– Pieniądze jest?

– Będą, a tymczasem jest coś więcej, kredyt...

– Do spółki z tobą?

– I z Baumem, znasz Maksa?

– Ojej! W tym wekslu jest feler, jeden żyrant niepewny! Borowiecki – dodał po chwili.

– Dlaczego?

– Polaczok! – rzucił dosyć pogardliwie i wyciągnął się prawie na kanapce i na krześle. Moryc roześmiał się wesoło.

– To ty go wcale nie znasz! O nim dużo się w Łodzi będzie mówić. Ja w niego, że zrobi gruby interes, tak wierzę jak w siebie.

– A Baum, cóż to?

– Baum jest wół, jemu trzeba dać się wyspać i wygadać, a potem dać robotę, będzie robił jak wół, a zresztą on wcale nie jest głupi. Ty mógłbyś nam dużo pomóc i sam dużo byś zarobił. Nam już dawał oferty Krongold.

– Idźcie do Krongolda, to wielka osoba, on się zna ze wszystkimi bałaganami, które kupują długiego towaru za sto rubli rocznie; to jest wielki reisender na Kutno, na Skierniewice. Zróbcie z nim interes, ja się nie narzucam! Ja mam co sprzedawać, ja mam list przy sobie Bucholca, on mi chce powierzyć agenturę swoich towarów na cały Wschód, a jakie warunki mi daje! – i zaczął gorączkowo rozpinać się i szukać po wszystkich kieszeniach tego listu.

– Wiem o tym, nie szukaj. Borowiecki mi wczoraj mówił, bo to on poradził cię Bucholcowi.

– Borowiecki! Naprawdę? Dlaczego?

– Bo on jest mądry i myśli o przyszłości.

– I tak sobie, przecież za taki interes mógłby grubo zarobić. Ja sam dałbym dwadzieścia tysięcy bares geld. jak tu siedzę. Co on w tym ma? i do tego my się prawie nie znamy.

– Co on w tym ma, to on ci sam powie, ale tylko tyle ci powiem, że gotówki nie weźmie,

– Szlachcic! – szepnął z pewnym drwiącym politowaniem Leon i splunął na środek pokoju.

– Nie, on tylko mądrzejszy od najmądrzejszych reisenderów i agentów na cały Wschód – odpowiedział Moryc dzwoniąc nożem w kufel. – Dużoś sprzedał?

– Za kilkadziesiąt tysięcy, kilkanaście tysięcy gotówki, a reszta najlepsze weksle, bo na cztery miesiące z żyrem Safonowa! Jedwabny interes – uderzył Moryca w kolano z zadowolenia. – Mam i dla ciebie obstalunek. Widzisz, co to przyjaźń.

– Na ile?

– Razem ze trzy tysiące rubli.

– Długi czy krótki towar?

– Krótki.

– Weksel czy nachname?

– Nachname. Zaraz ci dam zamówienie – zaczął przewracać w olbrzymim, zamykanym na klucz pugilaresie.

– Co ci mam dać?

– Jeżeli gotówka to wystarczy jeden procent, po przyjacielsku.

– Gotówki teraz potrzebuję na gwałt, mam wypłaty, ale w ciągu tygodnia zapłacę.

– Dobrze. Masz zamówienie. Wiesz, w Białymstoku spotkałem Łuszczewskiego, przyjechaliśmy razem do Łodzi.

– Gdzież ten hrabia jedzie?

- Przyjechał do Łodzi robić interes.
- On! Ma widać za dużo; trzeba się z nim zobaczyć.
- Nic nie ma, przyjechał się dorobić czego.
- Jak to nic nie ma, przecież jeździliśmy całą bandą z Rygi jeszcze do jego majątków. Był pan na gruby sposób! I nic mu już nie zostało?
- Zostało! trochę gumy z powozów na kalosze! Ha, ha, ha, kapitalny witz – uderzył go w kolano.
- Cóż zrobił z majątkiem? liczyli go lekko na dwieście tysięcy.
- A on teraz liczy sam, że ma ze sto tysięcy długów, a to skromny człowiek.
- Mniejsza z nim. Napijesz się?
- Warto by przed teatrem,
- Kelner, koniak, kawior, befszytk po tatarsku, porter oryginalny, gallopp!
- Bum-Bum, choć no pan do nas! – krzyknął Leon.
- Jak się pan ma, jakże zdroweczko, jakże interesiki! – wykrzykiwał ściskając mu rękę.
- Dziękuję, bardzo dobrze. Przywiozłem dla pana umyślnie z Odessy coś – wyjął z pugilaesu rysunek pornograficzny i podał.
- Bum-Bum poprawił obu rękami binokle, wziął rysunek i zanurzył się w nim cały z lubością. Twarz mu poczerwieniała, mlaskał językiem, oblizywał swoje sine, opadnięto wargi, trząśł się cały z zadowolenia.
- Cudowne, cudowne. Niebysza! – wykrzykiwał i powlókł się pokazywać wszystkim.
- Świnia – mruknął Moryc niechętnie.
- Lubi dobre rzeczy, a że jest znawcą...
- Nie poznałeś znowu kogo? – zapytał nieco ironicznie.
- Czeka!... – trząsknął w palce, potem w kolano Moryca, uśmiechnął się i z pugilaesu, spomiędzy rachunków i not, wydobył fotografię kobiety.
- Co? Ładna maszyna? – mówił z najwyższym zadowoleniem, przymrużając oczy. – Tak.
- Prawda! Ja zaraz pomyślał, że będzie ci się podobać. To Francuzeczka, a!
- Wygląda na Holenderkę, ale krowę.
- Kaine gadanie. To droga sztuka, stówka za nic.
- Dałbym pięć za wyrzucenie jej za drzwi.
- Ty zawsze jesteś... no, już nie powiem.

– A ty masz reisenderowskie gusta, skąd takie bydlę, gdzieś poznał?

– W Niżnim ja sobie..pokulił niemnożeczko z kupcami, to oni mówią w końcu: „Chodź, pan Lew, w cafe concert!” Poszli. Nu, wódka, koniak, szampańskie pili prawie z beczki, a potem słuchali śpiewu, ona śpiewaczka – że...

– Zaczekaj, w tej chwili przyjdę! – przerwał Moryc, zerwał się i podszedł do tęgiego Niemca, który wszedł do restauracji i rozglądał się po sali.

– Gut Morgen, panie Muller!

– Morgen! Jak się pan ma, panie... – odpowiedział niedbale i rozglądał się dalej.

– Pan szuka kogo? może ja będę mógł pana objaśnić – nastęczał się natarczywie Moryc.

– Szukam pana Borowiecki, tylko po to wszedłem.

– Będzie zaraz, bo ja właśnie czekam na niego. Może pan pozwoli do stolika. To mój kolega, Leon Cohn! – rekomendował.

– Muller! – rzucił z pewną dumą i przysiadł się.

– Kto by nie wiedział o tym! każde dziecko w Łodzi wie takie nazwisko! – mówił prędko Leon, spieszenie się zapinając i robiąc miejsce na kanapie.

Muller uśmiechnął się pobłaźliwie i patrzył ku drzwiom, bo wszedł Borowiecki w towarzystwie, ale zobaczywszy go, towarzyszy zostawił przy drzwiach i z kapeluszem w ręku szedł do tego królika bawełnianego, po którego wejściu przyciszyło się w knajpie i wszyscy śledzili go z nienawiścią, zazdrością i dumą.

– Prawie czekałem na pana – zaczął Muller. – Mam do pana interes.

Skinał głową Morycowi i Leonowi, uśmiechnął się do pozostałych, objął ręką w pas Borowieckiego i wyprowadził z knajpy.

– Telefonowałem do fabryki, ale mi odpowiedziiano, że pan dzisiaj wyszedł wcześniej.

– Żałuję teraz bardzo – rzekł uprzejmie.

– Pisałem nawet do pana, sam pisałem – dodał mocniej, z wielką pewnością, chociaż na pewno wiadano w mieście, że umiał zaledwie się podpisać.

– Nie odebrałem listu, bo zupełnie nie wstępowałem do mieszkania.

– Pisałem o tym, com już kiedyś wspominał. Ja jestem prosty człowiek, panie von Borowiecki, to ja powiem raz jeszcze i prosto: dam panu tysiąc rubli więcej, wstąp pan do mojego interesu.

– Bucholc dałby mi dwa tysiące więcej, abym tylko został – szepnął zimno.

– Dam panu trzy, no, dam panu cztery! słyszysz pan, cztery tysiące rubli więcej, to jest całe czternaście tysięcy rocznie, ładny grosz!

– Bardzo panu dziękuję, ale nie mogę przyjąć tak wspaniałej propozycji.

– Zostajesz pan u Bucholca? – zapytał prędko.

– Nie. Powiem otwarcie, dlaczego nie przyjmuję pańskiej oferty ani nie zostaję w firmie – zakładam sam fabrykę.

Muller przystanął, odsunął się nieco, popatrzył i ciszej, z pewnym jakby szacunkiem zapytał:

– Bawełna?

– Nie powiem nic prócz tego, że żadnej konkurencji panu nie zrobię.

– Mnie jest ganz-pommade wszystkie konkurencje – wykrzyknął uderzając się po kieszeni. – Co mi pan może zrobić, co mi kto może zrobić? Kto co robi milionom?

Borowiecki nic się nie odezwał, tylko uśmiechał się, zapatrzony przed siebie.

– Co to będzie za towar? – zaczął Muller, znowu ujmując go niemieckim obyczajem w pół.

Spacerowali tak po asfaltowym powybijanym chodniku, prowadzącym przez podwórze hotelowe do gmachu teatralnego, stojącego w głębi, oświetlonego wielką latarnią elektryczną.

Tłumy ludzi szły do teatru.

Powóz za powozem zajeżdżał przed hotelową bramę i wyrzucał ciężkich i przeważnie opasłych mężczyzn i bardzo wystrojone kobiety, które pootulane szły pod parasolami tym chodnikiem oślizgłym od wilgoci, bo chociaż deszcz ustał już, ale gęsta lepka mgła opadała na ziemię.

– Pan mi się podoba, panie von Borowiecki – mówił Muller nie doczekawszy się odpowiedzi – tak mi się pan podoba, że jak tylko pan zrobi klapę, to zawsze znajdzie pan u mnie miejsce na jakie parę tysięcy rubli.

– Teraz dałby mi pan więcej?

– No, bo teraz pan jesteś dla mnie więcej wart.

– Dziękuję za szczerość – uśmiechnął się ironicznie,  
– Ale ja pana nie chciałem obrazić, ja mówię tak, jak myślę – usprawiedliwiał się gorąco, dojrawszy ten uśmiech.

– Wierzę. Skoro zrobię klapę raz, to tylko dlatego, żeby drugi raz jej nie zrobić.

– Pan jesteś głowa, panie von Borowiecki, pan mi się ogromnie podoba. My razem moglibyśmy robić dobre interesy.

– Cóż, kiedy musimy je robić osobno – zaśmiał się, kłaniając nisko jakimś damom przechodzącym.

– Ładne kobiety te Polki, ale moja Mada też ładna.

– Bardzo ładna – powiedział poważnie, podnosząc na niego oczy.

– Ja mam myśl! ja ją panu kiedy indziej powiem – zawołał tajemniczo. – Masz pan miejsce w teatrze?

– Mam krzesło, przysłali mi dwa tygodnie temu.

– Nas tylko troje będzie w łoży.

– Są i panie?

– One już w teatrze, a ja umyślnie zostałem, aby się widzieć z panem, no i na nic moje plany. Do widzenia, pan zajrzy do łoży?

– Z pewnością, będzie to dla mnie bardzo przyjemnym obowiązkiem.

Muller zniknął w drzwiach teatru, a on powrócił do restauracji. Nie zastał już Moryca, który przez garsona kazał powiedzieć, że czeka w teatrze.

W bufecie, gdzie poszedł napić się wódki, bo czuł się dziwnie zderwowanym, nie było prawie nikogo prócz Bum-Buma, który przysłonięty gazetą drzemał w kącie.

– Bum, nie idziesz pan do teatru?

– Te, po co mi to. Bawelnę oglądać, przecież ich znam. Pan idzie?

– A zaraz.

Jakoż i wyszedł, odnalazł swoje miejsce w pierwszym rzędzie obok Moryca i Leona, który zawzięcie kłaniał się i lornetował jakieś blondynki, siedzące na pierwszym piętrze.

– Krasawica pierwszy sort ta moja blondynka, patrz, Moryc.

– Znasz ją bliżej?

– Czy ja ją znam bliżej? Ha, ha, ha, ja ją znam bardzo bliżej! Poznaj mnie z Borowieckim.

Moryc ich poznał zaraz.

Leon chciał coś mówić, już nawet klepnął w kolano Moryca, ale Borowiecki wstał i odwrócony twarzą do sali wypełnionej od góry do



dołu najlepszą, na jaką tylko było stać Łódź, publicznością, przyglądał się uważnie, co chwila kłaniając się to łozom, to krzesłom niesłychanie dystyngowanym ruchem głowy.

Stał spokojnie pod ogniem lornetek i spojrzeń, jakie w niego uderzały ze wszystkich stron teatru, który wrzał niby ul świeżo osadzonym rojem.

Jego wysoka, rozrośnięta, bardzo zgrabna postać rysowała się wykwinną sylwetką.

Piękna twarz, o bardzo typowym, wydelikacowanym rysunku, ozdobiona przesłicznymi wąsami starannie utrzymywanymi i usta o spodniej wardze silnie wysuniętej, i pewna niedbałość w ruchach i spojrzeniach, czyniły go typem dżentelmena.

Nikt nie mógłby być z jego powierzchowności wykwinnej poznać, że ma przed sobą człowieka, który jako chemik fabryczny, jako kolorysta był niezrównanym w swojej specjalności; – człowieka, o którego toczyły się wojny pomiędzy fabrykami bawełnianymi, aby go zdobyć dla siebie; był takim, który w tym dziale fabrykacji robił przewroty.

Szare, z niebieskawym odcieniem oczy, twarz sucha, brwi prawie ciemne, czoło twardo modelowane nadawały mu coś drapieżnego.

Czuć było w nim silną wolę i nieugiętość Patrzył dosyć wyniośle na teatr zalany światłem i na tę barwną, błyszczącą brylantami publiczność.

Łoże podobne były do żardinerek wybitych wiśniowym aksamitem, na którego tle niby kwiaty siei działa strojne kobiety, skrzące się drogimi kamieniami.

– Karol, ile może być dzisiaj milionów w teatrze? – zapytał cicho Moryc.

– Będzie ze dwieście – odpowiedział tak samo, zwolna ogarniając znane twarze milionerów.

– Tu rzeczywiście pachnie milionami – wtrąci:

Leon wciągając w siebie powietrze przesycone zapachem perfum, kwiatów świeżych i błota przyniesionego z ulicy.

– Cebulą i kartoflami przede wszystkim – szepnął pogardliwie Borowiecki i kłaniał się z bardzo słodkim uśmiechem do jednej z łóż parterowych, przy samej scenie, wspaniale pięknej Żydówce w czarnej jedwabnej sukni decolte, z której wychylały się olśniewające białością, przepysznie uformowane ramiona i szyja okręcona w sznur brylantów. Brylanty połyskiwały nad skroniami, w grzebykach upinających czarne puszyste włosy, zaczesane modą cesarstwa – na uszy, w których rów-

niez skrzyły się brylanty zadziwiającej wielkości, brylanty lśniły się u gorsu, w agrafie spinającej stanik i połyskiwały w bransoletkach okręcających ręce obciążone w czarne rękawiczki. Wielkie, podłużne oczy fiołkowe, niby najwspanialsze szafiry paliły się ostro. Twarz miała o gorącym tonie lekko oliwkowym, przesyconym nieco karminem krwi, czoło niskie, brwi silnie zarysowane, nos prosty i cienki i dosyć duże pełne usta.

Spoglądała z pewnym uporem na Borowieckiego, nie zważając, że ją lornetowano ze wszystkich łóż, czasami rzucała nieznaczne spojrzenia na siedzącego trochę w głębi łoża męża, starca o wybitnie semickim typie, który z opuszczoną głową na piersi siedział zatopiony w rozmyśleniach, chwilami budził się, rzucał przenikliwe spojrzenia spod złotych okularów na gałę, obciągał na wydatnym brzuchu kamizelkę i szeptał żonie:

– Lucy, czemu się ty tak wystawiasz? Udawała, że nie słyszy, i przeglądała dalej łoże i krzesła zapchane publicznością o typach przeważnie semickich i germańskich albo patrzyła w Borowieckiego, który chwilami odczuwał te spojrzenia, bo się odwracał do niej twarzą, ale stał zimny na pozór i obojętny.

– Ładny kawałek kobiety z tej Zukerowej – szepnął Leon do Borowieckiego, bo chciał zacząć rozmowę, aby się dowiedzieć bliższych szczegółów o swojej agenturze.

– Uważasz pan?... – odpowiedział chłodno tamten.

– Ja bo widzę. Patrz pan, jej biust, ja to najlepiej lubię w kobiecie, a ona ma biust frontowy, jak aksamit, ha, ha, ha.

– Z czego się śmiejesz? – pytał ciekawie Moryc.

– Zrobiłem pyszny witz – i powtarzał go Morycowi ze śmiechem.

Umilkli, bo kurtyna się podniosła, wszystkie oczy utonęły w scenie, tylko Zukerowa zza wachlarza patrzyła w Karola, który zdawał się tego nie spostrzegać, co ją tak widocznie irytowało, że po kilka razy składała wachlarz i uderzała nim w parapet jakby od niechcienia.

Uśmiechał się nieznacznie, rzucał na nią krótkie spojrzenia i patrzył dalej z uwagą wielką na scenę, gdzie amatorzy i amatorki parodiowali prawdziwych aktorów i sztukę.

Było to bowiem przedstawienie na cel dobroczynny, złożone z dwóch komedijek, śpiewu solowego, gry na skrzypcach i fortepianie i żywych obrazów na zakończenie.

W antrakcie Borowiecki wstał, aby iść do łoża Mullerów, zatrzymał go Cohn.

– Panie Borowiecki, ja chciałem z panem pomówić.

– Może po teatrze, bo jak pan widzi, teraz nie mam czasu – szepnął i poszedł.

– On jest wielki pan, teraz nie ma czasu.

– Ma rację, tutaj wcale nie miejsce do interesów.

– Moryc, tyś zgłupiał do reszty, co ty wygadujesz, dla interesów jest wszędzie miejsce, tylko ten von Borowiecki to wielki książę od Bucholca i Spółki, wielka osoba!

Borowiecki tymczasem wszedł do łoży Mullerów, stary wyszedł, aby mu zrobić miejsce, bo już tam na czwartego siedział jakiś niski, gruby Niemiec.

Przywitał się z matką drzemiącą w głębi łoży i z córką, która podniosła się niemal na jego wejście.

– Storch.

– Borowiecki.

Skrzyżowały się nazwiska i dłonie.

Karol usiadł.

– Jak się pani bawi? – zapytał, aby coś powiedzieć.

– Doskonale, wybornie! – wykrzyknęła i jej okrągła różowa twarz, podobna do młodej rzodkiewki świeżo obmytej, rozblęła silniejszymi rumieńcami, co tym mocniej odbijały przy jasnozielonej sukni.

Podniosła chusteczkę do twarzy, aby przysłonić rumieńce, bo się ich wstydziła.

Matka zarzuciła jej na ramiona wspaniałą koronkowy szal, bo przeciąg od drzwi otwartych przewiewał po teatrze, i drzemała dalej.

– A pan? – zapytała po chwili, podnosząc na niego niebieskie, zupełnie porcelanowe oczy, o jasnych złotawych obrzeżach rzęs i w tej chwili z rozchylonymi nieco, bladymi ustami dziecka, z twarzyczką podniesioną podobną była do świeżo upieczonej bułki.

– Powiem to samo: wybornie, doskonale, albo: doskonale, wybornie.

– Dobrze grają, prawda?

– Tak, po amatorsku. Myślałem, że pani weźmie udział w przedstawieniu.

– Ja bardzo pragnęłam, ale kiedy mnie nikt nie zaprosił – mówiła szczerze, z wielką przykrością.

– Projekt ten istniał, ale nie miano odwagi, bano się odmowy, zresztą, do domu państwa wstęp tak trudny jakby na dwór królewski.

– Ja, ja to samo mówił pannie Mada – wtrącił Storch.

– To pan winien, przecież pan bywa u nas, trzeba było mi powiedzieć.

– Nie miałem czasu i zapomniałem – tłumaczył się prosto.

Zapanowało milczenie.

Storch odkasływał, nachylał się już, aby zacząć rozmowę, ale cofał się widząc, że Borowiecki znudzonym wzrokiem włóczy po teatrze, a Mada była jakaś pomieszana, bo chciała dużo mówić, a teraz, gdy ter Borowiecki siedzi obok niej, gdy łoże ze specjalnie zainteresowaniem lornetują ich, nie wie, co mówić, wreszcie zaczęła.

– Pan będzie w naszej firmie?

– Niestety, musiałem ojcu pani odmówić.

– A papa tak liczył na pana.

– Ja sam bardzo żałuję.

– Myślałam, że we czwartek pan u nas będzie, bo mam pewną prośbę.

– Mógł ją zaraz wysłuchać? Pochylił głowę ku niej i spoglądał do łoży Zukerów.

Lucy wachlowała się gwałtownie i widocznie poza wachlarzem klóciła się z mężem, który raz po raz obciągał kamizelkę na brzuchu i wyprostowywał się na krześle.

Chciałam prosić, aby mi pan wskazał niektóre polskie książki do czytania. Mówiłam to już papie, ale powiedział mi, że jestem głupia i powinnam się zająć domem i gospodarstwem.

– Ja, ja fater tak powiedziała – szepnął znowu Storch cofając się nieco w tył z krzesłem, bo go Borowiecki uderzył oczami.

– Dlaczego pani chce tego, po co to pani? – zapytał dosyć twardo.

– A bo chcę – odparła rezolutnie – chcę i proszę o informację.

– Brat musi mieć przecież w tym nowym pałacyku i bibliotekę.

Zaśmiała się bardzo serdecznie i bardzo cichutko.

– Co pani widzi śmiesznego w moim przypuszczeniu?

– Ale, bo Wilhelm tak nie lubi książek, że kiedyś pogniewał się na mnie i gdy byłam z mamą w mieście, spalił mi wszystkie moje książki.

– Ja, ja, Wilhelm nie lubi książek, on jest dobry bursz. Borowiecki popatrzył zimno na Storcha i rzekł:

– Dobrze, przyślę pani jutro spis tytułów.

– A jeślibym ja pragnęła mieć ten spis zaraz, natychmiast?

– To natychmiast mogę kilka tytułów napisać, a resztę jutro.

– Pan jest dobry chłopak – powiedziała wesoło, ale ujrawszy, że usta mu drgnęły uśmiechem ironii, rozczzerwieniła się jak piwonია.

Napisał na bilecie wizytowym, opatrzonym w herby, pożegnał się i wyszedł.

W korytarzu spotkał się ze starym Szają Mendelsohnem, prawdziwym królem bawełnianym, którego nazywano krótko – Szaja.

Był to wysoki, chudy Żyd, o wielkiej białej, istic patriarchalnej brodzie, ubrany w długi zwykły chałat, który mu się tłukł po piętach.

Szaja zawsze bywał tam, gdzie przypuszczał, iż będzie Bucholc, jego największy współzawodnik w królestwie bawełnianym, największy fabrykant łódzki i do tego osobisty nieprzyjaciel.

Zagroził drogę Borowieckiemu, który uchylając kapelusza chciał przejść dalej.

Witam pana. Nie ma dzisiaj Hermana, dlaczego? – zapytał ohydną polszczyzną.

– Nie wiem – odparł krótko, bo nie cierpiał Szai, jak go nie cierpiała cała nieżydowska Łódź.

Żegnam pana – rzucił sucho i pogardliwie Szaja. Borowiecki nic nie odpowiedział i poszedł na pierwsze piętro, do jednej z łóż, w której był cały bukiet kobiet, pomiędzy nimi zastał Moryca i Horna.

W łóży było nadzwyczaj wesoło i bardzo ciasno.

– Nasza mała ślicznie gra, prawda, panie Borowiecki?

– Tak, i bardzo żałuję, że nie zaopatrzyłem się w bukiet.

– My go mamy, podadzą jej po drugiej sztuce.

– Że jest ciasno beze mnie i wesoło beze mnie, że panie mają już asysitę – wychodzę.

– Zostań pan z nami, będzie jeszcze weselej – prosiła go jedna z kobiet, w liliowej sukni, z liliową twarzą i z liliowymi oczami.

– Weselej to pewnie nie, ale że ciaśniej, to z pewnością – zawołał Moryc.

– To wyjdź, będzie zaraz więcej miejsca. – Żebym mógł iść do łóży Mullerów, to bym wyszedł.

– Mogę ci to ułatwić.

– Ja wychodzę i zaraz zrobi się więcej miejsca – zawołał Horn, ale pochwyciwszy proszące spojrzenie młodej dziewczyny, siedzącej na froncie łóży, pozostał.

– Wie pani, panno Mario, ile się taksuje panna Muller? Pięćdziesiąt tysięcy rubli rocznie!

Mocna panna! Ja bym się puścił na ten interes – szepnął Moryc.

– Przysuń się pan bliżej, to coś opowiem – szepnęła liliowa i pochyliła nisko głowę, tak że jej ciemne, puszyste włosy dotykały skroni

nachylonego do niej Borowieckiego. Zasłoniła się wachlarzem i szeptała mu długo do ucha.

– Nie spiskujcie! – zawołała najstarsza w loży, zupełnie w stylu barocco, piękna, czterdziestokilkoletnia kobieta, o cerze olśniewającej, siwych zupełnie włosach nadzwyczaj obfitych, czarnych oczach i brwiach i o majestatycznej, imponującej postaci, która przewodniczyła całej loży.

– Pani Stefania opowiadała mi ciekawe szczegóły o tej nowej baronowej.

– No, nie powtórzyłaby tego przy wszystkich – szepnęła barokowa.

– Panna Mada Muller raczy nas lornetować, o!

– Wygląda dzisiaj jak młoda, tłuściutka, oskubana z piórek gęś, okrzęcona w nać pietruszki.

– Pani Stefania udaje dzisiaj złośliwą – szepnęła Horn.

– Albo tamta, Szajówna, cały magazyn jubilerski ma na sobie.

– Przecież stać ją nawet na dwa sklepy jubilerskie – wtrącił Moryc, wpakował binokle na nos i patrzył na dół w lożę Mendelsohnów, gdzie siedziała z ojcem jego najmłodsza córka ubrana z niesłychanym przepychem z jakąś drugą panną.

– Któraż kulawa?

– Róża, ta po lewej stronie, ruda.

– Wczoraj była u mnie w sklepie, przerzuciła wszystko, nic nie kupiła i poszła, ale miałam czas się Jej przyjrzeć, jest zupełnie brzydka – mówiła pani Stefania.

– Ona jest prześlizną, ona jest anioł, co to anioł, ona jest cztery albo piętnaście aniołów – wykrzykiwał Moryc przedrzeźniając starego Szaję.

– Do widzenia paniom, chodź, Moryc, pan Horn zostanie przy paniach.

– Może panowie przyjdą do nas na herbatę po teatrze? – prosiła wszystkich liliowa patrząc na Borowieckiego.

– Dziękuję bardzo, ale przyjdę jutro, dzisiaj nie mogę.

– Czy jesteś pan zamówiony do Mullerów? – szepnęła trochę cierpko.

– Do Grand-Hotelu. Dzisiaj sobota, przyjeżdża Kurowski, jak zwykle, a ja mam z nim do obgadania niesłychanie ważne rzeczy.

– To załatw się pan z nim w teatrze, musi przecież być.

– On przecież nie bywa w teatrze, nie zna go pani? Ukłonił się i wyszedł, przeprowadzany dziwnym spojrzeniem pani Stefanii.

Akt dosyć dawno się już ciągnął, więc przesuwał się do swojego miejsca i siadł, ale nie słuchał, bo naokoło szeptano coś nader tajemniczo.

Zdziwił wszystkich fakt, że w czasie sztuki wywołano z łoży Knolla, zięcia Bucholca, który siedział samotnie w łoży na wprost Zukerów, a potem, że wyniósł się z teatru cichaczem Grosplik, największy bankier łódzki.

Przynieśli mu depezę, z którą poleciał do Szai. Szczegóły te podawane sobie szeptem, obleciały niby błyskawica teatr i wzbudziły jakiś ciemny, niewytłumaczony niepokój w przedstawicielach różnych firm.

– Co się stało? – zapytywano nie znajdując odpowiedzi na razie.

Kobiety słuchały sztuki, ale większość mężczyzn z parteru i z łóż przypatrywała się z niepokojem królom i królikom łódzkim.

Mendelsohn siedział zgarbiony, z okularami na czole, gładził chwilami brodę wspaniałym ruchem i szczerze zdawał się być pochłonięty przedstawieniem.

Knoll, wszechpotężny Knoll, zięć i następca Bucholca. także słuchał z uwagą.

Muller istotnie musiał nie wiedzieć o niczym, bo śmiał się na całe gardło z dowcipów mówionych na scenie, śmiał się tak szczerze, że chwilami Mada szeptała cicho:

– Papo, tak nie można.

– Zapłaciłem, to się bawię – rzucał jej w odpowiedzi i istotnie bawił się zupełnie.

Zuker zniknął, w łoży siedziała samotnie Lucy i znowu patrzyła na Borowieckiego.

Mniejsi potentaci i przedstawiciele takich firm, jak:

Ende-Grizpan, Wolkman, Bauvecel, Fitze, Bibersztein, Pinczowski, Prusak, Stojowsky, kręcili się na swoich miejscach coraz niespokojniej, szepty przelatywały z końca w koniec teatru, co chwila ktoś się wysuwał i nie powracał.

Oczy badały naokoło, na ustach tkwiły zapytania, niepokój wszystkimi owładął coraz silniejszy.

A nikt nie umiał sobie wytłomaczyć dlaczego, chociaż wszyscy byli pewni, że się coś stało ważnego.

Z wolna to zdenerwowanie udzielało się tym nawet, którzy nie obawiali się żadnych złych wieści.

Wszyscy poczuli to drżenie łódzkiego gruntu, tak często w ostatnich czasach nawiedzanego kataklizmem.

Tylko góra, tanie miejsca, nic nie odczuwała, bawiła się wciąż wybornie, wybuchała śmiechem, biła oklaski, wołała brawo.

Śmiech jakby falą buchał z drugiego piętra i rozpryskiwał się kaskadą dźwięków na parter i na łoża, na te wszystkie głowy i dusze tak nagle zaniepokojone, na te miliony, rozparte na aksamicie, ubrylantowane, pyszne swą władzą i wielkością.

Ze wszystkich łoż tylko łoża znajomych Borowieckiego pań brała udział w zabawie i bawiła się doskonale.

Potworzyły się pewne rafy na tym ruchomym morzu, które siedziały spokojnie, wpatrzona w scenę:

były to rodziny przeważnie polskie, których nic nie mogło zaniepokoić, bo nic nie miały do stracenia.

– To bawelna – szepnął Leon do Borowieckiego. – Patrz pan, wełna i inni siedzą prawie spokojnie. są tylko ciekawi. Ja się na tym znam.

– Frumkin w Białymstoku, Lichaczew w Rostowie, Ałpasow w Odessie – kłapa! – szepnął Moryc, który skądś dowiedział się tego.

Wszyscy trzej byli to kupcy en gros, jedni z największych odbiorców łódzkich.

– Na ile Łódź zaangażowana? – pytał Borowiecki. Moryc znowu wyszedł i powrócił po kilku minutach, był znacznie bledszy, usta miał skrzywione, oczy świeciły dziwnie; nie mógł ze wzruszenia trafić z binoklami na nos.

– Jest jeszcze jeden: Rogopuło w Odessie. Murowane firmy, same murowane!

– Wysoko leżą?

– Łódź traci ze dwa miliony! – szepnął bardzo poważnie i usiłował włożyć binokle.

– Nie może być – wykrzyknął prawie głośno Borowiecki zrywając się z miejsca, aż publiczność siedząca za nim zaczęła stukać i sykać, żeby nie zasłaniał sceny sobą. – Kto ci powiedział?

– Landau, a jak Landau mówi, to Landau wie.

– Kto traci?

– Wszyscy po trochu, a Kessier, Bucholc, Muller – najwięcej.

– Ale żeby ich nie podeprzeć, pozwolić na taką kłapę.

– Rogopuło uciekł, Lichaczew umarł, zapił się z rozpaczą.

– A Frumkin i Ałpasow?

– Nic nie wiem, mówiłem tyle, co było w depeszy.



Już teraz te wszystkie wieści rozlały się po teatrze, wszyscy wiedzieli o klęsce.

Co chwila widać było, jak ta wiadomość niby bomba wybucha w innej stronie teatru.

Twarze się podnosiły w górę, oczy błyskały, słowa jakieś ostre dźwięczały w powietrzu, krzesła się podnosiły z trzaskiem, wybiegali z pośpiechem do telegrafu i telefonów.

Teatr bardzo opustoszał.

Borowiecki czuł się także zdenerwowanym tą wieścią, sam nic nie tracił, ale tracili wszyscy naokoło niego.

– Wy nic nie traciecie? – zapytał się Maksa Bauma, który znalazłszy miejsce wolne, przysiadł się bliżej niego.

– My nie mamy nic do stracenia prócz honoru, a przecież tym towarem w Łodzi się nie operuje – odpowiedział drwiąco.

– Ładnie Łódź trzeszczy.

– Nastanie ciepły sezon.

– Tak, tak. Straż ogniowa będzie mieć robotę.

– Zrobi się cieplej, to prędzej wiosna będzie.

– Warto by, węgle takie drogie.

– Pan się śmieje zdrów, bo to pana nic nie kosztuje taka zabawa.

– Bywało tak, bywało. Połowa skręci kark, a druga połowa zarobi.

– Kto najlepiej leży?

– Bucholc, Kessier, Muller.

– Tym się nigdy nic nie stanie, co im kto zrobi.

– Niech ich wszystkich diabli wezmą, co mi to szkodzi, co ja na tym zarobię, że oni mają albo nie mają.

Tak się krzyżowały uwagi, zapytania, cyfry, spojrzenia prawie wesole i zadowolone z ruiny innych, przypuszczenia i drwiny.

– Meyer podobno na całe sto tysięcy rubli zaangażowany?

– To mu dobrze zrobi na brzuch, sprzeda konie, będzie chodził pieszo i zaraz schudnie, nie będzie potrzebował już jeździć do Marienbada.

– Będą tanio do sprzedania różne familijne brylanty.

– Wolkmana może to dobić, on już szedł na pół pary.

– Możesz, Robert, teraz poprosić o rękę jego córki, już cię nie wyrzucą za drzwi.

– Niech jeszcze poczeka.

Tak wrzał parter, tłum.

Królowie siedzieli spokojnie.

Szala nie spuszczał oczów ze śpiewaczki i jak skończyła pierwszy zaczął bić brawo, a potem szeptał po cichu z Różą i nieznaczenie, gładząc brodę, wskazywał na Knolla, który oparty łokciami o parapet łoży, skinął głową na Borowieckiego.

Karol zaraz w pierwszym antrakcie zjawił się u niego.

– Słyszałeś pan?

– Słyszałem – i zaczął wyliczać firmy.

– Głupstwo.

– Głupstwo, dwa miliony rubli na samą Łódź?

– Nie my tracimy; przed chwilą był Bauer i mówił, że jakieś kilkanaście tysięcy.

– W teatrze mówią, że z pół miliona.

– To Szaja tak rozpuszcza pogłoskę, bo on tyle traci. Głupi Żyd.

– W każdym razie odbije się to na Łodzi porządnie. firmy będą lecieć jak muchy.

– Niech zdechną wszyscy, co to nam szkodzi – szeptał zimno i przyglądał się swoim rękoma starannie utrzymanym, i gonił bezwiednie przymrużonymi oczyma za połyskiem brylantów osadzonych w pierścionku lewej ręki.

– Ja do pana mówię nie jak do naszego człowieka, a jak do przyjaciela. Pan wie, kto musi paść z powodu tego krachu?

– Na pewno nie wymieniają nikogo prawie.

– Mniejsza z tym, zawsze padnie dosyć, a ilu, to zobaczymy jutro, będzie wesoła niedziela.

– Prawdziwe nieszczęście.

– Dla naszej firmy nie, bo pomyśl pan, kto pada – bawełna. Kto pozostaje – my, Szaja i paru innych. Ta parszywa, żydowska, tandetna konkurencja zdechła w połowie albo zaraz zdechnie, struli się sami. Na jakiś czas będzie nam luźniej. Będziemy robili parę nowych gatunków, które oni robili, no i będziemy o tyle więcej sprzedawali. Ale to jest bagatelka, kręcą karki, niech kręcą; palą się, niech się palą; oszukują, niech oszukują; my zawsze zostaniemy. To zresztą mało ważne rzeczy, a są znacznie ważniejsze, zobaczysz pan niedługo, że połowa fabryk bawełnianych stanie, niedługo, niedługo.

Borowiecki patrzył się na niego i słuchał z pewną niecierpliwością, nie lubił Knolla i jego dumy szalonej, płynącej z poczucia swoich milionów.

Był największym po teściu dorobkiewiczem, w tym świecie dorobkiewiczów najwykształceńszym, dobrze wychowanym, przyjemnym w

obcowaniu, ale i najbardziej nieubłagany i najbardziej wyzyskującym pracę, ludzi i wpływy, jakie miał wszędzie.

– Przyjdź pan jutro do nas na obiad, proszę pana w ojca imieniu. A teraz będzie pan łaskaw zobaczyć, która godzina, ja tego nie mogę zrobić, aby me myślano, że mi się gdzie śpieszy.

– Za kilka minut jedenasta.

– O której odchodzi kurierski do Warszawy?

– Wpół do pierwszej.

– Mam jeszcze czas. Muszę panu powiedzieć, dlaczego dla mnie te wiadomości o bankructwach, o tym, że Łódź traci dwa miliony, są mało ważne; przyszły bowiem wiadomości znacznie ważniejsze... – urwał nagle. – Ja mówię do szlachcica?

– Zdaje mi się, ale nie rozumiem związku...

– Zaraz pan zrozumiesz. Pan jest naszym przyjacielem, my panu nigdy nie zapomnimy tego, że pan | podniósł naszą drukarnię.

– Widzi pan, przed godziną donieśli depeszą z Petersburga o bardzo ważnej sprawie, o tym, że... że ja muszę tam jechać zaraz, ale w zupełnej tajemnicy.

Dokończył śpiesznie i nie powiedział tego, co chciał powiedzieć, powstrzymał go wzrok Borowieckiego, zimny i podejrzliwy, który go przewiercał tak na wskroś, że Knoll poruszył się niespokojnie, poprawił szpilkę w krawacie i popatrzył na łożę naprzeciwko. – Ta Zukerowa to śliczna kobieta. – I ma ładne brylanty. – Więc pan jutro przyjdzie do starego?

– Ależ z pewnością.

– Ma on tam jakiś specjalny interes. Pan już wychodzi, to poproszę o jedno, może pan zechce powiedzieć mojemu stangretowi, żeby czekał na mnie na Przejazd. No, do widzenia, za kilka dni będę. Więc tajemnica, panie Borowiecki.

– Najzupełniejsza.

Borowiecki wyszedł z uczuciem zawodu. Czuł, że Knoll nie powiedział mu wszystkiego.

– Co to za wiadomość? po co on jedzie? dlaczego mi nie powiedział? – myślał, ale na próżno gubił się w domysłach i przypuszczeniach.

Nie czekał zapadnięcia kurtyny i wyszedł, ale już z ulicy powrócił do teatru i poszedł do łoży Zukerowej.

– Myślałam, że pan o mnie zapomniał – powiedziała z wyrzutem, utkwivszy w nim swoje ogromne, cudne oczy.

- Czy to możebne?
- Dla pana jest wszystko możebnym.
- Potępia mnie pani na wiarę przyjaciół i nieprzyjaciół.
- Co mnie to obchodzi, widziałam tylko, że pan wyszedł.
- Ale powróciłem, musiałem powrócić – szepnęła ciszej.
- Do teatru, zapomniał pan czego.
- Do pani.
- Tak?! – szepnęła długo i oczy jej zamigotały blaskiem radości.
- Pan tak do mnie nigdy nie mówił.
- Ale dawno tego pragnąłem.

Ogarnęła spojrzeniem caującym jego twarz, aż poczuł coś jakby powiew ciepły na ustach.

- Pan mówił o mnie tam w krzesłach z panem. Weltem, czułam to.
- Mówiliśmy o pani brylantach.
- Prawda, że tak pięknych żadna nie ma w Łodzi?
- Prócz Knollowej i baronowej – powiedział złośliwie, uśmiechając się.

- I o czym jeszcze mówiliście?
- O pani piękności!
- Pan ze mnie żartuje.

– Nie mogę żartować z tego, co kocham – powiedział przytłumionym głosem, ujmując zwieszoną rękę, wyrwała mu ją szybko i patrzyła rozszerzonymi oczami, oglądając się dokoła, jakby te słowa powiedziano na sali.

– Żegnam panią – mówił powstając, był zły na siebie, czuł, że popełnił głupstwo, że jej to tak prosto bez przygotowań wielkich powiedział, ale działała na niego narkotycznie.

– Wyjdziemy razem, zaraz – powiedziała prędko, pozbierała szal, cukierki z pudełkiem, wachlarz i wyszła.

Ubierała się w milczeniu.

Borowiecki nie wiedział, co mówić, patrzył tylko na nią, na jej oczy zmieniające co chwila wyraz, na cudnie zarysowane ramiona, na usta, które ustawicznie oblizywała, na wspaniałą, doskonale rozwiniętą figurę.

Gdy włożyła kapelusz podał jej rotundę. Pochyliła się nieco w tył, aby ją wziąć na ramiona, i w tym ruchu dotknęła włosami jego ust, odsunął się nieco w tył, jakby sparzony, a ona nie znajdując oparcia, upadła mu plecami na piersi.

Pochwycił ją szybko w ramiona i wpił się ustami w jej kark, który się napreżył i skurczył pod pożerającym pocałunkiem.

Krzyknęła cicho i wparła się w niego całą siłą na mgnienie, aż się zachwiała pod jej ciężarem.

Wyrwała mu się szybko z objęć.

Była bladą jak marmur, dyszała ciężko, a spod przymkniętych powiek buchały płomienie.

– Odprowadzi mnie pan do powozu – powiedziała nie patrząc na niego.

– Chociażby na koniec świata.

– Zapnij mi pan rękawiczki.

Zapinał, ale nie mógł znaleźć ani dziurek, ani guziczków, tak jak nie mógł znaleźć jej spojrzenia, bo nie patrzyła na niego; oparła się jednym ramieniem o ścianę, odwróciła nieco głowę i tak stała z ręką w jego rękę, z dziwnym uśmiechem na ustach, które promieniowały karminem; czasem wstrząsał nią dreszcz, wtedy silniej przycisnęła się do ściany i jakiś cień jakby przerażenia migotał po jej twarzy i taił się w kątach ust.

– Chodźmy – szepnął skończywszy zapinanie. Doprowadził ją do powozu, wsadził, a ujmując jej rękę i całując gorąco, szepnął:

– Niech mi pani przebaczy, błagam na wszystko.

Nic nie odpowiedziała, tylko tak silnie pociągnęła go do wnętrza, że wskoczył bez namysłu, zatrzaskując drzwi za sobą.

Konie ruszyły z kopyta.

Borowiecki czuł się zdenerwowanym do najwyższego stopnia tym, co się stało. Nie miał jeszcze czasu zdać sobie sprawy dokładnie, nie umiał zresztą teraz, w tej chwili, myśleć, wiedział tylko, że ona jest przy nim, siedziała wciśnięta w kąt powozu, daleko od niego. Słyszał jej nierówny, szybki oddech, a chwilami w świetle latarni ulicznych błyskała mu jej twarz i oczy ogromne, wpatrzone w jakąś próżnię.

Chciał zapanować nad sobą, chciał już zastukać na stangreta, szukał już bezwiednie antaby, aby drzwi otworzyć i wprost uciec, ale nie miał sił już ani woli.

– Pani mi przebaczy to, co się stało? – zaczął wolno i szukał jej rąk, schowała je głęboko pod rotundę.

Nie odpowiedziała nic, obcisnęła się szczelnie w rotundę, jakby chcąc zamknąć w sobie, przytrzymać tę szaloną chęć rzucenia mu się w ramiona.

– Pani mi przebaczy – powtórzył ciszej, przysuwając się do niej.

Drżał cały, nie mógł więcej mówić i nie otrzymując odpowiedzi szepnął bardzo cicho i bardzo głęboko:

– Lucy! Lucy!

Wstrząsnęła się, puściła rotundę, która zsuwała się z jej ramion i z jakimś głębokim, przejmującym okrzykiem rzuciła mu się na piersi.

– Kocham cię, kocham! – szeptała obejmując go namiętnie.

Usta się ich zbiegły w długim, śmiertelnie mocnym pocałunku.

– Kocham cię, kocham – powtarzała z lubością ten dźwięk słodki całując jego twarz z porywającą siłą.

Czuła głód pocałunków, pieścizot i miłości tak dawno, więc teraz, kiedy się już tak stało, nie myślała o niczym, nie pamiętała na nic, tylko całowała.

– Nie, nie mów teraz nic, nie mów. Chcę mówić sama, chcę wołać wciąż. Kocham cię! Mogę to powtarzać wobec całego świata, wszystko mi już jedno. Ja wiem, że cię inne kochają, wiem, że masz narzeczoną, ale co mnie to obchodzi! Kocham cię! Kocham nie dlatego, żebyś i ty mnie kochał, żebyś chciała przez to szczęścia, nie dlatego – ja cię kocham, kocham i nic więcej. Potrzebowałam kochać, jak każdy człowiek potrzebuje miłości. Pan jesteś dla mnie wszystkim. Chcesz, uklękne przed tobą i będę ci to mówić tak długo, tak szczerze, aż uwierzysz i sam kochać mnie zaczniesz. Już nie mogę udawać, już nie mogę żyć bez ciebie i bez miłości. Kocham cię, mój jedyny, mój panie.

Mówiła bezładnie, prędko, nieprzytomnie. Okryła się w rotundę, to znowu ją opuszczała, odsuwała się od niego, to bez słów, promieniejąca, obejmowała go, cisnęła się do niego, całowała.

Borowiecki porwany tym szalonym wybuchem namiętności, oczarowany miłością tak wielką i tak ognistą, głosem, co go przenikał ogniem, i pocałunkami, które go onieprzytomniały prawie, dał się unieść temperamentowi swojemu i szalał jak i ona,

Oddawał jej tak pocałunki, że mu chwilami zwiślała na rękach jak martwa.

– Kocham cię, Lucy, kocham! – powtarzał nie wiedząc sam, co mówi.

– Nie mów nic, całuj mnie!

– Nie mów nic, całuj mnie! – wołała w najwyższym uniesieniu.

Głos jej rwał się i wybuchał burzą, to znowu łkał jakby całą miłością Wschodu, jakby całą ognistą pieśń nad pieśniami wyśpiewywał.

– Ja tak marzyłam o tej chwili, tyle miesięcy pragnęłam cię, tyle lat czekałam na to, tyle cierpiałam przez to. Całuj mnie! mocniej... mocniej... mocniej... A! teraz umarłabym chętnie – wykrzyknęła dziko.

Powóz toczył się wolno po jednej ze strasznie błotnistych i nie brukowanych ulic, gdzie nie było nawet latarni, tylko powozowe światła rozkręcały złoty blask na ruchomą, płynną, a głęboką warstwę błota, rozpryskującą się aż na szyby.

Nikt nie przechodził ani nie przejeżdżał tą ulicą, obwiedzioną z obu stron wysokimi parkanami, spoza których wznosiły się sterty drzewa budulcowego ułożone w wielkie czworoboki albo wystrzelał komin fabryczki jakiegś, których w tej stronie miasta było dosyć.

Wielkie psy, pilnujące składów, czekały ponuro na powóz i słychać było, jak się rzucały na bramy i drapały pazurami deski z wściekłości, nie mogąc się wydobyć na ulicę.

Nie wiedzieli nic i nic nie słyszeli, zatopieni w fali tej miłości nagłej i oślepiającej, jaka ich porwała.

– Lucy!

– Pocałuj mnie.

– Kochasz?

– Pocałuj mnie.

Rwały się im tylko takie słowa z piersi przepelnionych pożerającym ogniem.

– Weź mnie, Kari, weź mnie całą i na zawsze. Nie wiedzieli nawet, kiedy stanęli na miejscu. Zajechali przed pałacyk Zukerów, stojący w okolicy miejskiego lasku.

– Chodź do mnie – szepnęła trzymając go silnie za rękę.

Bezwiednie, z przyzwyczajenia, wsunął drugą rękę do kieszeni, gdzie miał rewolwer.

– Niech August zaczeka na pana – zawołała grzmiąco do stangreta.

– Chodź, nie ma nikogo, on – mówiła z naciskiem – pojechał. Nikogo prócz służby nie ma w domu.

Puściła jego rękę, bo służba otwierała drzwi.

– Zapalić światło w saloniku wschodnim. Podawać zaraz herbatę.

Rzuciła mu się na szyję, skoro lokaj oddalił się, ucałowała go namiętnie i popchnęła w jakiś korytarzyk wysłany dywanem i wybity czerwono.

– Zaraz przyjdę, kocham cię! – zawołała za nim i zniknęła.

Rozebrał się wolno, rewolwer przełożył do kieszeni surduta i wszedł w jakieś drzwi, które się przed nim otworzyły, do słabo oświetlonego saloniku.

Biały dywan ze skór baranów, nadzwyczaj puszysty, tłumiał zupełnie kroki.

– Ależ to zupełnie romantyczna awantura! – szepnął padając na jakiś zydel perski bez poręczy, inkrustowany w hebanie złotem i srebrem, bo czuł się strasznie znużonym.

– Ciekawa kobieta, ciekawa scena – myślał i zaczął się rozglądać po pokoju.

Buduar był urządzone z takim przepychem, że nawet w mieście pełnym najwspanialszych mieszkań, takim jak Łódź, mógł jeszcze wyrwać okrzyk zdziwienia.

Ściany były obciągnięte w żółty, o gorącym tonie jedwab, po którym rozrzucone bardzo artystycznie gałęzie bżów czerwono-fioletowych, nakładanych grubym haftem.

Przez całą długość jednej ściany stała wielka i szeroka sofa pod baldachimem żółtym w zielone pasy, udrapowanym w formie namiotu i podtrzymywanym przez złote halabardy.

U szczytu, pod namiotem, lampa ze szkła żółtych, rubinowych i zielonych rozrzucała dziwnie omdlewające światło.

– Handełesy – szepnął z jakąś zawistną nieomal pogardą, zirytowany tym przepychem, ale pomimo to rozglądał się ciekawie; dziwaczne, kosztowne sprzęty o formach wschodnio-japońskich były bezładnie nagromadzone i stosunkowo do wielkości pokoju w nadmiernej ilości.

Stosy poduszek jedwabnych o jaskrawych barwach chińskich leżały porozrzucone po sofie i białym dywanie i odcinały się ostrymi plamami jakby farb porozlewanych.

Zapach ambry i violettes de Perse pomieszany z różami rozwłóczył się po pokoju.

Na jednej ze ścian błyszczała masa broni wschodnich, bardzo kosztownych, ułożona dookoła wielkiej, okrągłej tarczy saraceńskiej, stalowej, nabijanej złotem i tak wypolerowanej, że w tym świetle przyćmionym skrzyła się i promieniowała złotymi ozdobami i rzędami rubinów, i białych ametystów, jakimi obrzeże jej było wysadzone.

W jednym rogu, na tle olbrzymiego wachlarza z pawich piór, stał cały wyzłocony posązek Buddy, z podwiniętymi nogami, w postawie kontemplacyjnej.



W drugim rogu stała wielka żardinierka japońska z brązu, podtrzymywana przez złote smoki, pełna kwitnących, białych jak śnieg azalij.

– Pocijów milionerski – myślał znowu Borowiecki, który posiadał nadzwyczaj wyrobiony smak artystyczny i poczucie piękna, rozwinięte jeszcze do stopnia doskonałości specjalnymi studiami nad harmonią barw.

– Jaśnie pani prosi pana dyrektora – szepnął z ukłonem stary wygolony lokaj odsłaniając ciężką portierę z żółtego aksamitu, pokrytą malowanymi chryzantemami.

– A, Józef jest tutaj? – zapytał Borowiecki idąc, bo znał go z innego domu.

– Puściłem w licytację tamtych Żydów – szepnął cicho, zginając się przed nim.

Karol uśmiechnął się tylko i poszedł do jadalnego.

Lucy nie było jeszcze.

Usłyszał tylko przytłumiony murami krzykliwy jakiś głos z dalszych pokojów.

– Co to? – zapytał bezwiednie Borowiecki nasłuchując.

– Jaśnie pani rozmawia z pokojówką – objaśnia! Józef, ale z takim zimno-pogardliwym wyrazem twarzy, że Borowiecki zwrócił na to uwagę i o nic już nie pytał więcej.

Lokaj wyszedł, a on rzucił po jadalni oczami: była umeblowana z banalnym łódzkim przepychem; boazerie z dębu do połowy ścian, kredensy w bretońskim stylu z ciemnego orzecha, z masą sreber i porcelany na półkach, staroniemieckie dębowe i wspaniałe rzeźbione zydle dokoła olbrzymiego stołu, oświetlonego żyrandolem w formie bukietu tulipanów, w którym jaśniała elektryczność.

Część jedna stołu była przygotowaną do herbaty.

Usiadł, bo go zaczęło niecierpliwie oczekiwanie, i zobaczył, że przy stole na ziemi leży jakiś papier, podniósł go, aby położyć, i prawie machinalnie rzucił na niego okiem.

Był to telegram, pisany kluczem firmy Bucholca, który się używał w razach nadzwyczajnej ważności.

Borowiecki znał ten klucz i zdziwił się niepomiernie.

– Co tu robi ten telegram?

Odwrócił blankiet, adres był: „Bucholc – Łódź”. Więc się już dalej nie krępował, tylko czytał:

„Dzisiaj zapadło postanowienie na radzie. Cło od bawełny amerykańskiej sprowadzanej na Hamburg i Triest – podniesiono do 25 kopie-

jek w złocie od puda. Wprowadzenie za dwa tygodnie. Taryfy kolejowe przewóz bawełny od granic zachodnich do 20 kop. od puda i wiorsty. Wykonanie za miesiąc. Za tydzień będzie ogłoszone.”

Borowiecki depezę schował do kieszeni i zerwał się z krzesła, poruszony nadzwyczaj.

– Straszna wiadomość. Pół Łodzi padnie – szeptął, teraz rozumiał, że o tej wiadomości nic mu nie powiedział Knoll, bał się mu zaufać. – Pojechał do Hamburga kupować zapasy bawełny. Wykupi, co będzie mógł zdążyć, i weźmie mniejszych fabrykantów za łeb. Co za interes, co za interes! Teraz mieć pieniądze i jechać kupować. Aaa! – myślał i wszystko w nim zaczęło kipieć jakąś szaloną niecierpliwością, żądzą niepowstrzymaną żrebia na tej wypadkiem otrzymanej wieści majątku. – Pieniądzy! Pieniądzy! – wołał w myśli, zrywając się z krzesła. Oczy mu gorączkowo świeciły, wszystko się w nim trzęsło ze wzruszenia nadmiernego, pierwszym jego ruchem było uciekać stąd, do miasta, znaleźć Moryca i obgadać ten interes, i byłby może dał się porwać uniesieniu, ale weszła, a raczej wpadła do jadalni Lucy i rzuciła mu się prosto na szyję.

– Czekaleś, daruj mi, musiałam się przebrać zupełnie.

Ucałowała go i usiadła wskazując mu miejsce obok siebie bardzo spokojnym ruchem, bo wszedł lokaj i nalewał herbatę.

Nie mogła jednak usiedzieć spokojnie, co chwila wstawała do kredensów i przynosiła całe masy najrozmaitszych przysmaków i stawiała przed nim.

Miała na sobie bladożółty jedwabny szlafrok z bardzo szerokimi rękawami, obszytymi kremowymi koronkami, naszytymi rzędem turkusów, ściągnięty w pasie złotym sznurem.

Olbrzymie włosy zwinięte były na tyle głowy w wielki grecki węzeł, przepięty brylantowymi grzebykami.

Ten sam naszyjnik brylantowy, jaki miała w teatrze, skrzył się i teraz na odsłoniętej szyi wszystkimi barwami tęczy. Wspaniale ręce wysuwały się co chwila z rękawów aż po ramiona.

Była szalenie pociągająca, ale Borowiecki nie odczuwał tego już ani w połowie; odpowiadał prawie monosylabami, pił śpiesznie herbatę, chciał wynieść się jak najprędzej.

Wiadomość ta paliła go jak ogień, Lucy drżała z niecierpliwości, goniła wzrokiem nienawiści lokaja, który łąził jak senny i nie mogąc rzucić się na szyję Karola, przycisnęła mu z taką siłą rękę, że omal nie krzyknął z bólu.

– Co panu jest? – spytała spostrzegłszy jego pomieszenie.

– Jestem szczęśliwy! – szepnął jej po francusku. Zaczęli rozmawiać, ale rozmowa nie szła, rwała się co chwila jak stare strzępy, gdy je kto chce silniej przytrzymać.

Jej przeszkadzał lokaj, a jemu niecierpliwość i przymus, jaki sobie zadawał, żeby tutaj siedzieć teraz, kiedy był panem takiej wielkiej tajemnicy, w takiej chwili, gdy cło podnosiło się z 8 kopiejek do 25.

– Może przejdziemy do buduaru – szepnęła cicho, gdy się herbata skończyła,

I tak patrzyła na niego rozbłyśniętymi cudownie oczami, takim dziwnym blaskiem płonęły jej purpurowe usta, że Borowiecki, który wstał na to, aby się z nią pożegnać, skłonił głowę i poszedł za nią.

Nie mógł się oprzeć jej urokowi.

Skoro się tylko znaleźli sami, porwała go znowu swoim ogniem i gwałtownością, ale na chwilę tylko, bo gdy ona całowała go z uniesieniem neodpowiedzialnym, padała przed nim na kolana, obejmowała go, krzyczała słowa bez związku, którymi wybuchała jej namiętność, i szalała porwana własną siłą – on myślał o bawełnie, myślał, gdzie może być Moryc, skąd wziąć pieniędzy na zakup bawełny.

Oddawał pocałunki i pieśszoty, rzucał jej chwilami słowa gorące miłości, ale robił to prawie odruchowo, więcej siłą nawyknięcia do podobnych sytuacji niżli sercem, które było w tej chwili zajęte zupełnie czym innym.

A ona pomimo rozszalenia odczuwała intuicją zmysłów ludzi bardzo namiętnych, że coś stoi pomiędzy nimi – więc potęgowała w sobie uczucie, jakby za siebie i za niego, roztaczała całą potęgę czaru kobiety zakochanej, kobiety-niewolnicy, która nawet kopnięcie swego pana i władcy przyjmuje z okrzykiem szczęścia, i kobiety, dla której szczęściem jest najwyższym zdobyć sobie kochanka przez siłę, gwałtem, mocą swego temperamentu.

Wreszcie zwyciężyła.

Borowiecki zapomniał o fabryce, o bawełnie, o cłach, o świecie całym, oddawał się tej miłości z całą zapamiętałością ludzi na pozór zimnych i umiejących w drobnych okolicznościach życia panować nad sobą zupełnie.

Poddawał się huraganowi i z rozkoszą, pełną denerwującej ciekawości, pozwolił mu się nieść.

– Kocham cię – wołała co chwila.

– Kocham – odpowiadał i czuł, że w tej chwili mówi pierwszy raz w życiu szczerze zupełnie to słowo, najwięcej może ze słownika ludzkiego kłamliwe i kłamane.

– Napisz mi to. mój najdroższy, napisz – prosiła z dziecinnym uporem.

Wyjął bilet wizytowy i całując co chwila jej cudne fiołkowe oczy i te usta palące, napisał:

„Kocham cię, Lucy!”

Wyrwała mu bilet z rąk, przeczytała, ucałowała kilkakrotnie i schowała za gors, ale wyjęła po chwili, aby znowu czytać i całować na przemian bilet i jego.

Wreszcie przypatrując się herbowi, zapytała:

– Co to jest?

– Mój herb.

– Co to znaczy?

Wytłumaczył jej, jak mógł, ale nic nie zrozumiała.

– Nic nie rozumiem, zresztą, nic mnie to nie obchodzi.

– A co cię obchodzi?

– Kocham cię.

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Widzisz, ja nic nie wiem, ja cię kocham, to mój rozum, po co mi więcej?

Siedzieli tak długo w tej wielkiej ciszy nocy i buduaru, przez którego mury i obicia nie przedzierał się najmniejszy szmer ze świata, zatopieni w sobie, w miłości, otoczeni jakby obłokiem zachwytu nad sobą; w tej obezwładniającej atmosferze, przesyconej zapachami, odgłosem pocałunków, szeptem rozdrzanych, palących słów, szelestem jedwabiu, rubino-szmaragdowym światłem, co się mżyło coraz słabiej, barwami przyćmionymi, które z obić na ścianie, z mebli połyskiwały tajemniczo, drgały w żywszym na chwilę świetle i jakby pełzały wskroś pokoju, a potem rozlewały się i martwiały w zmroku coraz gęstszym, w którym tylko świecił się jakoś dziwnie Budda, a nad nim patrzyły z pawich piór oczy coraz smętniej i coraz tajemniczej.

## IV

Czwarta dochodziła, gdy Borowiecki znalazł się na ulicy.

Stangret, nie doczekawszy się, odjechał do stajni. Wiatr huczał głęboko i zamiatał kałuże z taką siłą, że błoto bryzgało na parkany i na wąską ścieżkę, służącą za chodnik.

Borowiecki wzdrygnął się, przejęty tym zimnym, wilgotnym wiatrem,

Stał chwilę przed domem, nic nie widząc przed sobą prócz połyskującego błota i czarnych, spiętrzonych gmachów w oddali i kominów fabrycznych, słabo rysujących się na szarym, zmaconym tle nieba, po którym chmury, niby porozrywane bele zabrudzonej bawełny, biegały z szalonym pośpiechem.

Był jeszcze oszołomiony, przystawał i oparty o parkan zbierał rozbitą świadomość. Wstrząsał się cały co chwila, bo czuł jeszcze uściski jej, usta paliły go, przymykał oczy i musiał parasolem wyszukiwać przed sobą twardszego gruntu, i czuł się pijanym zupełnie, dopiero szczekania gwałtowne psów za parkanami orzeźwiły go zupełnie i wyrwały z tej dziwnej ciszy, jaka ogarnia po przejściu bardzo silnych wzruszeń.

– Kurowski musi już spać – szepnął kwaśno przypominając sobie, że miał iść do niego do Grand-Hotelu zaraz po teatrze.

– Żebym czasem za tę zabawę nie zapłacił fabryką – szepnął i zaczął biec prędko, już nie zważając na błoto i na wyboje.

Dopiero na Piotrkowskiej złapał dorożkę i kazał się wieźć co koń wyskoczy do hotelu.

– A telegram – wykrzyknął przypominając sobie nagle i przy świetle latarni przeczytał go raz jeszcze. – Zawracaj i jedź prosto Piotrkowską. Może już jest w domu – myślał o Morycu i gorączka znowu zaczęła go brać.

Kazał dorożkarzowi zaczekać na wszelki wypadek przed domem i z pośpiechem dzwonił do mieszkania.

Nikt nie otwierał, co go tak zirytowało, że oberwał dzwonek i trząśnął całą siłą drzwiami, wreszcie, po długim oczekiwaniu, Mateusz otworzył.

– Pan Moryc w domu?

– Jak poszedł na siabas, to go pewnie Żydy nie puściły, a tak, pan Moryc niby?

– Pan Moryc w domu, odpowiadaj? – krzyknął rozwścieczony, bo Mateusz był zupełnie pijany, szedł za nim ze świecą w ręku rozebrany, z oczami zamkniętymi i z twarzą pełną poprzysychanej krwi i sińców.

– Pan Moryc, niby ja rozumiem, pan Moryc, aha!

– Bydlę! – krzyknął i uderzył go w twarz z całej siły.

Chłop się potoczył i utkwiał twarzą w drzwi, którymi wszedł do mieszkania Borowiecki.

Moryca nie było, Baum tylko spał nierozebrany, z papierosem z zaciśniętych zębach, na wielkiej otomanie w jadalnym pokoju.

Na stole, na ziemi, na kredensie stało mnóstwo pustych butelek i talerzy, a kominek samowara obwinięty był w zieloną, długą woalkę.

– Oho, Antka była, bawił się wesoło. Maks! Maks! – zawołał, mocno potrząsając śpiącym.

Maks ani drgnął, spał najspokojniej i chrapał potężnie.

Wreszcie Borowiecki, zniecierpliwiony daremnymi usiłowaniami obudzenia go, bo chciał od niego dowiedzieć się, gdzie jest Moryc, porwał go za ramiona i postawił na podłodze.

Maks zirytowany, że go budzą, potoczył się na krzesło, schwycił je i z całej siły rzucił przed siebie, na stół.

– Masz, ty małpa zielona, nie budź – i położył się najspokojniej na otomanie, ściągnął surdut, okręcił nim głowę i spał dalej.

– Mateusz! – krzyknął z rozpaczy prawie Karol widząc, że Maksa nic nie obudzi.

– Mateusz! – krzyknął po raz drugi, podchodząc do przedpokoju.

– Zaraz idę, lece, panie dyrektorze, świeca mi się gdzieś podziała i szukam, i szukam, idę – wołał przez sen, roztrzęsionym pijanym głosem, na próżno starając się podnieść z podłogi, gdzie upadłszy po cioście Borowieckiego zasnął.

podniósł się na kolana i padł z powrotem twarzą na ziemię, machając dookoła rękami, jakby pływał.

Borowiecki podniósł go, przyprowadził do jadalni, postawił pod piecem i pytał:

– Gdzieś się upił? Tyle razy ci zapowiadałem, że jak się upijesz, wyrzucę cię do diabła, słyszysz, co mówię?

– Słyszę, panie dyrektorze, słyszę, aha, niby pan Moryc – bełkotał, na próżno starając się znaleźć równowagę.

– Kto ci zbił pysk? Wyglądasz jak świnia.

– Mnie kto zbił pysk? mnie, prze... pana dyrektora, nikt zbił pysk, mnie nikt nie może zbić pysk, bo ja bym prze... pana dyrektora gnaty połamał, morde zbiuł i byłoby fertig, na glanc... cholera.

Borowiecki widząc, że z pijanym się nie dogada, przyniósł karafkę z wodą, przytrzymał go jedną ręką i wszystką wodę wylał mu na głowę.

Mateusz się kręcił i wrywał, ale otrzeźwiał nieco i obciczając rękawami twarz posinioną, zalaną krwią, patrzył ogłupiałymi oczyma.

– Był pan Moryc? – pytał cierpliwie dalej.

– Był.

– Gdzie pojechał?

– Odwiózł niby tę małą, czarną i miał być w Grandzie. To znaczyło w Grand-Hotelu.

– Kto tutaj był?

– Różne państwo było, był pan Bedn, pan Hertz i inne jeszcze Żydy. Ja z Agatą od pana inżyniera gotowaliśmy kolację. – I upiłeś się jak świnia ostatnia; któż cię tak pobił?

– Nikt mnie nie bił.

Pomacał się bezwiednie po twarzy i głowie i syknął z bólu. – A skądże masz te dziury we łbie, co?

– A to, a bo... był i pan Moryc, i ta czarna małpa, i ten garbaty, i te Żydy.

– Gadaj natychmiast, gdzieś się upił i kto cię pobił? – krzyknął z wściekłością.

– Ja nie pijany ani mnie kto pobił. Poszedłem po piwo dla panów, a w szynku były kolegi od Francuzów i postawiły bier. Dobra nasza! Postawiłem i ja. Jak ony postawiły raz, to i ja raz. Potem przyszły ludzie z blichu naszego, dobre Polaki, z moich stron, postawiły i one bier – dobra nasza; postawiłem i ja. Ony dobre Polaki, to i ja dobry Polak, ony stawiały – dobra nasza, to i ja stawiam. Ale nie pijany, prze... pana dyrektora, jak Pana Boga kocham, takim trzeźwy, co, jak pan dyrektor chce – to chuchnę, niech pan dyrektor sprawdzi.

Nachylił się i z zamkniętymi oczami, przylegając mocno grzbietem do pieca, chuchał na pokój.

Borowiecki przebierał się w swoim pokoju i nie słuchał, ale Mateusz gadał wciąż.

– Potem przyszły webery od starego pana Bauma i foluszniki. Piły z nami – myśma stawiali, a że zaś Niemcy podły naród, to stawiać nie chcieli. To ja jednego ino tak ździebko palcem tknąłem, to un na zie-

mie, a drugi me kuflem w łeb. To ja i tego tak ździebko palcem tknąłem, to on tyż na ziemię, a Niemcy me zaś za orzydle. Ja się nie biłem, bo wiem, że pan dyrektor tego nie lubi. A że ja słucham swojego pana, to ja się nie biłem, ale kiej mie jeden ucaił za włosy, a inne za orzydle, a jeszcze któryś lunął me bez pysk, to myślę, szkoda mi tego tużurka, co go mam od pana dyrektora, i mówię po dobremu: „Puść me”, a un me nożem pod żebro. To ja go łbem o ścianę, to un został.

Kolegi pomogły i było fertig, na glanc. Ja się nie biłem, tknąłem ino ździebelko palcem, to by i kurcze ustało, a taka świnia już leży. Miętki w nogach naród, panie dyrektorze, bardzo miętki, te Niemcy. Ja ino tak ździebko palcem tknąłem, to już forbeit, na ziemi!

Mruczał coraz sennie i z wyciągniętą ręką przed siebie wskazującym palcem pokazywał, jak on ździebko tylko tykał.

– Idź spać – zawołał Borowiecki, pogasił światła, zaprowadził go do kuchni i pojechał szukać Moryca.

W „Victorii” było zamknięte, w Grand-Hotelu także.

– Pan Kurowski już śpi? – zapytał numerowego.

– Wcale nie był dzisiaj, był przygotowany salon, i nie przyjechał.

– Pan Welt był u was wieczorem?

– Był z paniami i z panem Cohnem, pojechali do „Arkadii”.

Pojechali do „Arkadii” na Konstantynowską, i tam już nie było nikogo.

Objechał kilka jeszcze knajp, gdzie zwykle młodzież łódzka się bawiła, ale nigdzie go nie znalazł.

– Gdzie ta mała się schowała – myślał zirytowany i raptownie krzyknął dorożkarzowi: – Jedź na miód, wiesz gdzie? Jeśli tam nie będzie, to go już nigdzie nie znajdę.

– Zaraz tam będziemy, panie!

– I podciął konia ze wszystkich sił, bo włókł się strasznie powoli, utykając po dziurach i dołach, dorożka skakała i kołysała się po bruku pełnym najstraszliwszych wybojów, niby łódka po falach morskich.

Borowiecki kłął i zacinał zęby i żeby zapanować nad rozdenerwowaniem, które tak nim trzęsło, że nie mógł zapalić papierosa, bo mu się łamał w rękach, zaczął usilnie myśleć nad tą sprawą bawełnianą.

– Bauer sprzedał dobrze ten telegram Zukerowi. Co za dziwna kobieta – przerzucił się do wspomnień Lucy i utonął w nich.

Znał ją od lat dwóch, ale nie zwrócił szczególniejszej uwagi, ponieważ był zajęty Likiertową, a potem opowiadali o niej, że jest niepomernie głupia, tak prawie, jak piękną była.



– Co za temperament – szeptał wstrząsając się na przypomnienie.

Od dosyć dawna wiedział, że zwrócił jej uwagę, dawała mu poznać spojrzeniami, zapraszaniem usilnym do siebie, z których jakoś nigdy nie korzystał. Bywała tam wszędzie, gdzie wiedziała, że i jego spotka.

Plotka łódzka, którą tam z całą pasją i z wielką maestrią uprawiają przeważnie mężczyźni, którą są przepełnione kantory i fabryki, zaczynała już coś kombinować i przebąkiwać, ale szybko ustała, ponieważ Borowiecki trzymał się z daleka, pochłonięty W ostatnich miesiącach planami założenia fabryki.

Znał osobiście Zukera, starego chałaciarza, przedzierzgniętego w ostatnich dziesięciu latach w milionera-fabrykanta, który zaczynał swoją karierę w Łodzi od skupowania zużytych, do niczego fabrykom już nie służących szmat bawełnianych, strzępów papieru, pyłu bawełnianego, jakiego zawsze było dosyć po tkalniach i postrzygalniach.

Nie cierpiał go za tandetne wyroby, naśladowujące powierzchownie w deseniach i kolorach wyroby firmy Bucholca, a w istocie materiały w najgorszym gatunku, sprzedawane tanio, które uniemożliwiały Wszelką konkurencję.

Wiedział, że Zukerowa nie ma kochanka, bo raz, że była Żydówką, a po drugie, w mieście, gdzie wszyscy, poczynając od milionerów, a skończywszy na ostatnim gwoździu w tej olbrzymiej maszynie wytwórczej, muszą robić, muszą się cali oddawać tej pracy, jest niezmiernie mało zawodowych donżuanów, niesłychanie mało sposobności do zdobywania i obalamucania kobiet.

A zresztą, gdyby tak było, już by o tym ktoś wiedział i mówił z pewnością.

– Czy ona ma i duszę jaką? – myślał teraz rozpatrując jej dziką, niepohamowaną namiętność. – Ale po co ja tam wlażem, jeszcze teraz! Do diabła z miłością, mieć teraz taką kulę u nogi, kiedy się zakłada fabrykę na kredyt. A jednak...

I zastanowił się, szukał w sobie miłości do niej, wmawiał w siebie zupełnie szczerze, że ją kocha, że to miłość go porwała, a nie zwykła, zmysłowa burza zdrowego i nie wyczerpanego organizmu.

– Bądź co bądź, gra warta świeczki – pomyślał. Dorożkarz zakręcił i stanął zaraz przy rogu Spacerowej, przed synagogą.

## V

Restauracja, do której przyjechał Borowiecki poszukując Moryca, znajdowała się zaraz za synagogą, w głębi podwórza, obstawionego, niby kamiennymi pudłami, czteropiętrowymi oficynami z trzech stron, bo czwartą zakończył mały ogródek, odgradzony zielonymi sztachetkami i przyparty do tyłów olbrzymich, nagich czerwonych murów jakiejś fabryki.

Mała oficynka parterowa stała w głębi pod samym murem i buchała oświetlonymi oknami i wrzaskliwą, podobną do ryczenia osłów wrzawą.

– Oho, jest cała banda – pomyślał wchodząc do długiej niskiej sali, tak zaciemnionej dymami cygar, że w pierwszej chwili w tym sinawym obłoku, popstrzonym złotymi kulami gazowych świateł, nie odróżnił nikogo.

Kilkadziesiąt osób tłoczyło się dookoła długiego stołu, krzyczało, gadało głośno, śmiało się i śpiewało, co połączone z brzękiem talerzy i przenikliwym szczękiem tłuczonego szkła tworzyło taką splątaną, zgiełkliwą wrzawę, że ściany się trzęsły i nic usłyszeć nie było można.

Naraz przycichło nieco i jakiś ochrypnięty, pijany głos zaintonował z drugiego końca stołu:

Agato! Ty interes feiny masz – Agato! Agato! Ja całuję ciebie w twarz – Agato! Agato! To mi za to piwa dasz – Agato!

– Agato! – ryczał tłum wszystkimi możliwymi i niemożliwymi głosami, które tak pokryły głos Bum-Buma, który był tej piosnki przedziwnie głupiej kompozytorem i solistą, że na próżno krzyczał dalsze zwrotki, nikt go nie słuchał, bo wszyscy wyli:

– Agato! Agato!

– Bum-Bum, la, la, la! Agato! Tra, la, la, la! Agato! Cip, cip, cip, Agato!

Tak ten śpiew podniecał, że zaczęli do taktu bić laskami w stół, kufle leciały na ściany lub rozpryskiwały się o piec, niektórym i to nie wystarczało, bo krzesłami bili o ziemię i jak zapamiętali, oślepli, z zamkniętymi oczami śpiewali:

– Agato! Agato!

– Panowie, na miłość boską, bo mi sprowadzicie tymi krzykami policję – zaczął błagać wystraszony gospodarz.

– Pan potrzebujesz być cicho, my płacim! Panienko, proszę jedno piwo!

– Hej, Bum-Bum, zaśpiewaj no pan – krzyczano do Buma, który poprawiał binokle obu rękami i stał w drugim pokoju przed bufetem.

– Kwicz, Bum-Bum, ja i tak nie słyszę – szeptał jeden półsennie, leżąc na stole, który cały był pokryty butelkami wina i koniaków, maszynkami od kawy,

kamionkami od porteru, kuflami i szkłem potłuczonym.

– Agato! Agato! – wrzeszczał półgłosem jakiś kantorowicz, senny, z przymkniętymi oczami, pijany, bił laską w stół.

– No, bawią się echt po łódzku – szepnął Karol szukając oczami Moryca.

– Dyrektor! Panowie, jest i firma Bucholc Herman i Spółka! Jesteśmy zatem w komplecie. Panienko, kółko koniaków! – krzyczał jakiś wysoki i gruby Niemiec łamaną polszczyzną.

Zatoczył się szerokim gestem dookoła, chciał jeszcze coś mówić, ale nogi mu się zwinęły i upadł na kanapę stojącą za nim.

– Ależ to, widzę, cała banda wesola.

– Cały nasz komplet burszów.

– My tak zawsze, jak pić, to solidarnie, jak co robić – zdechł pies.

– O tak, solidarnie, jak mówi ten, no, jakże się nazywa, no, ten, co to mówił: „Hej, ramię do ramienia, wspólnymi łańcuchy!”

– Opaszmy brzuchy albo inną galanterię – wtrącił ktoś z boku.

– Cicho pan. Włóczęgom, psom i ludziom od Szai – wstęp wzbroiony! Zapisz pan to, panie redaktorze – wołał któryś zwracając się do wysokiego, chudego blondyna, melancholijnie siedzącego na środku pokoju, który błędził dużymi, jakby pożyczonymi oczami po ścianach pokrytych oleodrukami.

– Moryc, mam do ciebie bardzo pilny interes – szepnął Karol przysiadając się do Welta i do Leona Cohna, bo obaj pili tylko ze sobą.

– Pieniędzy chcesz, masz pugilares – szepnął nadstawiając kieszeń spodnią surduta – albo zaczekaj, chodźmy do bufetu. U diabła, jestem pijany – mruknął, na próżno usiłując się trzymać prosto.

– Może dyrektor usiadzie. Napijem się, a! wódeczka jest, koniaczek jest, a!

– Każcie mi dać jeść, bo głodnym jak wilk.

Kelnerka przyniosła gorących serdelków, bo już nic więcej nie było w bufecie.

Borowiecki zaczął jeść nie zważając na towarzystwo całe, które porozdzielane na grupy piło i gadało.

Była to sama prawie młodzież łódzka, typowa młodzież z kantorów i składów, z małą domieszką techników fabrycznych i specjalistów innych zajęć.

Bum-Bum, pomimo że był zupełnie pijanym, chodził po sali, w pięść się trząsał, binokle poprawiał, pił ze wszystkimi, a chwilami podchodził do młodego chłopaka, który wciśnięty w głęboki fotel, obwiązany serwetką spał, i krzyczał mu do ucha:

– Kuzyn, nie śpij!

– Zeit ist Geld! Czyje conto? – odpowiadał nie otwierając oczu, stuknął automatycznie kuflem w stół i spał dalej.

– Kobieta! Daj pan pokój, to kein geszeft być kobietą, to szkoda czasu – wołał ze śmiechem znany powszechnie w Łodzi Feluś Fiszbin.

– Ja jestem człowiek, panie, najautentyczniejszy człowiek – krzyczano przy drugim rogu,

– Pan się nie chwal! Pan jesteś gruba symulacja człowieka – drwił Feluś.

– Panie Fiszbin, pan może jesteś Fiszbin, ale pański interes nie jest nawet słoma.

– Panie Weinberg, pan jesteś... no, już pan wiesz j my wiemy, co pan jesteś, ha, ha, ha.

– Bum-Bum, zaśpiewaj majufes, bo się Żydy kłóca.

– Konig, ty jesteś mój przyjaciel, ale ja ze smutkiem widzę, żeś ty coraz głępszy. Tobie już w brzuch głowa wlaźła. Ja się o ciebie bardzo boję. Panowie, on się tak pasie, że jemu niedługo własna skóra nie wystarczy, on się w nią nie zmieści, ho, ho.

Śmiech gruchnął ogólny, ale Konig nie odezwał się, popijał piwo i wpatrywał się w światła nieprzytomnymi oczami, siedział bez surduta, z rozpiętym kołnierzykiem u koszuli.

– Wróćmy, doktorze, do kobiet – zaczął Feluś do sąsiada, który z opuszczoną na piersi brodą siedział i wykręcał ustawicznie i niezmydlone wąsiki blond i co chwila nerwowym ruchem otrząpywał klapy surduta i wpychał w rękawy dosyć brudne mankiety.

– Dobrze, to jest ważna kwestia, choćby z punktu socjalno-psychologicznego.

– To jest żadna kwestia. Znasz pan chociażby jedną porządną kobietę?

– Panie Feliksie, pan jesteś pijany, co pan wygadujesz! Ja panu tutaj w Łodzi pokażę setki najlepszych, najzacniejszych, najrozumniejszych kobiet – krzyczał wyrwany z apatii, podskakując na krześle i z błyskawiczną szybkością otrzepując sobie klapy.

– To pewno pańskie pacjentki, pan je powinieneś chwalić.

– Z punktu socjalno-psychologicznego biorąc, to, co pan mówisz, jest...

– Z każdego boku jest to prawda, jest to cztery razy prawda. Pan mi dowiedź, że jest inaczej.

– Mówię przecież panu.

– To jest gadanie, tylko gadanie, mnie potrzeba faktów! Ja jestem człowiek realny, panie Wysocki, ja jestem pozytywista. Panienko, maszyna kawy, chartrezy!

– Dobrze, dobrze! Zaraz panu dam fakty: Borowska, Amzelowa, Bibrychowa, bo co?

– Ha, ha, ha, wyliczaj pan więcej, to dla mnie śliczny kawałek zabawy.

– Pan się nie śmieje, to są porządne kobiety – krzyczał zaperzony.

– Skąd to pan wiesz, miałeś je pan w komis? – rzucił cynicznie Feluś.

– Nie wymieniałem jeszcze najpierwszych, takich, jak Zukerowa i Wolkmanowa.

– To się nie liczy. Jedną mąż trzyma w zamknięciu, a druga nie ma czasu wyrzeć na świat, bo ma na trzy lata czworo dzieci.

– Keszterowa to co, to perkal? a Groszlikowa to wata? Cóż pan na to powie?

– Ja nie powiem nic.

– A widzisz pan – wołał doktor rozpromieniony, podkreślając wąski.

– Ja jestem człowiek realny i dlatego nie powiem nic, bo co tu brać w rachubę kobiety brzydkie, to jest taki brzydki towar, żeby go w komis nie wziął nawet Leon Cohn, a on wszystko bierze.

– Ja je biorę w rachubę i stawiam w pierwszym rzędzie. One mają oprócz zwykłej, organicznej uczciwości, jeszcze etykę.

– Etykę, co to jest za towar? Kto w tym robi? – wołał nanosząc się od śmiechu.

– Feluś, powiedzialesz witz na sto procent – krzyknął przez stół Leon Cohn klaszcząc w dłonie. Doktor nie odezwał się, pił gorącą kawę, którą mu Feluś nalał, podkrecał wąsiki, strzepywał klapy, wpychał mankiety i zwrócił się do sąsiada obok, który

wciąż pił, milczał i co chwila przecierał czerwonym fularem okulary.

– Mecenas masz to samo zdanie o kobietach co i pan Feliks?

– Pni, to jest... uważasz pan dobrodziej... jak by to wyłuszczyć... hm– machnął ręką, napił się piwa, zapalił ciągle gasnącego papierosa i przypatrywał się płonącej zapałce.

– Pytam się, co mecenas myślisz o kobietach? – szturmował doktor i nastawiać zaczynał twarz do nowej walki o cześć kobiet.

– Uważa pan dobrodziej, ja nic nie myślę, ja piję piwo – machnął pogardliwie ręką i umoczył całą twarz w kuflu, jaki postawiła przed nim kelnerka.

Pił długo, a potem palcami wyciskał białą pianę

z wąsów rzadkich, które mu niby rudawą strzechą wisiały nad ustami,

– Pan mi pokaż uczciwą kobietę, ja jej pošlę Jedwab od Szmidt i Fitze, kapelusz od Madame Gustawe i mały papierek na który z banków z podpisem Groszlik, to panu później opowiem o niej ciekawe rzeczy – zaczął się znowu śmiać.

– Pan to gadaj na Batutach, tam może panu uwierzą i będą cenili pańskie zdanie, ale my trochę pana znamy, panie Feliksie.

– Co tu redaktor swoją szpulkę wstawia?

– Bo pan blagujesz, aż się krochmal sypie – odpowiedział ktoś za nazwanego redaktora, który zirytowany wyniósł się do bufetu.

– Kuzyn, nie śpij – krzyknął Bum.

– Zeit ist Geid! Czyje conto? – szepnął stukając kuflą w stół i chciał go podnieść do ust, ale nie doniósł, ręka mu opadła, piwo z kuflą poleciało na ziemię, nie wiedział o tym, tylko się bokiem przekręcił w fotelu, serwetą przysłonił twarz i spał,

– Co osoba chce? Niech ładna osoba powie? – szeptał Leon Cohn usiłując pocałować wydzierającą mu się kelnerkę.

– Niech mi pan da spokój, niech mnie pan puści – i szarpnęła się energicznie.

– Co osoba się rzuca, ja płacę, to ja się rzucę, ja jestem Cohn, Leon Cohn!

– Co mi tam pańskie nazwisko, niech mnie pan puści – zawołała gwałtownie.

– Niech osoba idzie do diabła! Szelc! – rzucił pogardliwie za odchodzącą i zaczął ściągać porozpinany surdut i kamizelkę.

– Moryc! Masz już dosyć pijaństwa, chodźmy do domu, jest ważny interes – szeptał Karol w najwyższym zniecierpliwieniu, bo Moryc pijany, z twarzą w dłoniach, siedział nieprzytomny i na wszystko, co słyszał, odpowiadał w kółko:

– Ja jestem Moryc Welt, Piotrkowska 75, pierwsze piętro. Idź pan do diabła!

– Panie Cohn, ja miałem do pana mały interes – szepnął Borowiecki.

– Ile pan potrzebuje?

Młasnął językiem, trzasnął w palce i już wyciągnął pugilares.

– Pan się prędko orientuje – uśmiechnął się Borowiecki.

– Ja jestem Leon Cohn! Ile?

– Jutro powie panu Moryc, ja chciałem się tylko zapewnić. Dziękuję panu.

– Cała moja kasa, cały mój kredyt na pańskie rozporządzenie.

– Bardzo dziękuję. Termin nie dłuższy jak trzymiesięczny.

– Kto mówi o terminie? Pomiedzy przyjaciółmi taka bagatelka co stoi?...

– Daj mi sodowej – mruknął Moryc.

– Gdy mu przyniósł, pił wprost z syfonu,

– Schube, powiedz prawdę, ile cię kosztuje ta twoja Józia? – szep-tano za Karolem. – Drogi towar, jeśli chcesz kupić teraz.

– Poczekam do licytacji, poczekam. Ale powiedz

co cię to kosztuje, bo w Łodzi mówią, że z tysiąc rubli miesięcznie.

– Może tysiąc, może pięć, nie wiem.

– Nie płacisz?

– Płacę, grubo płacę – weksłami. Mieszkanie zapłaciłem weksłem, meble weksłem, modniarkę weksłem, wszystko weksłem. Skąd ja mogę wiedzieć, co mnie to razem kosztuje, będę wiedział dopiero, jak się położę, ile zechcą wziąć za sto. Teraz nic nie wiem.

– Wiesz, to jest genialne!

– Słyszysz pan, panie Cohn, co mówią za nami?

– Słyszę, słyszę. To jest grube łajdactwo, ale mądre, a, a, jakie mądre!

– Chcesz, żebym jechał do domu? – pytał Moryc.

- I to natychmiast, bardzo pilny interes.
- Nasz interes?
- Nasz, niesłuchanie ważna rzecz, niesłuchanie.
- Jak interes, to ja jestem prawie trzeźwy. Chodźmy.

Karol wyszedł prowadząc pod ramię Moryca, który się chwiał na nogach i nie mógł utrzymać równowagi, a za nimi przez otwarte drzwi buchnął potok śpiewów i krzyków i rozlał się po cichym, ciemnym podwórzu, i zginął w przestrzeniach, w nocy.

Świt się już robił nad Łodzią, bo czarne kominy zaczęły majaczyć coraz jaśniejszymi barwami, dachy błyszcząły w świetle tych bladych zórz, co niby róż

najdelikatniejszy, zmieszany z perłami, roztrząsały swą światłość nad ziemią.

Mróz pościłał błoto, pokrył miejscami kałuże warstwą lodu i pobielił mostki nad rynsztokami, i okrył bujną osędzieliną drzewa.

Dzień zapowiadał się pogodny.

Moryc wdychał całą piersią to chłodne, zimne powietrze i przychodził coraz bardziej do siebie.

– Wiesz, nie pamiętam nigdy, abym się tak upił.

Nie mogę sobie darować, szumi mi w głowie jak w samowarze.

– Zrobię ci herbaty z cytryną, wytrzeźwiejesz, przygotowujemy ci taką niespodziankę, że zechcesz się upić z radości po raz drugi.

– No, ciekaw jestem, co to może być.

I zaraz po przyjeździe, nie budząc już Mateusza, który spał, klęcząc przed kominem z głową na blasze, Karol nalał wody do samowara i zapalił pod nim gaz.

Moryc się trzeźwił bardzo radykalnie, bo zlał głowę zimną wodą, umył się i wypiwszy kilka szklanek herbaty poczuł się zupełnie przytomnym.

– No, jestem już fertig. Do diabła, zimno mi obrzydliwie.

– Maks! – wołał tymczasem Karol trzęsąc z całej siły Bauma, ale Maks nie odezwał się i obcisnął silniej surdut na głowę.

– Na nic wszystko, śpi jak zabity. Tak mi zresztą pilno, że nie będę czekał.

– Przeczytaj, Moryc, uważnie depeszę, tylko nie oglądaj adresu – zastrzegł, podając telegram.

– Ba, kiedy nic nie rozumiem – cyfrowana!

– Prawda. Zaraz ci przeczytam.

I czytał mu wolno, bardzo dobitnie, podkreślając cyfry i daty.



Moryc wytrzeźwiał zupełnie, na pierwsze słowa zerwał się on z krzesła i pochłaniał oczami, całym sobą, treść tego telegramu. Gdy Karol skończył i podniósł tryumfujący wzrok na niego, Moryc stał nieruchomy, zapatrzony w ten interes, po kilka razy wciskał binokle na nos, które mu zupełnie nie chciały się utrzymać, uśmiechał się tak słodko jak do ukochanej, szarpał nerwowo swoją piękną brodę, wreszcie rzekł uroczyście.

– Wiesz, Karol, my mamy już przyszłość, my mamy grube pieniądze. Ten telegram wart jest sto tysięcy rubli, no, pięćdziesiąt co najmniej. My się możemy na tej uroczystości pocałować! Co to za interes, co to za interes! – I posuwał się do Borowieckiego chcąc go istotnie w tym radosnym podnieceniu ucałować serdecznie.

– Daj spokój, Moryc. Nam potrzeba teraz gotówki nie pocałunków.

– Prawda, masz rację, trzeba teraz pieniędzy i pieniędzy.

– Czym więcej kupimy, tym więcej zarobimy.

– Co się to w Łodzi będzie dziać. Aj! aj! Jeśli o tym wie Szaja albo Bucholc, jeśli zdąży wykupić, to wszyscy dopiero będą śpiewać. Skądżeś to wyrwał!

– Moryc, to moja tajemnica, to moja nagroda. – Uśmiechnął się do siebie, bo przyszła mu na myśl Lucy.

– Twoja tajemnica to twój kapitał. Mnie jednak dziwi jedno.

– Co takiego?

– Ja się tego, Karol, nie spodziewałem po tobie. Mówię zupełnie szczerze. Nie spodziewałem się, żebyś

był zdolny mieć taki interes w ręku i chciał się dzielić z nami.

– Toś mnie nie znał.

– Wiesz, że po tym fakcie jeszcze cię mniej znam. – I patrzył na niego tak, jakby podejrzewał jaką zasadzkę, bo nie mógł pojąć, jak można chcieć się dobrowolnie dzielić zyskami.

– Jestem A r y j c z y k, a ty jesteś Semita, w tym leży wytłumaczenie.

– Ja go nie widzę, nie rozumiem, co chcesz powiedzieć przez to.

– Tylko to, że ja chcę zrobić pieniądze, ale dla mnie świat się nie kończy na milionach nawet, a ty widzisz cały swój cel życia w zrobieniu pieniędzy. Kochasz pieniądze dla pieniędzy i zdobywasz je bezwzględnością, nie oglądając się na środki.

– Bo każdy jest dobry, który pomaga.

– To właśnie jest semicka filozofia.

– Z czymże ja się potrzebuję liczyć. Właśnie taka filozofia nie jest ani aryjska, ani semicka, jest filozofia kupiecka.

– No, mniejsza. Pomówimy o tym kiedy indziej obszerniej. Dlatego dzielę się z wami, że jesteście

moimi współnikami i dawnymi przyjaciółmi. Zresztą, tak mi każe ambicja nawet, zrobić przysługę przyjaciołom.

– Droga ambicja.

– Liczysz?

– Bo wszystko się oblicza.

– Ileż liczysz naszą dawną zażyłość?

– Karol, ty się nie śmiejesz, ale ja ci powiem, iż twoją przyjaźń mógłbym obliczyć na ruble, bo ja przez nią, przez to, że razem mieszkamy, mam więcej kredytu o jakie dwadzieścia tysięcy rubli. Mówię ci szczerze.

Borowiecki śmiał się serdecznie, zadowolony głęboko ze słów Moryca.

– To co ja robię, zrobiłbyś i ty, zrobiłby i Baum.

– Ja się boję, Karol, ja się bardzo boję, że Maks jest mądry człowiek, że on jest kupiec... Ale co ja, to zrobiłbym z całą przyjemnością.

Zaczął gładzić brodę i nasadzać binokle, żeby pokryć wyraz ócz i ust, które mówiły zupełnie co innego.

– Ty jesteś szlachcic, ty jesteś naprawdę von Borowiecki.

– Maks! Wstawaj; śpiochu! – krzyczał do ucha Baumowi.

– Nie budź mnie! – ryczał wściekły, wymachując nogami.

– Nie wierzgaj, tylko wstawaj, bo jest pilny interes.

– Karol, po co go budzisz – szepnął cicho Moryc.

– We trzech przecież musimy się naradzić...

– Dlaczego nie mamy zrobić tego interesu we dwóch?

– Bo zrobimy go we trzech – powiedział zimno Borowiecki.

– Czy ja mówię inaczej! Moglibyśmy tylko ułożyć bez niego, a jak wstanie, jak się wyśpi, to mu się powie! My w Łodzi stanowimy brylantową spółkę.

I biegał po pokoju coraz prędzej. Opowiadał o przyszłych zarobkach, rzucał cyfry, siadał na chwilę przy stole, brał w obie ręce szklankę z herbatą i pił; był tak zdenerwowany, że binokle wciąż mu wpadały do szklanki; kłął, wycierał je o poły surduta i znowu biegał, albo pochylał się nad stołem i na ceracie kreślił kolumny cyfr, które zmazywał natychmiast poślinionym palcem.

Tymczasem Baum wstał, wysapał się, wyklął w kil. ku językach, wypił olbrzymią ilość herbaty, zjadł wszystkie resztki z kolacji, jakie jeszcze były na ta. lierzach, zapalił krótką angielską fajeczkę i przyglądając swoją małą łysinę, jaką miał nad czołem, mruknął:

- Czego chcecie? Gadać prędko, bo mi się chce spać.
- Nie pójdziesz spać, jeno się dowiesz.
- Nie pyskuj.

Karol przeczytał mu telegram.

Moryc wyłożył plan, który był bardzo prosty: mieć pieniądze, dużo pieniędzy, jechać natychmiast do Hamburga, kupić co się da surowej bawełny i sprowadzić ją do Łodzi, zanim prawo o podwyższonym cła i taryfie zacznie obowiązywać. A potem sprzedawać, ma się rozumieć, z jak największym zyskiem.

Baum myślał długo, zapisywał coś w notesie, fajkę wypalił, wytrząsał popiół na spodek, przeciągnął swoje olbrzymie kości i rzekł:

– Zapiszcie mnie na dziesięć tysięcy rubli, więcej nie mogę. Dobranoc!

Podniósł się z krzesła, aby iść z powrotem spać.

– Zaczekajże! Musimy się przecież porozumieć, Wyśpisz się jeszcze.

– Niech was diabli wezmą z tymi porozumiewaniami się. Ach, te Polaki! W Rydze przez całe trzy lata mało co spałem, bo wszyscy się całe noce u mnie porozumiewali... i w Łodzi to samo.

Usiadł niechętnie i zaczął nabijać fajkę.

- Moryc, ile dajesz?
- Tak samo dziesięć tysięcy. Nie wydobędę na razie więcej.
- Więc i ja tak samo.
- Zyski i straty będą równe.

– Ale który z nas pojedzie? – zapytał Baum. – Może jechać Moryc tylko, bo on się zna dobrze i to jego specjalność.

– Dobrze, pojedę. Co dacie gotówki zaraz? – Ja mam piętnaście rubli, mogę dołożyć mój pierścień brylantowy, zastawisz go u ciotki, da ci więcej niż mnie – mówił ironicznie Maks.

– Mam wszystkiego przy sobie, zaraz... 400 rubli, mogę dać 300 zaraz.

– Kto twoje weksle będzie żyrował, Baum?

– Dam gotówkę.

– Ja jeśli na czas nie wyrwę gotówki, to dam weksle z dobrym żyrem.

Zaległa cisza. Maks położył głowę na stole i patrzył na Moryca, który szybko coś pisał i obliczał. Karol chodził wolno po pokoju i wąchał dla orzeźwienia jakieś perfumy w kosztownym flakoniku.

Dzień był już wielki i przez okna pozasłaniane gipiurowymi zasłonami wlewał białe, ostre światło poranku i mącił blask lampy i świec płonących w wielkich, brązowych kandelabrach.

Cisza ogromna, cisza Łodzi w niedzielę, rozlewała się po mieście i przenikała do wnętrza mieszkania. Jakiś daleki turkot dorożki huczał niby grzmot po stwardniałym błocie i w pustej, jakby wymarłej ulicy.

Karol otworzył lufcik, aby wypuścić trochę świeżego powietrza, i wyrzwał na ulicę.

Szron pokrywał bruk i dachy i skrzył się jak brylanty w słońcu, co wstało gdzieś daleko za Łodzią, za fabrykami, których kominy, niby las gęsty i ponury, rozciągały się wprost okien i odcinały swoje potężne, surowe profile na tle złoto-błękitnego nieba.

– A jak się ten interes nie uda – szepnął cofając się z okna.

– Ano, to stracimy, psiakrew, i nic więcej – mruknął Maks obojętnie.

– Możemy stracić trzy razy, bo kapitał, zarobek, a może i fabrykę.

– Nie może tak być – wykrzyknął Maks bijąc ze złością w stół. – Fabrykę musimy mieć. Ja już z ojcem nie wytrzymam dłużej, a zresztą, czy mój fater długo pociągnie? Jeszcze rok, jeszcze dwa, a zjedzą go zięciowie, dogryzie go Zuker, on przecież zaczął już nas jeść, bo naśladuje nasze kapy na łóżka i nasze kołdry kolorowe i sprzedaje o 50% taniej; on nas żywcem zjada. A ja nie urodziłem się na parobka w cudzym interesie. Mam już trzydzieści lat, potrzebuję zacząć na siebie!

– I ja mówię, nie może być. Fabrykę, tak czy owak, mieć musimy. Ja także dłużej nie wytrzymam u Bucholca.

– Boicie się? – szepnął Moryc.

– To naturalna obawa, gdy się może stracić wszystko.

– Ty, Karol, nie możesz zginąć w żadnym razie;

ty ze swoją uznaną specjalnością, ze swoim nazwiskiem, ze swoim von, ze swoją twarzą, zawsze możesz dostać milion, chociażby z Mullerówną w dodatku.

– Nie gadaj, mam narzeczoną, którą kocham.

– Co to przeszkadza, można mieć dwie naraz narzeczone i w obu się kochać, a ożenić się z trzecią, która będzie miała pieniądze.

Karol się nie odezwał, bo mu się przypomniała panna Mada i jej naiwny szczebiot; chodził po pokoju, a Maks usiadł na stole, ćmił fajkę

i bujał długimi nogami i nadstawiał twarz na pocałunek słońca, co się przedarło wskroś okien domu naprzeciwko i kładło długą złotą smugę, pełną drgającego pyłu, na jego twarz rozspaną i na czarną głowę Moryca, siedzącego z drugiej strony stołu.

– Jeśli się boicie ryzyka, to ja wam dam radę, a raczej powiem, że istotnie to jest ryzyko. A jeżeli o tym interesie wie cała bawełna łódzka? Jeżeli ja ich w Hamburgu zastanę wszystkich! A jeżeli przez wielkie i gwałtowne zapotrzebowanie bawełna pójdzie w górę za bardzo! A w Łodzi nie będziemy mieli komu jej sprzedać, to co?

– przerobimy ją w swojej fabryce i zarobimy jeszcze więcej – szepnął Maks nadstawiając pod działanie słońca ucho jedno i część głowy. – Ale jest wyjście. Zarobicie również i bez ryzyka. – W jaki sposób? – zapytał Karol przystając.

– Odstąpcie mi cały ten interes. Ja wam dam po pięć, no, po dziesięć tysięcy odstępnego, niech stracę, i to gotówką, bares geld, za parę godzin.

– Świnia – mruknął Maks.

– Daj pokój, Maks, on to robi z przyjaźni.

– A właśnie, że z przyjaźni, bo jak ja stracę, wy i tak możecie mieć fabrykę, a gdy zarobicie, również wam to nie przeszkodzi.

– Nie traćmy czasu na próżne gadaniny, trzeba iść spać. Kupujemy razem na wspólne ryzyko, a ty, Moryc, jedziesz dzisiaj do Hamburga,

– Niech da pokrycie. Kupi za nasze pieniądze, a potem powie, że kupił dla siebie, jego stać na to!

– To nasza przyjaźń i moje słowo jest pies, co ty gadasz, Maks – wykrzyknął oburzony.

– Twoje słowo złoto, twoja przyjaźń to dobry weksel, ale ewikcję daj, to handel.

– Załatwimy to w ten sposób, że Moryc będzie kupować i wysyłać zaraz pospiesznymi frachtami, na nachname. My wykupimy.

– A gdzie moja pewność, że mnie nie wyeliminujecie ze spółki, co?

– Świnia – zawołał głęboko dotknięty Maks, uderzając pięścią w stół.

– Cicho, Maks, on ma rację. Zrobimy zaraz piśmienną umowę, którą się później dla uważnienia urzędowego przeciagnie przez regenta.

Napisali zaraz upunktowaną wielokrotnie umowę, rodzaj aktu spółki, zawierającej się pomiędzy nimi trzema, na prowadzenie handlu surową bawełną.

Było w niej wszystko przewidziane.

– No, teraz stoimy na gruncie realnym. Ile mi wyznaczacie za zajęcie się tym interesem?

– Teraz zwykle komisowe za kupno, a później po, rozumiemy się.

– Zaliczcie mi z góry, co możecie. Ja wam rachunek dokładny przedstawię strat, jakie poniosę przez czas pobytu w Hamburgu, strat na agenturze swojej, której przez ten czas nie będę mógł prowadzić.

– Świnia – powiedział po raz trzeci Maks i wykręcił drugą stronę twarzy na słońce.

– Maks, tyś mi powiedział trzy razy świnia, ja ci tylko raz odpowiem: głupi! Ty pamiętaj, że my mamy prowadzić nie romans, nie małżeństwo, tylko interes. Sam okpiłbyś Pana Boga, żeby się tylko dało, a mnie mówisz świnia, kiedy ja chcę tylko tego, co mi się należy prawnie. No, niech Karol powie.

– Idź do diabła, stergnij.

– No, zgoda, nie kłóćcie się ciągle. Jedziesz kurierem w nocy?

– Tak.

– Tylko, moi drodzy, pamiętajcie, ani dziś, ani później nikt nie ma wiedzieć, skąd wzięliśmy tę wiadomość o bawelnie.

– Alboż my wiemy, co?

– Taka tajemnica w trzech nie jest już tajemnicą.

– Idźcie spać. Karol, tylko mnie już nie budź. Moryc, choć pocałuj cię na drogę, bo cię nie zobaczę przed wyjazdem, wstanę dopiero jutro. No, bądź zdrow, chłopie, a nie okpij nas – mówił żartobliwie, całując się z Morycem serdecznie, bo pomimo ciągłych kłótni i wymyślań lubili się bardzo ze sobą.

– Ciebie kto by oszukał! – mruczał Moryc jakby z żalem.

– Ty jesteś dobry chłop, Moryc, ale czuć cię na miłą szachrajem.

\* \* \*

Było już po dwunastej, gdy Karol się obudził.

Słońce świeciło prosto w okna i zalewało blaskami cały pokój umeblowany z najwyszukańszymi wykwintem.

Mateusz, umyty, wystrojony po niedzielnemu, wsunął się na palcach.

– Jest co? – zapytał Karol, bo często w nocy Bucholc przysyłał różne rozporządzenia.

– Z fabryki nie ma nic, są tylko ludzie z Kurowa, z listem. Czekają od rana.

– Niech zaczekają, przynieś list, a im daj herbaty, Wytrzeźwiałeś już?

– Jestem już na glanc, proszę pana dyrektora.

– Opatrzyłeś sobie już twarz, jak widzę. Mateusz spuścił oczy i zaczął przestępywać z nogi na nogę.

– Raz jeszcze się upijesz, to możesz więcej nie pokazywać się.

– Już tak nie będzie.

Uderzył się w piersi, aż się rozległo.

– Nie boli cię głowa?

– Nie, ale mnie krzywda moja boli. Poproszę bardzo pana, a pan mi, mój pan najdroższy pozwoli, a to już jak pies służyć będę za to.

– Na cóż mam ci pozwolić? – pytał ciekawie, ubierając się.

– Żebym ja mógł trochę porachować żebra tym Szwabom, co mnie tak uszlachciły.

– Takiś to mściwy?

– Nie, nie mściwym, ale sponiewierania, ale swojej utoczonyj krwi katolickiej – nie daruję.

– A rób. co ci się podoba, byle ci tylko lepiej jeszcze nie przefasnowali twarzy.

– Już ja im dam taki bejcz, co go im nikt nie spierze – szepnęła mściwie i aż zaciął zęby od nagłej złości, jaka mu załaza serce.

Sine plamy i siniaki zrobiły mu się pąsowe od wruszenia.

Karol ubrał się i poszedł budzić przyjaciół.

Nie było już nikogo.

– Mateusz, panowie dawno wyszli?

– Pan Baum wstał o dziewiątej, telefonował o konie do domu i jak przyszły, zaraz pojechał.

– No, no, cuda się dzieją.

– A pan Moryc wyszedł o jedenastej. Kazał mi walizkę podróżną naszykować i zanieść na kurier nocny.

– Zawołaj tych ludzi. Coś mi jest, ale co? – myślał rozcierając sobie skronie, bo głowa mu ciężyla, czuł się niezdrów.

Wstrząsał nim jakiś dreszcz zdenerwowania. Nie chciało mu się siedzieć, a czuł wstręt do poruszenia się z miejsca.

Wypadki dzisiejszej nocy: teatr, łożo, Lucy, knajpa, telegram, Moryc i Baum, przewijały mu się przez mózg w poszarpanych mgławicach i przechodziły pozostawiając po sobie nudę i znużenie.

Zapatrzył się na wysmukły, kryształowy wazonik, pokryty bardzo pięknym rysunkiem złotym: złote lilie francuskie na tle mocnej purpury

kryształu, którym przeświecało słońce i kładło krwawopomarańczowy cień na jedwabne, kremowe okrycie stołu.

– Ładna kombinacja – myślał, ale nie chciało mu się dalej patrzeć.

– Niech będzie pochwalony. Odwrócił się do wchodzących.

– A, to wy z Kurowa. Macie list od panienki? Wyciągnął rękę i zauważył, że mu pożółkła.

– Jest pismo. Daj, matka, wielmożnemu panu – powiedział poważnie chłop w białej kapocie wyszywanej na szwach czarnymi tasiemkami, w portkach w poprzeczne czerwone, białe i zielone pasy, w kamizelce granatowej z mosiężnymi guziczkami, koszulę miał zawiązaną na czerwoną wstążeczkę; stanął przy drzwiach wyprostowany, baranicę zawiesił na własnych pięściach przyciśniętych do piersi i patrzył niebieskimi, surowymi oczami w Borowieckiego, od czasu do czasu odrzucając ruchem głowy grzywę płowych, niby konopie wymiędlone włosów, co mu wciąż opadały na twarz starannie wygoloną.

Kobieta list wydobyła z dziesięciu co najmniej obwiązań i podejmując Karola za nogi, podała.

Przeleciał szybko oczami list i pytał:

– Wy się nazywacie Socha?

– Tak, rychtyk Socha, rzeknij no, matka – szepnęła. szturchnąwszy łokciem żonę.

– Juści prawda, Socha on jest, a ja jego żona i przyśliśwa prosić wielmożnego pana niziniera o robotę na fabryce, o... – zatrzymała się chwilę, spoglądając na męża.

– Juścić o robotę, rzeknij no, matka, od początku.

– Właśnie pisze mi tu ojciec i panienka o waszym nieszczęściu. Spaliliście się, co?

– Juścić że spalili, opowiedzże, jak było, matka.

– A to było tak, wielmożny panie, powiem rzetelnie jak na spowiedzi. Mielisza chałupę zaraz za dworem, pierwszą ode wsi. Grontu to mój kupił ino dwie morgi i prętów dwadzieścia i pięć, co nam starszy pan, niby ociec wielmożnego pana niziniera, sprzedał, a za cośmy zapłacili całe trzysta złotych. Używić by się z tego nie używił. Kartofle były swoje, krowę się uchowało, świniak zawsze galanty kwicał w chlewie, kuń był, bo stary mój jeździł na furmanki do miasteczka i woził różnych ludzi do kolei albo i Żydów, na ten przykład, za rubla, jak się dało. A mnie to paninka ciągiem wołała do dworu na posługi, a to do prania, a to do robienia płótna, a to kiej się krowa ocielić miała. Święta panienka, a to naszego Walka to tak wyuczała, co chłopak zna i



drukowane, i pisane, a na złotym untarzyku to cytać poredzi z kuźdej strony, mistranture tyż zna galancie, bo do mszy świętej księdzu Szymonowi słučuje. A chłopak ma dopiro na dziesiąty rok – zatrzymała się. aby wytrzeć nos w fartuch i obetrzeć załzawione rozczuleniem oczy.

– Prawda, mój syn Walek ma na dziesiąty rok, mów, matka, dokumentnie – szepnął poważnie chłop.

– Juści na dziesiąty, albo od Zielnej, albo na samą Siewną.

– Mówcie prędzej, bo, widzicie, ja się mam czasu – prosił Borowiecki, który chociaż się nudził podczas tego bezładnego opowiadania i mało słyszał, siedział cierpliwie, bo wiedział, że chłopci lubią się przede wszystkim wygadać i wyzalić po ludzku, a robił to głównie dlatego, że pochodzili z Kurowa.

– Rzeknij, matka, co ostało, bo wielmożnemu panu spieszo.

– To z łaski Boski i z łaski panienki i bez to, co stary miał kunia i zarabiał, i bez to, co się czasem przedało, a to prosiaka jakiego, a to gąskę, a to czasem jaką kapkę mleka albo i półkwartek masła i jajków, tośwa się miały niezgorzy. Cała wieś nam zazdrościła, że to my pierwsze były przy dworze, że to nas panienka uważała, że to w izbie i obrazy święte były pikne, we złotych ramach, że to i odzienie zawsze było jak się patrzy, żeśwa się to nie bijały, bo panienka ciągiem mówiła, że to grzych i obraza boska największa; że to mój u księdza Szymona często był i woził go do kolei, to bez to pomstowały na nas. A już najgorsza to była ta Pietrkowa, co to siedzi ino bez miedzę. Kłótnica taka, że ją i ksiądz Szymon już nieraz z ambony napominał. Nic nie pomogło, ciągiem tylko bij zabij na mnie. A taka niepoczciwa, co czekała po cały wsi. że to ze dworu wynoszę kaszę, że mój kradnie siano z dworskich stogów. Widzieliście wy, ludzie! Ażeby nam tak kulasy poupały, jak jej ozór ten przeklęty odleci za szczekanie, jeśliwa co wzięły. Ale żeby to ino to!

– Cóż ona więcej zrobiła, mówcie – szepnął prawie z rozpaczą, bo kobieta gadała coraz szczegółowiej, ośmielona jego życzliwym wzrokiem.

– A to bez nią myśwa się spaliły. Bo było tak, że zawsze, jak to po somsiedzku się przytrafia, gąsiaki moje, już takie w knotach, co bym nijak nie mogła sprzedać po pięćdziesiąt kopiejek, przeszły na jej pole, ale nie było i pacierza, ino co dziobami chwyciły chila tyła trawkę, a ta suka zapowietrzona poszczuła je. Ażebyś Boga przy skonaniu nie oglądała, ażebyś! Zaraz mi zdechnęło pięćoro tych gąsków, bo je tak

pies pogryz. Com się wyplakała, to jaże trudno wypowiedzieć. Stary przyjechał, ja mu mówię, a on mi

rzekł: „Inszej rady ni ma na taką, ino sprać tak, coby gnaty poczuła.”

– Prawda, rzekłem tak, mów dalej, matka.

– Spralam ją rzetelnie, zdarłam za te kudły, co ma kiej czarownica, utytłalam w gnojówce, skopałam kiej sukę. A to mi potem wieprzaka przetrąciła. Poszłiśwa na sądy. Niech ta sprawiedliwość sądzi, kto winowaty – wykrzyknęła rozkrzyżowując ręce.

– A kiedyż was spaliła?

– Ja nie mówię, co ona, ino że bez nią, bo jakieśmy siedzieli w sądzie, przylata woźny i pedo:

„Chałupa się wam, Sochowa, pali!” Jezus Maria, jakby mi kto łysty poprzetrącał, ruszyć się z miejsca nie mogłam.

– No, dosyć, rozumiem. A teraz chcecie znaleźć robotę w fabryce?

– Juści tak, wielmożny panie. Bośwa zeszyły na dziady, bo się spaliło wszystko: i chałupa, i obora, i całki lewentarz, nic, ino teraz iść po proszonym.

Zaczęła płakać spazmatycznie, a chłop stał wciąż poważnie, zapatrzony w Borowieckiego, odgarniając jednakim ruchem głowy grzywę, co mu co chwila spadała na oczy i twarz.

– Znacie tu kogo w Łodzi?

– Są tutaj ludzie z naszych stron, jest Antek Michałów, jest, powiedz dokumentnie, matka.

– Juści, że są, ino nie włada, kaj ich szukać.

– Przyjdźcie do mnie, Socha, we wtorek o pierwszej godzinie. Robotę wam znajdę. Mateusz – krzyknął na lokaja – poszukaj im mieszkania i zaopiekuj się nimi.

Mateusz krzywił się niechętnie i pogardliwie patrzył na nich.

– No, idzicie z Bogiem, a we wtorek przyjdźcie.

– Przyjdziewa, mów no, matka. Ale kobieta schyliła się do nóg Karolowi i obejmując je prosiła:

– A tom po tej ostatniej kurze, co się nie spaliła, uzbierała mendel jajków, to niechta wielmożnemu panu będą na zdrowie, bo ze szczyrego serca dajem – i położyła mu u nóg węzełek.

– Prawda, niechta będą na zdrowie – i pochylił się także do nóg.

– No, dobrze, dziękuję wam, przyjdźcie we wtorek. – Zostawił ich i poszedł do drugiego pokoju.

– Co za kopalniani ludzie! przeżytki – mrucał chodząc poruszony nieco, siadł i czytał list od narzeczonej.

„Mój drogi panie Karolu!

Dziękuję serdecznie za list ostatni, sprawił on dziadkowi wielką przyjemność, a mnie wprost rozrzewnił i porwał. Jaki pan dobry! przez umyślnego aż przysyłać kwiaty.”

Uśmiechnął się drwiąco, bo kwiaty owe dostał od kochanki w takiej ilości, że nie wiedział, co z nimi zrobić, więc posłał je narzeczonej.

„Jakie to śliczne te róże! chyba nie łódzkie? a może mój drogi pan sprowadzał umyślnie z Nizy, jak to kiedyś? To by mnie, bardzo ciesząc, bardzo smuciło jednak, bo nie mam czym również pięknym się odwdziżyć. Wie pan, te kwiaty są dzisiaj jeszcze, po dwóch tygodniach, prawie nie zmienione – to zadziwiające. Wprawdzie pielęgnuję je bardzo, bo nie ma Usteczka, któremu bym nie powiedziała, dotykając każdego ustami: „Kocham.” Ale... dziadek się ze mnie śmieje i powiedział, że napisze o tym do pana, więc ja się już sama przyznaję, a pan się o to przecież nie pogniewa, prawda?...”

– Anka moja droga – szepnął porwany uczuciem i rozjaśnionymi oczami czytał dalej:

„Z pieniędzmi już załatwione, są w Banku Handlowym do pańskiego rozporządzenia, bo kazałam je zapisać na pana nazwisko, na nasze nazwisko...”

– Złota dziewczyna!

„Kiedyż będzie ta fabryka? Ja tak niecierpliwie czekam, bo takam ciekawa zobaczyć ją i mojego drogiego pana jako fabrykanta! A dziadek zrobił sobie nawet świstawkę i nią budzi nas i zwołuje na śniadania i obiady.

Wczoraj był u nas pan Adam Stawski, pamięta go pan? bo podobno byliście panowie razem w gimnazjum? Opowiadał bardzo ciekawe i wesołe szczegóły z waszego życia. Od niego dopiero dowiedziałem się że mój kochany pan Karol to był taki łobuz i takie miał powodzenie u kobiet jeszcze w gimnazjum. Ale dziadek przeczy temu stanowczo i mówi, że pan Adam łgarz zawołany. Komu pan każe wierzyć?

Pan Adam stracił wszystko, bo majątek sprzedało mu Towarzystwo, ma wkrótce jechać do Łodzi, będzie i u pana.”

– Jeszcze jeden niedołęga! – szepnął niechętnie. „Ma jakiś projekt wielkiego wynalazku i obiecuje sobie, że na nim w Łodzi zrobi majątek.”

– Idiota! nie pierwszy i nie ostatni.

„Trzeba mi kończyć, bo mi się tak oczy kleją i dziadek ciągle woła, żebym poszła spać. Dobranoc, mój królu złoty, dobranoc! Napiszę jutro obszerniej. Dobranoc.

Anka”

W przypisku było jeszcze gorące polecenie oddawców listu.

– Pieniądze są, to dobrze, to bardzo dobrze, dwadzieścia tysięcy rubli. Złota dziewczyna. Bez namysłu oddaje swój posąg.

Przeczytał raz jeszcze list i schował go do biurka.

– Złota, dobra, poświęcająca się dziewczyna, ale... Dlaczego jest to „ale”! U diabła! – uderzył nogą w dywan i zaczął bezmyślnie przerzucać stosy papierów na stole.

– Tak, dobra, może najlepsza z tych, jakie znam, ale, ale, co mnie ona obchodzi?... Czy ja ją kocham?

Czy ja ją kiedy kochałem? Postawmy kwestię szczerze – myślał przypominając sobie dokładnie.

– Konie pana Bucholca po pana dyrektora – meldował Mateusz.

Wsiadł do powozu i pojechał do Bucholca.

Bucholc mieszkał na samym końcu miasta, za fabrykami swoimi. W dużym parku, graniczącym jedną stroną z murami fabryk, które nad nim panowały, stał jednopiętrowy dom nazywany pałacem, zbudowany w tym łódzko-berlińsko-renesansowym stylu, z wieżami baniastymi po rogach, z szeregiem facjat ozdobnych, z tarasem na dachu, obwiedzionym żelazną balustradą.

Grupa wielkich, smutnych brzoź bielila się w gazonie głównym przed podjazdem pałacowym. Ścieżki były wysypane miałem węglowym i biegły niby pasy czarnej crois wpośród poobwiązywanych słomą róż i drzewek południowych, co niby szyldwachy wyciągnięta i załamująca się pod prostym kątem linią obiegały wielki czworoboczny trawnik, na którego rogach stały cztery posągi, okrecone na zimę w kawały barchanowych podkładek, zrudziały na deszczach i mrozach.

W jednym końcu parku, pod czerwonymi murami fabryki, przez niskie krzewy i drzewa błyszcząły w słońcu okna oranżerii.

Park był smutny i niedbale utrzymywany.

Lokaj w czarnej liberii otworzył przed Borowieckim wielkie drzwi do przedpokoju, wyłożonego dywanem i obwieszzonego fotografiami fabryk, grupami robotników i mapami majątków ziemskich, jakie posiadał Bucholc.

Czworo drzwi prowadziło w głąb domu, a wąskie żelazne schody na piętro.

Wielka, żelazna latarnia w stylu gotyckim, wisząca u sufitu, rozrzucała łagodne światło, co kolorowymi, jakby wypłowiałymi plamami mżyło na ciemnym dywanie i drzewem wyłożonych ścianach.

– Gdzie pan prezes?

– Na górze, w swoim gabinecie.

Lokaj szedł naprzód i uchylał portier, otwierał drzwi, a Borowiecki szedł wolno przez wspaniałe pokoje. bardzo poważnie i ciężko umeblowane, zaciemnione prawie zupełnie storami opuszczonymi. Cisza go otaczała zupełnie, bo odgłos kroków tłumiły dywany.

Uroczysta, zimna powaga panowała w mieszkaniu;

meble stały w pokrowcach ciemnych, zwierciadła, wielkie żyrandole, kandelabry, obrazy nawet na ścianach pokryte były zasłonami i tonęły w zmroku, w którym tylko błyszcząły brązowe ozdoby majolikowych pieców i złocenia stiukowych sufitów.

– Herr von Borowiecki! – meldował poważnie lokaj w jednym z pokojów, gdzie pod oknem, w głębokim fotelu, z pończochą w rękę, siedziała Bucholcowa.

– Gut morgen, Herr Borowiecki – odezwała się pierwsza, wyjęła drut i wyciągnęła do niego rękę jakimś automatycznym ruchem.

– Gut morgen, Madam – pocałował ją w rękę i poszedł dalej.

Kundel! Kundel! – zakrzyzczała za nim papuga, uczepiona nogami u parapetu.

Bucholcowa pogłaskała ją, uśmiechnęła się przyjaźnie do bandy wróbli, co pod oknami na drzewach się biły, popatrzyła w świat pełen słońca i znowu robiła pończochę.

Bucholca znalazł Borowiecki w narożnym gabinecie.

Siedział przed wielkim piecem z zielonych gdańskich kafli cudownie ornamentowanych, w którym palił się ogień, grzebał w nim ustawicznie swoim nieodstępny kijem.

– Dzień dobry! Kundel, krzesło dla pana – zawołał silnym głosem na lokaja, który stał przy drzwiach, gotowy na najmniejsze skinienie. Karol usiadł tuż obok niego, plecami do ściany. Bucholc podniósł swoje jastrzębie, czerwone oczy i dosyć długo świdrował twarz jego.

– Chory jestem – szepnął wskazując na nogi pookręcane w białą flanelę i leżące na taburecie, wprost ognia, niby dwa wały materiału surowego.

– Ciągłe to samo? reumatyzm?

– Tak. tak – szeptał i jakiś bolesny skurcz skrzywił mu szarżółtawą, okrągłą twarz.

– Szkoda, że pan prezes nie wyjechał na zimę do San Remo lub gdziekolwiek na południe.

– Co to pomoże, a ucieszyłbym tylko Szaję i tych wszystkich, co by chcieli, abym zdechł jak najprędzej. Kundel, popraw – krzyknął na lokaja wskazując na nogę swoją, zsuwającą się z taburetu. – Ostrożnie! ostrożnie! – krzyknął.

– Myślę, że tych, co by chcieli pańskiej śmierci, jest bardzo mało, a może i nie ma ich zupełnie w Łodzi, jestem nawet pewny, że ich nie ma.

– Co mi pan gadasz, wszyscy chcą, abym umarł, wszyscy – i dlatego właśnie na złość będę jeszcze żył długo, pan myślisz, że nie mam zazdrosnych, co?

– Kto by ich nie miał.

– Ile by dał Szaja za moją śmierć, jak pan myślisz?

– Przypuszczam tylko, że za ruinę pańską, gdyby ta była możebną, to dałby bardzo wiele, bardzo wiele pomimo swojego skąpstwa.

– Pan myślisz? – szepnął i oczy mu strzeliły płomieniem nienawiści.

– Cała Łódź wie o tym.

– Jeszcze i wtedy kogo by oszukał, bo zapłaciliby fałszywymi pieniędzmi albo weksłami bez wartości. Kundel... – opuścił głowę na pierś, na stary wutowany szlafrok z łatami na łokciach, i zapatrzył się w ogień.

Borowiecki, zaprawiony już dobrze w tej serwilistycznej subordynacji wobec milionerów, nie śmiał nic mówić, czekał cierpliwie, aż on pierwszy zacznie.

Rozglądał się po ścianach, wybitych bardzo ciemnym wiśniowym adamaszkiem jedwabnym, obwiedzionym szeroką złotą lamperią. Kilka ordynarnych oleodruków niemieckich wisiało na ścianach. Olbrzymie mahoniowe biurko stało w rogu pomiędzy dwoma oknami, przysłoniętymi ekranami z kolorowych szkieł. Linoleum, naśladujące posadzkę, pokrywało podłogę gabinetu i było nader mocno powydeptywane.

– Słucham pana – mruknął szorstko.

– Mówiliśmy o Szai.

– Dajmy spokój temu. Kundel niech tutaj przyjdzie Hamer. Co to, za pięć minut mam brać pigułki, a tego błazna nie ma jeszcze. Pan znasz wczorajsze nowiny?

– Słyszałem, pan Knoll mówił mi w teatrze.

– Pan bywasz w teatrze?

Oczy mu zaświeciły urągliwą złościwością.

– Nie rozumiem nawet, pytania pana prezesa.

– Prawda, że pan Polak, prawda, że pan von – zaczął się krzywić jakby do śmiechu.

– Przecież i pan prezes bywa w teatrze.

– Ja jestem Bucholc, panie von Borowiecki. Ja mogę bywać wszędzie, gdzie mi się podoba – podniósł głowę i dumnie, miażdżąc pa-trzył.

– Winne są teatry, że zamiast być dla niektórych ludzi tylko, stoją otworem dla wszystkich mających za co kupić sobie miejsce – szepnął Borowiecki i nie mógł powstrzymać złośliwego uśmiechu.

– Nie słucham pańskiej gadanie – stuknął ze złością kijem w głow-nie, że aż się iskry posypały na pokój.

– Daruje pan prezes, że go pożegnam – mówił Borowiecki podno-sząc się z krzesła, zirytowany ostatnimi słowami.

– Siedź pan, zaraz będzie obiad. Tu się nic ma o co obrażać, zresztą pan wiesz, jak pana cenię, pan jesteś wyjątkowym Polakiem. Knoll mówił panu o wszystkim?

– O bankructwach ostatnich.

– Tak, tak... Wyjechał za pilnym interesem i właśnie proszę pana o zastąpienie go na cały czas nie. obecności. Murray zastąpi pana w dru-karni.

– Dobrze, a co do Murraya, to bardzo zdolny człowiek.

– I głupi. Siadajże pan. Ja lubię Polaków, ale z wami wcale gadać nie można, zaraz się byle słówkiem obrazi, i bądź zdrow. Langsam, panie Borowiecki, langsam, pan nie zapominaj, że jesteś moim czło-wiekiem.

– Pan prezes za często mi przypomina, abym o tym chociaż na chwilę zapomnieć mógł.

– Uważasz pan to za niepotrzebne? – pytał patrząc na niego z uśmiechem dobrotliwym.

– Jak komu i jak gdzie.

– Ja bym panu dał konie, tylko niech pan nimi powozi bez bata i bez cugli.

– Porównanie jako porównanie nie jest złe, tylko nie bardzo można je zastosować do nas wszystkich, pracujących u pana.

– Ja go nie stosuję do pana ani do pańskich niektórych. uważasz pan, mówię niektórych kolegów, tylko do tej czarnej roboczej masy...

– I ta robocza masa to ludzie.

– Bydło, bydło – wykrzyknął bijąc kijem w taboret z całych sił. – Pan się tak nie patrz na mnie, ja tak mówić mogę, bo ja ich wszystkich żywię.

– Tak, ale oni pracują dosyć dobrze na to żywienie, zarabiają.

– U mnie zarabiają, ja im daję zarobek, oni mnie powinni całować po nogach, bo jakbym im nie dał roboty, to co?

– To by sobie znaleźli gdzie indziej – szepnął, bo złość nim miotać poczyniała.

– Zdechliby z głodu, panie Borowiecki, jak psy. Borowiecki nic już się nie odzywał, był zirytowany tą pychą głupią Bucholca, który przecież pomiędzy łódzkimi fabrykantami był unikatem z wielkiego rozumu i wykształcenia, a tak prostej kwestii nie rozumiał.

– Panie prezesie, szedłem właśnie z pigułkami, kiedy przyszedł August.

– Cicho! Jeszcze całe dwie minuty. Zaczekaj! – rzucił ostro do swojego nadwornego doktora, który się nieco zmieszał takim przyjęciem, ale stanął pokornie o kilka kroków przy drzwiach i czekał, biegając zaleknionym, niespokojnym wzrokiem po twarzy Bucholca, który, wpatrzony w stary srebrny zegarek, nachmurzony siedział w milczeniu.

– Ty się, Hamer, pilnuj, ja ci płacę za to, dobrze płacę – rzekł po chwili, nie odrywając wzroku.

– Panie prezesie!

– Bucholc mówi, cicho! – rzekł z naciskiem i uderzył go oczami. – Ja jestem punktualny, jak mi raz powiedzieli, że brać pigułki co godzina, to biorę co godzina. Pan musisz być bardzo zdrowym, panie Borowiecki, widać to po panu.

– Tak bardzo jestem zdrowy, że jakbym posiedział w fabryce w drukarni, jeszcze dwa lata, to mam pewne suchoty. Już mnie doktorzy ostrzegali.

– Dwa lata! można jeszcze dużo wydrukować towaru przez dwa lata. Hamer, dawaj!

Hamer z namaszczeniem odliczał piętnaście pigułek homeopatycznych na wyciągniętą rękę Bucholca.

– Prędszej! ty kosztujesz tyle co dobra maszyna, a ruszasz się tak powoli – syknął i połknął pigułki.

Lokaj podał mu na srebrnej tacy szklanekę z wodą do picia po lekarstwie.

– On mi każe połykać arszenik, to jakaś nowa metoda leczenia, zobaczmy, zobaczmy...



- Ja już widzę duże polepszenie w zdrowiu pana prezesa.
- Cicho, Hamer. nikt cię o to wcale nie pyta,
- Dawno pan prezes prowadzi tę arsenikową kurację? – zapytał Borowiecki.
- Trzeci miesiąc mnie już zatruwa. Możesz iść, Hamer! – rzucił wyniośle. Doktor uklonił się i wyszedł.
- Łagodny człowiek z tego doktora, ma obwatowane nerwy! – zaśmiał się Borowiecki.
- Ja mu je wataję pieniędzmi. Ja mu dobrze płacę.
- Telefon się pyta, czy jest pan Borowiecki? co mam powiedzieć? – meldował w drzwiach dyżurny przyboczny urzędnik Bucholca.
- Pozwoli pan prezes? Bucholc kiwnął niedbale głową. Karol zszedł na dół, do przybocznego kantoru Bucholca, gdzie był telefon.
- Borowiecki, kto woła? – pytał przykładając ucho do muszli.
- Lucy. Kocham cię! – drgały mu roztrzęsione odległością wyrazy w uchu.
- Wariatka! – szepnął uśmiechając się ironicznie na stronie.
- Dzień dobry.
- Przyjdź wieczorem o ósmej. Nikogo nie będzie. Przyjdź. Czekam. Kocham cię! Słuchaj, całuję cię, do widzenia.
- Istotnie, odczuł rozprysnięte mlaśnięcie, jakby odgłos pocałunku.
- Telefon zamilkł.
- Wariatka! Będzie z nią ciężko, nie zadowolni się byle czym – myślał powracając na górę i był więcej zniecierpliwionym niż uradowanym tym oryginalnym dowodem miłości.
- Bucholc, wciśnięty w fotel, położył kij na kolanach i przerzucał jakąś grubą, przepełnioną cyframi broszurę, która tak go pochłonęła, że co chwila łapał spodnią wargą przycięte krótko wąsy, co się nazywało w języku fabrycznym: „ssie nos”, a co było oznaką głębokiego zaabsorbowania.
- Stos cały listów i rozmaitych papierów leżał przy nim na niskim stoliku, cała świeżo nadeszła poczta dzisiejsza, którą zwykle sam odbierał.
- Pomoże mi pan rozsegregować listy, panie Borowiecki, zastąpi pan Knolla od razu, zresztą, chcę pana nieco zabawić.
- Borowiecki spojrzał pytająco.
- Listami. Zobaczysz pan, jakie i o co listy pisują do mnie.
- Odłożył za siebie broszurę.
- Kundel, dawaj!

Lokaj wszystkie papiery ze stolika zsywał mu na kolana.

Bucholc z szybkością nieporównaną przeglądał koperty i rzucał za siebie razem z objaśnieniem:

– Kantor!

Lokaj w powietrzu chwytał wielkie koperty opatrzone firmami.

– Knoll! – Listy z adresem zięcia.

– Fabryka!

Na tych był adres firmy dla doręczenia pracującym w fabrykach.

– Centrala! – Faktury kolejowe, zapotrzebowania, rachunki, trasy.

– Drukarnia! – Cenniki farb, próbki kolorów na cienkich kartonach i malowane wzory deseni.

– Szpital! – Listy do szpitala fabrycznego i do doktorów.

– Merienhof! – Do zarządu majątków ziemskich, który był przy głównym zarządzie fabryki.

– Osobno!

Te były niezdecydowane i szły na biurko Bucholca albo zabierał je Knoll.

– Uważaj, Kundlu! – krzyknął uderzając kijem za siebie, bo usłyszał list padający na ziemię, i znowu rzucał i komenderował ostro i krótko.

Lokaj zaledwie zdążył chwytać i wrzucać w otwory szafki z odpowiednimi napisami, którymi wpadały przez rury na dół, do przybocznego kantoru, skąd jr rozwożono natychmiast i roznoszono.

– A teraz będziemy się bawić! – szepnął skonczywszy rzucać, zostało mu na kolanach tylko z dziesięć listów różnych formatów i kolorów. – Bierz pan i czytaj!

Karol rozdarł kopertę pierwszego listu, równą opatrzoną monogramem, i wyjął list pachnący fiołkami, pisany wykwintnym kobiecym charakterem.

– Czytaj pan, czytaj – szepnął widząc, że Borowiecki przez dyskrecję się ociaga.

„Jaśnie wielmożny panie prezesie! Ośmielona rozgłosem i czcią, z jaką wszystko, co nieszczęśliwe, wymawia imię pana prezesa, udaję się do niego z błagalną prośbą o pomoc, udaję się tym śmielej, iż wiem, że czcigodny pan nie zostawi prośby mojej bez odpowiedzi, jak nigdy nie zostawia niedoli ludzkiej, łez sierocych, i cierpień i nieszczęść bez wsparcia i opieki. Znane jest twoje dobre serce w całym kraju, znane!

Bóg wie, komu dawać miliony!”

– Ha, ha, ha! – śmiał się cicho i tak serdecznie, iż mu oczy na wierzch wychodziły.

„Nieszczęścia nas prześladowały, grady, pomór, susze, ogień, i doprowadziły do ostatecznej ruiny i takiej, że dzisiaj mąż mój sparaliżowany dogorywa.”

– Niech zdechnie! – rzucił twardo.

„A ja z czworgiem dzieci umieram z głodu. Zrozumie pan prezes okropność mego położenia, okropność tego kroku, jaki robię ja, wychowana w innej sferze, jako kobieta z towarzystwa, muszę się poniżyć i nie dla siebie, bo raczej umarłabym z głodu, ale to czworo niewinnych dzieci!”

– Daj pan spokój, to nudne. W końcu czego ona chce?

– Pożyczki na założenie sklepu, w ilości tysiąca rubli – rzekł Karol przeczytawszy spieszenie resztę listu, pisanego wciąż w tym płaczliwie sztucznym stylu.

– W ogień! – zakomenderował krótko. – Czytaj pan dalej.

Teraz był list mozolnie wykaligrafowany jakiejś wdowy po urzędniku, która miała sześcioro dzieci

i sto pięćdziesiąt rubli emerytury i prosiła o danie jej w komis sprzedaży resztek fabrycznych, aby mogła wychować dzieci na dobrych obywateli kraju.

– W ogień! Ja na tym dużo stracę, jak z nich będą złodzieje.

potem następował list jakiegoś szlachcica, pisany nie bardzo ortograficznie, na papierze pachnącym śledziami i piwem, widocznie pisany w jakiejś restauracji małomiasteczkowej, w którym ten przypominał, że przed laty miał przyjemność znać Bucholca i jako mu wtedy sprzedawał parę koni.

– Ślepych!... Znam go, on pisuje co rok, jak się rata kwietniowa zbliża, nie czytaj go pan dalej, ja wiem, co tam jest, prośba o pieniądze i zaklinanie, że szlachcic szlachcica bronić powinien! Głupiec! W ogień.

I tak dalej szły listy: od wdów z dziećmi, bez dzieci, z mężami chorymi lub matkami, od sierot, od okaleczonych w fabryce, od ludzi poszukujących posad, od techników, inżynierów, od rozmaitych wynalazców, którzy obiecywali zrobić przewrót w przemyśle bawełnianym, a tymczasem żądali pożyczki na dokończenie studiów i modeli; był nawet jeden list miłosny, wyznanie jakiejś znanej dawniej, która nigdy zapomnieć nie mogła w obecnej niedoli szczęścia dawnego.

– W ogień! W ogień! – zakrzyczał trzęsąc się ze śmiechu i nie chciał słuchać szumnych, patetycznych

tyrad, zaklęć, błagań, zakończonych prośbą o pożyczkę.

– Uważasz pan, jak ludzie mnie cenią! jak kochają moje ruble!

Były listy i wymyślające najohydniej. Karol się powstrzymał, nie wiedząc, czy czytać. – Czytaj pan, wymyślają mi, ja to lubię, to przynajmniej szczerze, a często zabawniejsze niż tamte. Karol czytał list zaczynający się od słów: „Her – reszcie złodziejów łódzkich” – przechodził całą skalę klątw i wymyślań, z których najłagodniejsze brzmiały: „Świnio niemiecka, łotrze, zbrodniarzu, pijawko psie podły, kartoflarzu” – a kończył się takim frazesem: „Jeśli cię pomsta boska minie, to cię kara ludzka nie minie, ty podły psie i dręczycielu.” List był bez podpisu.

– On ma humor. Ha, ha, ha, wesołe bydłę.

– Wie pan prezes, że ja już mam dosyć, już mi obrzydło.

– Czytaj pan, napij się pan szaflikiem całym tych zgrzecz ludzkich, to dobrze robi na otrzeźwienie. To należy do psychologii Łodzi i waszego niedołęstwa.

– Nie wszystkie listy są od Polaków, są i po niemiecku, nawet większa część jest w tym języku.

– To właśnie dowodzi, że są wszystkie od Polaków. Wy macie zdolność do języków i do zebraniń wy to dobrze robicie – mówił z naciskiem.

Karol popatrzył na niego oczami, w których zaczęły błyskać zielone skry gniewu i nienawiści, ale czytał dalej, jakąś denuncjację na głównego magazyniera, że kradnie towary.

– Daj pan, o tym trzeba się przekonać. Schował list do kieszeni.

Były jeszcze skargi na majstrów, były pogrożki odprawionych z roboty, były i takie denuncjacje, że któryś powiedział na Bucholca: „Świnia z wypalonymi oczami” „Stary złodziej”, pisane ołówkiem na kawałkach papieru opakunkowego.

– Daj pan ten list, to ważny, drogi dokument, co o mnie mówią moi ludzie – i uśmiechał się pogardliwie.

– Pan myślisz, że ja codziennie czytam takie listy? Ha, ha, ha, August nimi podpala w piecu, cała korzyść z tego naciągania.

– A swoją drogą pan prezes rocznie daje kilka ty sięcy rubli na różne cele publiczne.

– Daję, daję, bo mi je z gardła wydzierają, bo

muszę dla świętego spokoju rzucić jaką kość dla hołoty.

– Dawniejsza zasada: „szlachectwo obowiązuje”, zmieniła się dzisiaj na: „miliony obowiązują”.

– Głupia, nihilistyczna zasada. Co mnie obchodzi, że zdychają z głodu, niech zdychają. Zawsze jakaś część ludzi musi nic nie mieć. Mnie nikt nie dał ani grosza, wszystko musiałem sobie wyrwać, wyrobić, więc dlaczego ja mam dawać drugim, za co? Niech mi kto udowodni, że powinienem. Komu ja mam dawać? Panom, którzy przehulali majątki, niech ich diabeł weźmie. Tu u was wszyscy chcą brać, a nikt robić nie chce. Mógł który z was tak jak ja przyjść do Łodzi, zabrać się do roboty, zrobiłby tak samo jak ja majątek. A dlaczego tak nie było? bo wyście w tym czasie robili u nas rewolucję... Ho! ho! Donkiszoci! – splunął z pogardą na własne nogi i śmiał się długo, rozbawiony niesłychanie.

Karol chodził po pokoju nie chcąc nic mówić i chociaż zaczynało się w nim wszystko trząść z gniewu, milczał i udawał obojętnego, wiedział, że Bucholca nie przekona, a nie chciał mu się narażać.

Bucholc zauważył to pewne udreczenie, jakie sprawiał Borowieckiemu, i dlatego właśnie gadał coraz boleśniejsze dla niego rzeczy, torturował go z rozmysłem; lubił, sprawiało mu to niezwykłą przyjemność, jeśli mógł męczyć kogoś i pluć w ludzkie dusze. Leża! nieomal w fotelu, z nogami, które się prawie przypiekały przy ogniu ustawicznie podsycanym, a w którym co chwila grzebał kijem; z twarzą szarozółtą niby trupa rozkładającego się, w której świeciły krwawo oczy złością i urąganiem. Okrągła czaszka, pokryta resztkami siwych włosów, odrzynała się jaśniej od ciemnego tła fotelu.

Nie zamykał prawie ust, tylko z coraz większą pasją pluł na wszystko i kopał wszystko. Wyglądał niby bożek pookręcany w łachmany i szmaty, który w głębi swej świątyni złotej leży na milionach i nimi potężny urąga wszystkiemu, drwi ze słabości, szydzi z uczuć i samo człowieczeństwo nie podniesione milionami ma w pogardzie.

Przerwał mu wreszcie lokaj, meldujący obiad. Dwóch ludzi wzięło z nim fotel i niosło do jadalni, położonej na drugim końcu domu.

– Pan umiesz słuchać, pan jesteś mądry człowiek! – szepnął do Karola, idącego tuż obok.

– To było wszystko bardzo ciekawe, co pan mówił, zajmowało mnie to bardzo jako materiały do patologii milionerów – rzekł poważnie, patrząc mu się w oczy.

– Panie!... Nie przechylaj! – ryknął na lokaja, niosącego z lewej strony, uderzając go kijem w głowę. – Panie Borowiecki, ja pana szanuję bardzo, daj pan rękę. My się rozumiemy, my możemy dobrze żyć ze sobą, licz pan zawsze na mnie.

W jadalni była już Bucholcowa i gdy męża ustawili przy stole, pocałowała go w głowę podając w zamian swoją rękę do ucałowania, usiadła naprzeciwko.

Doktor był także, przystąpił pierwszy do Borowieckiego i przedstawił się.

– Hamerstein, dr Juliusz Gustaw Hamerstein – powtórzył z naciśkiem, gładząc wielką konopiastą brodę, spływającą mu aż do pól piersi.

– Doktor homeopatii i wegetarianizmu. Kundel, kosztuje mnie cztery tysiące rubli rocznie, wypala moje drogie cygara i obiecuje, że albo mnie wyleczy, albo umrę...

Doktor chciał coś oponować, ale stara bardzo cichutkim głosem zapraszała do obiadu, który zaraz lokaje zaczęli roznosić.

Rozmowa toczyła się po niemiecku.

– Pan nie wegetarianin? – pytał Hamerstein wyciągając brodę spod serwetki, w jaką był obwiązany.

– Nie, panie. Jestem zupełnym panem wszystkich swoich władz – odparł dość cierpko, bo mu się niesmaczną wydała ta figura, jakby rozlana, z wielkim brzuchem, z wielką twarzą, z olbrzymią łysą czaszką? świecą jak rondel świeżo wyczyszczony.

Hamerstein poruszył się niecierpliwie, rzucił pogardliwe spojrzenie spod wypukłych niebieskich okularów i rzekł sucho:

– Każda prawda bywa zawsze z początku wyśmiewaną.

– Pan ma dużo zwolenników w Łodzi?

– Siebie i moje psy chore na parchy, bo im weterynarz nie kazał dawać mięsa – drwił Bucholc, który siedział przy stole, ale nie jadł nic prócz kaszy owsianej z mlekiem.

– Co Łódź, co cała Polska – barbarzyństwo!

– Dlatego pan przyjechał? Dobre pole do apostołstwa.

– Ja napisałem książkę o wegetarianizmie pod tytułem Naturalne pożywienie, mogę ją panu przysłać.

– Dziękuję, przeczytam z ciekawością, ale wątpię, czy pan zyska we mnie adepta.

– Pan prezes to samo mówił z początku, a teraz...

– A teraz jesteś głupi, mój Hamer, bo tego nie rozumiesz, że jak się jest chorym, a cała głupia medycyna nie pomaga, to człowiek gotów jeździć do owczarzy, do księdza Kneippa, wreszcie nawet do twojej elektryczno – homeopatycznie – wegetariańsko-arszenikowej metody.

– Bo ona jedynie pomaga, bo zasada homeopatii: similia similibus curantur, jest zasadą naturze ludzkiej najbardziej odpowiednią, jest jedynie prawdziwa. Pan prezes stwierdza ją na sobie najlepiej.

– Dotychczas tak, ale jak się zmieni na gorsze, to możesz być doktor pewnym, że cię obję kijem i każę razem z całą twoją błagą zrzucić ze schodów.

– Kto daje nowe prawdy, bierze w nagrodę męczeństwo – szepnął sentencjonalnie, dmuchając w mleko.

– Daj spokój z męczeństwem, ty bierzesz w nagrodę cztery tysiące rubli i twarz ci się świeci sadłem jak latarnia.

Doktor podniósł w górę okulary, jakby powoływał sufit na świadka, ile cierpi, i jadł dalej kaszę z mlekiem.

Półmisek sałaty z oliwą i drugi z kartoflami stał przed nim.

Umilkli.

Lokaje niby cienie przemykali się bez szelestu, śledząc, co mógł kto potrzebować.

Jeden stał za Bucholcem i podawał natychmiast to, na czym wzrok jego zatrzymywał się.

– Kundel! – mruczał czasami Bucholc, gdy się opóźnił lub źle podał.

Bucholcowa z drugiej strony stołu siedziała nie biorąc zupełnie udziału w rozmowie.

Jadła bardzo wolno, żując przednimi zębami, uśmiechała się niby maska woskowa bladymi ustami, spoglądała martwym wzrokiem na Borowieckiego, poprawiała chwilami koronkowy czepeczek, który stroił jej siwe włosy gładko przyczesane nad czołem żółtym i suchym, o pozapadanych skroniach, głaskała papugę, wiszącą na poręczy krzesła niby pęk barw najjaskrawszych, małą, pomarszczoną, żółtą ręką.

Gdy jej było czego potrzeba, kiwała na lokaja i mówiła mu szeptem prawie niedosłyszalnym albo pokazywała palcem. Siedziała niby mumia, żyjąca tylko w pozostałych, automatycznych, najdłużej trwających ruchach.

Obiad był najzwyczajniejszy, na sposób niemiecki. Mało mięsa, a wiele jarzyn.

Zastawa bardzo zwykła: platery dobrze już zużyte, porcelana powyszczerbiana, malowana w gołąbki na brzegach talerzy.

Dla Borowieckiego tylko podano koniak i kilka gatunków win, które mu sam Bucholc nalewał zachęcając:

– Pij pan, panie Borowiecki, to jest dobre wino.

Koniec obiadu szedł milcząco i nudnie.

Cisza panowała przytłaczająca, czasem tylko papuga nic nie mogąc ściągnąć ze stołu krzyczała: „Kundel!” Ale to samo rzucał szeptem Bucholc pod adresem lokaja. A każde słowo czy dźwięk rozlegało się echem, prawie huczało w tej wielkiej jadalni, w której mogło się pomieścić dwieście osób, obstawionej ciemnymi, dębowymi kredensami rzeźbionymi w stylu staroniemieckim i zydami w tymże samym stylu.

Wielkie okno weneckie, wychodzące na mury fabryk, dawało niewiele światła, rozświetlało tylko ten koniec stołu, przy którym siedzieli, reszta tonęła w jakimś rdzawym zmroku, z którego wynurzali się co chwila jak czarne cienie – lokaje.

Słońce przedarło się z boku okna i rozlało smugę czerwonawego, przedzachodniego światła na pół stołu.

– Zastoń! – krzyknął Bucholc, bo nie lubił słonecznego światła, i patrzył z lubością w żyrandol, który rozbłysnął elektrycznością.

Obiad się wreszcie skończył na pociechę Karola, któremu się już spać zachciało w tej ciszy i nudzie.

Stara tak samo pocałowała męża w głowę, nadstawiając w zamian rękę i wyciągnęła ją następnie automatycznym ruchem do Borowieckiego, który już nie siedział długo, zamienił kilka słów po cichu z doktorem, bo Bucholc drzemał w fotelu, i nie żegnając się z nim, wyszedł.

Jadalnia zupełnie opustoszała, został tylko śpiący Bucholc w fotelu i lokaj stojący o parę kroków, nieruchomy, wpatrzony, gotowy na każde skinienie.

Borowiecki, wydostawszy się na ulicę, na świeże powietrze i na jasny, słoneczny dzień, odetchnął z uczuciem ulgi ogromnej.

Odesłał konie Bucholca czekające na niego i poszedł pieszo, minął park i obok fabryki skręcił z Piotrkowskiej w małą nie brukowaną uliczkę, biegnącą w pola i z jednej strony obstawioną długimi, posepnymi koszarami dla robotników.

Smutnie tam było i brzydko.

Wielkie, dwupiętrowe szopy kamienne bez najmniejszych ozdób, nagie, czerwieniące się boleśnie nędzną cegłą ścian wykruszanych przez wiatry, przeglądały się w ulicy, pełnej cuchnącego błota; setki



małych poprzepalanych okienek z rzadka bielejących się firankami lub ozdobionych doniczkami kwiatów, patrzyło w potężne korpusy fabryki rozkładając się po drugiej stronie drogi za wysokim parkanem i szeregiem olbrzymich topoli z uschniętymi czubkami, co stały niby szkielety groźne, rozgraniczając te smutne katakumby ludzkie, do jakich miały podobieństwo domy robotnicze, od fabryk, które w ciszy niedzielnego odpoczynku, oniemiałe, milczące, a potężne ogromem, wygrzewały w wiosennym słońcu, swoje potworne cielska i błyskały ponuro tysiącami okien.

Borowiecki przesuwiał się pod domami, po wąskich kładkach i kamieniach, miejscami zupełnie zalany przez błoto, które niby wodą falowało i rozpryskiwało się aż na parterowe okna– i na drzwi prowadzące do sień i kurytarzów, w których huczały krzyki dzieci.

Za domami wszedł do długiego ogródka, graniczącego przez drogę z polami rozległymi, na których w oddaleniu czerwieniły się mury fabryk i porozrzucane samotnie domy. Wiatr stamtąd zawiewał zimny i wilgotny i szeleścił liśćmi żywopłotów grabowych, co uschnięte, żółte, trzęsły się za każdym powiewem i opadały na czarne, rozmiękle uliczki ogródka.

W ogrodzie stał wysoki, jednopiętrowy dom, w którym mieszkał jego pomocnik Murray, było w tym domu i jego mieszkanie, jakie mu fabryka wyznaczyła, całe piętro lub parter do wyboru, ale Borowiecki miał nieprzezwyciężony wstręt do tego mieszkania smutnego.

Z jednej strony z okien widać było podwórza domów robotniczych: od frontu szedł ogródek i widok na fabrykę, a z lewej szła tak samo jak od frontu ostatnia zamiejska ulica, nie brukowana, otoczona rowami o kilkołokciowej głębokości, nad którymi rosły stare, umierające drzewa, chylące się coraz bardziej, podmywane ściekami spływającymi z sąsiednich fabryk, a za nimi oczy leciały po wielkim kawale ziemi, pełnej dołów, kałuż, gnijącej wody, zafarbowanej odpływami z blichów i apretur, stosów rumowisk i śmieci, jakie tutaj wywożono z miasta, rozwalonych pieców cegielnianych, grup drzew poschniętych, śladów zagonów, kup gliny pozostawionej od jesieni, domków skleconych z desek i małych fabryczek pod samym lasem szajblerowskim, co swoją zdrową czerwonością i martwymi, twardymi konturami raziły wprost oczy.

Nie cierpiał tego łódzkiego krajobrazu, wolał mieszkać w wynajętym mieszkaniu i niezbyt wygodnym, ale mieszkał w mieście i z przyjaciółmi, z którymi łączyła go nie tyle przyjaźń, co dawna zażyłość i

przyzwyczajenie wieloletnie. Razem mieszkali przez cały czas studiów w Rydze, razem jeździli za granicę i razem przed kilku laty znaleźli się w Łodzi.

Borowiecki był chemikiem-kolorystą, Baum tkaczem i przedsiębiorcą, a Welt skończył kursa handlowe,

W Łodzi mieli swoje nazwy złośliwe: Welt i dwa duże B. albo: Baum i S-ka, czyli trzech braci łódzkich.

Murray wybiegł aż do ogródka na spotkanie i już z daleka wycierał ręce, które mu się wciąż pocily, wielką jak prześcieradło, żółtą chustką.

– Myślałem, że pan już wcale nie przyjdzie.

– Przecież obiecałem.

– Jest u mnie jeden młody warszawiak, który niedawno przyjechał do Łodzi.

– Któż taki? – pytał obojętnie, zdejmując palto w przedpokoju obwieszonym aż po sufit sztychami przeważnie nagich kobiet.

– Handlowiec, zakłada jakąś agenturę.

– U diabła, na dziesięciu spotkanych na ulicy sześciu jest świeżo przybyłych i zakładających agentury, a dziewięciu chcących zrobić miliony.

– Toteż się w Łodzi robi gęsto.

– Ba, żeby ci nowi byli kolor, ale to b e j c najpodlejszy.

Kozłowski, ów warszawiak, podniósł się niedbale z kanapki na przywitanie i opadł z powrotem ciężko, pił ustawicznie herbatę, którą mu z samowara nalewał Murray.

Rozmowa zawiązała się żywo, bo Murray był rano w mieście i opowiadał o skutkach bankructw.

– Ze dwadzieścia firm diabli wezmą zaraz, a z ilu takie plajty wypuszczą krew, to się pokaże. W każdym razie Wolkman się chwieje, Grosman, zięć Grunspana, oblicza się; Fryszman, mówią, że on tylko czekał takiej okazji i zaraz dzisiaj z wielkim pośpiechem' położył się, bał się, żeby mu czasem nie przeszkodził, potrzebuje zarobić, ma wypłacać posag zięciowi. Mówią, że i Trawiński latał dzisiaj po bankierach, coś z nim źle, pan go zna, panie Borowiecki.

– Nasz kolega z Rygi.

– Widzę, że tutaj cała Sodoma i Gomora – wykrzyknął Kozłowski mieszając herbatę.

– A cóż w Warszawie słyhać, wciąż Mikado? – zapytał Karol drwiąco.

– Mówi pan o dawnej przeszłości, o bardzo dawnej.

– Nie jestem au courant spraw warszawskich, przyznaję się szczerze.

– Widzę to, otóż u nas panuje teraz Ptasznik z Tyrolu, wspaniała heca.

Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój!

Zaczął nucić bezwiednie i z lubością.

– Powiadam panu, że Czosnowska jest boska po prostu.

– Cóż to za dama?

– Pan nie wie? Naprawdę pan nie wie? ha, ha, ha! – zaczął się śmiać na całe gardło.

– Panie Robercie, pokażcie mi to nowe urządzenie – prosił Karol.

I wyszli zaraz na drugą stronę domu.

– Ależ to cały magazyn pięknych mebli! – wykrzyknął zdziwiony.

– Co, ładne, prawda? – szeptał z dumą i zadowoleniem i jego wybladłe oczy promieniowały, szerokie usta śmiały mu się, gdy pokazywał całe urządzenie domu.

Był salonik maleńki, elegancki, zapchany meblami o żółtych obiciach, stojącymi na bladofiołkowym dywanie, obwieszony portierami, także żółtymi.

– To jest ładna kombinacja! – zawołał Karol, z przyjemnością patrząc na harmonię, w jaką zlewały się barwy.

– Co, ładne, prawda? – wołał uszczęśliwiony wycierając wciąż ręce, żeby dotknąć jedwabnych sznelowych firanek.

Garb mu drgał i unosił co chwila surdut na plecach, który obciągał ustawicznie.

– To będzie jej pokój, jej buduar – szepnął cicho, z namaszczeniem wprowadzając do maleńkiego pokoiku, zastawionego miniaturowymi sprzętami i masami cacek porcelanowych.

Pod oknem wielka żardinierka złożona dźwigała cały bukiet kwitnących różnokolorowych hiacyntów.

– Ależ pan o niczym, jak widzę nie zapomniałeś.

– Ja myślę o tym przecie – rzekł mocno, wytarł ręce, obciągnął surdut i kościsty długi nos wsadził w kwiaty, głęboko oddychając ich zapachem.

Pokazał mu jeszcze sypialnię i mały pokoik od tyłu.

Wszystkie były również elegancko i z komfortem umeblowane, wszędzie znać było rękę człowieka znawcy i kochającego bardzo przyszłą swoją żonę.

Wrócili do saloniku. Karol usiadł i patrzył z uczuciem podziwu na niego.

– Znać, że pan kochasz głęboko – szepnął.

– Kocham, kocham bardzo! Żebyś pan wiedział. jak wciąż myślę o niej.

– A ona?

– Cicho!... nie mówmy o tym – przerwał prędko, zmieszany jego zapytaniem.

Zaczął strzepywać z krzesła jakiś pył nie istniejący, aby pokryć wzruszenie.

Karol zamilkł, palił papierosa i czuł, że go obejmuje senność; usadowił się wygodniej w fotelu, palił, przymykał oczy lub patrzył przez okno w sine niebo, na którym w dali rysowały się czarne sylwetki kominów fabrycznych.

Cisza ich ogarnęła senna.

Murray wycierał ręce, obciągał surdut, gładził całą dłonią swoje potężne, czysto wygolone szczęki i zapatrzył się w dywan, w te blade kwiatki margeritek, jakie zajmowały środkowe pole.

Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój!

Drgał przyduszonymi dźwiękami śpiew Kozłowskiego i cichy głos fortepianu przeciskał się do saloniku, i niby słodką rosą dźwięków opadał na ich głowy.

Borowiecki walczył ze snem, pociągał papierosa, ale ręka mu ciężła i opadała na poręcz fotelu.

Murray się rozmarzał przyszłym szczęściem, żył tą nadzieją ożenienia się.

Jego miękka, prawie kobieca dusza rozpływała się w tysiącnych drobiazgach, którymi napełnił mieszkanie, i z góry cieszył się wrażeniem, jakie to musi zrobić na żonie.

Chciał mówić, ale spostrzegł, że Borowiecki śpi w najlepsze, zrobiło mu się trochę przykro, więc nie budząc go przysłonił okno storą, wyjął mu z ręki palącego się papierosa i wyszedł na palcach.

Kozłowski wciąż śpiewał i brzdąkał na fortepianie.

– Może pan zaśpiewa jaką miłosną, tylko bardzo taką, no, gorącą piosnkę! Ja panu tymczasem naleję herbaty – prosił Anglik Murray.

– Z jakiej operetki?

– Ja nie wiem z jakiej. Ja tylko bardzo lubię śpiewy miłosne.

Kozłowski bardzo chętnie zaczął mu wyśpiewywać rozmaite popularne w Warszawie piosnki.

– Widzi pan, to nie to, ja nie umiem nazwać, bo za mało znam wasz język, ale chciałbym coś słodkiego i ładnego, te, co pan śpiewał, są ordynarne bardzo.

– Proszę pana, ja je we wszystkich warszawskich salonach śpiewałem.

– Ja panu wierzę, źle powiedziałem, bo one są ładne, tylko zaśpiewaj pan jeszcze.

Kozłowski zaczął nucić półgłosem ze swego niewyczerpanego repertuaru piosnki Tostiego; śpiewał niestrudzenie i wszystkie, jakie umiał; jego tenorowy, mały, ale metaliczny głosik, umyślnie przytłumiony, dźwięczał prześlicznie.

Murray zasłuchał się cały, zapomniał nalewać herbaty, nie wycierał rąk, nie obciągał surduta, tylko całą duszą pił tę słodką, namiętą, pałacą, to znowu melancholijną muzykę, słuchał całą istotą, aż mu oczy pływały we łzach zachwytu, a małpia długa twarz drgała ze wzruszenia.

## VI

Moryc Welt wyszedł koło jedenastej z domu, jak mówił Mateusz Borowieckiemu, i włókł się raczej, niż szedł, trotuarem. wystawionym na słońce, zatopiony w jakiejś kombinacji finansowej, bo nie widział znajomych, jacy mu się kłaniali. Patrzył na ludzi i na miasto tęnym wzrokiem zamyślenia.

– Jak to urządzić? Jak to urządzić? – myślał w kółko.

Słońce świeciło jaskrawo nad Łodzią, nad tysiącami kominów, co stały w ciszy niedzielnego odpoczynku i w czystym, przejrzystym powietrzu; nie zaciemnionym dymami, rdzawiły się niby potężne pnie sosen. opłynięte błękitnawym, wiosennym powietrzem.

Masy robotników, poubieranych świątecznie w letnie jasne ubrania, w krzyczące kolorowe krawaty. w czapki o mocno błyszczących daszkach lub wysokie, dawno wyszłe z mody kapelusze, z parasolami w rękach, zalewało Piotrkowską, ciągnęli sznurami. z bocznych ulic i tłoczyli się na trotuarach tym ciężkim ruchem masy, która z biernością poddaje się wszelkiemu parciu; robotnice w cudacznym jaskrawym kapeluszach, w sukniach do figury, w jasnych pelerynkach, to znowu w chustkach kraciatych na ramionach, z włosami gładko przyczesanymi i świecącymi pomadą i szpilkami złotymi, czasem wetkniętym sztucznym kwiatkiem, dreptały wolno, rozpierając się łokciami w tłumie, ochraniając często w ten sposób sztywne, mocno wykrochmalone suknie albo rozpięte nad głowami parasolki, które jak wielkie motyle o tysiącach barw chwiałały się nad tą szarą, wciąż płynącą rzeką ludzką, wzbierającą po drodze nowymi przyplływami z bocznych, poprzecznych ulic.

Podnosili oczy ku słońcu, oddychali wiosną, jaką czuć było w powietrzu, i szli naprzód ociężale, krepowani świątecznym ubraniem, tą względną ciszą ulicy, swobodą, niedzielnym wypoczynkiem, z którego nie umieli korzystać, z utkwionymi w jeden punkt oczami, oślepieni blaskami, w których te masy twarzy kredowobiałych, żółtych, szarych, ziemistych, pozapadanych, bez krwi, którą powypijały z nich fabryki, wyglądały jeszcze nędzniej. Przystawali przed wystawami sklepów zapelnionych tandetą albo odpływali drobnymi strumykami do szynków.

Z dachów, z popsutych rynien, z balkonów lała się woda strumieniami na głowy przechodzących i na zabłocone trotuary; wczorajszy śnieg topniał i ściekał po frontach pałaców i domów, żłobiąc długie, czarne smugi po ścianach pokrytych pyłem węglowym i sadzami.

Bruk uliczny, pełen dziur i wybojów, był pokryty masą lepkiego błota, które, rozbijane przejeżdżającymi dorożkami i powozami, opryskiwało trotuary i spacerujących.

A nad tym, po obu stronach ulicy ciągnącej się olbrzymią linią aż do Bałut, stały zbitą masą domy, pałace podobne do zamków włoskich, w których były składy bawełny; zwykle pudła murowane o trzech piętrach, poobdzierane z tynków; domy zupełnie stylowe o złożonych balkonach żelaznych barocco, powyginane, wdzięczące się, pełne amorków na fryzach i nad oknami, przez które widać było szeregi warsztatów tkackich; malutkie, drewniane pogięte domki o zielonych omszonych dachach, za którymi wznosiły się w dziedzińcach potężne kominy i korpusy fabryk, tuliły się do boku pałacu o ciężkim renesansowo-berlińskim stylu, z czerwonej modelowej cegły i wszystkich odrzwiach i futrynach z kamienia, z wielką płaskorzeźbą na frontonie, przedstawiającą przemysł, o dwóch bocznych pawilonach zakończonych wieżami, a rozdzielonych od głównego korpusu przesłiczną żelazną kratą, za którą w głębi wznosiły się kolosalne mury fabryki; domy ogromem i wspaniałością podobne do muzeów, a które były składami gotowego towaru; domy przeładowane ozdobami w różnych stylach, bo na parterze renesansowe kariatydy podtrzymywały murowany ganek w staroniemieckim stylu, nad którym drugie piętro a la Louis XV wdzięczyło się falistymi liniami w obramowaniu okien, a zakończyły facjatki pękate, podobne do pełnych szpulek; domy, które z powagą świątyń wznosiły mury ogromne, ozdobione surowo, pełne majestatu. na których złociły się litery ryte w tablicach marmurowych: „Szaja Mendelsohn”, „Herman Bucholc” itd.

Była to zbieranina, śmietnik wszystkich stylów stosowanych przez murarzy, najeżona wieżyczkami, oblepiona sztukateriami, które wciąż oblatywały, pocięta tysiącami okien, pełna kamiennych balkonów, kariatyd, facjatek niby ozdobnych, balustrad na dachach, wspaniałych bram, gdzie szwajcarowie w liberii drzemali w aksamitnych fotelach, i zwykłych otworów, którymi błoto uliczne wlewało się na straszne, podobne do gnojowisk podwórza; sklepów, kantorów, składów, sklepików nędznych, przepelnionych brudem i tandetą, pierwszorzędnych hoteli i restauracyj, najohydnie j szych szynków, przed którymi wy-

grzewali się na słońcu nędzarze – milionów, które przelatywały ulicą w przepięknych powozach, zaprzęzonych w amerykańskie rysaki po dziesięć tysięcy rubli sztuka – nędzy, która się przewalała ulicami z sinymi ustami rozpaczy i ostrym wzrokiem wiecznego głodu.

– Cudne miasto – szepnął Moryc stojąc na rogu pasażu Meyera i przymrużonymi oczyma patrząc po tych nieskończone długich groblach domów, co ścisnęły ulice. – Cudne miasto, ale co ja na tym zarobię – myślał drwiąco i wszedł do cukierni narożnej, już zapchanej prawie po wierzch.

– Melanz! – zawołał na chłopaków, biegających we wszystkie strony, wcisnął się na jakieś miejsce wolne, przerzucił machinalnie ostatni „Berliner Borsen Courier” i znowu zapadł w rozmyślenia; myślał, skąd wydestać pieniędzy, a potem, jak urządzić, aby na tym bawelnianym interesie, o który zrobił z przyjaciółmi układ kilka godzin temu, zarobić jak najwięcej.

Maurycy Welt za bardzo był łódzkim „Grunderem”, żeby mógł mieć jakie wahania sumienia, przeszkadzające mu zrobić dobry interes chociażby na skórze przyjaciół, jeśli ten interes sam mu wszedł w ręce.

Żył w świecie, w którym oszustwa, podstępne bankructwa, plajty, wszelkiego rodzaju szwindle, wyzysk – były chlebem codziennym, wszyscy się tym łakomie karmili, zazdrozczono głośno sprytnie ułożonych łajdactw, opowiadano sobie po cukierniach, knajpach i kantarach coraz lepsze kawały, admirovano tych publicznych oszustów, wielbiono i czczono miliony, nie bacząc, skąd pochodzą; co to kogo obchodziło, zarobił czy ukradł, byle te miliony miał.

Niezręcznych lub nie mających szczęścia spotykały drwiny i ostre sądy, brak kredytu, odmowa zaufania – szczęśliwy miał wszystko; mógł dzisiaj zrobić plajtę i płacić dwadzieścia pięć za sto, jutro ci sami, których okradł, dadzą mu jeszcze większy kredyt, bo swoje straty odbiją na innych robiąc plajtę na piętnaście procent za sto.

Moryc myślał właśnie, jak by zarobić na spółce i jak by zarobić bez spółki.

– Kupić na wspólne konto co bądź, tylko dla zamydlenia oczów, a kupować, co się da, na swoje własne conto – to była idea, jaka mu od rana przewiercała mózg – rzucał kolumny cyfr na marmurowy blat stolika, sumował, przekreślał, ścierał i pisał na nowo niestrudzenie, niewiele zważając, co się około niego dzieje.

Wyciągano do niego przez głowy obok siedzących ręce, ścisnął je, nie wiedząc komu.



– Morgen! – rzucał na odpowiedź i na przywitanie tym, których spostrzegł, i zagłębiał się w najniemożliwsze kombinacje.

Nie mógł znaleźć ani sposobu, ani pieniędzy. Kredyt miał wyczerpany i zaangażowany w agenturze. Weksli nie mógł już więcej wystawić, jeśli nie podeprze dobrym, solidnym żyrem

– Kogo wziąć na żyro? – to mu się teraz tłukło po mózgu.

– Melanz! – rzucił znowu kelnerom, którzy w gwarze i tłoku, laki zapelniał cukiernię, kręcili się pomiędzy stolikami, z tacami kaw i herbat nad głowami.

Zegar z kukułką wykukał pierwszą.

Z cukierni zaczął się wolny odpływ na ulicę, na spacer.

Moryc wciąż siedział, naraz oczy mu rozbłysły, rozczesał palcami swoją wspaniałą, aksamitną brodę, wcisnął mocno binokle na nos i zaczął prędko mrugać oczami.

Przyszedł mu na myśl stary Grunspan, właściciel wielkiej fabryki chustek wełnianych pod firmą:

„Grunspan et Landsberger”, jego bliski kuzyn, bo brat matki.

Postanowił iść do niego i jeśli się da, wziąć go na żyro, a jeśli nie, to wciągnąć go do interesu na spółkę.

Rozpromienienie i radość z odkrycia trwała krótką chwilę, bo przypomniał sobie, że Grunspan zrujnował własnego brata i układał się już parę razy. Z takim nie bardzo bezpiecznie robić interesy.

– Plajciarz, oszust! – mruczał zirytowany, czując, że go nie weźmie na żadne żyro, ale pomimo to iść postanowił.

Zaczął się rozglądać po cukierni, po wąskim, ciemnym i długim, pokoju, prawie już pustym, bo tylko pod oknami siedziało kilkunastu młodych ludzi, zatopionych w wielkich płachtach gazet.

– Panie Rubinroth! – zawołał na młodego chłopaka, siedzącego pod lustrem, który ze szklanką w jednej ręce, z ciastkiem w drugiej, siedział pochylony nad rozłożoną na stoliku gazetą.

– Słucham pana? – wykrzyknął zrywając się na nogi.

– Jest co?

– Nic nie ma.

– Powinienem był to wiedzieć rano.

– Nic nie było i dlatego nie zawiadamałem, bo myślałem...

– Pan słuchaj, a nie myśl, to do ciebie nie należy. Ja panu powiedziałem raz na zawsze, żeby mi rano do mieszkania dawać znać co-dziennie, czy było lub nie było, to nie pańska rzecz, pańska rzecz jest

mi donosić, ja za to panu płacę. Na ciastko i gazetę jeszcze byś pan zdążył.

Rubinroth zaczął się usprawiedliwiać dosyć gorąco.

– Nie krzycz pan, tu nie bóżnica! – rzucił cierpko swojemu urzędnikowi z kantoru i odwrócił się od niego plecami.

– Kelner! Zal! – wołał, wyjmując portmonetkę.

– Co pan płaci?

– Melanż!... Prawda, wyście mi nie przynieśli, ja nic nie płacę.

– W tej chwili będzie. Melaaanż! – krzyknął na całe gardło.

– Wlej sobie w nos ten melanż, ja całe dwie godziny czekam i muszę iść bez śniadania. Bałwan jeden! – krzyczał zirytowany i wybiegł z pośpiechem na ulicę.

Słońce przygrzewało coraz lepiej.

Tłumy robotników rozpląnęły się, zaczęły natomiast zapychać trotuary inne tłumy; tłumy ubrane elegancko, damy w modnych kapeluszach, w bogatych okrywkach, mężczyźni w długich, czarnych paltach, w hawelokach, z pelerynami. Żydzi w długich surdutach zabłoconych. Żydówki, przeważnie piękne, w aksamitach, którymi zamiatały błoto na trotuarach.

Wrzawa napełniała ulice, przepychano się ze śmiechem, tłoczono, spacerowano w górę ulicy aż do Przejazd lub Nawrót i z powrotem.

Przed cukiernią na rogu Dzielnej grupa młodzieży kantorowej przeglądała przepływające tłumy kobiet i robiła głośne uwagi i porównania, nie tyle uprzejme, ile głupie, wybuchając co chwila szalonym śmiechem, bo Leon Cohn stał z boku i robił swoje zwykłe witze, z których się sam śmiał najgłośniej.

Bum-Bum stał na froncie grupy pochylony i wciąż trzymał binokle obu rękami i przypatrywał się kobietom, które, przechodząc przez ulicę przecinającą trotuar, musiały unosić sukien.

– Patrzcie, patrzcie, jakie nóżki! – wołał cmokając ustami.

– Ta ma dwa patyki w pończochach!

– Aj! jak się Salcia dzisiaj wypchała!

– Uwaga! Szaja jedzie – zawołał Leon Cohn kłaniając się uniżenie Szai, który rozparty niedbale na powozie przejeżdżał obok nich.

Kiwnął im głową.

– On wygląda. jak stara „resztk”.

– Panienko, bo suknia się błoci! – wołał za jakąś dziewczyną Bum-Bum.

– Niech osoba pokaże, co osoba ma! – gadał Leon.

– O co idzie, o tę troszkę...

– Moryc, chodź do nas! – zawołał Leon zobaczywszy nadchodzącego Welta.

– Daj spokój, nie lubię błaznów na ulicy – mruknął i przeszedł, i utonął zaraz w tłumie, jaki płynął ku Nowemu Rynkowi.

Liczne rusztowania, stojące przed nowo wznoszonymi lub nadbudowywanymi domami, spychały wszystkich w błoto ulicy.

Niżej, za Nowym Rynkiem, pełno było Żydów i robotników, dążących na Stare Miasto. Piotrkowska ulica w tym miejscu zmieniała po raz trzeci swój wygląd i charakter, bo od Gajerowskiego Rynku aż do Nawrot jest fabryczną; od Nawrot do Nowego Rynku – handlową; a od Nowego, w dół, do Starego Miasta – tandeciarsko-żydowską.

Błoto było czarniejsze i płynniejsze, trotuary zmieniały się przed każdym prawie domem, raz były szerokie z kamienia, to biegły wąskim wydeptanym paskiem betonu, albo szło się wprost po drobnutkim zabłoconym bruku, który kłuł przez podeszwy.

Rynsztokami płynęły ścieki z fabryk i ciągnęły się niby wstęgi brudnożółte, czerwone i niebieskie; z niektórych domów i fabryk położonych za nimi przyływ był tak obfity, że nie mogąc się pomieścić w płytkich rynsztokach, występował z brzegów, zalewając chodniki kolorowymi falami, aż po wydeptane progi niezliczonych sklepików, ziejących z czarnych zabłoconych wnętrzy brudem i zgnilizną, zapachem śledzi, jarzyn gnijących lub alkoholu.

Domy stare, odarte, brudne, poobtlukane z tynków, świecące niby ranami nagą cegłą, miejscami drewniane albo ze zwykłego pruskiego muru, który pękał i rozsypywał się przy drzwiach i oknach, o krzywych obsadach futryn, pokrzywione, wysrane, zabłocone, stały ohydny rzędem domów-trupów, pomiędzy którymi wciskały się nowe, trzypiętrowe kolosy o niezliczonych oknach, jeszcze nie tynkowane. bez balkonów, z tymczasowymi oknami, a pełne już ludzkiego mrowia i stuku tkackich warsztatów, jakie pracowały bez względu na niedzielę, turkotu huczącego maszyn szyjących tandetę na wywóz i przenikliwego zgrzytu kołowrotek, na których zwijano przędzę na szpulki do użytku ręcznych warsztatów.

Przed owymi nie skończonymi domami, które wznosiły się czerwonymi, posepnymi murami, nad tym morzem umierających ruder i kramarskiego życia. leżały całe sterty cegieł i drzewa, ścieśniając i tak wąską uliczkę, zapchaną wozami, końmi, przewożonym towarem, zgiełkiem, nawoływaniem handlarzy i tysięcznymi głosami robotników

płynących w gromadach na Stare Miasto; szli środkiem ulicy lub obok trotuarów; ich różnokolorowe szaliki, jakimi mieli poobwiązywane szyje, rozjaśniały nieco ten ogólny, szarobłotnisty ton ulicy.

Stare miasto i wszystkie przylegające uliczki trzęsy się zwykłym niedzielnym ruchem.

Na kwadratowym placu, obstawionym starymi, piętrowymi domami nigdy nie odnawianymi, pełnym sklepów, szynków i tak zwanych Bier-Hail, zastawionym setkami szkaradnych bud i kramów, tłoczyło się kilkanaście tysięcy ludzi, setki wozów i koni. wszystko to krzyczało, mówiło, kłęło, biło się czasami.

Wrzaskliwy chaos przewalał się jak falą z jednej strony Rynku na drugą. Nad tym rojowiskiem głów, włosów rozwianych, rąk wzniesionych, łbów końskich, toporów rzeźnickich połyskujących nagle w słońcu, podnoszonych nad rozrąbywanym mięsem, olbrzymich bochenków chleba niesionych z powodu tłoku nad głowami, żółtych, zielonych, czerwonych, fioletowych chustek, powiewających niby sztandary na kramach garderoby; czapek i kapeluszy wiszących na kołkach, butów, szalików bawełnianych, co jak węże kolorowe trzepotały się na wietrze i uderzały w twarze przeciskających się; blaszanych naczyń błyskających w słońcu; stosów słoniny, kup pomarańcz, poukładanych na straganach w przyzmy, kul świecących jaskrawo na tle czerni ludzkiej i błota które gniecione, rozrabiane, tratowane, mieszane, rzygało strumieniami spod nóg na stragany i na twarze i wylewało się z Rynku do rynsztoków i na ulice, z czterech stron okalające targ, którymi toczyły się wolno olbrzymie wozy piwowarskie, pełne antałków, wozy z mięsem, pookrywane brudnymi szmatami albo z dala świecące czerwono-żółtymi żebrami wołów obdartych ze skóry, wozy naładowane worami mąki, wozy pełne drobiu krzyczącego wrzaskliwymi głosami, pełne kwakania kaczek i gęgotu gęsi, które przez szczeble drabin wysuwały białe głowy i syczały na przechodniów.

Czasem bokiem tych nierozwartych sznurów wozów, idących jeden za drugim, przebiegał z pośpiechem jaki elegancki powozik, ochlapując błotem ludzi, wozy, trotuary, na których w kuczki siedziały stare, wynędzniałe Żydówki i koszykami pełnymi gotowanego grochu, cukierków, zmarzniętych jabłek, zabawek dzieciennych.

Przed sklepami, które były pootwierane i pełne ludzi, powystawiano stoły, krzesła, ławki, na których leżały góry galanterii, pończoch, skarpetek, kwiatów sztucznych, perkalików sztywnych jak blachy, kołder o jaskrawych poszyciach, koronek bawełnianych. W jednym końcu

Rynku stały żółte, malowane łóżka, komody, które się nie domykały i brązowym bejcem udawały mahoń; lustra, w których by się nikt nie zobaczył, połyskiwały w słońcu; kołyski, stopy sprzętów kuchennych, za którymi na ziemi, na garstkach słomy siedziały kobiety wiejskie z masłem i mlekiem, ubrane w czerwone wełniaki i zapaski. A pomiędzy wozami i straganami przepychały się przez tłumy kobiety z koszami czepków białych, wykrochmalonych, które przymierzano wprost na ulicy.

Na Poprzecznej, zaraz przy Rynku, stały stoły z kapeluszami, których nędzne kwiaty, zardzewiałe spięcia, kolorowe farbowane pióra chwiały się smutnie na tle ścian domów.

Garderobę męską sprzedawano, kupowano i przymierzano na ulicy, w sieniach, wreszcie pod ścianą, za zasłoną, która zwykle nic nie zasłaniała.

Tak samo robotnice przymierzały kaftany, fartuchy i spódnice.

Wrzawa rosła bezustannie, bo wciąż z góry miasta napływały nowe fale kupujących i podnosiły się nowe krzyki, nawoływania zachrypniętymi gardłami, głosy trąbek dziecinnych brzęczały ze wszystkich stron, turkoty wozów, kwiki prosiąt, krzyki gęsi, cała szalona kakofonia zbiorowiska ludzkiego wrzała i biła w to czyste, rozświetlone niebo, co wisiało nad miastem niby bladoseledynowy baldachim.

W jednym z szynków grano i tańczono, bo czasami przez ten zgiełk i wrzawę piekielną przedzierał się głos harmonii i skrzypiec, wycinających oberka, i mocny, siarczasty pokrzyk tańczących, ale rychło te głosy tonęły w chaosie bójk, jaka powstała w środku Rynku, przy straganach z wędlinami. Kilkanaście ciał splecionych, szepionych, szamotało się z rykiem i chwiało w różne strony, aż w końcu runęło pod stragany w błoto i gryzło się, i tarzało jak kłęb olbrzymi pełen rąk, nóg, twarzy okrwawionych, ust wyjąjących, oczów zaszłych bielmem wściekłości.

Wysoko świeciło słońce i zalewało potokami wiosennego ciepła Rynek cały. Podnosiło barwy, złociło nędzne, wycieńczone twarze, obnażało rudery, zapalało złote ogniska w szybach okien i w błocie przepojonym wodą, w oczach ludzi, którzy stali pod domami i grzali się. i pokrywało jakby złotawą glazurą brzydotę, jaka tutaj królowała, wszystkie te rzeczy i ludzi, i wszystkie te głosy, co się zrywały spośród bud. wozów, straganów, błota i olbrzymim wirym krążyły nad Rynkiem, odbijały się o czworokąt domów i płynęły w boczne ulice, w świat, w pola, ku fabrykom, które niedaleko stały panując kominami i

jakaś cichą, milczącą grozą, w jakiej były zatopione, i patrząc błyszczącymi w słońcu wytrzeszczonymi oczami okien na te roje robocze.

Moryc przepchał się przez Rynek z obrzydzeniem i zapuścił się w ulicę Drewnowską, jedną z najstarszych w Łodzi i bardzo cichą, obstawioną małymi konającymi domkami pierwszych w Łodzi tkaczy, pomiędzy którymi tuliły się jeszcze proste chłopskie domy, o mocno wypuszczanych węglach, na pół zapadłe w ziemię, wykrzywione, otoczone ogródkami, gdzie dogorywały stare wiśnie i grusze przysadziste, które kiedyś kwitły i rodziły, a teraz od lat całych, ściśnięte pomiędzy murami fabryk i odgrodzone coraz gęstszymi zaporami od słońca, od pól, od wiatrów, spróchniałe, gryzione przez odpływy, jakie się sączyły z farbiarni, gęsto rozrzuconych w tej stronie, obłamywane, zapomniane, konały z wolna w tragicznej melancholii opuszczenia i smutku.

Błoto i w tej ulicy było wyżej kostek. A dalej, przy końcu ulicy, która wychodziła w pola, świnie łąziły przed domami i próbowały ryć stwardniałą ziemię po placach, na które wywożono gruz i śmiecie.

Domy stały porzrucane bezładnie, kupiły się w grupy, to stały samotnie w polach, otoczone rozmiękłym, przepojonym wodą gruntem.

Na samym końcu miasta stała fabryka Grunspana et Landsbergera, oddzielona od ulicy potężnym parkanem.

Z boku fabryki był wielki parterowy dom z facjatami, otoczony ogródkiem.

– Pan w domu? – pytał Moryc starego robotnika, który mu otwierał drzwi.

– A jest.

– Któż tam jest jeszcze?

– Są wszystkie.

– Co za wszystkie?

– Ano, te Żydy, familianty – mruknął pogardliwie.

– Ma Franciszek szczęście, że ja mam dzisiaj dobry humor, bo inaczej to ja bym Franciszkowi zbił ładny kawałek pyska. Rozumie Franciszek? Zdjąć kalosze!

– Rozumiem, dostałbym niby po mordzie, ale że –jaśnie pan ma humor, to już nie dostanę – szeptał dobrodusznie, ściągając mu kalosze.

– No, to niech Franciszek napije się wódki i niech pamięta – powiedział zadowolony dając mu dziesiątkę i wszedł do pokoju.

– Parszywiec, ścierwo! Biłby polski naród – splunął za nim.

Moryc wszedł do wielkiego pokoju, w którym już było z dziesięć osób, siedzących dokoła wielkiego stołu, pokrytego talerzami po skończonym dopiero obiedzie.

Przywitał się ze wszystkimi w milczeniu i usiadł w rogu na czerwonej kanapce, nad którą roztaczała cień wielka wachlarzowata palma.

– Po co się sprzeczać, można wszystko spokojnie obgadać – mówił powoli sam Grunspan chodząc po pokoju w aksamitnej jarmułce na szpakowatych włosach.

Długa broda bramowała mu twarz białą, wypasioną, o małych oczkach, które wciąż z błyskawiczną szybkością przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot.

Cygaro trzymał w ozdobionej sygnetem ręce, pociągał rzadko, wydymał wydatne, czerwone usta, powąchał z uwagą.

– Franciszek – zawołał do przedpokoju. – Niech mi Franciszek przyniesie z mojego gabinetu pudełko z cygarami, to jest zupełnie wilgotne. Ja to kładę na piecu, niech Franciszek uważa, niech ono nie zginie.

– Jak ma nie zginąć, to nie zginie – mruknął Franciszek.

– Co to za fest? – zapytał Moryc Feliksa Fiszbina, który także należał do rodziny, a siedział teraz na biegunowym fotelu, puszczał kłęby dymu i kołysał się zawzięcie.

– Gross-familien-Pleitenfest – rzucił.

– Ja przyszłam do ojca, żeby ojciec poradził, prosiłam wszystkich, żeby także przyszli, niech zobaczą, niech mojemu mężowi powiedzą, kiedy mnie słuchać nie chce, że jak tak dalej będzie prowadzić interes, to my wyjdziem bez niczego – zaczęła energicznie młoda, przystojna elegancka brunetka, w czarnym kapeluszu na głowie, najstarsza córka Grunspana.

– Ile macie na Lichaczewa? – rzucił krótko młody student uniwersytetu o wydatnym semickim nosie i prawie czerwonych włosach i zarście – zaczął gryźć ołówkę.

– Piętnaście tysięcy rubli.

– Gdzie są weksle? – zapytał stary bawiac się złotym łańcuchem, który mu spadał na wielkim brzuchu, obciążonym w aksamitną kamizelkę, spod której powiewały dwa białe sznurki.

– Gdzie są weksle! Wszędzie są! Płaciłem nimi u Groslika, płaciłem za towar, płaciłem nimi Kolińskiemu za ostatnią oficynę. Co tu dużo gadać, tamten zrobił kłapę, wróć do mnie i zapłacić musimy. Ja je żyrowałem.

– Niech ojciec słucha! on tak ciągle mówi. Co to jest? do czego to podobne? To jest handel! to jest kupiec! to jest fabrykant porządny, co mówi: „Winienem, to zapłacę.” Tak może mówić głupi chłop, co nie rozumie żadnych interesów! – krzyczała i łzy żalu, gniewu i oburzenia błyszczały w jej wielkich czarno-oliwkowych oczach.

– Ja się dziwię, Regino, ja się bardzo dziwię, że jesteś tak mądrą, a tych prostych rzeczy, na których się opiera nie tylko handel, ale i całe życie, nie rozumiesz...

– Ja rozumiem, ja dwa razy dobrze rozumiem, tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego ty, Albert, chcesz płacić te piętnaście tysięcy rubli.

– Bom winien – szepnął pochylając na piersi bladą, zmęczoną twarz i jakiś ironiczno-smutny uśmiech przewinał mu się przez wąskie usta.

– On ciągle swoje! Tyś brał towar surowy na kredvt. toś winien, dobrze, ale tyś dawał towar także na kredyt i tobie są winni, a jak oni ci nie płacą, jak oni robią plajtę, to co ty masz robić? to ty powinienes płacić, co? To ty masz stracić dlatego, że Frumkin chce zarobić, co? – krzyczała rozczzerwioniona.

– Niedołęga!

– Wielki kupiec, aj! aj!

– Ty powinienes się ułożyć, ty powinienes zarobić na tym pięćdziesiąt procent.

– Regina ma rację!

– Ty się nie baw w głupie uczciwości, bo tu o gruby grosz idzie.

Krzyczeli wszyscy wyciągając ku niemu ręce i twarze rozognione.

– Cicho, Żydy! – rzucił niedbale Feluś Fiszbin kołysząc się na fotelu,

– Płacić! płacić! to i głupi potrafi, każdy Polak to samo umie, to wielka sztuka!

– Ależ porozumiejmy się państwo! – krzyczał, aby wszystkich zagłuszyć, Zygmunt Grunspan, syn, student uniwersytetu, dzwonił nożem w szklanke, rozpiął mundur na piersiach i koniecznie chciał głos zabrać, ale nikt go nie słuchał, bo wszyscy gadali razem i krzyczeli, tylko stary Grunspan chodził w milczeniu i pogardliwie spoglądał na zięcia, który podparł się łokciami i rzucał porozumiewające spojrzenia na Morryca, ten zaś czekał dosyć niecierpliwie końca rozpraw, przyglądał się staremu i rozmyślał, czy mu zaproponować interes, czy nie.

Miał ogromną chęć, ale w miarę oczekiwania chłódnał. reflektował się i coś jakby pewien wstyd niewytłumaczony przejmował go, gdy



sobie przypominał Karola i Bauma. A zresztą, nie miał odwagi zaufać Grunspanowi. śledził jego okrągłą, chytrą twarz i małe oczki biegające ustawicznie; z jakimś wyrazem taksacyjnym oczy jego krążyły po obecnych, zatrzymały się na jasnych spodniach wyciągniętego w fotelu Fiszbina, zdawały się ważyć ciężar złotej dewizki Alberta Grosmana, który siedział teraz z głową przechyloną, wpatrzony w sufit, jakby nie słysząc wrzawy groźnej, jaką podnosiła żona z pomocą najbliższej rodziny, zebranej po to, aby mu nie pozwolić płacić weksli, a zmusić niejako do zrobienia plajty, obmacywały gruby pugilares, w którym czegoś szukał gorączkowo Landau, stary Żyd z dużą rudawą brodą, w jedwabnej czapce na głowie.

Nie, Moryc miał coraz mniej zaufania do niego.

– Sza, sza, państwo. Napijemy się teraz herbaty – zawołał Grunspan, gdy służąca wniosła samowar szumiący.

– Poprosić jaśnie panienkę Melę! – rzucił wyniośle do Franciszka.

Przyciszyło się trochę.

Weszła Mela, kiwnęła wszystkim głową na przywitanie i zajęła się rozlewaniem herbaty.

– Ja się z tego wszystkiego rozchoruję jeszcze, mnie już serce boli, a tu ani chwili spokoju – szeptała Regina wycierając sobie zapłakane oczy,

– I tak co rok jeździsz do Ostendy, będziesz teraz miała przynajmniej po co jeździć.

– Grosman, ty tak nie gadaj, to moje dziecko! – zawołał energicznie Grunspan.

– Tyś się ze mną nie witała, Mela – szepnął Moryc siadając obok najmłodszej córki firmy Grunspan et Landsberger.

– Kłaniałam się wszystkim, nie widziałeś? – szepnęła podsuwając herbatę Zygmuntowi.

– Wolałbym, żebyś się ze mną osobno przywitała – mówił cicho, mieszając herbatę.

– Na cóż ci to? – podniosła na niego szaroniebieskie smutne oczy i twarz bardzo ładną o niesłychanie regularnych rysach.

– Na co? bo ja bym bardzo chciał, żebyś zwracała na mnie uwagę; mnie zresztą robi wielką przyjemność patrzeć na ciebie i mówić z tobą, Mela.

Uśmiech przebiegł po jej wypukłych, bardzo ładnych ustach, podobnych w kolorze do białych sycylijskich koralu, nie odezwała się

jednak, rozlewając herbatę na spodek, który wziął ojciec i pił z niego nie przestając chodzić po pokoju.

– Czy ja co śmiesznego powiedziałem? – pytał podchwyciwszy ten uśmiech.

– Nie, przypomniało mi się tylko, co mówiła pani Stefania dzisiaj rano, podobno wczoraj w teatrze mówiłaś jej, że nie umiesz flirtować z Żydówkami, że to rodzaj kobiet, który na ciebie nie działa. Mówiłaś tak? – utkwiała w nim oczy.

– Mówiłem, ale raz, że ja z tobą nie flirtuję, a po drugie, że ty właśnie nie masz w sobie nic a nic żydowskiego. Słowo honoru daję! – dorzucił prędko. bo znowu taki sam uśmiech przebiegł jej po ustach

– Czyli że jestem w twoim rodzaju. Dziękuję ci, Moryc, za szczerłość.

– Czy cię to gniewa, Mela?

– Nie, jest mi to zupełnie wszystko jedno – surowo zabrzmiał jej głos, aż zajrzał w jej oczy ze zdziwienia, ale nie zobaczył w nich wytłumaczenia, bo trzymała utkwione w spodku, do którego znowu dolewała herbaty.

– Pogadajmy spokojnie, zawsze się można porozumieć – zaczął znowu Zygmunt przyczესując maleńkim grzebykiem czerwoną jak miedź brodę.

– Co tu gadać, niech ojciec sam powie Albertowi, że jak w taki sposób poprowadzi interesy, to my za rok naprawdę zbankrutować możemy On mnie nie chce słuchać, bo on ma swoją filozofię. jak powiada, niech mu ojciec powie, co on jest głupi, chociaż on jest doktor filozofii i chemii, bo rzuca pieniądze w błoto.

– A może jej ojciec powie, żeby się nie wtrącała do interesów, bo ich nie rozumie, i żeby mnie swoim krzykiem nie nudziła, bo może mi się to w końcu sprzykrzyć.

– Na moje dobroć, na moje dobre serce to on tak gada, co!

– Cicho, Regina.

– Ja nie będę cicho, bo tutaj idzie o pieniądze, o moje pieniądze; ja go nudzę, ja mu się mogę sprzykrzyć, jaki mi hrabia łódzki, o jej! o jej! – wykrzykiwała ze złością.

– Niech się ułoży na pięćdziesiąt procent – rzucił poważnie Landau.

– Na co się układać? Nic nie dać, my za swoje pieniądze nie dostaniemy od Frumkina ani grosza.

– Nie rozumiesz, Regina. Pokażcie, Grosman, aktywa i pasywa – rzekł Zygmunt rozpinając mundur.

– Dać dwadzieścia pięć procent najwyżej – szepnął stary dmuchając w spodek.

– Jest lepszy sposób – mówił półgłosem Fiszbin rozdmuchując ogień w cygarze.

Nikt mu nie odpowiedział, bo się wszyscy dość pośpiesznie pochylili nad stołem, nad kartami pokrytymi cyframi, które pośpiesznie sumował Zygmunt.

– Pięćdziesiąt tysięcy rubli winien! – zawołał.

– Ile ma? – zapytał ciekawie Moryc, wstając, bo Mela wyszła z pokoju.

– To się pokaże później, na ile procentów się ułoży.

– To jest interes do zrobienia.

– Pieniądze jakby były w kieszeni.

– Regina, nie potrzebujesz się martwić!

– Więc chcecie, abym plajtę zrobił? Nie myślę oszukiwać ludzi! – powiedział Grosman stanowczo, wstając od stołu.

– Ty musisz się ułożyć, bo inaczej ja wycofuję swój posąg z interesu i biorę rozwód, co ja mam żyć z takim hrabią, co ja mam się martwić!

– Cicho, Regina, Grosman się ułoży na dwadzieścia pięć procent, bądź spokojną, ja w tym jestem, sam przeprowadzę ten interes – pocieszał ją stary Grunspan.

– Albert ma małe robaczki w głowie, jak się to nazywa, Moryc? – zapytał Fiszbin.

– Kielbie we łbie – rzucił prędko i zniecierpliwiony miał ochotę iść do Meli.

– Chcesz posąg – weź; chcesz rozwodu – dam ci go; chcesz te pieniądze, która ja mam jeszcze – zabierz; mnie już życie zbrzydło w tym piekle łajdackim. Ja z tobą, Regina, nigdy do ładu nie dojdę, nie było dzieci, to mi wciąż gadała, że jej wstyd się pokazać na ulicę, ma ich teraz czworo, to znowu niezadowolona.

– Albert, nie gadaj!

– Sza! sza! to są wasze interesy! – zakrzyknął Grunspan, prędko stawiając spodek na stole.

– Ona nigdy i z niczego nie była zadowolona, ona się ciągle kłóci ze mną.

– Ja się nie mam kłócić! ja się nie mam o co kłócić. jak mi każe jeździć tymi zdechłymi końmi, z których się wszyscy śmieją.

– Dobrze są i takie, bogatsze od ciebie chodzą pieszo.

– Ale ja chcę jeździć, mnie stać na porządne konie.  
– To sobie kup, mnie nie stać na inne konie!  
– Cicho, Żydy! – zawołał Feluś znowu kołysząc się w fotelu.  
– On zgłupiał do reszty, to potrzeba mieć pieniądze, żeby kupować! to potrzeba mieć za co, żeby kupić, co potrzeba? To Wulff pewnie co ma, kiedy stawia fabrykę, to Berstein dużo ma, kiedy za całe sto tysięcy mebluje sobie dom? – wykrzykiwała wodząc zdumionym wzrokiem po rodzinie.

Albert odwrócił się do nich plecami i patrzył w okno.

Kłótnia zawrzała na nowo i podnosiła się do maksimum, krzyczeli wszyscy razem, pochylali się nad stołem, bili w niego pięściami, wdzierali sobie z rąk Papiery, kreśląc na ceracie coraz nowe cyfry, rzucaли coraz ohydniejsze projekty i sposoby plajty, wymyślali sobie nawzajem, zrywali się od stołu, siadali znowu i krzyczeli; a wszystkim brody, twarze, usta i wąsy trzęsły się i drgały, porwane tymi cyframi, jakie można było zarobić, rozwścieczeni na tego głupca, który stał odwrócony plecami i ani chciał słuchać o plajcie.

Nawet stary wyszedł ze swego spokoju i głośno dowodził; Regina, zmęczona wzruszeniem, siadła w fotelu i płakała spazmatycznie; Landau odrzucił ceratkę i kawałkiem kredy pisał cyfry na stole, rzucając od czasu do czasu jakie słowo poważne, a Zygmunt Grunspan, rozczewieniony, spocony, dał się najgłośniej, wołał, żeby się porozumieli, i sprawdzał kolumny cyfr w wielkiej książce fabrycznej, jaką mu przyniosła Regina.

Tylko Moryc nie brał udziału w krzykach, siedział pod palmą obok Fiszbina, który wyciągnięty na fotelu, bujał się, palił cygaro i od czasu do czasu wołał:

– Cicho, Żydy!

– To nie jest wcale wesoła operetka – powiedział znużony Moryc i zaniechawszy już zupełnie interesu z Grunspanem, poszedł w głąb mieszkania szukać Meli.

Zastał ją u babki, którą cała rodzina otaczała nadzwyczajną czcią i opieką.

Babka siedziała w fotelu na kółkach przy oknie.. Była to blisko stu-letnia staruszka, sparaliżowana i zupełnie zdziecinniała; twarz miała tak zeschniętą i pościaganą w fałdy, że wszelki wyraz zanikł zupełnie – wisiał tylko kawał żółtoszarej skóry pofałdowanej, z której świeciły czarne, bez połysku, niby szklane paciorki oczy. Na głowie miała czar-

ną perukę ubraną w rodzaj czepka z aksamitów kolorowych i koronek, jakie noszą Żydówki po małych miasteczkach.

Mela łyżeczką dziecinną wlewała w zapadłe usta bulion; babka ni-  
by ryba otwierała i składała usta.

Uklonił się jej – przestała jeść, popatrzyła na niego martwo i zapy-  
tała głosem głuchym, jakby pochodził spod ziemi:

– Kto to, Mela?

Nie poznawała już nikogo prócz najbliższych.

– Moryc Welt, brat mojej matki, Welt – powtórzyła z naciskiem.

– Welt! Welt! – meła w bezzębnych szczękach i otworzyła szeroko  
usta do bulionu, który znowu podawała Mela.

– Kłóć się jeszcze?

– Sądny dzień się zrobił.

– Biedny ten Albert.

– Żałujesz go?

– Jakże, nie pozwala mu być człowiekiem własna nawet żona i ro-  
dzina. Regina mnie wprost przeraża swoim handlarstwem – westchnęła  
smutnie.

– Powinien być dobrym fabrykantem. On trochę chory na idealizm,  
ale po pierwszej plajcie, niech tylko na niej dobrze zarobi, to się wyle-  
czy.

– Ja nie rozumiem ani ojca, ani wujów, ani ciebie, ani Łodzi. We  
mnie się wszystko burzy patrząc na to, co się tutaj dzieje.

– Cóż się dzieje? dobrze się dzieje, robią się pieniądze i basta.

– Ale jak, jakimi sposobami!

– To wszystko jedno, sposób dostania rubla nie zmniejsza jego war-  
tości.

– Jesteś cynik – szepnęła jakby z wyrzutem.

– Jestem tylko człowiek, który nie wstydzi się nazywać rzeczy po  
imieniu.

– Dajmy pokój, jestem tak zdenerwowana, że brak mi sił nawet do  
kłótni.

Skończyła karmienie babki, poprawiła poduszki, jakimi była obło-  
żoną, i pocałowała ją w rękę.

Stara przytrzymała ją lekko, pogłaskała wyschniętymi niby u szkie-  
letu palcami po twarzy i zapytała znowu tak samo, patrząc na Moryca:

– Kto to? Mela.

– Welt, Welt! Chodź, Moryc, na chwilę do mnie, jeśli masz czas.

– Mela, ja przecież dla ciebie miałbym zawsze czas, jeślibyś tylko zechciała.

– Welt, Welt! – powtarzała stara głucho, otworzyła usta i zapatrzyła się martwym wzrokiem w okno, za którym widniały mury fabryki.

– Moryc, ja cię już prosiłam, nie komplementuj mnie.

– Ty mi wierz, Mela, mówię szczerze, słowo uczciwego człowieka, że jak jestem z tobą, jak cię słyszę, jak patrzę na ciebie, to muszę nie tylko mówić inaczej niż do innych kobiet, ale zaczynam czuć i myśleć inaczej. Ty masz w sobie taką dziwną miękkość, ty jesteś naprawdę kobietą. Mela, tu takich mało w Łodzi – mówił poważnie, przechodząc za nią do jej pokoju.

– Odprowadzisz mnie do Róży? – zapytała nic mu nie odpowiedziałwszy.

– Jeślibyś nie chciała, prosiłbym cię o to. Oparła czoło na szybie i patrzyła na wróble, które rozszalałe tym pierwszym prawie wiosennym dniem marcowym, goniły się i biły po ogrodzie.

– O czym myślisz? – zapytał po chwili cicho.

– O Albercie, czy zrobi tak, jak postanowił, czy też tak, jak oni chcą.

– Tak, z pewnością ogłosi upadłość i ułoży się z wierzycielami.

– Nie, ja go znam, i jestem tego pewna, że zapłaci.

– Założę się z tobą, że będzie się układał.

– A ja bym nie wiem co dała, że nie zrobi.

– Mela, Grosman ma swoje filozoficzne bziki, ma, ale poza tym on jest mądry człowiek, mogę postawić cały swój majątek, że więcej nie zapłaci jak dwadzieścia pięć procent.

– A ja bym bardzo, bardzo pragnęła, żeby było inaczej.

– Przyszło mi na myśl, żeś ty powinna była wyjść za niego, Mela, dobralibyście się, nie mielibyście co jeść, ale bylibyście tak uczciwi, że pokazywaliby was w panopticum.

– Lubię go, ale za niego nie wyszłabym, to nie mój typ.

– Któż jest w twoim typie?

– Szukaj i zgaduj! – uśmiechnęła się znowu tym bladym, subtelnym uśmiechem.

– Borowiecki, tak, z pewnością, w nim się wszystkie kobiety łódzkie kochają.

– Nie, nie; wydał mi się oschłym, dumnym i karierowiczem, nie, za bardzo zresztą podobny do was wszystkich.

– Oskar Meyer, baron, milioner i piękny, wprowadź taki baron z meklemburskiej rasy, ale za to milioner najprawowitszy.

– Widziałam go raz i wydał mi się parobkiem

przebranym. To musi być okropny człowiek, słyszałam o nim dużo!

– To jest dziki i wściekły człowiek, to jest prawdziwe pruskie bydle! – mówił z nienawiścią.

– Aż tak? Zaczyna być interesującym.

– Daj spokój o tym chamie. A może Bernard Endelman podoba ci się?

– Żydziak! – szepnęła pogardliwie.

– A, jakież ze mnie niedomyślny. Przecież tyś się wychowywała w Warszawie, żyłaś tam w polskich sferach i przesłaś przez wszystkie warszawskie kółka i saloniki, to jakże mogą podobać ci się Żydzi lub Łódzcy ludzie! – wołał ironicznie. – Przywykłaś do studentów rozkochanych, do tej deklamującej radykalii, oczekującej na spadek i na synekury biurowe, do tej wykwintnej atmosfery blagi i wspólnego obelgiwania się na wzniosły, szlachetny sposób. Ha, ha, ha, ja to przechodziłam i ile razy sobie wspomnę tamte czasy i tamtych ludzi – umieram ze śmiechu.

– Daj spokój, Moryc. Mówisz z goryczą, więc nie bez stronności, nie chcę słuchać – wołała prędko, dotknięta bardzo, bo istotnie całym sercem jeszcze żyła w tamtej sferze, pomimo że od dwóch lat już mieszkała przy ojcu w Łodzi.

Wyszła i ukazała się po chwili już ubrana do wyjścia.

Zaraz też wyszli.

Otwarty powozik, bardzo elegancki, czekał przed bramą.

– Dojeżdż tylko do Nowego Rynku, tam nie ma takiego błota, to pójde pieszko, Konie ruszyły ostro.

– A swoją drogą ty mnie dziwisz, Mela.

– Czym?

– Tym właśnie, że jesteś taką – nie Żydówką. Ja znam nasze kobiety dobrze, ja je umiem cenić i cenię, ale je znam, one nie biorą takich różnych książkowych rzeczy na serio, jak ty je bierzesz. Znasz Adę Wasereng? ona tak samo żyła w Warszawie i w tych, samych sferach co ty, tak samo się zapalała do wszystkiego, tak samo była czynną we wszystkim, tak samo ze mną kłóciła się o równość, o wolność, o cnotę, o ideały.

– Ja się z tobą nie kłócę o to wszystko – przerwała mu prędko.

– Prawda, ale pozwól mi skończyć, otóż była najidealniejszą idealistką, ale jak wyszła za swojego Rosenblatta, to o wszystkich głupstwach zapomniała, idealizm to nie była jej specjalność.

– Tobie się to podoba?

– Mnie się to właśnie podoba, bo jak miała czas, to się bawiła w poezje, dlaczego nie miała się bawić, to dobrze jest widziane w polskich domach, nadaje pewien modny ton, no, i nie jest tak nudne, jak chodzenie po teatrach i balach.

– Więc jesteś przekonany, że to tylko dla zabawy?

– Do Polek ani do ciebie tego nie stosuję, to inny gatunek, ale do Żydówek – tak, wiem z pewnością. Pomyśl tylko, co ich to wszystko może obchodzić? Mela, ja jestem Żyd, ja się tego nigdy i nigdzie nie wstydziałem ani nie wypierałem, co za interes się wypierać! Mnie tak samo nic nie obchodzi poza moim własnym interesem jak naszych wszystkich, bo ja tego

nie mam wprost we krwi. Masz, taki Borowiecki, to jest dziwny człowiek, to jest mój kolega z gimnazjum w Warszawie, mój kolega z Rygi, mój przyjaciel, my razem mieszkamy tyle lat, mnie się zdawało, że go znam, że to nasz człowiek. On ma ostre pazury, on jest zupełnie człowiek łódzki, on lepszy macher niż ja, a on czasem zrobi coś takiego, czego ja nie rozumiem, czego żaden z naszych nie robi; on jest Lodzermensch, a on pomimo to ma różne takie bziki ideowe. utopijne marzenia, dla których gotów jest dać rubla, jak ma dwa przy sobie, a dla których ja bym dał dziesiątkę, jakby się już nie można wykręcić, ja...

– Do czego prowadzisz? – przerwała mu znowu, dotykając parasolką stangreta, żeby przystanął.

– Że ty masz właśnie w sobie coś takiego, co mają oni. Polacy.

– Czy to czasem nie nazywa się duszą – powiedziała wesoło, wyskakując na trotuar.

– To za duży szemat.

– Pójdziemy Średnią, chcę się przejść trochę.

– Najbliżej będzie dojść do Widzewskiej, a stamtąd do Cegielnianej.

– Wybierasz krótsze, żeby prędko odbyć pańszczyznę.

– Wiesz przecie, Mela, że ja z wielką przyjemnością ci towarzyszę.

– Czy dlatego, że tak cierpliwie słucham?

– Tak, a i dlatego, że jesteś bardzo ładna z tą ironią na ustach, bardzo ładna.



- Komplement twój jest mniej piękny, bo tak en gros podany.
- Lubisz warszawskie en detaile, a na krótkie terminy i z dobrym żyrem.
- Wystarczy dobre wychowanie i uczciwość.
- Ale pomimo to nie zaszkodzi się obwarować intercyzą – rzucił ironicznie, wciskając binokle.
- A, tuś doprowadził! – szepnęła niezadowolona.
- Chciałaś!
- Chciałam, żebyś mnie doprowadził do Róży przede wszystkim – podkreśliła zdanie.
- Ja bym cię wszędzie doprowadził, gdybyś zechciała! – zawołał pokrywając pewne dziwne wzruszenie, jakie nim owładnęło, ostrym śmiechem.
- Dziękuję ci, Moryc, ale tam to mnie już kto inny doprowadzi – odpowiedziała dosyć ostro, zamilkła i patrzyła smutnie w ulicę strasznie błotnistą, po brudnych domach i twarzach licznych przechodniów.
- Moryc także milczał, bo był zły na siebie, a więcej jeszcze na nią. Potraçał z gniewu przechodniów.. zaciskał binokle i rzucał niechętnie spojrzenia na jej bladą twarz, z ironią chwytając spojrzenia współczujące, jakimi obrzucała gromady oberwanych, wynędzniałych dzieci, bawiących się po bramach i trotuarach. Rozumiał ją nieco i dlatego wydała mu się bardzo naiwną, bardzo.
- Irytowała go swoim głupim, polskim idealizmem, jak w myśli określał jej charakter, a równocześnie pociągała jego twardą, suchą duszą tą odrobiną uczucia i tą jakąś dziwną poezją wdzięku i dobroci, jaka wydzieriała się z jej bladej twarzy, ze spojrzeń zadumanych, z całej postaci wysmukłej i bardzo harmonijnie rozwiniętej.
- Znudziłam cię, żeś zamilkł? – szepnęła po pewnym czasie.
- Bałem się przerywać milczenie, mogłaś myśleć wtedy o nader wielkich rzeczach.
- Bądź pewnym, że o daleko większych, niżli twoja ironia może dosięgnąć.
- Równocześnie zrobiłaś, Mela, dwa interesy – mnie dałaś szcztka i sama się pochwaliłaś.
- A chciałam tylko jedno – powiedziała z uśmiechem.
- Mnie uderzyć, prawda?
- Tak, i zrobiłam to z przyjemnością.
- Ty mnie bardzo nie lubisz Mela? – pytał trochę dotknięty.
- Nie, Moryc – kręciła głową i uśmiechała się złośliwie.

– Ale mnie i nie kochasz?

– Nie, Moryc.

– My robimy ładny kawałek flirtu – powiedział, zirytowany tonem jej odpowiedzi.

– Pomiedzy kuzynami powinno to uchodzić, bo do niczego nie obowiązuje.

przystanęła, aby dać kilka groszy jakiejś kobiecie, okręconej w łachmany, stojącej pod parkanem z dzieckiem na ręku i głośno żebrzącej.

Moryc spojrział drwiąco, ale sam prędko wydobył jakiś pieniądz i dał.

– I ty dajesz biednym? – zdziwiła się.

– Pozwoliłem sobie na taką miłosierną operację, bo miałem akurat fałszywą złotówkę – zaczął się śmiać serdecznie z jej oburzenia.

– Ty się z cynizmu już nie wyleczysz! – szepnęła przyspieszając nieco kroku.

– Mam jeszcze czas i żebym miał jeszcze sposobność i takiego jak ty doktora...

– Do widzenia, Moryc.

– Szkoda, że to już.

– Ja nie żałuję zupełnie. Będiesz dzisiaj w „kolonii”?

– Nie wiem, ponieważ w nocy wyjeżdżam z Łodzi.

– Wstąp, kłaniaj się paniom ode mnie i powiedz pani Stefanii, że będę u niej w sklepie jutro przed południem.

– A dobrze, ale za to ty kłaniaj się ode mnie panie Rózi i powiedz Mullerowi, także ode mnie, że jest błazen.

Uścisnęli sobie ręce i rozeszli się.

Moryc obejrzał się za nią, gdy już wchodziła do bramy pałacu Mendelsohnów, i szedł do miasta.

Słońce już przygasało i zsuwało się za miasto, rozkrwawiając tysiące szyb lunami zachodu. Miasto cichło i przyplaszczało się w mrokach wieczoru; tysiące domów i dachów zlewało się coraz bardziej w jedną szarą, olbrzymią, zagmatwaną masę pociętą kanałami ulic, w których zaczynały się palić nieskończone linie świateł gazowych, tylko kominy fabryk, co niby las Potężnych pni czerwonych wznosiły się nad miastem i zdawały się drgać i kołysać na jasnym tle nieba, płonęły jeszcze zorzami zachodu.

– Wariatka! Ja bym się z nią ożenił! „Grunspan, Landsberger i Welt” byłaby solidna spółka; trzeba o tym pomyśleć – szepnął Moryc uśmiechając się do tego interesu.

## VII

– Co się stało Morycowi dzisiaj? – myślała Mela wchodząc do wielkiego dwupiętrowego domu narożnego, nazywanego pospolicie pałacem Szai. – Prawda, przecież ja mam pięćdziesiąt tysięcy rubli posagu, musi być w złych interesach i stąd ta gwałtowna czułość.

Nie mogła już myśleć więcej, bo wybiegła naprzeciw niej do przedpokoju jej najserdeczniejsza przyjaciółka, Róża Mendelsohn, nieznacznie utykając na prawą nogę.

– Miałam już posłać po ciebie powóz, bo nie mogłam się doczekać.

– Odprowadził mnie Moryc Welt, szliśmy wolno, prawil mi komplementa, no i tam dalej.

– Żydziak – rzuciła pogardliwie Róża rozbierając ją i ciskając lokajowi kapelusz, rękawiczki, woalkę, okrycie, w miarę jak zdejmowała to z Meli.

– Przesyła ci ukłony bardzo uniżone.

– Głupi! Myśli, że go poznam na ulicy, jak mi się będzie kłaniał.

– Nie lubisz go? – pytała przyglądając powichrzone włosy przed wielkim zwierciadłem, stojącym pomiędzy dwoma olbrzymimi sztucznymi palmami, w jakie całe przedpokój był ozdobiony.

– Nie cierpię, bo ojciec chwalił go któregoś dnia przed Fabciem, a zresztą i Will go nie cierpi. Piękna lala!

– Wilhelm jest?

– Są wszyscy i wszyscy się nudzą oczekując na ciebie.

– A Wysocki? – zapytała ciszej i trochę niepewnie.

– Jest i przysięga, że mył się cały przed samą wizytą. Słyszysz, cały.

– Przecież nie będziemy sprawdzać...

– Musimy wierzyć na słowo – przygryzła usta. Ujęły się pod ręce i szły przez szereg pokojów zalanych mrokiem nadchodzącego wieczoru, umeblowanych z nadzwyczajnym przepychem.

– Co robisz. Róża?

– Nudzę się i udaję przed gośćmi, że mnie bawią. a ty?

– Nic nie udaję przed nikim i także się nudzę.

– Okropne życie! – szepnęła Róża z westchnieniem. – I dokąd się to ma ciągnąć?

– Ty wiesz najlepiej dokąd, do śmierci chyba.

– Ach, co ja bym dała, żebym się mogła zakochać. co ja bym dała.

– Siebie i miliony w dodatku.

– Chciałaś powiedzieć: miliony i siebie w dodatku – powiedziała cierpko a drwiąco.

– Róża! – szepnęła Mela z wyrzutem.

– No, cicho, cicho! – ucałowała ją serdecznie. Weszły do niewielkiego pokoju, zupełnie czarnego, bo meble, obicia ścian, portierey, wszystko było pokryte czarnym pluszem lub czarną matową farbą. Pokój robił wrażenie kaplicy przedpogrzebowej. Dwóch zupełnie nagich przegiętych w tył olbrzymów z ciemnego brązu unosiło w herkulesowych rękach nad głową wielkie gałęzie dziwacznie poskręcanych storczyków o kryształowych białych kwiatach, z których mżyło na pokój elektryczne światło.

Na czarnych kanapkach i fotelikach niskich siedziało kilka osób w milczeniu i w najswobodniejszych pozach, a nawet jeden z mężczyzn leżał na dywanie, pokrywającym całą posadzkę; dywan był także czarny, miał tylko w środku wyhaftowany olbrzymi bukiet czerwonych storczyków, które niby potworne, dziwaczne, powyginane robaki zdawały się pełzać po pokoju.

– Will, na przywitanie Meli mógłbyś wywrócić koziołka – zawołała Róża.

Wilhelm Muller, olbrzymi jasnowłosy drab, w obcisłym kostiumie cyklisty, podniósł się z fotelu, rzucił na dywan, przekreślił się trzy razy w powietrzu z wprawą gimnastyka zawodowego i stanął na środku pokoju, kłaniając się po cyrkowemu.

– Brawo, Miiller! – zawołał leżący na dywanie pod oknem zapalając papierosa.

– Mela, chodź mnie pocałować – mówiła rozrośnięta panna, leżąca na niskim biegunowym krześle, leniwie nadstawiając policzek. Mela ją pocałowała i usiadła na kanapie obok Wysockiego, który pochylony nad małą, szczupłą, różową blondynką, trzymającą nogi na taburecie, szeptał po cichu i co chwila otrzepywał klapy, chował w głąb rękawów dość brudne mankiety, wykręcał energicznie wąsiki blond i dowodził:

– Z punktu właśnie feministycznego nie powinno być żadnych różnic prawnych pomiędzy kobietą a mężczyzną.

– No tak, ale ty, Mieczek, jesteś nudny! – skarżyła się żałośnie blondynka.

– Nie witasz się ze mną, Mieczek! – szepnęła Mela.

- Przepraszam panią, panna Fela właśnie nie da się przekonać.
- Wysocki płaci podwójną karę; Meli powiedział pani, a Feli panna, płacć, Mieciek! – wołała Róża przyskakując do niego.
- Zapłacę, Róża, zaraz zapłacę – zaczął się rozpinać i szukać po wszystkich kieszeniach.
- Mieciek, nie rozpinaj no się zupełnie, to nie jest zabawne – szczebiotła Fela.
- Ja za ciebie zapłacę, jeśli nie masz pieniędzy.
- Dziękuję ci, Mela, pieniądze mam, byłem dzisiaj w nocy wzywany do chorego.
- Róża, dlaczego ja się potrzebuję nudzić? – jęknęła Toni z fotelu biegunowego.
- Will, zabaw Toni, słyszysz, próżniaku!
- Nie chcę, muszę się przeciągnąć, bo mnie krzyż boli.
- Dlaczego ciebie boli krzyż?
- Toni, jego z tych samych powodów boli krzyż co ciebie – śmiała się Fela.
- Trzeba go wymasażować.
- Ja bym chciała mieć twoją fotografię, Will, ty dzisiaj mocno wyglądasz – szepnęła Róża, w jej szarych wielkich oczach zaczęły skrzyć się zielonawe błyski, przygryzła usta bardzo szerokie i wąskie, co niby kresa czerwona przecinały jej twarz długą, białoprzeźroczystą, okoloną nimbem najczystszej miedzi, włosami rozdzielonymi na środku głowy i zaczesanymi na skronie i na uszy, że tylko ich różowe końce migotały olbrzymimi szafirami, oprawnymi w brylanty.
- Fotografujcie mnie w takiej pozie – wołał kładąc się wznak na dywanie i z rękami podwiniętymi pod głowę leżał w całej swej długości, śmiejąc się dźwięcznym, wesołym śmiechem.
- Siadźcie, dziewczynki; obok mnie! Chodźcie, sikorki!
- On jest zupełnie dzisiaj ładny – szepnęła Toni pochylając się nad jego jasną, młodą, typowo niemiecką twarzą.
- On jest mdły – wołała Fela. Wolisz Wysockiego?
- Kiedy Wysocki ma takie cienkie nogi. Cicho. Fela, nie gadaj głupstw.
- Dlaczego?
- No, wprost dlatego, że nie wypada.
- Moja Róża, dlaczego nie wypada? Ja wiem, co mężczyźni opowiadają o nas, mnie wszystko Bernard mówi, on mi opowiadał taki jeden zabawny kawał, że umierałam ze śmiechu.

– Powiedz go, Fela – szepnęła Toni ziewając z nudów.

– Mała, jak opowiesz przy mnie, to ci już nigdy nic nie opowiem – zaoponował Bernard, leżący na dywanie.

– On się wstydzi! ha, ha, ha! – zerwała się z kanapki, zaczęła biegać po pokoju jak wariatka, przewracała sprzęty, zataczała się na Tonię.

– Fela, co ty wyrabiasz?

– Ja się nudzę. Róża, ja się wściekam z nudów. Usiadła na stosie pluszowych czarnych poduszek, jakie jej podsunął lokaj.

– Skąd ty, Willu, masz tę szramę? – pytała wodząc palcem długim i cienkim po czerwonej przędze, przecinającej mu twarz od ucha do małych rozstrzępionych wąsików.

– Od szabli – odpowiedział usiłując złapać jej, palec zębami.

– O kobietę?

– Tak. Niech Bernard opowie, on mi sekundował tak głośno, że wszystkie bumy berlińskie wiedziały o tej sprawie.

– Powiedz, Bernard.

– Dajcie mi spokój, nie mam czasu – mruknął Bernard, przewrócił się z boku na wznak i patrzył w sufit, po którym leciały za złotym wozem Aurory gromady nagich, skrzydlatych nimf; palił papierosa za papierosem, które mu podawał i zapalał stojący w drzwiach lokaj, ubrany w czerwoną francuską liberię – zresztą, to sprawa za bardzo skandaliczna.

– Will, umawialiśmy się przecie, zawiązując nasze zebranie, że mamy mówić sobie wszystko, wszystko – mówiła Toni przysuwając się bliżej z fotelem.

– Mów, Wilhelm, wyjdę za ciebie za mąż w nagrodę – rozśmiała się dziwnie.

– A ja bym cię wziął, Róża, ty masz w sobie grubego diabła.

– I jeszcze grubszy posag – rzuciła drwiąco.

– Kiedy to takie nudne! Will, zrób świnię, mój drogi, zrób świnię! – jęczała Toni przeciągając się w fotelu z taką siłą, aż wielki guzik, imitujący kameę, oderwał się jej od stanika.

Czuła się tak znudzoną bezbrzeżnie, że żalonym głosem prosiła wciąż uparcie, jak dziecko:

– Zrób świnię, Will, zrób świnię!

Wilhelm stanął na czworakach, wygiął grzbiet i zaczął w krótkich sztywnych podskokach, doskonale imitujących ruchy starej świni, oblatywać pokój, pokwikujać od czasu do czasu.

Toni zanosila się szalonym śmiechem. Róża klaskała w dłonie z całych sił, a Fela biła piętami o dywan i trzęsła się z radości. Krótkie jej włosy rozplatały się i niby jasną wiechą zakryły jej twarz różową, rozbawioną niesłychanie.

Mela rzucała poduszkami w Mullera również porwana ogólną wesołością, a Muller po każdym uderzeniu podskakiwał, wyrzucał zabawnie tylnymi nogami i kwiczał przeciągle, wreszcie zmęczony zaczął się wypalczonym grzbietem czochrać o nogi Róży, wreszcie położył się na środku dywanu, wyciągnął nogi i zupełnie niby świnia zmęczona chrząkał, mruczał i pokwikiwał jak przez sen.

– Nieporównany! Wyborny! – wołały z uniesieniem rozbawione panny.

Wysocki wytrzeszczonymi oczami, zdumiony, przypatrywał się po raz pierwszy tej cyrkowej zabawie znudzonych milionerek; zapomniał strzepywać klapy, nie wciskał mankietów w rękawy, nie kręcił wąsików, tylko wodził oczami po twarzach kobiet i mruknął z obrzydzeniem:

– Błazen.

– Z jakiego punktu? – zapytała Mela, która najpierw się uspokoiła.

– Ze wszystkich ludzkich punktów – odpowiedział twardo i podniósł się oglądając za kapeluszem, w który Fela próbowała wsadzić obydwie nogi.

– Uciekasz, Mieciek? – pytała zdumiona jego surowym spojrzeniem.

– Muszę iść, bo muszę się wstydzić tego, że jestem człowiekiem.

– Francois, otworzyć wszystkie drzwi, bo obrażone człowieczeństwo wychodzi – wołał drwiąco Bernard, który przez cały czas popisów Mullera leżał najspokojniej i palił papierosy.

– Róża, Mieciek się obraził i chce wyjść, nie pozwól mu.

– Mieciek, zostań. Co ci się stało? dlaczego?

– Dlatego, że ja nie mam czasu, przyrzekłem komuś, że przyjdę – tłumaczył się miękko, usiłując ściągnąć swój biedny cylinder z nóg Feli.

– Mieciek, zostań, proszę cię bardzo, przecież obiecałeś mnie odprowadzić do domu – szeptała gorąco Mela i bladą jej twarz pokrył rumieniec wzruszenia.

Pozostał, ale siedział chmurny i nawet nie odpowiadał na drwiące uwagi Bernarda ani na burszowskie dowcipy Mullera, który znowu się położył u nóg Róży. Zapanowała zupełna cisza.



Elektryczność drgała w kryształowych kwiatach i mżyła błękitnym pyłem światła na pokój, na matowe czarne ściany, z których niby błękitne oczy patrzyły cztery włoskie akwarele, oprawne w aksamitne czarne ramy, zawieszona na jedwabnych sznurach, na te znudzone próżniactwem głowy, co żółtawymi plamami odcinały się od czarnego tła ścian i mebli, skrzyły się na ozdobach pianina z zielonawego brązu, stojącego w jednym rogu, które z odkrytą klawiaturą było podobne do jakiegoś potworu, połyskującego długimi, żółtawymi kłami.

Przez zamknięte okiennice wewnętrzne i zapuszczone ciężkie czarne portiere nie dochodziły z miasta żadne głosy prócz huczącego, słabego szmeru i drgań bezdźwięcznych, co niby ledwo wyczute bicie pulsu rozlewały się po pokoju.

Dym, jaki ustawicznie puszczał kłębami Bernard, snuł się sinawym, rzadkim obłokiem; przysłaniał złoty wóz Aurory i nimfy nagie niby najcieńszą bengaliną, opadał, czepiał się ścian i darł się w długie włókna o plusze, i wypływał do dalszych pokoiów drzwiami, w których, niby ostry krzyk w tej czarnej symfonii, czerwieniła się jaskrawo liberia lokaja, gotowego na każde skinienie.

– Róża, ja się nudzę, ja się śmiertelnie nudzę – zajęczała Toni.

– A ja się bawię wesoło – zaczęła wołać Fela podrzucając nogą cylinder Miecia.

– Ja się bawię najlepiej, bo wcale nie potrzebuję zabawy – powiedział ironicznie Bernard.

– Francois, każ dawać herbatę! – rzuciła Róża,

– Róża, nie chodź, ja ci dokończę kawę. Uniósł się na łokciu i szeptał, całując raz po raz różowy koniec ucha.

– Nie ugryź mi kolczyka! Za mocno! Masz takie gorące usta! – szeptała przechylając głowę ku niemu, zagryzła usta, a spod przytmkniętych, ciężkich, sinawych powiek zaczęły się skrzyć zielonawe błyski.

– Ze strachu zaczął się żegnać – szepnął głośniej Will.

– Cóż to – on katolik?

– Nie, ale co to szkodzi się zabezpieczyć. Wysłuchiwała reszty kawy i nie roześmiała się znudzona.

– Wilhelm, ty jesteś dobry, kochany – mówiła głaszcząc go po twarzy – ale twoje anegdoty są za bardzo berlińskie, nudne i głupie. Ja zaraz przyjdę, a tymczasem może, Bernard, co zagrasz.

Bernard powstał, pchnął nogą taburet do pianina i zaczął ze wściekłą brawurą grać trzecią figurę kadryla.

Ocknęli wszyscy z milczenia i nudy.

Wilhelm podniósł się i zaczął tańczyć trzecią figurę z Felą, tańczyli kontredansa z zacięciem kankana, włosy Feli trzęsły się jak pęk słomy na wichurze, zasłaniały jej oczy. opadały aż na brodę, fruwały za nią, odgarniała je ręką i tańczyła do upadłego.

Toni leżała w fotelu i znudzonym wzrokiem goniła za ruchami Wil-  
la.

Lokaj ustawiał z boku małe hebanowe stoliczki inkrustowane wy-  
twornie perłową masą i kładł zastawę do herbaty.

Róża przeciągnęła się leniwie i utykając, i kołysząc szerokimi bio-  
drami szła ku drzwiom i zatrzymała się chwilę przy Wysockim, który  
półgłosem mówił:

– Słowo pani daję, że to nie dekadencja, to jest zupełnie co innego.

– Cóż to jest zatem? – pytała Mela, przytrzymując Wysockiemu rę-  
ce, żeby nie mógł otrzepywać się i wpychać mankietów.

– Ja bym chciała być dekadentką. Mieczek, czy ja mogę być deka-  
dentką? Mieczek, ja chcę być dekadentką, bo ja się nudzę – wołała To-  
ni.

– To jest tylko próżniactwo, pochodzące ze zbytku czasu i zbytku  
pieniędzy! Nuda jest chorobą bogaczy. Ty, Mela, nudzisz się. Róża  
się nudzi, Toni się nudzi, Fela się nudzi, no i z wami nudzą się te dwa  
bałwany, a poza wami połowa córek i żon milionerów nudzi się.  
Wszystko was nudzi, bo wszystko mieć możecie, co kupić można. Was  
nic nie obchodzi, chcecie się tylko bawić, a najszałeńska zabawa koń-  
czy się również nudą. Z punktu socjalnego...

– Mieczek, ale ty o mnie źle nie myślisz? – przerwała gładząc mu  
ręce.

– Nie robię wyjątków, zresztą tak samo należysz do rasy zdegene-  
rowanej, ze wszystkich ras najbardziej odbiegłej od natury, a to się  
mści na was samych.

– Słuchaj go, Mela, on ci uczenie będzie dowodził ze wszystkich  
znanych sobie punktów, że największą zbrodnią na świecie jest posia-  
dać majątek.

– Usiądź, Róża, przy nas.

– Zaraz przyjdę, zajrzę do ojca.

Wyszła i z przedpokoju już oświetlonego elektrycznymi żyrando-  
lami poszła na górę do gabinetu ojca, w którym było prawie ciemno.

Szaja Mendelsohn okryty w rytualne szaty do modlitwy, z obnażoną lewą ręką, okręconą paskami, siedział na środku pokoju, modlił się półgłosem i pochylał poważnie.

W dwóch oknach stało dwóch starych, z siwymi brodami śpiewaków bóżniczych, okrytych w takie same rytualne zasłony w białe i czarne pasy i wpatrzeni w ostatnie różowe brzaski dnia, jakie się barwiły na szarym tle nieba, kiwali się ustawicznie śpiewając jakąś dziwnie namiętną i dziwnie smętną psalmodię.

Głosy były nabrzmiałe skargą i bólem i niby głosy trąb miedzianych brzmiały wrzaskliwą żalością, to huczały głuchą rozpaczą, wybuchaly jękiem beznadziejnym, wznosiły się krzykiem ostrym, przejmującym, który długo drgał w ciszy mieszkania; to znowu zniżali głosy do szeptu i płynęła długa słodka melodia jakby fletów śpiewających w wielkiej ciszy ogrodów kwitnących, wśród cieniów dyszących aromatami ambry, w półśnie pełnym ekstatycznych marzeń miłości, przez które wiły się akcenty wyraźne tęsknot i westchnień, jakby do palmowych ogrodów Jeruzalem, do pustyni smutnych i nieobjętych, do palących żarów słońca, do ojczyzny straconej, a tak kochanej.

Pochylali się coraz rytmiczniej, oczy im gorzały ekstazą i długie siwe brody trzęsły się ze wzruszenia. Porywały ich własne głosy i te rytmy śpiewów, co się rozlewały z ich piersi na pusty, cichy, omroczony pokój, i łkały, prosiły, błagały, drgały skargą przepojoną niedolą i sławiły dobroć i moc Pana nad pany.

Poza oknami panowała, cisza.

Wielkie koszary robotnicze po drugiej stronie ulicy, wprost okien gabinetu, zaczęły błyskać światłami na wszystkich piętrach, a z drugiej strony okien, bo gabinet był w narożniku, czernił się park zbitą gęstwą świerków, które przedzielały pałac od fabryk, i bielily się w zmroku pomiędzy niskimi krzewami gazonów płaty nie roztopionego jeszcze śniegu.

Na wprost Szai siedzącego w pośrodku, było wielkie narożne okno, którym leciały jego spojrzenia i zaczepiały się o olbrzymie kontury fabryk, najeżone kominami i narożnikami, podobnymi do baszt średniowiecznych.

Szaja modlił się gorąco, ale nie mógł ani na chwilę oderwać wzroku od tych murów potężnych, zlewających się coraz bardziej z nocą nadchodzącą; widać było w dali jej ciemny płaszcz, otulający miasto, i jej pogodną, cichą twarz, patrzącą milionami gwiazd.

Śpiew ciągnął się do zupełnej nocy.

Śpiewacy zapakowali modlitewne szaty w aksamitne worki, na których lśniły się wyszyte złotem jakieś hebrajskie zgłoski.

– Masz, Mendel, rubla!

Dał mu srebrny pieniądz, który śpiewak oglądać zaczął troskliwie pod oknem.

– Zobacz, to jest prawdziwy rubel! A tobie, Abraam, to ja zapłacę dzisiaj tylko siedemdziesiąt pięć kopiejek, tobie się dzisiaj nie chciało, tyś symulował śpiewanie. Chciałeś oszukać mnie i Pana Boga?

Śpiewak popatrzył pełnymi łez i ekstazy oczami na Szaję, wziął rulon miedziaków, rzekł cicho pozdrowienie i wyszedł bez szelestu.

Róża cały czas stała przy drzwiach i słuchała tych śpiewów z takim uczuciem, że co chwila powstrzymywała się, aby nie parsknąć śmiechem.

Skoro tylko wyszli śpiewacy, nacisnęła guzik i światło elektryczne zalało pokój.

– Róża!

– Potrzeba ci czego? – pytała siadając na poręczu fotelu przy ojcu.

– Nie. Twoje goście przyszły?

– Są wszyscy.

– Bawią się dobrze? Zaczął głaskać ją po włosach.

– Nie bardzo. Nawet Muller nudny dzisiaj.

– Czemu ich trzymasz, przecież my możemy mieć gości wesołych. Chcesz, to ja Stanisławowi dam notę, żeby poszukał, w Łodzi nie brak ludzi wesołych. Po co się masz nudzić za własne pieniądze. A Wysoccki, co to za człowiek?

– Doktor, to taki inny, zupełnie nie łódzki człowiek, on ma arystokratyczną rodzinę, jego matka jest z hrabiów, on ma herby.

– Tylko nie ma ich na czym nosić. Podoba ci się?

– Dostyc, bo jest niepodobny do naszych i bardzo uczony.

– Uczony?

Pogładził wspaniałym ruchem brodę i słuchał uważnie.

– On napisał książkę, za którą mu jakiś uniwersytet w Niemczech dał złoty medal.

– Duży medal?

– Nie wiem.

Zzymnęła pogardliwie ramionami.

– My do szpitala będziemy potrzebować doktora, ja bym go wziął, jak on taki uczony.

– Dużo płacisz?

– Płacę. Ale tu nie o to chodzi, miałby dużą praktykę i służyłby w mojej firmie, to samo warto pieniądze. Powiedz mu, niech jutro przyjdzie do kantoru. Ja lubię pomagać ludziom uczonym.

– Kazałeś Stanisławowi zaprosić do nas Borowieckiego?

– Róża, ja ci mówiłem, że Borowiecki jest człowiek Bucholca, a ja Bucholcowi i wszystkiemu, co jest jego, życzę wszystkich nieszczęść. Niech on zbankrutuje i pójdzie służyć. Ja przez tego złodzieja, przez tego Szwaba, co on do Polski psami przyjechał i na nas zrobił pieniądze, niech on zmarnieje do dziesiątego pokolenia, ja przez niego chory jestem ciągle, mnie serce boli, on mnie ciągle okrada. A ten Borowiecki to jego jest najgorszy Szwab! – wykrzyknął z nienawiścią.

– Ale przecież to Polak.

– Polak, ładny Polak, co jak zaczął drukować swoje bojki, to mi połowę towaru zwrócili z Rosji, powiedzieli, że paskudztwo, że Bucholca lepszy. To Polak tak robi! on psuje handel, on tym głupim chamom daje takie desenie i kolory, co by je wzięła każda hrabina, po co to? na co? Co ja straciłem przez niego! co straciłem, co stracili nasi! Przez niego, co stracili te biedne tkacze! on zjadł starego Fiszbina, on zjadł trzydzieści innych firm. Ty mi nie mów o nim, bo mnie wszystko w środku boli, jak sobie ich przypomnę. On jest gorszy od najgorszego Niemca, bo jeszcze z Niemcem można pohandlować, a on jest pan, on jest wielki dziedzic! – plunął z pogardą i nienawiścią.

– Przysłać ci herbatę?

– Pojadę do Stanisława na herbatę, zawiozę Julci zabawki, które mi dzisiaj przysłali z Paryża.

Róża pocałowała ojca w policzek i wyszła.

Szaja się podniósł, zakreślił światło, bo lubił oszczędzać na wszystkim, i chodził po ciemnym zupełnie pokoju.

Chodził i myślał o wiecznej swojej zmurze – o Bucholcu.

On go nienawidził całą potęgą żydowskiego fanatyzmu; nienawidził jako fabrykanta-współzawodnika, którego nie mógł przewyższyć niczym.

Bucholc zawsze i wszędzie był pierwszym i tego mu właśnie nie mógł darować Szaja, on, który się czuł pierwszą firmą łódzką, który był przewodnikiem tej masy żydowskiej, jaka go otaczała bałwochwalczym uwielbieniem, miłością i czcią nędzarzy zahipnotyzowanych milionami, jakie rosły w jego rękach z szybkością lawiny śnieżnej.

Przed czterdziestu laty, pamiętał dobrze te czasy, gdy Bucholc szedł już do milionów, on zaczynał karierę jako subiekt jakiegoś nędz-

nego kramu na Starym Mieście, ze specjalnością nawoływania i ciągnięcia kupujących, od noszenia paczek do domów, uprzątnięcia czasami sklepu i trotuaru przed nim. Wystawał całe miesiące na trotuarze. żarty przez mrozy, moczony przez deszcze, palony przez skwary, popychany przez przechodniów, zawsze prawie głodny i obdarty, zawsze ochrypnięty od nawoływań, bez pieniędzy, śpiący za rubla miesięcznie w jakiejś strasznej norze nędzy żydowskiej, jakich pełno po miastach. Potem zniknął nagle z trotuaru, na którym żył. Zjawił się po paru latach nieobecności na bruku łódzkim i nikt go nie poznał.

Przyjechał z trochę pieniędzy i zaczął prowadzić interes na własną rękę.

Uśmiechnął się w tej chwili z politowaniem do tamtych czasów, przypomniał sobie ten nędzny wóz, którym rozwoził towar po wsiach okolicznych, tego konia, którego pasał nad drogami albo w zbożach chłopskich, tę stałą okropną nędzę, jaka go wciąż żarła, bo z pięćdziesięciu rubli kapitału, wliczając w to wóz i konia, musiał żywić siebie, konia, żonę i dzieci.

Potem te pierwsze warsztaty tkackie, jakie założył, te tysiące drobnych oszustw na wadze surowego materiału, jaki wydawał tkaczom biorącym robotę do domu, na miarze, na własnym i swej rodziny żołędkach, na wszystkim – nim zaryzykował wydzierżawić jakąś opuszczoną fabryczkę.

On pierwszy, gdy mu iść zaczęło, pozaprowadzał agentów po miasteczkach, sam nie spał, nie jadł, nie żył, robił tylko i oszczędzał.

On pierwszy dawał na kredyt każdemu, kto tylko chciał, i sam zaczął obracać kredytem, bo Bucholc i niemieccy fabrykanci łódzcy posługiwali się na stary sposób – gotówką.

On pierwszy rozpoczął robić tandetę, obniżyć jakość produkcji łódzkiej, która do jego czasów cieszyła się dobrą opinią.

On prawie pierwszy wprowadził, rozwinął i udoskonalił cały system wyzysku wszystkich i wszystkiego.

Po pożarze, jaki go dotknął, postawił własną fabrykę na tysiąc ludzi.

Stanął na fundamentach.

A szczęście szło za nim nieodstępnie; dziesiątki tysięcy, setki, miliony zaczęły płynąć ze wszystkich stron do jego kas; szły z pańskich dworów, z chałup chłopskich, z przeżartych brudem miasteczek, ze stolic, ze stepów, z gór odległych, płynęły coraz szerszymi strumieniami i Szaja rósł i potężniał.

Tracili inni, umierali, padali przez nieszczęścia i klęski ogólne, Szaja stał twardo, ciągle stare pawilony paliły się, a nowe i potężniejsze powstawały i ssały coraz potężniej ziemię, materiały, ludzi, mózgi, konkurentów i przerabiały to wszystko na miliony dla Szai.

Bucholc zawsze był większym, nie mógł go prześcignąć.

Szaja rósł i wstawała w nim coraz silniejsza żądza pokonania Bucholca, on każdego rubla, jakiego zarobił tamten, liczył za ukradziony i wydarty sobie, żył tą chimeryczną nadzieją, że go przerośnie, że przerośnie wszystkich, że ujrzy się tak wielkim nad Łodzią jak ten komin potężny od maszyn głównych, który potworną sylwetką majaczył teraz w nocy, że zostanie królem tej Łodzi.

Bucholc wciąż był pierwszym, z nim się liczyła opinia kraju, jego słowo równało się monecie brzęczącej, u niego szukano rady i inicjatywy w wielu kwestiach ogólniejszych, jego towary miały najlepszą markę, jego otaczał pewien szacunek, gdy tymczasem Szaję nawet równi mu szwindlami obrzucali pogardą i nienawiścią.

Szaja nie mógł tego zrozumieć, zdawało mu się, że Bucholc obdziera go nie tylko z pieniędzy, ze wszystkiego, czego pragnął dla siebie, obdziera go z zaszczytu panowania nad tym morzem kominów.

Nienawidził go za to jeszcze więcej.

Chodził wciąż po ciemnym pokoju, spoglądał przez szyby na fabryki, to na domy robotników oświetlone jak latarnie i przystanął. Założył okulary i zaczął patrzeć na trzecie piętro domu stojącego wprost pałacu, w trzy mocno oświetlone okna, poza którymi migotały czarne sylwetki ludzi.

Otworzył lufcik i słuchał.

Drżący głos skrzypiec śpiewał jakiegoś sentymentalnego walca, wtórowała mu jękliwie wiolonczela, to muzyka cichła, a natomiast wybuchał gwar kilkunastu głosów i śmiech rozlewał się kaskadą bujną na cichą ulicę razem z brzękiem szklanek i talerzy. Bawiono się wesoło.

Szaja nacisnął guzik elektryczny na lokaja.

– Kto tam mieszka? – zapytał ostro, wskazując na okna.

– Zaraz się dowiem, jaśnie panie.

– Ja jestem chory, a oni się bawią! Za co oni się bawią? Skąd oni mają na zabawę? – myślał zirytowany, nie mogąc oderwać wzroku od tych okien.

– Dom E, trzecie piętro, pięćdziesiąty szósty numer, mieszka tam Ernest Ramisz, majster z piątej sali tkackiej – recytował prędko lokaj.

– Dobrze. Pójdiesz i powiesz, żeby przestali grać, bo ja spać nie mogę, że ja sobie nie życzę, żeby oni się bawili. Każ konie założyć. Ernest Ramisz musi za dużo brać, kiedy go stać na zabawy – powtarzał wrażając sobie w pamięć to nazwisko.



## VIII

– Przyjadę w tej chwili. Do widzenia – odpowiadał ze złością Borowiecki do telefonu, bo Lucy go prosiła, aby natychmiast przyjechał do lasu Milscha, bo ma niesłychanie ważny interes.

– Na taki czas jechać do lasu! Wariatka, jak Boga kocham – szeptał ze złością.

Od szóstej bowiem siedział w kantorze, nie miał ani chwili wolnego czasu, chodził do fabryki pilnować drukowania nowych deseni, jeździł do centralnego biura w kwestii nadużyć, jakie Bucholc odkrył w głównym magazynie, latał, pisał, wydawał tysiące poleceń, tysiące spraw kotłowało mu się w mózgu, tysiące ludzi czekało na jego dyspozycje, setki maszyn oczekiwały rozkazów, kłócił się z Bucholcem, był zdenerwowany do tego kilkodniowym oczekiwaniem na telegram od Moryca, jak stoi bawełna, był zmęczony pracą, tym strasznym codziennym jarzmem, jakie wyręczając Knolla wziął na swój kark, ogłuszony rozmiarami i ilością interesów, jakie musiał prowadzić, a tu jeszcze ta wariatka woła go gdzieś za miasto na schadzkę.

Irytował się coraz bardziej.

Nie miał nawet dzisiaj czasu wypić herbaty, bo Bucholc, chociaż chory, kazał się zanieść do kantoru z fotelem, do wszystkiego się wtrącał, krzyczał na wszystkich i rozsiewał tylko strach i zamieszanie pomiędzy urzędnikami.

– Panie Borowiecki – zawołał siedząc z obwiniętymi nogami, w wytartej futrzanej czapce na głowie i z kijem na kolanach. – Zatelefonuj pan do Marksa, żeby nie dawać ani za rubla towaru Milnerowi w Warszawie. On miał u nas kredyt i za dużo już jest winien, a mam właśnie notę o nim, że bardzo prędko idzie do plajty.

Borowiecki zatelefonował i przeglądał jakieś potężne kolumny cyfr.

– Panie Horn! Sprawdź pan ten fracht, tam jest omyłka, kolej pobrała za dużo. musieli z innego numeru taryfy policzyć – zawołał do Horna, który już od kilku dni, to jest od niedzieli, został przeniesiony na żądanie Bucolca z podręcznego kantoru drukarni i blichu do jego osobistego.

Horn bardzo blady, z oczami zaczerwienionymi zmęczeniem i bezsennością, rachował sinymi ustami machinalnie, mylił się, nie mógł skupić uwagi, kolumny cyfr tańczyły mu przed oczami niby kłęb sadzy.

Ziewał ciągle i znudzonym wzrokiem spoglądał na zegar, czekał z utęsknieniem południa.

– Tej babie, którą pan protegujesz, niech dadzą dwieście rubli i niech idzie się zapić. Ona cała ze swoimi szczeniakami niewarta pięćdziesięciu!

– To wydział prawny załatwi tę sprawę?

– Tak, ona musi nas pokwitować urzędownie. Bauer, dopilnuj tej sprawy, niech się to skończy nareszcie, bo babę jeszcze kto namówi, żeby nas zaskarżyła do sądu.

Horn pochylił niżej głowę, aby ukryć złośliwy, tryumfujący uśmiech.

– Pan prezes ma konie w domu?

– Potrzebne panu, to pan bierz, bierz pan, ile razy potrzeba. Zaraz zatelefonuję do stajni. Kundel, popchnij – krzyknął na lokaja, który popchnął fotel pod telefon, funkcjonujący w obrębie fabryk jego.

– Stajnia! – krzyknął dzwoniąc gwałtownie. – Powóz natychmiast do pałacu. Ile razy zażąda koni pan Borowiecki – przyjeżdżać! Bucholc mówi, kundlu! – krzyknął w odpowiedzi telefonistce, zapytującej się, kto mówi.

Lokaj z powrotem przysunął go do biurka i stanął z boku.

– Horn, siądź pan przy mnie, podyktuję. Pan się prędzej ruszaj, kiedy ja mówię do pana – krzyknął ze złością.

Horn zagryzł tylko usta, usiadł i pisał po dyktandzie, które mu szybko rzucił Bucholc nie przestając

załatwiać równocześnie innych interesów i krzycząc chwilami;

– Pan nie śpij! Ja panu nie za spanie płacę – i mocno stukał kijem w podłogę.

Horna tak to irytowało, taki był zresztą dzisiaj zniecierpliwiony, że z trudem hamował wybuch, wrzał cały.

Telefon zaczął dzwonić.

– Baron Oskar Meyer pyta się, czy zastanie za pół godziny pana prezesa?

– Panie Borowiecki, powiedz mu pan, że nie przyjmuję nikogo, leżę w łóżku.

Karol odtelefonował natychmiast i słuchał znowu.

– Czego on jeszcze chce?

– Mówi, że ma ważny, osobisty interes.

– Nie przyjmuję! – zakrzyczał. – Baron Oskar Meyer może mieć ważny interes do mojego psa, a nie do mnie. Kundel! Cham! – mrucał w przystankach dyktanda.

Nie cierpiał bowiem Meyera i kpił najgłośniej w Łodzi z baroństwa, jakie sobie kupił w Niemczech Meyer, dawny jego tkacki robotnik, a dzisiaj fabrykant wyrobów wełnianych, rozporządzający milionami.

– Spiesz się pan! – zawołał ze złością na Horna.

– Obu rękami pisać nie umiem.

– Co to znaczy?

– Nie mogę prędkiej pisać, niż piszę.

Bucholc dyktował dalej i wolniej nieco, bo Horn, jakby na złość, pisał niesłuchanie wolno i coraz mocniej ściągał brwi z gniewu.

W kantorze zrobiło się cicho.

Borowiecki już w palcie stał przed oknem i niecierpliwie czekał na konie.

Urzednicy z przykutymi do pulpitów twarzami, pracowali gorączkowo, bojąc się głośniej oddychać lub słowo zamienić ze sobą ze względu na obecność Bucholca, który wszystkich przejmował strachem prócz jednego Bauera, starego przyjaciela i powiernika prezesa, tego samego, który musiał zakomunikować tajemnie ową depezę Zukerowi, jak kombinował Karol.

Konie wreszcie przyszły i za wychodzącym śpiesznie Borowieckim zawołał Bucholc:

– Zajrzyj pan jeszcze po przyjeździe.

Nie odpowiedział nic, tylko zaklął po cichu, bo był tak zmordowany robotą i tym wyczekiwaniem denerwującym na depezę od Moryca, że upadał wprost ze zmęczenia.

Kazał stangretowi jechać do lasku Milscha.

Przed starym browarem, olbrzymim budynkiem, na pół zrujnowanym, który niby trup leżał już za miastem, kazał zatrzymać konie i zaczekać na siebie.

Obszedł te opuszczone mury z powybijanymi oknami, bez drzwi, bez bram, z dachami pozapadanymi, ze ścianami porozwalanymi, co się rudą cegłą rozsypywały w grząskie błoto, obszedł jakieś parkany osłaniające składy i po rozmiękłym zagonie, zapadając po kostki w błoto wszedł do tak zwanego lasku Milscha.

– Niech diabli wezmą histeryczki! – klął coraz energiczniej, bo gliniasta rozmiękła ziemia tak oblepiała mu obuwie, że z trudem wyciągał nogi – romantyczka jerozolimka! – dodawał ze złością, bo czuł się śmiesznym w tej roli kochanka, zmuszonego po błocie lecieć na schadzkę gdzieś aż na drugi koniec miasta, do lasu, w marcu!

Dzień był posepny, chmury płynęły nisko nad ziemią i rozsącały się z wolna w drobny, przenikliwy deszcz, Łódź tonęła w brudnych, prawie czarnych oparach i dymach, które leżały niby opona nad miastem, jakby się wspierając na tysiącach kominów.

Borowiecki przystanął chwilę pod ścianami restauracji letniej, przypierającej do lasu, która teraz była zamknięta, okna miały kagańce okiennic, wielkie werendy były zapchane stołami i krzesłami i drzwi pozabijane deskami, tylko pomiędzy nagimi drzewami, nad żółcącymi się zwirem uliczkami bieleły się nie posprzątane ławki, zarzucone gnijącymi liśćmi.

Ciszej było za tą zasłoną, ale że stąd nic nie mógł dojrzeć, zapuścił się w lasek.

Lasek był nędzny, świerkowy i konał powoli, zabijało go sąsiedztwo fabryk, te niezliczone studnie, wiercone coraz głębiej, które obsuszały okoliczne grunta i zabierały drzewom wszelką wilgoć, i ta rzeczka odpływów ścieków fabrycznych, co niby różnokolorowa wstęga przewijała się pomiędzy pożółkłymi drzewami, wsączała rozkład w te potężne organizmy i roztaczała dokoła zabójcze miazmaty.

Pod osłoną drzew, na drózkach leżał jeszcze śnieg, a drogą, którą zimą nikt nie jeździł, a chodzili tylko robotnicy z pobliskich wsi. ciągnęły się głębokie ślady stóp, wyciśnięte w zielonawym przemiękłym śniegu,

Borowiecki ślizgał się po błocie i po śniegu, potykał się o korzenie drzew i szedł w głąb, nie mogąc nigdzie dojrzeć Lucy.

Zirytowany bezowocnym poszukiwaniem i zimnem, i tą wilgocią przejmującą, miał już zawrócić do powozu, gdy zza grubszego drzewa, gdzie stała zaczajona, rzuciła mu się na szyję Lucy, i z taką gwałtownością, że mu zrzuciła kapelusz na ziemię.

– Kocham cię, Karl! – szeptała całując go namiętnie.

Odpowiedział na pocałunek, ale nie rzekł nic, bo mu się chciało kląć ze złości.

Ujęła go pod ramię i spacerowali tak pomiędzy drzewami, po rozkwaszonym, oślizgłym gruncie.

Las szumiał jakoś smutnie i głucho i trzął na nich razem z igłami schnących świerków deszcz, co z szelestem coraz głośniejszym trzepał w gałęzie.

Lucy rozmawiała niestrudzenie, przeplatając rozmowę pocałunkami i pieścizotliwym, kocim przytulaniem się do niego. Paplała jak dzieciak o wszystkim, przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, nie kończąc jednego zdania zaczynała drugie pocałunkiem. Wybuchwała wesołym, szczerym śmiechem za najlżejszym powodem.

Wyglądała przy tym prześlicznie, w jakimś półwiosennym angielskim kostiumie, w wielkiej futrzanej pelerynie czarnej, z kołnierzem a la Medicis z piór strusich, w ogromnym czarnym kapeluszu, spod którego jej cudowne oczy świeciły się jak dwa szafiry.

Porywało ją to romantyczne spotkanie z kochankiem.

Nie chciała się z nim spotkać w mieście, bo pragnęła nadzwyczajności jakiej bądź, pragnęła niepokoju, dreszczu emocji. Wymyśliła więc to spotkanie w lesie i teraz się nim rozkoszowała całą swoją duszą znudzoną, nie zwracając nawet uwagi na milczenie Karola, który odpowiadał zaledwie monosylabami i często spoglądał na zegarek.

Co ją to obchodziło, był przy niej, czasem oddawał pocałunek tak namiętnie, że aż białawą mgłą zachodziły jej oczy, mogła mu mówić o swojej miłości, mogła rzucać mu się co chwila w ramiona i mogła uczuć to słodkie zdenerwowanie, przesycone obawą, aby ich kto nie spostrzegł.

Oglądała się co chwila z przestachem na wszystkie strony, a gdy drzewa zaszumiały głośniej lub wrony z krzykiem zrywały się z drzew i leciały ku miastu, przytulała się do niego z krzykiem przerażenia i trzęsa się cała, że musiał rozwiewać jej obawy pocałunkami i zapewnieniami, że są zupełnie bezpieczni.

– Karl, masz rewolwer? – zapytała.

– Mam.

– Wyjmij, mój złoty, mój jedyny. Widzisz, będę się czuć bezpieczniejszą. Nie dałbyś mnie, prawda? – szeptała, przyciśnięta do niego.

– O, możesz być pewną. Ale czego się boisz.

– Ja nie wiem czego, ale się bardzo boję, bardzo – i oczy jej biegały szybko po lesie.

– Tutaj nie ma zbójców, daję ci słowo.

– Gdzież tam, czytałam niedawno, że w tym lesie zabili powracającego z roboty robotnika, wiem z pewnością, że tutaj zabijają – wstrząsnęła się nerwowo.

– Bądź spokojną, przy mnie nic ci się złego nie stanie.

– Wiem, ty musisz być bardzo odważny. Kocham cię, Karl, pocałuj mnie, tylko mocno, mocno. Zaczął ją całować.

– Cicho! – zawołała odrywając usta od jego ust. – Ktoś woła!

Nikt nie wołał, las szumiał i pochylał się wolno i automatycznie, wysokie drzewa zdawały się koronami rozmiatać kłęby mgieł, co płynęły z pól coraz chyżej i coraz niksze, bo deszcz poczynął padać rzęsy i sypał się na las niby grube ziarno, i bębnił z łoskotem w blaszane dachy restauracji.

Karol rozłożył parasol i stanęli pod drzewem, które ich nieco ochraniało.

– Zamoczysz się, bardzo mi żal, że na taką pogodę jesteś wystawiona.

– Karl, ja to bardzo lubię.

Zdjęła rękawiczkę i wystawiła długą białą rękę na deszcz.

– Jeszcze się przeziębisz i rozchorujesz.

– To byłoby dobrze, leżałabym w łóżku i mogłabym ciągle, ciągle myśleć o tobie.

– Tak, ale ja nie mógłbym cię wtedy widzieć.

– O, to nie chcę. Już całe trzy dni cię nie widziałam i nie mogłam wytrzymać, musiałam koniecznie z tobą się spotkać. A ty czy myślałeś o mnie?

– Musiałem, bo nie potrafiłem myśleć o czym innym.

– Jak to dobrze. Czy ty mnie jeszcze kochasz, Karl? – Kocham, wątpisz?

– Wierzę ci, że będziesz mnie kochał zawsze.

– Zawsze.

Usiłował zmiękczyć głos i twarzy nadać ton szczęśliwości, ale nie bardzo mu się to udawało, bo kamaszki mu przemiekły, miał pełne kalosze wody i błota, a zresztą tyle jeszcze dzisiaj roboty.

Byli ze sobą z godzinę i zdecydowała się dopiero do powrotu, gdy jej twarz i ręce tak zziębły, że musiał je rozgrzewać pocałunkami, a przy rozstaniu, kiedy zapytał, czy istotnie miała tak ważny interes, o którym telefonowała, rzuciła się mu na szyję.

– Kocham cię, chciałam ci to powiedzieć, chciałam cię widzieć!

Odeszła wreszcie i powracała po kilka razy, żeby się raz jeszcze pożegnać i raz jeszcze zapewnić go o swojej miłości i prosić, żeby się nie wychylał z lasu, póki nie wsiądzie do powozu czekającego w uliczce obstawionej parkanami.

Świstawki obiadowe zaczynały przecinać powietrze ze wszystkich stron, gdy się wydostał do powozu i prawie galopem pojechał do kantoru.

Zastał tylko Bucholca i Horna, bo reszta już się rozproszyła na obiad.

– Pan za mocno akcentujesz swoje słowa – szeptał Bucholc wyciągając się w fotelu.

– Nie umiem inaczej mówić – warczał Horn.

– Potrzeba, żebyś się pan nauczył, bo ja tego nie znoszę.

– To mi jest Schwam-druber, panie prezesie – mówił prawie spokojnie, tylko usta mu drgały nerwowo, a niebieskie oczy pociemniały nagle.

– Do kogo to pan mówisz? – podniósł nieco głos.

– Do pana prezesa.

– Panie Horn, ja pana ostrzegam, bo ja za wiele cierpliwości nie mam, ja panu...

– Nie potrzebuję wiedzieć, czy pan jest cierpliwy, czy nie, to mnie nie obchodzi.

– Nie przerywaj pan, kiedy ja mówię, kiedy Bucholc mówi!

– Nie widzę przyczyny, dlaczego nie może być cicho Bucholc, kiedy Horn mówi.

Bucholc zerwał się, ale tylko syknął z bólu, gładził przez chwilę okręcone nogi i oddychał ciężko, przykrył powiekami oczy, złość nim trzęsła, ale milczał, bo chciał panować nad sobą.

Horn, który z całą świadomością i nawet z pewną metodą rozdrażniał go coraz bardziej, złożył książki, najspokojniej zabrał swoje ołówki, gumy i obsadki, owinał je w papier i schował do kieszeni.

Robił to wszystko bardzo wolno i spoglądał na Borowieckiego, który zdumiony jego zachowaniem i tą niesłychaną kłótnią, nie wiedział, co zrobić ze sobą. Nie mógł wziąć strony Horna, bo nie wiedział, o co im poszło, a zresztą nie ująłby się i tak za nim, bo więcej go obchodził Bucholc. Patrzył więc zgorszony na Horna, który spokojnie kładł kalosze i uśmiechał się sinymi z irytacji ustami.

– Pan u mnie miejsca nie masz, ja pana wyrzucam – szepnął Bucholc.

– Ja sobie robię grubą nieprzyzwoitość z pana i z pańskiego miejsca. Wsadzał drugi kalosz.

– Prócz tego każę cię wyrzucić za drzwi.

– Spróbuj, chamie! – krzyknął ubierając się śpiesznie w palto.

– Kundel, za drzwi z nim! – szepnęła jeszcze ciszej Bucholc, ściskając nerwowo kij.

– Daj spokój, August, nie próbuj, bo tobie razem z twoim panem nadłamię żeber.

– Verflucht! Za drzwi z nim! – zakrzyczał.

– Milczeć złodzieju! – ryknął Horn chwytając za jakiś ciężki stołek i gotów był bić, gdyby go był ktokolwiek dotknął. – Milczeć, ty szwabska mordo! ty szakalu! – rzucił stołkiem pod biurko i wyszedł, trzaskając tak silnie drzwiami, aż wszystkie szyby z nich wyleciały.

Borowiecki wysunął się już przedtem.

Bucholc opadł z jękiem, nieprzytomny prawie z gniewu, miał tyle tylko sił, że nacisnął guzik elektryczny i przyduszonym, ochrypłym głosem szepnęła:

– Policja!

Długa cisza zapanowała w pustym kantorze. Lokaj stał bez ruchu przestraszony i nie wiedział, co robić, patrzył na twarz siną Bucholca i na wykrzywione z bólu usta, który oprzytomniał wreszcie, otworzył oczy, popatrzył na pusty kantor, poprawił się w fotelu i po długiej chwili zawołał łagodnie:

– August!

Lokaj podszedł ze strachem, bo jak tylko wołał po imieniu i udawał łagodnego, wtedy był na j straszniejszy m.

– Gdzie pan Horn?

– Jaśnie pan go wyrzucił, to i poszedł.

– Dobrze. A gdzie pan Borowiecki?

– Zajrzał tylko i zaraz wyszedł, musiał iść na obiad, bo już po dwunastej, fabryki dosyć dawno gwizdały na południe – przeciągał umyślnie odpowiedzi.

– Dobrze. Stań z boku.

Lokaj drgnął, ale wypełnił rozkaz.

– Słucham! – rzekł bardzo pokornym głosem.

– Kazałem ci wyrzucić tego psa, dlaczego nie słuchałeś, co?

– Jaśnie panie on sam wyszedł – zaczął się tłumaczyć ze łzami.

– Milczeć! – krzyknął i uderzył go z całej siły kijem przez twarz.

August bezwiednie cofnął się w tył.

– Stój, chodź bliżej!

I gdy lokaj pod wpływem strachu znowu się przysunął, przytrzymał go za rękę i potężnie obłożył kijami.



August nie próbował się nawet wydzierać, odwrócił tylko twarz, żeby ukryć łzy, które mu się strumieniem łały po wygolonych policzkach, a gdy Bucholc przestał go bić śmiertelnie zmęczony i leżał w fotelu jęcząc, zaczął obwijać mu nogi we flanele, które się pozsuwały podczas gwałtownych poruszeń.

Karol tymczasem, nie chcąc być świadkiem awantury, wyniósł się i pojechał na obiad.

Jadał w tak zwanej „kolonii” na Spacerowej.

„Kolonie” składało kilkanaście kobiet, Polek, wyrzuconych przez los z różnych części Kraju na bruk łódzki.

Były to przeważnie rozbitki życiowe: wdowy, eks-obywatelki ziemskie, eks-kapitalistki, eks-panie, stare panny i młode dziewczyny, które przyszły tutaj szukać pracy. Bieda je połączyła i bieda wyrównała pomiędzy nimi różne towarzysko-kastowe nierówności.

Zajmowały na ulicy Spacerowej całe piętro urządzone na sposób hotelowy, korytarz biegł wzdłuż całego mieszkania i kończył się przy wielkim narożnym pokoju, służącym za wspólną dla wszystkich jadalnię.

Karol i Moryc jadali tam obiady razem z kilkoma kolegami.

Przyszedł spóźniony nieco, bo wielki okrągły stół był już obsadzony stołownikami.

Jedzono pośpiesznie w milczeniu, nikt nie miał czasu na pogawędkę, a wszyscy co chwila podnosili głowy i nasłuchiwali, czy nie odzywają się już świstawki.

Karol usiadł obok tej barokowej, która w sobotę przewodniczyła w łoży, uścisnął kilka rąk w milczeniu, kiwnął kilka razy głową dalej siedzącym i zabrał się do jedzenia.

– Horna nie było jeszcze? – zapytał ktoś przez stół pani Łapińskiej.

– Spóźnia się jakoś dzisiaj – szepnęła.

– Przyjdzie dopiero wieczorem – poinformowała młoda dziewczyna z obciętymi krótko włosami, które co chwila odgarniała z czoła.

– Dlaczego, Kama?

– Miał dzisiaj zrobić awanturę Bucholcowi i wymówić mu miejsce.

– Mówił Kamie o tym? – zapytał żywo Karol.

– Taki plan miał.

– On nigdy, jak widzę, nie robi nic bez planu – chodząca metoda.

– Zawzięty Niemczyk!

– O, pan Sierpiński nazywa Horna Niemczykiem, ciociu! – zaprotestowała Kama.

- Nie tylko zawzięty, on ma nawet w gniewie metodę.
- Ba, widziałem go raz, jak u nas w kantorze kłócił się z Mullerem.
- A ja przed chwilą zostawiłem go w podobnej sytuacji z Bucholcem.

– Co się stało, panie Karolu? – zawołała żywo Kama i przybiegła do Borowieckiego, zanurzyła mu we włosach swoją drobną, dziecinną jeszcze rączkę i pociągając go za głowę, wołała rozpieszczonym głosem: – Ciociu, niech pan Karol powie!

Kilka głów podniosło się znad talerzy.

– Przy mnie nic się nie stało jeszcze, a co po moim wyjściu – nie wiem. Szło na ostro. Horn z całą serdecznością przekonywał Bucholca, że jest złodziejem i szwabską mordą.

– Ha, ha, ha, brawo Horn, dzielny chłopak.

– Szlachecka krew, panie dobrodzieju, tak czy owak, a zawsze się pokaże – mruzczał Sierpiński ukontentowany, obcierając potężne, wy-czernione wąsy.

– A ja pana kocham, bo pan jest porządny szlachcic, prawda, ciociu?

– A ja Kamę, panie dobrodziejski, także...

– Kocham tak czy owak – dokończyła Kama ze śmiechem.

– Nie tyle ma Horn dzielności, ile zwykłego, bezmyślnego zawa-diactwa – powiedział Karol niechętnie.

– Zabramiamy tak mówić o Hornie – wołały kobiety spoglądając na Kamę, która puściła głowę Karola, odsunęła się gwałtownie i rozczewniona, a pałającymi oczami mierzyła go gniewnie.

– Nie odwołam, com powiedział, i nie przestanę tego dalej dowodzić. Chciał rzucić miejsce – mógł; miał jakie pretensje do Bucholca, mógł je wyłuszczyć; z Bucholcem łatwiej się porozumieć niż z innymi, bo Bucholc ma rozum. Ale po co było robić podobną awanturę, chyba tylko dla popisu, żeby o nim w Łodzi mówiono. Tak, chłopaczki będą podziwiać jego śmiałość i odwagę. Wielkie bohaterstwo – nawymyślać choremu człowiekowi. Bucholc mu tego nigdy aie daruje, będzie się na nim mścił do śmierci, on ma dobrą pamięć.

– O, to niedługo, dzięki Bogu, bo on podobno bardzo chory – zawołała z uniesieniem Kama.

– Karna, co ty wygadujesz?

– A zresztą figę mu zrobi. Horn pojedzie do Warszawy, do domu i będzie sobie kpił z Bucholca. Prawda, ciociu?

– A co nawymyślał Szwabowi, to mu nikt tego nie odbierze.

– Bucholc ma długie ręce, dostaną i do Warszawy. Znajdzie sposób zwrócenia na niego uwagi, zrobi tak, jak zrobił Muller z Obrębskim, i Horn może się dobrze przechłodzić, będzie miał czas.

Świstawka gdzieś niedaleko rozległa się przeraźliwie.

– Krzeczkowski, to twój słowik cię wabi – zaśmiał się któryś.

– Niechaj straci głos – szepnął wysoki, chudy blondyn w okularach, podniósł się i wyszedł z pośpiechem.

– Czy istotnie szło tak ostro, panie Karolu? – pytała pani Stefania, przysiadając się do niego, również dzisiaj liliowa, jak i w sobotę była w teatrze.

– Więcej jak ostro, bo Horn gotów był się rzucić na Bucholca.

– Zuch chłopak, panie dobrodziejski, trzeba było Szwaba przytrzymać za czuprynę i potem tak i owak, z jednej i z drugiej strony nafasonować.

– Panie Sierpiński, to nie sprawa z ratajem.

– A cóż to, wiadomo, panie dobrodziejski, że Bucholc traktuje wszystkich jak psów. Psiakrew – zatkał gwałtownie usta. – Przepraszam panie dobrodziejski, zapomniałem się, ale moje bydłę już na mnie ryczy – mówił śpiesznie, całował wszystkie kobiety w ręce z pośpiechem, bo gruby, huczący świst przedzierał się przez szyby i wołał go do roboty.

I tak prędko po kolei odrywali się od stołu, rzucali nie dokończony obiad, kiwali głowami nie mając czasu na inne pożegnania i wybiegali ubierając się już w palta na schodach, i lecieli do fabryk, porywani tymi świstami, co jak kanonada rozlegały się nad miastem i zwoływały do pracy. Każdy znał głos swojej świstawki i każdy usłyszawszy ten nienawistny głos, rzucał wszystko i biegł, aby się tylko nie spóźnić.

Borowiecki tylko nie zważał na to i Malinowski, młody technik z biura Szai, który wciąż milczał, jadł i w przerwach pisał coś szybko w notesie leżącym obok talerza, czasem powłóczył zielonymi oczami po twarzy pani Stefanii, wzdychał cicho, przegarniał włosy i kręcił gałki z chleba, którym się następnie długo przypatrywał.

Twarz miał bladą jak surowy perkal, zupełnie popielate włosy i wąsy, no i te dziwne oczy zielone, które ciągle zmieniały kolor. Zwracał zawsze ogólną uwagę, bo był bardzo piękny i bardzo nieśmiały, i bardzo zamknięty w sobie.

– Ciociu, czy pan Malinowski mówił co dzisiaj? – zapytała Kama, która ze szczególną sympatią torturowała go codziennie.

Łapińska nic nie odpowiedziała, zajęta rozmową z Borowieckim, a Malinowski opuścił oczy i uśmiechnął się dziwnie słodko i znowu coś pisał w notesie.

I kobiety, siedzące przy stole, zaczęły z wolna podnosić się i wychodzić, każda z nich bowiem pracowała w jakimś interesie.

Dzwonek zadzwieczał w przedpokoju z gwałtownością.

– To mój Mateusz, telegram! – zawołał Karol, znający dobrze sposób dzwonienia famulusa, który istotnie wszedł zaraz, niosąc telegram od Moryca.

– To przyszło dopiero i zaraz jeźdem – meldował.

– A to niech zawsze wyciera nogi w przedpokoju, jeśli to ma zabłoczone buty! – komenderowała energicznie Karna.

Borowiecki, nie zważając na ciekawe spojrzenia, usunął się pod okno i czytał:

...Dobrze. Knoll, Zuker, J. Mendelsohn – kupują. Pierwszą partię wysłałem rano. Zwoź do mnie. Piętnaście procent drożej. Zapasy małe. Za tydzień powrócę”, Karol chciwie przeczytał ten telegram i nie mógł ukryć zadowolenia.

– Dobre wiadomości, panie Karolu? – zapytała pani Stefania patrząc się liliowymi oczami w jego rozjaśnioną twarz.

– Bardzo dobre!

– Od narzeczonej! – wykrzyknęła Kama.

– Tylko od Moryca z Hamburga. Ładna narzeczone. Niech Karna będzie grzeczna, to wyswatam za Moryca.

– Żydziak, nie chcę, nie chcę – wołała tupiąc nogami.

– No, to za Bauma.

Kamy już nie było w pokoju.

Zaczął się żegnać z pozostałymi.

– Już przecież pana gwizdawki nie wołają.

– Pomimo to dzisiaj mi pilniej niż kiedykolwiek.

– Prawda, pan dla nas nigdy nie ma czasu, już trzy niedziele z rzędu nie było pana wieczorem – lekki wyrzut brzmiał w jej głosie.

– Pani Stefanio, nie śmiem wierzyć nawet, że brak mój zauważono, nie jestem tak zarozumiałym, ale jestem pewny, że opuszczając te wieczory straciłem daleko więcej niż pani, daleko więcej.

– Kto to wie? – szepnęła cicho, podając mu rękę na pożegnanie, którą on ucałował bardzo mocno i wyszedł.

W przedpokoju zastąpiła mu drogę Kama.

– Panie Karolu, ja mam do pana bardzo wielką prośbę, bardzo wielką, bardzo...

– Słucham i z góry obiecuję wszystko spełnić. Niech dziecko prosi.

Kama nie patrzyła na niego; te krótkie czarne włosy, poskręcane w pierścionki, zasłoniły jej całe czoło, nie odgarniała ich wcale, oparta plecami o drzwi, z piąstkami zaciśniętymi, zbierała długo całą swoją odwagę.

– Niech pan nie prześladowuje Horna, niech mu pan pomoże. On wart tego, on taki dobry, taki szlachetny, a jemu tak źle w Łodzi, tak źle, jego nikt nic lubi i wszyscy się z niego śmieją, a ja tego nie chcę, mnie to tak bardzo boli, ja bym tak pragnęła, Jezus Maria... ja tego nie chcę!  
– wykrzyknęła wybuchając płaczem i uciekła do saloniku, gubiąc jeden pantofel z nogi.

– Dziecko się kocha – pomyślał, powstał chwilę, podniósł pantofelek i poszedł z nim do saloniku, otworzył drzwi i stanął zdumiony.

Karna w pończochach tylko goniła naokoło stołu małego białego bonończyka, który z pantoflem w zębach biegał dookoła.

Śmiała się do rozpuku i koniecznie usiłowała go złapać, ale mądry pies umiał się jej zawsze wykręcić w ostatniej chwili i uciec, a gdy zwalniała pogoń, kładł pantofelek i czekał wesoło.

– Picoło, daj Kamie, słuchaj Kamy, Picoło – wołała do niego, zdradziecko się podsuwając, ale pies przeczuwał manewr, chwycił w zęby pantofel i uciekał.

– Za to ja Kamie oddaję zgubę, chociaż mógłbym śmiało zatrzymać.

– Ciociu! – zawołała przestraszona, przykucając na środku pokoju, aby ukryć nogi.

Postawił pantofelek na podłodze i wyszedł szczerze rozbawiony.

Pobiegł do kantoru Moryca obejrzeć składy, gdzie miała być ładowana bawełna.

Powracając natknął się na Kozłowskiego, tego operetkowego warszawiaka, poznanego u Murraya.

– Bon jour, dyrektorze – zawołał wyciągając rękę w eleganckiej czerwonej rękawiczce.

– Morgen!

– Pójdę z panem kawalek.

Zsunął gałką laski cylinder nieco w tył.

– A i owszem, będzie mi przyjemniej. Jakże interesu?

– Świetnie, ma się wie. Pomysł doskonały już mam, szukam tylko pieniędzy. Rzepa, nie facetka, o! – zawołał wykręcając się za jakąś kobietą i z ukontentowaniem nasunął sobie laską cylinder mocno na czoło.

– Cóż to, w tej branży chcesz pan pracować?

– Nie zrobiłbym na tym w Łodzi żadnego interesu. Wczoraj dopiero spotkałem pierwszą ładną kobietę w Łodzi, ma się wie, że musi być nietutejsza do tego.

– Są i w Łodzi ładne kobiety.

– Słowo honoru, że tego nie powiem. A przecież ciągle jestem na mieście, ciągle szukam, no bo – ma się wie – bez kobiet, i do tego pięknych, nie rozumiem życia.

– No, a ta wczorajsza? – wywabiał go Karol, bo go facet zaczął interesować i bawić.

– Aha, zaraz. Idę Piotrkowską, powracałem z Grandu. Patrzą, wali wprost na mnie jakaś niewiasta. Kostium – szyk, buzia – caca, figura – zacna, włosy – smoła, oczy – szafir przykopcony, biodra – wał czwórka, wzrost – grzeczny, a jakże. No, smok, nie kobieta! A usta, no, mówię dyrektorowi, dwa najwspanialsze zraziki.

– Musiał pan jeszcze nie jeść obiadu? – przerwał mu Karol.

– Dlaczego? – zapytał ostro, zsuwając cylinder w tył.

– Że panu przyszło takie kulinarne porównanie.

– Z dyrektora wesoły pasażer! – zawołał i po przyjacielsku klepnął go w brzuch. – Ma się wie, wykręciłem z miejsca i walę za nią. Ona furt idzie, a ja za nią. Za Nowym Rynkiem, tam na dole, błoto było na trotuarze, więc moja facetka parasolik pod pachę, sukieneczkę w obie rączki i jazda dalej! U! frajdę miałem zacną, nóżki wprost boskie, można by bućka całować. Obejrzałem ją ze wszystkich boków, a ta wciąż udaje, że mnie nie widzi. Wyprzedziłem i stanąłem przed jakąś wystawą, a kiedy nadchodziła, patrzę się w jej oczy. Uśmiechnęła się cudownie, buchnęło na mnie jak z pieca, spaliła mnie oczami. Idziemy dalej, ona naprzód, a ja krok w krok za nią. Kto to może być? Za bardzo ostentacyjnie nie zwraca na mnie uwagi, to coś podejrzanego, A że ja mam pewną metodę, podług której oceniam kobiety, więc zaczynam ją oglądać na fest. Pozory miała wielkiej wytworności, ale zobaczyłem, że uczesana była niedbale, to pierwszy minus; kapelusz miała z pewnością paryski, to znowu plus; kostium drogi, wełna w najlepszym gatunku, solidnie zrobiony i dobrze przystosowany do obecnej pory, to plus drugi; ale patrzę lepiej i nad bućkami rudzieją zwykle, ordynarne fil de

cosy: to mnie zmieszało, powinna była mieć jedwab – to minus powójny!

– Pan pracował w damskim interesie? – przerwał mu ironicznie.

– Nie, ale ja się znam na tych rzeczach, badałem je metodycznie, ja, panie, po sposobie ubrania, po szczegółach garderoby poznaję: kto? skąd? ile?

– Więc któż była owa piękność?

Nie powiedział mu, że z opisu poznał Zukerową.

– Otóż nie wiem, pierwszy raz zawiodła mnie metoda. Kapelus i twarz miała kobiety z towarzystwa – milionerki; suknia osoby zamożnej – powozowa; fil de cosy – to znowu coś: nauczycielki, żony urzędnika, małego kupca; spódniczka spodnia, bo to zobaczyłem, z żółtej glasy jedwabnej, w tanim gatunku – uszłaby, ale cóż, kiedy była ozdobiona bawełnianymi koronkami. Uważa dyrektor – bawełnianymi! – akcentował prawie ze zgrozą.

– Cóż to oznacza?

– Tandetę, panie, trotuarową facetkę, a w najlepszym razie wystrojonego parzygnata. To mnie dobiło. Nie przedstawia już dla mnie żadnego interesu. Obejrzałem ją po raz ostatni, musiała się obrazić, bo opuściła suknię w błoto i przeszła na drugą stronę ulicy.

– No i pan za nią znowu poszedłeś?

– Nie, panie, nie warto było. Gdybym się mylił w poprzedniej ocenie, to to spuszczenie sukni i zamiatanie nią błota samo już wystarczyło, aby mnie przekonać, że to zwykła łódzka flądra. Żadna warszawska szwaczka nawet tego nie robi, raz, że mają ładne nogi i lubią je pokazywać, a po drugie – błocić suknie... fe!...

Skrzywił się pogardliwie i przystanął.

– Do widzenia. Muszę tutaj wstąpić – rzucił mu Karol i aby się go pozbyć, wstąpił na rogu pasażu Meyera do cukierni.

Przyszło mu zaraz na myśl, żeby „kolonii” sprawić uciechę.

Kupił wielką tacę ciastek, pudełko cukierków i dołączył następujący bilet pod adresem Kamy:

„Niechaj dziecko nie płacze i cukierkami podzieli się z Picolem, może drugi raz nie będzie kradł pantofelka, i będzie pewne, że ten niegodziwy Karol zrobi wszystko, co tylko będzie można, dla H.”

Wszystko to kazał posłać na Spacerową.

– Niechaj i one zarobią coś na moim interesie – szepnął wychodząc na ulicę.

Był tak zadowolony z siebie i ze świata, że kłaniał się na lewo i na prawo licznym znajomym śpieszącym z obiadów do fabryk i kantorów i z pewną pobłażliwością spoglądał na Kozłowskiego, który po drugiej stronie ulicy szedł za jakimiś kobietami i co chwila zaglądał im w oczy.

Wydał mu się śmiesznym, w palcie na kształt najzwyczajszego worka, z majtkami jasnymi, ostentacyjnie zawiniętymi z ówierać łokcia nad lakierkami, i cylindrem na tyle głowy, i z tą ruchliwą niesłychanie twarzą, podobną do mopsika.

Trotuary były literalnie zapchane robotnikami biegnącymi z pośpiechem do fabryk na głos tych niezliczonych świstawek, które przedzierały powietrze; niektórzy biegnąc dojadali jeszcze obiadów. Stukot drewnianych podeszew zapełnił całą ulicę klekotem, który się rozprasał razem z tą fałą zakopconych, czarnych, wynędzniałych i obdartych robotników po bramach i bocznych uliczkach.

Bokiem ulicy szedł jakiś ubogi pogrzeb. Biała trumienkę, z niebieskim krzyżem pośrodku, niosło czterech czarno ubranych wyrostków za kościelnym, który w niebieskiej pelerynce, zgarbiony z przekrzywioną łysą głową, niósł krzyż człapiąc się sennie po olbrzymim błocie; za trumienką kilkoro dzieci pod parasolami szło przy samym trotuarze. bo ich co chwila dorożki, powozy i olbrzymie platformy naładowane towarem spędzały ze środka ulicy i obryzgiwały czarnym lepkiem błotem trumienkę, którą co chwila obcierała fartuchem jakaś stara kobieta.

Nikt nie miał czasu zwracać uwagi na pogrzeb, czasem tylko jaki robotnik uchylił czapki albo robotnica przeżegnała się pobożnie, westchnęła – i biegli dalej, porywani, tymi świstami, co jak ostrza zimne pruły powietrze ciężkie, szare, przesycone dymami, które strugami brudnymi buchały z niezliczonych kominów, darły się o dachy i napełniały ulice trudnym do zniesienia zapachem.

Borowiecki przystanął oglądając się za dorożką, aby prędzej znaleźć się w kantorze, gdy zobaczył, że mu się kłaniają z przejeżdżającego powozu. To Mada Muller z bratem, który w czerwonej burszowskiej czapeczce, z zielono-czerwoną wstęgą korporacji przez piersi i z wielkim czarnym pudlem na kolanach siedział rozwalony w powozie.

O kilkanaście kroków dalej powóz przystanął przy trotuarze.

Mada z uśmiechem zwróciła się do Borowieckiego.

– Panie, a obiecane tytuły książek! To pan taki słowny? – zaczęła zaraz po przywitaniu się. Borowiecki patrzył w jej złotawe oczy.

– Przyznaję się szczerze do zapomnienia, ale że się poprawię i dzisiaj jeszcze pani przyszłe, przyrzekam uroczyście.



- Nie wierzę, żądam solidniejszego zapewnienia – szczebiotała wesoło.
- Gotów się jestem na to podpisać.
- Mało! Podpis niewiele kosztuje – śmiała się, rozbawiona humorem, z jakim kładł rękę na piersiach i obiecywał.
- Więc opatrzę swój podpis żyrem jakiej firmy wielkiej.
- Chyba pani Likiertowej – zawołała prędko i schowała szybko twarz w jedwabną mufkę, przestraszona własnymi słowami, które się jej niechcący wyrwały.
- Mówię jej tyle razy, że głupia, to mi nie chce wierzyć – zamruczał Wilhelm.
- Gdzie pan idzie? – zaczęła znowu, chcąc naprawić złe, jakie zrobiła, i podniosła twarz zaczerwienioną jak burak.
- Do roboty – odpowiedział swobodnie, chociaż ta wzmianka o Likiertowej zaboląła go mocno.
- Podwieziemy pana, dobrze, Mada?
- O, z przyjemnością. Pan się przecież zgodzi?
- Siadam w miejsce odpowiedzi.
- Wilhelm, siądź razem z psem, a panu ustąp miejsca – zawołała energicznie.
- Dziękuję, usiądę sobie nisko, będę mógł wygodniej patrzeć; śliczny pies.
- Trzy tysiące marek kosztuje. Był medalowany na wystawie i przedstawiany Capriwiemu.
- A więc psia znakomitość!
- Zły pies, szczeka na mnie i podarł mi zupełnie nowy fartuszek.
- I pani go nie ukarała za taką zbrodnię?
- Dałby mi Wilhelm go bić.
- A państwo gdzie jedziecie?
- Mada coś oglądała w Salonie Artystycznym, pewnie znowu kupuje jaki głupi malunek. A ja chciałem swojego Cezara przewieźć trochę, bo się nudzi w domu, zupełnie jak i ja.
- Kiedyż pan wraca do Berlina?
- Mada zaczęła się śmiać bardzo głośno i szczerze.
- Od miesiąca już wyjeżdża i co dzień o to kłóci się z papą.
- Cicho, Mada, kiedy głupia jesteś, to nie podnoś kwesty j, których nie rozumiesz – zaczął mówić zirytowany, aż mu owa kresa na twarzy poczerwieniała.

Wyprostował swój olbrzymi korpus i siedział chmurny.

– Proszę pana, czy ja panu także się wydaję głupią? Tak mi o tym wszyscy w domu mówią i tak ciągle, że w końcu ja sama będę musiała uwierzyć. A pomimo to wiem na przykład, że Wilhelm narobił długów w Berlinie, papa ich płacić nie chce, i dlatego siedzi w Łodzi – mówiła złośliwie, patrząc na brata. – Ha, ha, ha, jaką on ma zabawną minę.

– Mada, bo zejdem i pojdem prosto powiedziec fatrowi, co ty wygadujesz.

– A zejdz, bedzie nam wygodniej z panem Borowieckim. Ale pan mi nie odpowiedzial.

– Bo takie pytanie musi pozostac bez odpowiedzi.

– Nie chce pan powiedziec mi prawdy.

– Bo, ja w tym wypadku, tej prawdy nie znam.

– Kiedyz miec bede tytuły?

– Przyszle pani jeszcze dzisiaj.

– Nie wierze. Wole, abyś je pan przyniosl sam za karę.

– Jeśli to kara, to coz dopiero bedzie za wspaniala nagroda!

– Dostanie pan dobrej kawy! – powiedziala naiwnie.

Wilhelm parsknal glósnym śmiechem, aż Cezar zaczął szczekać.

– Czy ja powiedzialam jakie glupstwo? – pytala czerwieniac się z niepokoju.

– Pan Wilhelm śmieje się z psa, o, widzi pani, jaki zabawny.

– Pan dobry chłopak, to papa nawet mówi i wszyscy u nas w domu prócz Wilhelma.

– Mada!

– Dobrze mi tak z państwem, i bardzo mi żal, że to już moja fabryka. Dziękuję i mówię do widzenia.

– Czekamy na pana w niedziele po południu.

– Pamiętam i żałuję, że ta niedziela nie jest jutro, we czwartek.

Mada roześmiała się wesoło i rzuciła na niego bardzo serdeczne spojrzenie.

Stał chwilę na trotuarze i widział, że kilka razy odwracała się za nim.

– Czemu to Anka nie ma miliona! Szkoda... – pomyślał biegnąc do fabryki, która już po obiadowym odpoczynku była w całym zwykłym szalonym ruchu.

Z bocznych zabudowań wyjechał oddział straży ogniowej ochotniczej. Wozy, sikawki, beczki wyjeżdżały w wielkim porządku i z pośpiechem ogromnym leciały, aż błoto otwierało się do dna pod uderze-

niem kół i kopyt końskich; na platformach robotnicy zamienieni w strażaków mundurowali się pośpiesznie.

– Gdzie się pali, panie Rychter? – zapytał Karol naczelnika straży jednego z dyrektorów przedzalni, którego szwajcar fabryczny w swojej izbie ściągał pasem i upinał.

– Pali się Albert Grosman! Ściągajże pan lepiej – krzyczał na szwajcara, który nie mógł zmieścić jego potężnego brzucha w mundur strażacki, nieco za ciasny, bo aż przy dopinaniu odlatywały guziki.

– Dawno?

– Od pół godziny, ale już pono wszystko się pali. Mocniej, panie Szmít.

– I dlatego ten pośpiech?

– Grosplik telefonował do starego, prosząc na wszystko, aby na złość Grunspanowi nie pozwolić się spalić cieciami.

– Dlaczego? Aha, chcą go zrujnować.

– To już trzeci ogień dzisiaj.

– Fabryki?

– A tak.

– Odbijają straty na bankructwach ostatnich.

– Niech ich pioruny spalą, kajdaniarzy, psiakrew, oni zarabiają, a my jak psy z wywieszonymi ozorami ze zmęczenia latamy od pożaru do pożaru.

– Co pan chcesz, to im potrzebne do zamknięcia bilansu.

– Do widzenia! Uf, piękne, jak Boga Kocham! — wykrzyknął siadając do oczekującej przed bramą dorożki i zaraz z miejsca ruszył galopem za wodami straży, które pokryte błyszczącymi kaskami strażaków, niby samowarami, widne już były w górze ulicy.

– Ho! ho! sezon się zaczyna gorący – szepnął i pobiegł do telefonu, aby powiedzieć Maksowi Baumowi o telegramie Moryca.

Jeszcze nie odszedł, kiedy go znowu przywołał dzwonek.

Mówił Trawiński, że zaraz przyjedzie z bardzo pilnym interesem.

– Czekam cię w drukarni – odpowiedział i pobiegł w głąb fabryki.

Wpadł pomiędzy nieustannie krążące wózki, maszyny w ruchu, stosy materiałów, które się snuły we wszystkie kierunki sal jak wstęgi różnokolorowe nigdy się nie kończące, w ten las transmisyj, pasów, kół, ludzi, turkotu piekielnego, par, co jak obłoki podnosiły się znad pralni; chaosu splątanych szumów, drgań, krzyków, chrzęstów, energii rozdrępanej i szalejącej, która porywała wszystko i wszystkich i zdawa-

ła się to rozsadzać potężne mury fabryki szalonym natężeniem; zatopił się zupełnie w tym dzikim, porywającym życiu fabryki.

Przebiegał sale, oglądał towary, wydawał rozkazy i leciał dalej, do innych sal, zapomniawszy zupełnie o wszystkim, co nie było w związku z fabryką.

Po tym ogromnym wyczerpaniu nerwowym dni ostatnich czuł ulgę i z rozkoszą dał się porywać tej strasznej masie siły nagromadzonej dookoła.

Wyczerpanie ustępowało, a natomiast czuł się coraz bardziej spokojnym i zrównoważonym wśród tego piekła fabryki, jakby wchłaniał w siebie te niezliczone prądy energii ludzi i maszyn, co były w niego ze wszystkich stron.

Obszedł wszystkie sale i powrócił do „kuchni”. Murray w małym gabinecie, rozdzielonym od „kuchni” oszklonym przeforsztowaniem, robił jakieś próby na małej maszynie drukarskiej. Próba się nie udawała, bo farba rozlewała się na materiale i zalewała deseń. Anglik był wściekły, uśmiechał się słodko, ale twarz miał szarą ze wzburzenia i wyszczerzał niby buldog długie żółte zęby. Wycierał ręce o fartuch, jakim był opasany, i kłął coraz ciszej.

– Od południa się morduję i nie mogę wydobyć barwnika!

Borowiecki zajął się pracą energicznie, ale mu przerwał Trawiński, który był tak zakłopotany, że się zapomniał przywitać, prosząc zaraz od progu o chwilę odosobnionej rozmowy.

– Chodźmy do magazynu walców, tam nie ma nikogo.

I poprowadził go idąc przodem. Trawiński szedł jak nieprzytomny. Niebieskimi oczami błędził po fabryce nic nie widząc; wychudła, piękna twarz napiętnowana była troską i jakby zastygła w wyrazie goryczy, jaka wyzierała mu z wpadniętych oczów i z kąta ust, nie przykrytych małymi blond wąsikami. Był dawnym kolegą i przyjacielem Karola, a obecnie właścicielem dosyć dużej przędzalni bawełny.

– Mówże, co? – szepnął Karol wprowadzając go do wielkiej wysokiej sali, zastawionej rzędami wysokich półek żelaznych, błyszczących szeregami miedzianych walców drukarskich, podobnych do potężnych zwojów papierusów, okrytych niby hieroglifami wypukłymi deseniami, którymi drukowano materiały.

– Zaraz ci będę mówił – szepnął siadając na jakiejś pace.

Zdjął kapelusz, oparł głowę o ścianę i chwilę tak siedział w milczeniu zbierając siły do mówienia.

– Chory jesteś? Wyglądasz bardzo mizernie.

– Jakże bankrut może wyglądać inaczej! – mówił z goryczą.  
– Cóż się stało, znowu cię kto zarwał?  
– Gorzej, bo znowu leżę i teraz pewnie bez powstania.  
– Co ty mówisz? – wykrzyknął udając zdumienie, bo już wiedział o zachwianiu się Trawińskiego.

– Ten krach, co wziął mocniejszych, co w tej chwili pali Grosmana, nie oszczędził i mnie. Mam weksle płatne w sobotę, a na to mam weksle wystawione przez tych zbankrutowanych, czyli nie mam nic. W sobotę są płatne. Nie zapłacę – to i po wszystkim.

Niech diabli wezmą takie szczęście. Trzeci już raz stoję na brzegu ruiny, ale jak się teraz już stoczę, to bez powstania.

– Ile masz płacić?

– Piętnaście tysięcy rubli!

– I dla takiej marnej sumy padać?

– Suma nędzna, ale ja tej sumy nie mam. Chciałem pożyczyć – nie mogę; nikt teraz w Łodzi gotówki nie ma, zrobił się taki popłoch, że wczoraj Grosplik odmówił dwudziestu tysięcy Rozenbergowi. To najlepiej mówi. Nikt, żaden prawie bank nie chce najsolidniejszych weksli dyskontować, wszyscy się boją. bo Łódź się trzęsie i co trochę ktoś się zwała w dół. Na czym się to skończy! A do tego sezon okropny! Ja mam przędzy gotowej w składzie za dziesięć tysięcy i pies się o nią nie pyta, stali odbiorcy zmniejszyli do połowy produkcję, a ja robić dalej muszę, płacić ludziom muszę, żyć muszę i pchać tę maszynę. bo jak stanie na chwilę – to już po mnie. Jest źle, a tu przychodzą te bankrucstwa i dorzynają mnie do reszty. Co za czasy! Na całą fabrykę, na tyle maszyn, na moją osobistą uczciwość do tego, nie można pożyczyć piętnastu tysięcy rubli.

– Próbowałeś u Bucholca, on wczoraj podparł Wolkmana.

– Bo zrobił to na złość Szai, a zresztą, nie mogę za nie iść i prosić tego Szwaba o pomoc. Brzydzę się nim, to by mi wprost ubliżało.

Cóż z tego, kiedy by cię to niewątpliwie uratowało.

A nie, on wie, co ja o nim myślę.

Mógłbym ci u niego pomóc.

Dziękuję ci, nie mogę. to byłoby nie tylko wbrew moim zasadom, ale to byłoby wprost świństwem i poniżeniem iść o pomoc do człowieka, którego się nienawidzi i któremu się wprost lego nie żenuje wyrażać.

Szlachecka logika – rzekł niecierpliwie Karol zapalając papierosa.

– Mam tylko jedną, nie jest to logika szlachecka, ale logika zwykłej etyki uczciwego człowieka.

– Nie zapominaj, że jesteś w Łodzi. A widzę, że wciąż zapominasz, że zdaje ci się, iż prowadzisz interes wpośród cywilizowanych ludzi środkowej Europy. Łódź to las, to puszcza – masz mocne pazury, to idź śmiało i bezwzględnie duś bliźnich, bo inaczej oni cię zduszą, wysysają i wyplują z siebie.

I długo jeszcze mówił, bo był poruszony jego niedolą, znał go dobrze, oceniał jako człowieka, ale równocześnie czuł do niego jakąś złość pogardliwą za to polskie mazgajstwo, z jakim chciał prowadzić interesy w Łodzi, za tę uczciwość, jaką uznawał, jakiej czuł potrzebę w stosunkach z ludźmi – ale poza obrębem tego miasta, gdzie na nią nie było miejsca prawie i gdzie – co ważniejsza – mało kogo stać było na to. W tym wirze szalbierstw i złodziejstw, kto nie chciał być po trochu tym samym, czym byli wszyscy – ten nie mógł marzyć o istnieniu i choćby się zapracował i włożył w interes wielkie kapitały, musiał w końcu być wyrzuconym, bo nie potrafił wytrzymać konkurencji.

Trawiński milczał długo, przechylił głowę w tył na jakiś długi walec i gonił oczami za Karolem, który wzburzony chodził prędko po wąskim przejściu, jakie było pomiędzy półkami.

Fabryka ze wszystkich stron szumiała głucho niby morze wieczne pracujące, ściany się trzęsły, a biegnące u sufitu przez salę pasy, przenoszące siłę do sal sąsiednich, świstały ostro, a jeszcze ostrzejszy zgrzyt tokarni żelaznych przedzierał się z modelowni obok leżącej i przenikał jego roztargane nerwy bólem głuchym.

– Co poczniesz? – przerwał milczenie Borowiecki.

– Przyszedłem cię prosić o pożyczkę, wiem, że masz pieniądze. Wierz mi, że gdyby nie taka ostateczność, nie śmiałybym.

– Nie mogę, absolutnie nie mogę. Pieniądze mam, ale o ileś słyszał, sam zakładam fabrykę, a poza tym w tej chwili jestem grubo zaangażowany gdzie indziej.

– Pożycz mi z terminem miesięcznym, ubezpieczę ci tę sumę na fabryce, na wszystkim, co mam. Wystarczy z pewnością na pokrycie w najgorszym razie.

– Wierzę ci, ale nie pożyczę. Ty jesteś człowiek, który nie ma szczęścia; ja bym się wprost bał wchodzić z tobą w interes. Może się utrzymasz, może padniesz – kto to wie! a ja potrzebuję żyć i mieć fabrykę. Tobie bym przedłużył egzystencję na rok, a sam bym zginął.

– Przynajmniej szczerem jesteś – szepnął gorzko.

– Mój drogi, po cóż mam cię obełgiwać! Nie cierpię bezmyślnego kłamstwa, jak nie cierpię sentymentalnych roztkliwień się nad każdą niedolą, której to tyle pomaga, że może sobie zdychać swobodnie, obłana łzami współczucia. Pomógłbym, gdybym mógł, a że nie mogę – nie pomagam. Nie mogę przecież oddać własnego surduta nawet nagiemu wtedy, kiedy sam zmarzłbym bez niego.

– Masz słuszność. Nie ma co mówić więcej. Przepraszam, że cię nudziłem.

– Ty masz do mnie żal? – zawołał tknięty akcentem jego głosu.

– Nie. Postawiłeś kwestię tak jasno, że rozumiem twoją odmowę, która może mnie boleć, to inna rzecz, ale którą dobrze rozumiem.

Podniósł się do wyjścia.

– Nie myślisz się układać?

– Nie, plajty nie zrobię, mogę tylko uczciwie zbankrutować.

– Znalazłyby się jeszcze inne sposoby ratunku.

– Daj je, przyjmę z rozkoszą.

– Mocno asekurowany jesteś?

– Dosyć, bo się przeasekurowałem jesienią, po tym nieudanym podpaleniu.

– Szkoda jednak, żeś się wtedy nie spalił. Ten robotnik mszcząc się zrobiłby ci naprawdę wielką usługę.

– Mówisz serio?

– Zupełnie serio, jak zupełnie serio zwracam ci uwagę, że w tej chwili pali się Grosman, w nocy spalił się Goldstand, jutro spali się na pewno Feluś Fiszbin, A. Rychter, B. Fuchs i inni. Co na to mówisz?

– Że nie jestem i nie będę podpalaczem i złodziejem.

– Nie namawiam cię przecież do tego, pokazuję ci tylko współzawodników, ich sposoby trzymania się na powierzchni; z takimi nie wytrwasz.

– Ha, to zginę. Jak mi już braknie sił do walki, to palnę sobie w łeb.

– A żona! – rzucił prędko, bo ujrzał w jego oczach jakiś stalowy błysk rezygnacji. Trawiński drgnął.

– Ale, przyszła mi myśl. Znasz starego Bauma?

– Jesteśmy sąsiadami, żyjemy nawet bliżej ze sobą.

– Idź do niego, powiedz mu otwarcie. To jest taki dziwny fabrykant, że z pewnością ci pomoże. Dałbym głowę, że jeżeli cię tylko zna, to ci pomoże.

– Istotnie myśl szczęśliwa, a zresztą, cóż stracę, jeśli mi odmówi!

– Nic rzeczywiście, a warto popróbować. To jest unikat łódzkich fabrykantów. Człowiek, który mógł mieć miliony i nie chciał się schylić po nie, człowiek, który setki tysięcy rubli zapłacił za drugich, nieprzyjaciel wielkiego przemysłu, rutynista, snob albo arcyfiół, jak go nazywają, a w istocie nic innego, tylko wariat, stara resztką czasów ręcznej fabrykacji.

Pożegnali się w milczeniu.

Karol odczuł w nim przy rozstaniu jakiś chłód.

Patrzył za nim oknem z dziwnym uczuciem politowania.

– Mazgaj, szlachecka resztką – myślał prawie głośno, aby zagłuszyć w sobie jakiś cichy jeszcze wyrzut, który się podnosił w nim i rozrastał szybko.

Nie chciał mu pomóc i usprawiedliwić się przed samym sobą z tego w zupełności, a pomimo to nie był z siebie zadowolony. Ciągłe stała mu przed oczami ta jasna, piękna głowa napiętnowana, niby stygmatem, wieczną troską i niepokojem. Czuł, że powinien mu być pożyczyć, że nic by na tym nie stracił, a zrobiłby wielką usługę. Gryzło go to coraz mocniej.

– Cóż mnie obchodzi, że jednego więcej diabli wezmą – myślał przebiegając postrzygalnię, zapchaną pod sufit stosami białego towaru, który szedł na maszyny pomiędzy dwa ostrza, jedno obiegające cylinder spiralną linią, a drugie proste i równe, które z obu stron materiałów przesuwających się pomiędzy nimi ścinały z matematyczną dokładnością przy samym włóknie mech bawełniany, powstający przy tkaniu.

Kilkanaście kobiet pracowało w tej białej, chłodnej i prawie cichej sali, zapełnionej niedostrzegalnym prawie obłokiem pyłu bawełnianego, który powstawał z tego strzyżenia materiałów, wisiał nad postrzygalniami, oblepiał białą powłoką ludzi i maszyny i trząsał się szarawym gęstym mchem na transmisjach obracających maszyny i ginących w suficie.

Borowiecki obejrzał się tylko po sali i szedł do windy, aby zjechać na dół, gdy rozległ się krótki, straszny ryk ludzki.

Jedno z kół, wprawiających w ruch maszyny, schwyciło nieostrożnie przysuniętego robotnika za kaftan, wciągnęło go w swój ruch, rzuciło na maszynę, obróciło, zgmiotło, połamało o maszynę, zmiażdżyło i wyrzuciło miazgę, nie przestając iść ani na chwilę.

Krew bluznęła aż pod sufit i czerwonym strumieniem oblała maszynę i część towaru leżącego przy niej, i najbliższej stojące robotnice.



Krzyk się rozległ ogromny, maszynę zatrzymano ale było już za późno; krwawa masa zwieszała się z osi koła i z różnych części maszyny, opadając na ziemię, ciężka, drgająca jeszcze odruchami życia.

Ratunku nie było żadnego, bo robotnik był literalnie zmiażdżony, leżał niby kupa mięsa krwawą plamą na białym tle perkalów surowych.

Podniosły się ciche płacze kobiet, a nawet kilka starszych pokłękło przy trupie i zaczęły głośno odmawiać litanie za konających, robotnicy pozdejmowali czapki, niektórzy zegnali się nabożnie i wszyscy kołem skupili się przy zabitym. W oczach nie błyszczał żal, a tylko świeciła jakaś dzika, surowa apatia.

Sala ogłuchła, tylko w tej ciszy rozlegały się płacze kobiet i szum, i łoskot sal sąsiednich robiących bez ustanku.

Skoro zjawił się felczer, stale dyżurujący w fabryce, Borowiecki się wyniósł.

Przyleciał i główny majster oddziału i widząc salę beczynną i ludzi zbitych około trupa, krzyknął już od drzwi:

– Do maszyn!

Rozlecieli się wszyscy jak ptaki spłoszone przez jastrzębia i po chwili sala znowu szła, wszystkie maszyny były w ruchu prócz tej jednej, okrwawionej zbrodnią, ale którą natychmiast zaczynano oczyszczać.

– Verflucht! tyle materiału na nic! – klął majster oglądając poplamiony krwią perkal i zaczął wymyślać robotnikom za nieostrożność, i groził, że całej sali każe wytrącić za ten materiał.

Borowiecki już nie słyszał tego, bo winda piorunowo zapadała się z nim i wyrzuciła go do farbiarni.

Nie zrobił ten wypadek na nim żadnego wrażenia, był przyzwyczajonym do tego.

– Socha! – zawołał na protegowanego swojej narzeczonej, który dzisiaj pierwszy dzień robił w fabryce wożąc wózkami materiały.

Chłop puścił wózek i stanął przed nim wyprostowany.

– Jakże wam idzie?

– A dyc robię, wielmożny dziedzicu!

– No to róbcie, tylko pilnujcie się maszyn.

– A te ścierwy! – zaczął i chciał kazać żonie, aby resztę dopowiedziała, jako mu już te ścierwy oberwały dzisiaj kawał kapoty, ale żony nie było, a Borowiecki odszedł, bo dano mu znać, że go Bucholc wzywa do kantoru, więc Socha popatrzył markotno na swój spencerek, jaki mu z kapoty zrobiła maszyna, podrapał się w głowę, ~~plunął w garście i pchał wózek do windy, bo ze wszystkich stron~~

pchał wózek do windy, bo ze wszystkich stron zaczęto wymyślać, że zatamowuje drogę.

## IX

Trawiński wyszedł zgnębiony.

Idąc do Borowieckiego był prawie pewnym dobrego rezultatu prośby, bo jak każdy człowiek w położeniu bez wyjścia, pragnienia brał za rzeczywistość, za fakt, który powinien się być stać.

Siadł w dorożkę i kazał jechać prosto w Piotrkowską. Nie mógł nic myśleć, czuł się rozbitym i niezdolnym już do żadnej akcji, do żadnego ruchu. Poddawał się z biernością wyczerpania tej ostrej, przenikliwej fali goryczy, jaka mu zalewała serce. Patrzył na miasto brudne, zadeszczone, na trotuary błotniste, zapchane ludźmi, na niezliczone kominy, co niby topole wznosiły się nad płaszczyznami dachów i ginęły w zapadającym zmroku, znacząc tylko swoje istnienie kłębamii białych dymów tłukących się po dachach, na setki wozów z węglem, które olbrzymim łańcuchem ciągnęły do fabryk, na platformy wyladowane towarami, na dorożki i powozy z pośpiechem mijające sio w różnych kierunkach, na te niezliczone kantory i składy zapchane towarami, ludźmi, na ten szalony ruch, jaki był na ulicach, na to wysilone życie wrzące dookoła.

Patrzył z rozpaczą prawie, bo czuł swoją niemoc, czuł, że chwila jeszcze, a z tego olbrzymiego wiru, z tej maszyny nazywanej Łodzią wyleci za chwilę jak odpadek, jak miazga wyssana i zużyta na nic, niepotrzebna temu potworowi-miastu. Patrzył z jakąś bezsilną nienawiścią na fabryki błyskające w mroku tysiącami okien, na tę olbrzymią ulicę, która niby kanał nakryty dymami i brudnym niebem huczała energią, rozlewała potoki światła i tętniała ogromną siłą życia. Ślizgał się oczami po ostrych konturach fabryk, raziły go boleśnie elektryczne słońca zapalone nad dziedzińcami, bolał go ten szum głuchy a potężny swoją bezustannością, co się rozlewał po ulicach z fabryk i warsztatów, bolało go to życie tak silnie tętniące, bolała go ta straszna świadomość konania, które spostrzega ostatnim błyskiem oczów, że tyle pozostaje jeszcze żywych! I ta świadomość przegryzała mu duszę nieopowiedzianą zawiścią.

Nie umiał żyć w tym świecie. Nie umiał się przystosować do otoczenia. Tyle sił zużył, tyle mózgu, tyle zachodów, tyle kapitałów swoich i cudzych, tyle lat pełnych udręczeń przeżył i po co?... żeby znowu

zaczynać to samo od początku! znowu stawiać gmach, który w końcu spadnie mu na głowę.

Męczył się ogromnie, nie mógł usiedzieć w dorożce, więc poszedł pieszo Piotrkowską. Miał iść do starego Bauma, według rady Borowieckiego, ale wolał tę chwilę ostatniego zawodu oddać jeszcze, a zresztą nie mógł się oderwać od tej ulicy.

Utopił się w tłumie, co płynął trotuarem i pozwalał mu się pchać i nieść. Przyglądał się bezmyślnie wystawom sklepów, kupił nawet cukierki dla żony w jakiejś cukierni, gdzie zawsze kupował, przywitał się tam z kilku znajomymi i znowu szedł zapatrzony w fabryki, w okna oświetlone, poza którymi migotały sylwetki maszyn i ludzi; ogłuszał się powoli wrzawą i obojętniał.

Nie zważał na deszcz, mżący bezustannie, zapomniał nawet otworzyć parasola. Nie widział nic prócz kantorów pełnych ludzi i towarów i fabryk pracujących z pośpiechem,

– Dobry wieczór, panie Trawiński!

– Dobry wieczór, panie Halpern!

Uścisnął wyciągniętą dłoń wysokiego, dość zaniedbanie ubranego Halperna.

– Pan wyszedł spacerować po mieście? – Tak, trochę chciałem się przejść.

– Łódź o zmroku bardzo ładna. Ja co dzień wychodzę z kantoru, aby się przejść i aby się przypatrzeć miastu.

– Pan jesteś amator, panie Halpern.

– Co pan chcesz, jak się pięćdziesiąt sześć lat przeżyje w mieście, jak się widzi go ciągle, jak się zna wszystkich, to można zostać amatorem.

– Co słyhać w mieście nowego?

– Co słyhać? Słyhać źle, zrobił się ładny deszcz z protestowanych weksli, można je będzie kupować na funty. Ale to wcale nic nie szkodzi.

– Jak to?

– Gałganów diabli wezmą, a Łódź i tak zostanie. Panie Trawiński, ja już w Łodzi widziałem gorsze czasy. A że po złych nastają lepsze, to i teraz tak będzie, po co to z tego robić gwałt. Dla mądrych jest zawsze dobry czas.

– A kiedyż będzie dla uczciwych? – zapytał ironicznie.

– Sza, panie Trawiński, oni mają niebo, po co im dobre czasy.

– Grosman się podobno spalił.

– Bardzo porządnie, bardzo porządnie; dwieście pięćdziesiąt tysięcy asekuracji jakby miał w kasie. Ale Goldstand, co się spalił w nocy, ma małe nieporozumienie z policją. Dobrze mu tak, jak kto nie umie robić dobrze interesów, to niechaj się do nich wcale nie bierze.

– Któż teraz na brzegu?

– Z grubszych A. Rychter i F. Fiszbina.

– Mówił mi to samo Borowiecki.

– Pan Borowiecki, ho, ho, ho! On zna Łódź. on wie, kto czego potrzebuje.

– No, ale i pan także zna Łódź dobrze.

– Ja? Ja ją mam całą w głowie. Ja od pięćdziesięciu lat patrzę na każdą firmę, co się zakłada. Ja mogę dzisiaj prawie na pewno powiedzieć o wszystkich, co otwierają interesy, czy one będą żyć! Niech mi pan wierzy, panie Trawiński, moje słowo to nie jest ten wiatr, moje słowo to dokument, to weksel z najlepszym żyrem.

Trawiński nic nie odrzekł, szli obok siebie w milczeniu.

Halpern zastawiał się parasolem od deszczu i patrzył z miłością na domy i fabryki; jego wielkie czarne oczy świeciły fosforycznym blaskiem w bladej, chudej twarzy, okolonej siwą brodą. Miał głowę i twarz patriarchy, osadzoną na chudym, skrzywionym szkielecie, obleczonym w długie zaszargane palto, które wisiało na nim jak na kijku.

– Ja tu znam każdy dom, każdą firmę – zaczął mówić gorąco. – Pamiętam Łódź, jak miała dwadzieścia tysięcy, a dzisiaj ma trzysta! A ja się doczekam, jak ona mieć będzie pół miliona, ja nie umrę przedzej! Ja to muszę widzieć na własne oczy, muszę się ucieszyć.

– Jeżeli ją przedtem lichy nie weźmie – szepnął nienawistnie.

– Ha, ha, ha, panie Trawiński, pan nie mów takich śmiesznych rzeczy! Łódź jest, Łódź będzie! Pan jej nie znasz! Pan wiesz, ile ona w przeszłym roku zrobiła obrotu? Dwieście trzydzieści milionów rubli – wołał z entuzjazmem, przystając aż na chodniku. – To jest ładny grosz. Pan mi pokaż takie drugie miasto!

– Nie ma się znowu tak czym chwalić, a zresztą masz pan rację, że takiego złodziejskiego miasta nie ma drugiego w Europie – mówił ze złością.

– Złodziejskie czy nie złodziejskie, to dla mnie jest papier. Mnie chodzi o co innego, ja chcę, żeby stawiali domy, żeby budowali fabryki, robili ulice, urządzali komunikacje, przeprowadzali drogi! Ja chcę, żeby moja Łódź rosła, żeby miała pałace wspaniałe, ogrody piękne, żeby był wielki ruch, wielki handel i wielki pieniądz.

– Na początek już są wielkie szwindle i wielka tandeta.  
– To nie żaden feler, bo z tego urośnie wielka Łódź.  
– Tymczasem niech ją piorun spali. Dobranoc, panie Dawidzie.  
– Dobranoc, panie Trawiński. To nie jest dla Łodzi ostatnie pańskie słowo.

– Ostatnie i zupełnie szczerze. Dorożka – krzyknął.  
– Kapcan! – szepnął za nim pogardliwie Halpern i zawrócił, wlokąc się wolno, z powrotem i znowu przypatrywał się domom, fabrykom, sklepom, składom, ludziom oczami oczarowanymi potęgą tego miasta.

Nike zważał na deszcz, który go moczył pomimo parasola, na tłok ludzki, Jaki go rzucał na domy lub do rynsztoków, na dorożki i wozy, które go błotem ochlapływały na przejściach poprzecznych ulic, szedł jak zahipnotyzowany.

Trawiński pojechał do domu.

Mieszkał dosyć daleko, bo przed końcem Konstantynowskiej ulicy kazał skrócić w jakąś ciemną i tak błotnistą uliczkę, że dorożkarz nie chciał się tam zapuszczać.

Poszedł w nią pieszo jakimś śladem trotuaru, który się nieco wznosił nad poziom nie brukowanej ulicy, tworzącej czarną, błotnistą rzekę, popręgowaną złotymi smugami świateł bijących z okien niskich domów, co ciągnęły się sznurem z obu stron ulicy.

Domy były zamieszkane przez tkaczy ręcznych, w każdym oknie trzęsły się sylwetki warsztatów i ludzi, a ulicę całą wypełniał monotony klekot i stuk. Nawet niskie krzywe piętka, jakie się gdzieś wznosiły, i szeregi facjatek rozbrzmiewały i trzęsły się odgłosami roboty.

Poprzeczne uliczki, jakie wybiegały z jednej strony, ciągnęły się do pół samych i były również czarne i błotniste, pełne stuku warsztatów, domów pozapadanych, krzywych facjatek, porozwalanych parkanów, nędzy, i opuszczenia, i owionęły Trawińskiego zimnym, przejmującym wilgocią wiatrem, jaki się z pół wdzierał do miasta.

Nad całą dzielnicą, pływającą w błocie i opuszczeniu, zupełnie nie podobną do reszty Łodzi, panowała fabryka Mullera swoimi czteropiętrowymi gmachami, które wyrastały nad morzem niskich domków i ogrodów i świeciły tryumfalnie tysiącami okien i słońcami elektrycznymi.

Fabryka wznosiła się jak potężny zbiornik siły, której tchnienie zdawało się przypląszczać do ziemi te szeregi nędznych, pokrzywionych domów. Czuć było, że te wielkie gmachy, huczące setkami ma-

szyn, z wolna wysysają całą żywotność tej starej dzielnicy, zamieszkałej przez rój tkaczy ręcznych, że zjadły i dogryzają do reszty ten drobny ręczny przemysł, który tutaj kwitnął kiedyś, a który się Jeszcze bronił rozpaczliwie, bo bez nadziei zwycięstwa.

Fabryka Trawińskiego stała skromnie obok Mullerowskiej, przedzielona tylko wąskim ogrodem.

Trawiński wszedł w bramę, której pilnował jakiś stany weteran bez nogi i z pocerowaną niby stara szmata twarzą, który po wojskowemu się wyciągnął na jego widok i czekał rozkazów, ale Trawiński blade Się uśmiechnął tylko do tej archeologicznej spuścizny po swoich oj-cach i poszedł do kantoru, gdzie kilku ludzi drzemało nad księgami, popatrzył chwilę do przedzalni poprzez las transmisyj i pasów trzepo-czających się w szalonym pędzie, na ciężkie skośne ruchy salfaktorów, co niby potwory czaiły się, wyginały białe od bawełny grzbiety, odbie-gały od pilnujących je robotników i cofały się również ciężko i bezu-stannie, wlokąc za sobą, niby pasma śliny, setki bawełnianych włókien, nawijających się na warczące w ruchu szpulki papierowe.

Cofnął się i poszedł przez długie podwórze rozświetlone szeregiem żółtych gazowych płomieni, co przy elektrycznych blaskach Mullerow-skiej fabryki wyglądały na gromniczne światła.

Dom stał w głębi ogródka, frontem do dziedzińca fabrycznego, a bokiem wychodził na jakąś pustą uliczkę; dom miał jedno piętro, a wy-głądał na trzy z powodu gotyckiego stylu, w jakim był postawiony.

W kilku oknach parterowych, przysłoniętych storami, świeciło się jasno.

Trawiński przeszedł kilka pokoiw prześlicznie umeblowanych, ciepłych i bardzo zacisznych, pełnych delikatnego zapachu kwitnących w żardinierkach hiacyntów, i wszedł do małego buduaru.

Dywany tak szczelnie okrywały posadzki i szedł tak cicho, że Nina go nie usłyszała, siedziała przy lampie czytając.

Cofnął się i zawołał przed portierą:

– Nina! Sama tak siedzisz? – pytał siadając obok niej.

– A któż by mógł być u mnie? – szepnęła smutnie.

– Płakałaś?

– Nie, nie – zaprzeczała odwracając głowę od światła.

– Widziałem łzy.

– Było mi tak smutno samej! – szepnęła przysuwając się do niego i miękkim, cudownym ruchem położyła mu głowę na piersi i łzy znowu zapełniły jej oczy. – Czekałam na ciebie, a ten deszcz tak padał, tak

dzwonił w szyby, tak bębnił w dachy, tak dziwnie bełkotał w rynnach, że bałam się; bałam o ciebie.

– Dlaczegoż o mnie?

– Nie wiem przecież dlaczego, ale mnie jakieś złe przeczucia przepęliły. Ale tobie nic nie jest, prawda? Jesteś zdrowy i spokojny, prawda? – szeptała oplatając mu ramionami szyję.

Gładziła go ręką po włosach, całowała jego delikatne, pocięte siatką niebieskich żyłek czoło; zielonawe, pocętkowane złotymi skrami źrenice biegały niespokojnie po jego chudej, zmęczonej twarzy.

– Czemuś smutny?

– Taka straszna pogoda, to i skąd wziąć humoru!

– Wysunął się z jej objęć i zaczął chodzić po buduarze. Burza zaczęła kotłować strasznie jego sercem. Czuł, że gdyby mógł powiedzieć jej wszystko, że gdyby mógł wtajemniczyć ją w swoje położenie, to sprawiłaby mu wielką ulgę ta spowiedź, ale równocześnie czuł, spoglądając na jej twarz przepiękną, pochyloną pod lampą, która łagodne światło rozpylała na jej pyszne kasztanowe włosy, skrzące się na skroniach złotem, że za nic w świecie nie powie.

Chodził coraz wolniej, oddychał tą czystą, wykwinną atmosferą mieszkania z jakąś gryzącą ulgą; przyglądał się dziwnym wzrokiem meblom wytwornym i tym niezliczonym gracikom, będącym istotnymi dziełami sztuki wielkiej wartości, które przez lat parę zwozili ze wszystkich stron świata, nie bacząc na koszty, bo Nina ze swoją naturą arystokratyczną, z wrażliwością artysty na wszystko, co piękne, z duszą mimozy, czuła się dopiero dobrze w otoczeniu piękna.

Nie sprzeciwiał się temu, tym bardziej że sam lubił sztukę i czuł potrzebę otaczania się jej dziełami. Ale teraz, wobec ruiny, jaka go czekała, szarpał go straszny ból, ból strachu przed jutrem, które miało przyjść i zabrać mu i te wszystkie skarby, i ten spokój, i szczęście, jakim oddychał.

– Co począć? – myślał ciężko i na odpowiedź przychodziła mu jedna tylko myśl, udać się znowu do ojca o pomoc, i tak go ta myśl porывała na mgnienie, że radośnie i tryumfująco spoglądał, ale spojrzenie gasło szybko i już mrocznymi, pełnymi trwogi oczyma patrzył się w Ninę, która powstała i szła amfiladą pokojów.

Gonił oczami jej wysmukłą, bardzo piękną postać, odwróciła się posyłając jakiś tajemniczy uśmiech.

Wróciła natychmiast przynosząc dość długie, płaskie drewniane pudło, bardzo ciężkie.



Odebrał jej i położył na stole z pytającym spojrzeniem:

– Zgadnij co? Chciałam ci zrobić niespodziankę.

– Nie, nie będę nawet próbować – szepnął blednąc, czuł bowiem zobaczywszy na pudełku pieczętki pocztowe, że to znowu jakiś kosztowny zakup.

– Bandini nasz florencki przysłała ten mozaikowy blat, który latem oglądaliśmy, pamiętasz?

– Żądałaś tego? – zapytał dosyć ostro.

– Tak, chciałam mojemu panu zrobić niespodziankę, bo przecież się nie gniewasz, co?

– Nie, Nina, nie, dziękuję ci z całej duszy, dziękuję... – szeptał całując ją w rękę.

– Otwórz, to zobaczymy zaraz. Kazałam przysłać ten mały, tańszy, a taki jest tani, że nie do uwierzenia.

– Przysłał rachunek?

– Masz. Dwa tysiące dwieście lirów, to za bezcen.

– Tak... istotnie... za bezcen... – odpowiadał, drżącymi rękami odpakowując pudło.

Mozaika była prześliczna.

Na płycie kwadratowej czarnego marmuru o bardzo rzadkim błękitnawym odcieniu rzucono wiązanek fiołków, róż jasnożółtych i liliowych, obsypanych złotordzawym pyłem storczyków; jeden motyl o rubinowo-zielonych skrzydłach chwiał się razem ze storczykiem, na który opadł, a dwa inne unosiły się w powietrzu. I tak to było cudownie wykończone i do złudzenia prawdziwe, że chciało się podnieść te kwiaty lub uchwycić za skrzydełka motyle.

Nina, pomimo że to już widziała, krzyknęła z podziwu i przypatrywała się długo w niemym zachwycie.

– Nie patrzysz, Kaziu?

– Widziałem, istotnie jest piękne, w swoim rodzaju arcydzieło – odpowiedział cicho.

– Wiesz, ten blat trzeba będzie oprawić w szeroką ramę z brązu matowego i powiesi się na ścianie, szkoda wprawiać w stolik – mówiła wolno i długim, cienkim palcem bardzo delikatnie wodziła po konturach listków i kwiatków, wysnuwając subtelną rozkosz dotykania się barw.

– Muszę iść, Nina! – szepnął przypominając sobie starego Bauma.

– Na długo? Przyjdź prędko, mój złoty, mój jedyny! – prosiła przytulając się do niego i przytrzymawszy mu wąsy rękami, całowała go w usta.

– Najdalej za godzinę. Pójdę naprzeciwko, do Bauma.

– Czekam na ciebie z herbatą.

– Dobrze.

Pocałował ją i szedł, ale już przy progu się zatrzymał i szepnął:

– Nina pocałuj mnie i życz mi szczęścia. Pocałowała go serdecznie i oczami pytała, nie rozumiejąc tego, co powiedział.

– Przy herbacie ci powiem.

Odprowadziła go aż do przedpokoju i patrzyła jeszcze za nim oszklonymi drzwiami, aż jej zniknął w nocy i w oddaleniu.

Powróciła do buduaru, oglądała mozaikę.

Drzwi wchodowe zadzwięczały silnie.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że ten mój dawny kolega uniwersytecki, którego w przeszłym roku poznałaś w Szwajcarii, Grosman, spalił się dzisiaj.

– Jak to?

– Ano spaliła mu się fabryka zupełnie, nic nie uratowano.

– Biedny człowiek! – zawołała ze współczuciem.

– Nie ma go co żałować, bo ten pożar go właśnie postawi na nogi.

– Nic nie rozumiem.

– Stał źle w interesach, był zachwiany, jak się u nas mówi, więc żeby się poprawić, urządził pożar fabryki i składów, które były wysoko zaasekurowane w kilku Towarzystwach. Odbierze asekurację, która mu w czwórmasób pokryje straty, i będzie kpił sobie ze wszystkiego.

– Umyślnie podпалиł?! Ależ to zbrodnia! – wykrzyknęła z oburzeniem.

– Kodeks tak to nazywa i odpowiednio karze, ale w języku zwyczajnym nazywa się to dobrym interesem – mówił prędko, nie patrząc jej w oczy i w twarzy miał jakiś niespokojny, gorączkowy wyraz.

– I to zrobił on, który mi się wydał człowiekiem tak nadzwyczajnie szlachetnym, nie mogę wprost w to uwierzyć. Przypominam sobie, jego rozmowy tchnęły najwyższą etyką i sprawiedliwością.

– Cóż chcesz, jak mu ruina zajrzała w oczy, to dał spokój etyce, zostawił ją na później. Bez etyki żyć można, a bez pieniędzy nie – mówił twardo.

– A nie, nigdy, raczej umrzeć – wykrzyknęła namiętnie i cała jej natura wzdrygnęła się na myśl popełnienia występku. – Jak to dobrze,

że ty tak nie myślisz, że ty nigdy, nigdy nie popełniłeś nic złego! Wiesz, gdybym cię nie kochała nawet, to i tak musiałabym cię uwielbiać za dobroć i za tę szlachetność twoją.

Kazimierz nic nie odrzekł, ucałował tylko jej oczy rozgorzałe oburzeniem i te purpurowe pełne usta, co teraz wyklinały i rzucały potępienia na ludzi niemoralnych, ludzi bez etyki, na złość i brzydotę życia, ucałował ją tak namiętnie, jakby tymi pocałunkami chciał pokryć własne głębokie upokorzenie, jakie poczuł po jej słowach, jakby chciał zagłuszyć nimi jakąś myśl, która zaświeciła mu w mózgu i olśniła.

Wyszedł zaraz i poszedł wprost do fabryki Bauma, która stała na przeciwko, po drugiej stronie ulicy, w głębi rozległych ogrodów.

W kantorze zastał tylko Maksa, który bez surduta siedział przy pulpicie.

– Ojciec w fabryce, mogę go zawołać.

– Pójdę tam. Nigdy nie widziałem waszej fabryki.

– Nie ma co oglądać, nędza – szepnął lekceważąco, siadając z powrotem do roboty.

Oszklony korytarz prowadził z kantoru do pierwszego fabrycznego pawilonu.

Mrok i cisza zalewały wielki dziedziniec obstawiony z trzech stron trzema dwupiętrowymi pawilonami fabryki, przez rzędy okien mżyło słabe światło, a niektóre piętra zupełnie były ciemne, nie oświetlone, tylko z dołu u drzwi i wchodowych kopcily się smutnie naftowe latarnie i oświetlały czerwone, oślizgłe wilgocią mury.

Suchy trzask warsztatów ręcznych, rozlegający się monotennie, rozlewał po korytarzach mrocznych, zaśmieconych odpadkami bawełny i resztkami starych warsztatów, usypiający nastrój nudy i smutku.

Na schodach i korytarzach było pusto, czasem tylko rozległ się klekot drewnianych podeszew, zamajaczył w mroku jaki robotnik i cicho ginął w wielkich salach na końcu korytarzy rozłożonych; tylko suchy trzask warsztatów i echa kroków mąciły tę senną ciszę.

W salach fabrycznych również było pusto, mroczno i sennie.

Były to wielkie prostokąty, podparte w środku szeregiem żelaznych słupów, zapchane ręcznymi tkackimi warsztatami Jaccarda, które stały w dwa rzędy, pod gęsto rozłożonymi oknami. Połowa warsztatów stała nieczynna, obrośnięta niby mchem siwym, pyłem bawełnianym.

Kilka lampek przyczepionych do słupów oświetlało środkowe przejście i robotnice nawijające na ręcznych kołowrotkach przędzę na szpulki. Kołowrotki warczały sennie i sennie pochylały się nad nimi

robotnice, i sennie trzaskało kilkanaście czynnych warsztatów, które w żółtawym, słabym świetle lampek palących się nad nimi podobne były do olbrzymich kokonów fantastycznie oplatanych w tysiączne włókna różnokolorowe, w nieprzeliczone warstwy przędzy rozpiętej w różnych kierunkach; w środku tych kokonów niby jedwabniki poruszali się robotnicy tkając wzorzyste materiały, pochylali się automatycznie, jedną ręką przybijając płoche, a drugą, ruchem horyzontalnym, pociągając od góry sznur i przebijając równocześnie nogami po pedałach; czółenka ze świstem przelatywały wskroś pasem przędzy niby żółte, długie żuki i powracały tą samą drogą z nużącą jednostajnością.

Robotnicy byli starzy, spoglądali zagasłymi oczami apatycznie na przechodzącego i tkali dalej również sennie i automatycznie.

Trawiński z przykrością przechodził przez te na pół żywe sale, z przykrością patrzył na agonię ręcznego przemysłu, który z uporem szaleńców chciał walczyć z tymi potworami, których olbrzymie cielska rozdrżane energią, huczące siłą niepokonaną, widać było z okien tych sal.

Pytał o Bauma; pokazywali mu ruchem ręki lub głowy, nie odrywając się od roboty, nie podnosząc nawet głosu, jeśli mówili; wszyscy poruszali się jak senni, półmartwi, obojętni i smutni – smutkiem tych sal oślepych, cichych, umierających, przez które przechodził potykając się w ciemności o filary i o nieczynne warsztaty, o ludzi.

Przeszedł przez całe piętro dwóch pawilonów i wszędzie była ta sama pustka, nuda i senność.

Trawińskiego, ze względu i na własne położenie ogarniał coraz większy smutek, tracił zupełnie wiarę w pomoc Bauma i szedł z tym uczuciem, z jakim się idzie do konających – bo fabryka, która kiedyś pracowała w 500 ludzi, poruszała się teraz tylko stoma i wydawała mu się chorym, konającym organizmem, któremu nawet olbrzymie drzewa szumiące za oknami zdawały się śpiewać hymn śmierci.

Starego Bauma znalazł w trzecim pawilonie, wychodzącym na ulicę.

Baurn siedział w małym pokoiku przed biurkiem, zarzuconym stosem próbek towarów, pociętych w długie pasy.

Przywitali się w milczeniu.

Stary ścisnął mu mocno rękę i podsunął krzesło.

– Dawno pana nie widziałem – zaczął Baum.

Usprawiedliwiał się kłopotami i zajęciami, mówił długo, a nie śmiał przystąpić do celu swoich odwiedzin, powstrzymywał go smutek

fabryki i taki sam smutek wryty na twarzy fabrykanta, który blade oczy zwracał bezwiednie na okno, przez które doskonale widać było fabrykę Mullera, błyszczącą wszystkimi oknami.

Odpowiadał krótko i czekał na wyjaśnienie wizyty. Trawiński to odczuł, bo przerywając jakąś opowieść, rzekł krótko:

– Przyszedłem do pana z prośbą – zawołał i odetchnął nieco.

– Proszę pana bardzo... słucham...

Trawiński szybko opowiedział mu całe swoje położenie, ale o pomoc zawahał się prosić, ujrawszy surowe ściągnięcie brwi i jakiś niechętny wyraz oczów.

– My wszyscy jeździmy na tym wózku, oni nas jedzą!... – mówił wolno wskazując na wielkie fabryki przez okno. – Czym panu mogę pomóc? – dodał.

– Pożyczką albo żyrem na wekslach.

– Ile?

– Ostatecznie bez dziesięciu tysięcy rubli paść muszę – rzekł cicho i wymijająco, jakby obawiając się głośniejszym dźwiękiem spłoszyć życzliwość, jaką spostrzegł w oczach Bauma.

– Ja gotówki nie mam, ale co będę mógł zrobić, zrobię panu. Daj mi pan weksle na tę sumę, a ja pokryję do tej samej wysokości pańskie zobowiązanie.

Trawiński zerwał się z krzesła i zaczął mu z uniesieniem dziękować.

– Nie ma za co, panie Trawiński, ja nic nie ryzykuję nawet, bo znam pana i pański interes dobrze. Masz pan blankiety i wypełnij pan zaraz.

Trawiński był oszołomiony, ten prawie nieprzewidziany ratunek wyrócił go z równowagi, wypełniał blankiety wekslowe gorączkowo, ale co chwila podnosił głowę znad papieru i patrzył na Bauma, który chodził po kantorze, przystawał przy oknie i spoglądał na Łódź jakimś tępym, srogim spojrzeniem.

Miał przed oczyma całą część miasta; domy, fabryki, magazyny dziesiątkami tysięcy okien patrzyły w noc, a poza nimi poruszały się cienie robotników i maszyn, elektryczne światła wisiały w ciemnym mglistym powietrzu, setki kominów majaczyło w nocy i wyrzucało nieustannie smugi białych dymów, które jak obłok przysłaniały światła i kontury fabryk.

Baum przyglądał się miastu i spacerował na przemian z pochyloną naprzód suchą, kościstą twarzą. Był również wysoki, jak syn, tylko

znacznie chudszy i żywszy w ruchach. Nie lubił wiele mówić i zwykle najważniejsze interesy załatwiał w kilku słowach. Był spokojny, cichy nawet, uległy żonie i dzieciom aż do słabości nieraz, ale pomimo to miał swoje punkty, na których był nieugiętym; jego uczynność była w Łodzi przysłowiowa i niewyczerpana, a równocześnie był skąpym w domu do dziwactwa.

– Jaki termin pan chce?

– Jaki jest dla pana najwygodniejszy – powiedział uchylając drzwi do sali sąsiedniej, w której wszystkie warsztaty były czynne.

Zamknął drzwi, wsadził ręce w kieszenie szarego, podbitego kutnrem kaftana i znowu przyglądał się miastu.

Telefon zadzwonił, było to jedyne współczesne urządzenie w jego fabryce.

– To do pana! Woła pan Borowiecki – rzekł Baum.

Trawiński ze zdziwieniem słuchał.

– Mój drogi, od żony dowiedziałem się, gdzie jesteś. Oto rozliczyłem się, mogę ci pożyczyć pięć tysięcy rubli, ale tylko z dwumiesięcznym terminem. Więc jeśli chcesz? – mówił Borowiecki.

– Przyjmuję z radością! – wykrzyknął gorąco. – Skąd telefonujesz?

– Z twego gabinetu, pod strażą żony – brzmiała odpowiedź.

– Zaczekaj na mnie, zaraz przyjdę.

– Czekam.

– To Borowiecki chce się ze mną widzieć, pan go zna?

– Z widzenia tylko, bo przecież ja nie bywam w tym wielkim świecie łódzkim, u tych rozmaitych Bucholców, Mendelsohnów, Salcmanów, Meyerów i innego robactwa. Znam ich wszystkich, z widzenia tych młodych, a starszych od Michła, gdzie się czasami schodzimy; znaliśmy się wszyscy co prawda lepiej, ale to było dawno, kiedy w Łodzi panowała jeszcze uczciwość i nie było milionerów. To były takie czasy, o których wy, młodzi, nie macie pojęcia. Ja wtedy byłem z Geyerem starym największą łódzką firmą. Pary, maszyn elektryczności, weksli, tandety, plajt, podstępnych pożarów nikt nie znał nawet ze słyszenia.

– A jednak to, co jest obecnie, przyjść musiało.

– Ja wiem, że musiało, że stary porządek zawsze musi ustąpić nowemu miejscu, zresztą, po co to mówić o tym – machnął ręką i zaczął przeglądać weksle.

Złość bezsilna zatrzęsała jego sercem tak gwałtownie, że brakło mu głosu, milczał dosyć długo, podpisawszy weksle.

– Panu się śpieszy?

– Istotnie, pozostaje mi tylko raz jeszcze z całej duszy podziękować panu za pomoc.

– Szkoda czasu! Mnie tylko żal jednego, żeś pan nie był przed pięćdziesięciu laty w Łodzi, pan wtedy powinien był mieć fabrykę. Pan także nie pasuje do dzisiejszej Łodzi, tutaj uczeni fabrykanci nie mają co robić, panie Trawiński.

Nie odpowiedział mu na to pytanie, bo się śpieszył do domu, obgadali tylko niektóre kwestie dotyczące terminów weksli i rozeszli się.

Zaraz też zaczęły rozdzierać powietrze gwizdawki na skończenie roboty i fabryki gasły jedna po drugiej i ginęły w nocy.

Baum po wyjściu robotników poszedł do domu, który stał w ogrodzie, przed pawilonami fybrycznymi, z frontem od ulicy.

Przebrał się w swoim pokoju w jakąś lekką marynarkę, włożył haftowane pantofle na nogi, przykrył swoje bujne jeszcze siwe włosy małą czapeczką wyszywaną białymi pacioreczkami i poszedł do stołowego pokoju, w którym już nakrywano do kolacji.

Maks siedział przy stole i pomagał siostrzenicom, które mu wisały u szyi, układać domki z drewnianych kwadratów.

Dziewczynki śmiały się ustawicznie i jak ptaki świergotały wesoło.

Matka siedziała w głębokim fotelu i robiła pończochę, miała lat ze sześćdziesiąt, twarz bardzo miłą i schorowaną, okulary srebrne na długim nosie, siwe, gładko przyczesane włosy nad niskim, wypukłym czołem. maślankowate oczy, blade usta, kłębek bawełny w kieszeni niebieskiego fartucha, z którego robiła pończochy, i wielką słodycz w głosie i w uśmiechu; liczyła ciągle oczka, błyskała drutami i uśmiechała się do syna i wnuczek, córki, która zajęta była czytaniem. do frau Augusty, kuzynki, od niepamiętnych lat zajmującej się całym ich gospodarstwem, do dwóch kredensów stojących obok siebie, do pieca, dc starej serwantki, wypełnionej porcelanowymi pieskami, figurkami i talerzykami, do dwóch kotów burych frau Augusty, które chodziły za nią i mruczac obcierały się ciągle grzbietami o suknie – uśmiechała się zawsze i do wszystkiego, takim przyklejonym do ust oślizgłym uśmiechem trupów.

Ciepły spokój starego mieszczańskiego domu panował w mieszkaniu. Tak wszyscy byli zżyci ze sobą i dopasowani, że porozumiewali się spojrzeniami, przenikali się nawzajem.

Stary troski swoje zostawiał w kantorze, a do mieszkania zawsze przynosił spokojną, uśmiechniętą twarz, opowiadał żonie o sprawach

niektórych, czasem się kłócił z Maksem, pokpiwał regularnie co wieczór od lat dwudziestu z frau Augusty, bawił się z wnuczkami, których zawsze miał pod dostatkiem, bo wszystkie cztery córki dawno już były zamężne, czytał stale „Kolnische Zeitung” i jedną z gazet polskich. Słuchał również stale co wieczór jakiego sentymentalnego romansu z rozmaitych „Familienblättern”, którymi żyła żona i córki, i tak spędzał wieczór.

Dzisiaj zaczynało się tak samo; usiadł przy stole i zaczął kiwać na wnuka, który na wielkim biegunowym koniu bujał się pod piecem.

– Jasiu, chodź do dziadzi, chodź!

– Zaraz przyjadę – wołał chłopak, poganiał konia szpicrutą, okładał mu boki piętami, ale że i tak koń nie pośpieszał, schodził z niego, głaskał go po głowie, oklepywał mu piersi i wołał: – Cieśka, cieśka słucha Jasia, Jasio jedzie do dziadzi, dziadzio da nam cukierków.

Obiecywał mu słodko, popychał go gwałtownie naprzód i bohater-sko wskakiwał na siodło.

W ten sposób objechał cały pokój i przyjechał do dziadka.

– Prr! Herman, konia do stajni – wołał, ale dziadek zdjął go z konia i posadził sobie na kolana.

Chłopak zaczął krzyczeć i wydzierać się do konia, którego zdradliwie zaraz uprowadziły dziewczynki ciągnąc za rudy ogon na drugą stronę stołu, do wuja Maksa, przy którym się czuły więcej zabezpieczone od batożenia brata.

– Jasiu, co to jest? – wołał Baum, wyjmując z kieszeni dziecinną trąbkę i ukazując mu nad głową.

– Trlombka! Dziadziu, dać Jasiowi trlombkę – prosił wyciągając rączki.

– Nie chcesz siedzieć u dziadzi, nie kochasz dziadzi, to nie dam, dam Wandzi.

– Daj Jasiowi trlombkę, dziadziu. Jasio dziadzia kocha, Wandzia jest głupia, nie kocha dziadzi. Dziadziu, dać Jasiowi trlombkę! – prosił ze łzami, uklęknął na kolanach dziadka, a nie mogąc i tak dostać, zaczął mu wchodzić na ramiona, obejmował go za szyję, całował po twarzy, błagał coraz goręcej, a nie spuszczał niebieskich rozplamionych oczek z trąbki.

Dziadek dał mu wreszcie,

Chłopak nie miał już czasu dziękować, zeskoczył na ziemię, poleciał odebrać konia, przy czym po po dziewczynki, zaprowadził go pod piec, okrył ściągniętą z matki żółtą jedwabną chustką i biegał po poko-



ju trąbiąc, co miał tylko sił. Dziewczynki z płaczem przybiegły do kolan dziadka.

– Wandzia ce, dziadziu.

– Janusi dać!

Prosiły rozplakаныmi głosikami i zaczęły się wdrapywać na dziadkowe nogi.

Oswobodził się od nich prędko i zaczął uciekać przed nimi.

Dziewczynki już wiedziały, co to znaczy, więc zaczęły gonić ze wszystkich sił i krzyczeć na dziadka, który zastawiał się krzesłami, chował za kredensy i wciąż wymykał się im z rąk, aż wreszcie pozwolił się im złapać w jakimś kącie, wziął je obie pod pachy i przyniósł z powrotem do stołu, a potem pozwolił się zrewidować i powyciągać z kieszeni lalki, jakie przyniósł dla nich,

Radość zapanowała niezmierna w gromadce, która skupiła się przy małym stoliczku pod oknem i oglądała szczegółowo lalki, wydzierając je sobie z rąk.

Dziadkowie bawili się wybornie, tylko Berta zatkała uszy i utonęła w książce, a Maks głośno gwizdał, żeby nie słyszeć tych dzikich wrzasków, był zresztą zły na ojca, czuł bowiem po jego rozmowie, że musiał znowu pożyczyć komu pieniędzy lub zareczyć za kim, bo ilekroć to się stało, stary zawsze przynosił dzieciom lub wnuczkom, jak teraz, zabawki, unikał Maksa i był bardzo słodkim i serdecznym w obejściu ze wszystkimi, biorąc gorący udział w rozmowie każdej; tym sposobem unikał interpelacji synowskiej.

Dzisiaj było tak samo.

Przy kolacji rozmawiał bezustannie, pousadzał sam dzieci i najtroskliwiej ich pilnował, wciąż żartując z frau Augusty, która zawsze jednakowo odpowiadała:

– Ja, ja, Herr Baum – uśmiechając się bezmyślnie długimi, żółtymi i krzywymi zębami.

– Gdzież pan Józef? schowała go sobie pani do ogryzania na później?

– Pan Józefa zaraz przyjdzie – i nim swoje dwa nieodstępne koty zdążyła utulić na obszernym łonie, pan Józef Jaskólski wszedł.

Był to rodzaj praktykanta kantorowego, chłopak zupełnie biedny, którym się Baum od lat paru opiekował. Miał lat osiemnaście, wzrost ogromny, za duże nogi, za długie ręce, głowę wielką i ciągle rozczochraną, twarz okrągłą, wiecznie spoconą i w dodatku był bardzo nie-

śmiałym i niezgrabnym, wciąż zawadzał sobą o wszystkie drzwi i sprzęty.

Wszedł teraz dosyć odważnie, ale poczuwszy wszystkich oczy na sobie, zaplątał się zaraz przy ukłonie w chodnik, uderzył biodrem o róg kredensu, potrącił krzesło Maksa i czerwony jak burak, przerażony swymi nieszczęściami usiadł do kolacji.

Pomimo lat osiemnastu i skończenia szkoły rzemieślniczej był naiwnym jak dziecko. Był tak pokornym, ulegającym, dobrym, że zdawał się nieraz oczami przeproszać wszystkich, że ośmiela się żyć pośród nich. Maksa się lękał bardzo, bo Maks kpił z niego ustawicznie, a teraz widząc, że Józiowi przy jedzeniu wszystko z rąk wylatuje, zaczął się śmiać i powiedział:

– Muszę ja pana odebrać pani Augustcie i wziąć pod swoją opiekę.

– Daj pokój, Maks, już on lepiej wyjdzie na naszej opiece.

– Robicie z niego mazgaja.

– A ty co byś z niego chciał zrobić?

– Człowieka, mężczyznę.

– Prowadziłbyś go do knajp, na hulanki, no i tak dalej. Fryc mi nieraz z obrzydzeniem opowiadał o waszym kawalerskim życiu.

– Ha, ha, ha, wiesz, Berta, że to jest pyszny witz. Fryc i obrzydzenie wesołego życia! Ty jesteś znakomita, to ty niewiele znasz swojego męża.

– Maks, po co masz psuć jej złudzenia – szepnął stary.

– Ma ojciec rację, ale to mnie irtuje, że byle bałwan nabluguje przed nią; to ona tak zaraz wierzy, że gotowa się dać zabić za tę prawdę.

– Maks, nie zapominaj, że mówisz o moim mężu.

– Niestety, my to z ojcem za bardzo często musimy brać pod uwagę, że Fryc jest twoim mężem, że należy do naszej rodziny, bo inaczej...

– To co? – zawołała ze łzami w oczach, gotowa rzucić się w obronę męża.

– To byśmy go wyrzucili za drzwi – mruknął gniewnie. – Chciałaś, to ci powiedziałem, możesz teraz płakać do woli, tylko pamiętaj, że zawsze po płaczu bardzo brzydko wyglądasz, oczy ci puchną i nos się czerwieni.

Berta istotnie rozplakała się głośno i wyszła z pokoju.

Matka zaczęła mu wyrzucać delikatnie jego brutalność.

– Niech mama da pokój, wiem, co robię. Fryc jest zwykłym bydlęciem, które nie pilnuje fabryki, tylko ciągle knajpuje, a przed Bertą gra rolę nieszczęśliwego, któremu się nic nie wiedzie, który się zapracowyywa dla żony i dzieci, jakby całego ich domu od pierwszego dnia ślubu nie utrzymywał ojciec swoim kosztem.

– Cicho, Maks, po co to wy włączyć!

– Po to, że temu trzeba raz koniec położyć, że to jest zwykłe kryminalne łajdactwo to wieczne naciąganie ojca. My wszyscy robimy na to, żeby nasi szwagrowie mogli się bawić.

Przerwał, bo dzwonek zadzwieczał w przedpokoju, poszedł otworzyć i zaraz wprowadził Borowieckiego.

Baum był nieco zakłopotany i sztywny, ale stara przyjęła go z całą serdecznością i zaraz przedstawiła Bercie, która przysłała na odgłos dzwonka i ciekawie się przyglądała temu jednemu okazowi łódzkiego donżuana, o którym tak wiele mówiono w mieście.

Zapraszano go serdecznie do herbaty, ale odmówił. – Byłem u państwa Trawińskich na kolacji, po drodze wpadłem do Maksa na chwilę tylko z jakimś interesem i muszę znowu iść – tłumaczył się, ale usiąść przy stole musiał, bo frau Augusta z najpiękniejszym uśmiechem podawała mu herbatę, Berta rozłzawionym jeszcze głosem prosiła, aby pił, stara z uśmiechem podsuwała jakieś ciastka.

Przyjął to wszystko, a że był w doskonałym humorze, więc wkrótce zapanował nad wszystkimi; rozmawiał z matką o wnuczkach, unosił się przed Bertą nad pięknnością jej dzieci, które mu przedstawiono, wysławiał przez pięć minut ostatnią nowelę Heysego, jaką ujrzał leżącą na stole, frau Augusty porwał serce bawiąc się jej faworytami, które mrużąc łaziły mu po ramionach i obcierały się o twarz, co go tak rozdrażniło, że miał ochotę uchwycić którego za ogon i rozbić o piec, o Józiu nawet nie zapomniął. Był tak miłym, uprzejmym, eleganckim, że w dwadzieścia minut już wszyscy nim byli oczarowani, nawet stary, który go dobrze gnał i nie bardzo lubił, zaczął brać udział w rozmowie.

Frau Augusta była tak nim zachwycona, że wciąż przynosiła świeże szklanki herbaty i coraz nowe wyjmowała z kredensu przysmaki, i coraz inny ząb pokazywała w uśmiechu. Maks tylko milczał, ze złośliwym uśmiechem przypatrując się tej scenie. Wreszcie znudzony i widząc, że i Karol ma również dosyć, powstał i zabrał go w głąb mieszkania. Przy stole zapanowała cisza.

Dzieci siedziały przy dziadku i zaczynały studiować zabawki. Józio zaczął czytać głośno, zwykłym codziennym zwyczajem. Matka robiła

pończochę. Berta słuchała i wybiegała co chwila wzrokiem do tego pokoju, w którym był Maks z Karolem, bo przez pootwierane drzwi widać ich było. Frau Augusta sprzątała cicho ze stołu, gładziła swoje kotki, czasem przystawała i podnosząc do góry małe czarne oczy, które pływały w jej twarzy jak ziarnka pieprzu w patelni przyrumienionego masła, wzdychała głęboko.

– Dziadziu, lalkę noga nie boli? – pytały dziewczynki rozrywając przy tych studiach lalki.

– Nie boli – odpowiadał głaszcząc jasne, kędzierzawe główki.

– Dziadziu, co trlombi w tej trlombie – pytał chłopak od czasu do czasu, a nie dostawszy odpowiedzi, wiercił z wielką wprawą i zamiłowaniem patykami w trąbce.

– Dziadziu, główka lalkę nie boli? – pytały rozbijając o podłogę.

– Lalka nieżywa. Wanda głupia.

Dzieci umilkły, tylko głos Jozia rozlegał się po pokoju, przerywany westchnieniami frau Augusty i wykrzyknikami Berty, która, rozczulona powieścią, zaczęła cicho płakać i wzdychać przeciągle.

– Dziwnie miła atmosfera panuje, dobrze tu u was – szepnął Karol.

Wyciągnął się w fotelu i patrzył z przyjemnością na całą rodzinę, siedzącą w stołowym pokoju.

– Raz na rok to smakuje, ale nie częściej.

– I to wiele, mieć jeden dzień w roku, w którym można zapomnieć o interesach całego świata, o wszystkich kłopotach życia i czuć się otoczonym przez rodzinne szczęście,

– Żenisz się przecież, to tego szczęścia będziesz mógł używać aż do obrzydzenia.

– Wiesz, pojedę na kilka dni na wieś, do domu.

– Do narzeczonej?

– To wszystko jedno, bo Anka mieszka u mojego ojca.

– Chciałbym ją poznać.

– Zawiozę cię tam kiedy na parę godzin choćby.

– Dlaczego na parę godzin?

– Bo tam dłużej nie wytrzymałbyś, umarłbyś z nudów. Ach, jak tam nudnie, szaro, pusto, to nie masz pojęcia. Gdyby nie Anka, to dwóch godzin nie wytrzymałbym pod tym dachem ojców moich.

– A sam ojciec?

– Ojciec mój to zmumifikowana szlachetczyzna z czasów demokracji, to nawet demokrata zajadły, ale demokrata szlachecki, jak zresztą cała nasza demokracja. Bardzo ciekawy typ – zamilkł i uśmiechał się

drwiąco, ale w oczach miał wilgotne blaski rozrzewnienia, kochał bowiem ojca całą duszą.

– Kiedyż pojedziesz?

– Jak tylko Moryc przyjedzie, a nawet, jak tylko Knoll powróci, bo dzisiaj telegrafowano po niego. Buchcie bardzo chory, dawna choroba serc? odezwała się, miał przy mnie tak straszny atak, że ledwie go uratowano, co mu zresztą nie przeszkodziło, powróciwszy do przytomności, nawymyślać mi w taki miły sposób, że musiałem wymówić miejsce.

– Tak spokojnie mówisz o tym? – wykrzyknął Maks, widząc, że Karol podniósł się i oglądał włóczkowe, czerwono-żółte patarafka, na jakich stały lichtarze i lampy.

– Prędzej czy później musiałbym to zrobić. Skorzystałem tylko z doskonałej okazji, bo mój kontrakt kończy się dopiero w październiku.

– Czyli miałeś sposobność na brutalstwa odpowiedzieć oburzeniem z dodatkiem swojej dymisji. Karol zaczął się śmiać, chodził po pokoju i oglądał

szeregi kredkowych portretów, wiszących na ścianach.

– Cała mądrość życia polega właśnie na tym, aby w porę się oburzać, śmiać, bawić, gniewać, pracować, ba! aby nawet w porę wycofać się z interesów. Czyje to portrety?

– To nasza menażeria familijna. Rozumiem wartość tego, co mówisz, ale nigdy nie potrafiłem się uchwycić takiej chwili, nigdy nie mogłem się przystosować, zawsze mnie ponosi.

– „Sąd bez miłosierdzia czynicie temu, kto nie czynił miłosierdzia.”

Czytał Karol głośno biblijny werset, wyszyty czerwonym jedwabiem na kanwie, oprawnej w dębowe ramy i zawieszzonej pomiędzy oknami.

– Ach, czytasz święte protestanckie maksymy. To starym niemieckim obyczajem wyszyto i powieszono.

– A wiesz, to mi się podoba, te biblijne wersety nadają oryginalny ton domowi.

– Masz rację. Był u nas Trawiński.

– Wiem, bo właśnie od niego idę, stary twój mu pomógł.

– Domyśliłem się tego, bo nic ze mną nie mówił i unikał mojego wzroku. Nie wiesz, jak wysoko?

– Dziesięć tysięcy.

– Siakrew! te niemieckie sentymentalizmy – zaklął cicho.

– Pieniądz pewny – uspokajał go Karol oglądając aksamitne meble, pokryte gipiurowymi pokrowcami.

– Ja wiem, bo ten idiota Trawiński nie umiałby zarobić dziesięciu groszy nieuczciwie, ale idzie mi o to, że stary pomaga wszystkim, w których tylko wierzy, i wszyscy, ma się rozumieć, go naciągają. Fabryka ledwie dyszy, towarem gotowym tak zavalone wszystkie składy, że nie ma gdzie kłaść, sezon nie wiadomo jak pójdzie, a ten bawi się w przyjacielską filantropię, ratuje innych.

– Prawda, bo Trawińskiego uratował.

– Ale siebie gubi, mnie gubi.

– Pociesz się, że masz za ojca najuczciwszego w Łodzi człowieka.

– Nie drwij, już ja bym wolał, żeby on był trochę mądrzejszy.

– Zaczynasz mówić na sposób Welta.

– Ty myślisz lepiej?

– Inaczej tylko; lepiej – gorzej, uczciwiej – nie –uczciwiej, dialektyka, i nic więcej.

– Jakże ci się wydała ta legendowa Trawińska?

– Krótko, po sienkiewiczowsku ją określe: bajeczna!

– Przesadzasz chyba, skąd by Trawiński wziął taką!

– Nic nie przesadzam, jeśli dodam jeszcze, że piękna i dystyngowana; a skąd Trawińskiego stać na taką żonę, to nie zapominaj, Maks, że Trawiński jest zupełnie przystojny i bardzo wykształcony człowiek. Nie patrz na niego jako na fabrykanta, któremu się nic nie wiecie, ale jako na człowieka. Otóż on jako człowiek jest wyjątkowym okazem, wysubtelnionym przez dawną w rodzinie kulturę. Opowiadał mi, że ojciec jego, bardzo bogaty obywatel z Wołynia, zmusił go niejako do założenia fabryki. Staremu przewrócił w głowie wielki przemysł i wydaje mu się to obowiązkiem narodowym, aby szlachta szła współzawodniczyć z podlegszą nacją w pracy około podźwignięcia tego przemysłu. Widzi nawet odrodzenie tej kasty w przemyśle. Trawiński zaś tak się do tego nadaje, jak ty na przykład do zatańczenia mazura, ale ojca usłuchał, no i powoli stapia w swojej przędzalni ojcowskie kapitały, wyprzedza mu lasy i ziemię. Widzi sam i czuje to doskonale, że ta nasza łódzka „ziemia obiecana” musi się stać dla niego ziemią przeklętą, ale pomimo to walczy uparcie z niepowodzeniem i. brakiem szczęścia. Uparł się i chce przemoc.

– Czasem tacy wychodzą dobrze na swoim uporze. Ona wie o jego położeniu?

– Chyba nie, bo on z tego gatunku ludzi, co to gotowi umrzeć w ofierze, byle się do ich najdroższych nie przedarła żadna wieść przykra, żadna troska.

– Znaczy, że kocha tę swoją bajeczną.

– Tam jest coś więcej niż miłość, bo cześć prawie i wspólne uwielbienie, dosyć wyraźnie czytałem to z ich spojrzeń.

– Dlaczegoż ona się nigdzie nie pokazuje?

– Nie wiem. Nie masz pojęcia, co ta kobieta ma wdzięku w rozmowie, w ruchach, jak cudownie miękko podnosi głowę.

– Gorąco mówisz o niej.

– Domyślnie głupio się uśmiechasz i na nic, bo ja się w niej nie kocham ani nawet mógłbym kochać. Podoba mi się tylko jako typ pięknej kobiety o bardzo uduchowionym wyrazie, ale to nie mój typ, chociaż przy niej wszystkie nasze łódzkie piękności to zwykły perkal przy czystym jedwabiu.

– Ufarbuj go na swój kolor.

– Daj spokój z farbiarskimi dowcipami..– Już idziesz? to razem pójdziemy.

– Ba, mam jeszcze interes na mieście.

– Czyli mam cię nie kępować sobą.

– Cudownieś pojał. Kłania ci się Kurowski, w sobotę będzie i zaprasza na zwykłą kolację, a tymczasem zapytuje listownie, czy gruby Szwab, to niby ty, nie schudł, a cienki Żyd nie utył – to do Moryca.

– On zawsze bawi się w dowcipy. Bucholc wziął jego chemikalia?

– Już od miesiąca używamy.

– To on dobrze stanie, bo słyszałem, że Kessler et Endelman zawarli z nim również umowę.

– Tak, pisał mi o tym. On już jest na najlepszej drodze do majątku, już go robi nawet.

– Niechaj robi, i my go mieć będziemy.

– Wierzysz w to, Maks?

– Po co ja mam wierzyć, ja wiem, że mieć go będziemy, przecież jest do zrobienia, co?

– O, jest, masz rację, i zrobimy go. Ale, jeśli w domu zastaniesz Horna, bo miał przyjść do mnie, to mu powiedz, żeby zaczekał koniecznie, bo najdalej za dwie godziny będę.

Obgadali jeszcze depesze Moryca i Karol pożegnawszy wszystkich, wyszedł razem z Józkiem, który, ukłoniwszy mu się zaraz przed domem, zniknął w ciemnych uliczkach.

## X

Józio szedł odwiedzić rodziców, bo stale mieszkał u Baumów.

Jaskółscy mieszkali daleko, za starym kościołem, w jakiejś uliczce bez nazwy, która tyłami dotykała tej słynnej miejscowej rzeczki, służącej za rynsztok, odprowadzający wszelkie odpływy fabryk.

Uliczka podobna była do śmietnika, pełnego odpadków wielkiego miasta.

Józio przesunął się spieszenie i wszedł do nie tynkowanego domu, który świecił wszystkimi oknami od suteryn aż po strychy niby latarnia i wrzał cały ludzkim rojem, jaki się w nim gnieździł.

W ciemnej sieni, przepelnionej strasznymi zapachami i zaniezionej błotem, namacał brudne aż do lepkości poręcze i zbiegł szybko do suteryn; długi korytarz bez podłogi, zarzucony śmieciami i sprzętami gospodarskimi, pełen również błota i wrzawy ludzkiej, i smrodów, oświetlały mały kaganek kopający się pod sufitem.

Przedarł się przez porozstawiane na drodze zawady i dotarł do końca korytarza.

Buchnęło na niego gorące, piwniczne powietrze przesycone zgnilizną i wilgocią, ściekającą rudymi pasami po wybielonych ścianach.

Gromada dzieci rzuciła się na jego przywitanie.

– Myślałam, że dzisiaj już nie przyjdiesz – szepnęła wysoka, chuda, przygarbiona kobieta, o zielonkowatej zapadłej twarzy i wielkich czarnych oczach.

– Spóźniłem się, mamusiu, bo był u nas pan Borowiecki, dyrektor od Bucholca, i przez to nie śmiałem wyjść prędej. Ojciec nie był jeszcze?

– Nie – odpowiedziała głucho i poszła nalewać herbatę do kominika, odgradzonego od izby kawałem materiału zawieszzonego na drutach.

Józio poszedł za nią za zasłonę i położył przyniesione ze sobą prowianty.

– Wziąłem dzisiaj od starego pieniądze za tydzień, może mama schowa.

Położył cztery ruble z kopiejkami; brał pięć tygodniowo.

– Nic sobie nie zostawiasz?



– Mamusiu, mnie nie potrzeba na nic. Żal mi tylko, że nie mogę jeszcze zarobić tyle, ile mamie potrzeba – mówił z prostotą; jego nieśmiałość gdzieś zniknęła zupełnie.

Pokrajał chleb na kawałki i chciał wrócić do izby

– Józiu, mój synu drogi, moje dziecko kochane – szepnęła matka łzawym głosem i lzy jak groch posypały się po jej wynędzniałych policzkach i spadały

na głowę syna, którą przyciskała do piersi.

Chłopak ucałował jej ręce i z rozweseloną twarzą powrócił do reszty rodzeństwa, które siedziało na ziemi, pod małym okratowanym okienkiem, wychodzącym na trotuar; było tego czworo, w wieku od lat dwóch do dziesięciu, bawiły się bardzo cicho, bo starszy od nich trzynastoletni chłopiec leżał na łóżku:

chory na suchoty; łóżko było nieco odsunięte od ściany z powodu wilgoci, jaka się zsaçała na pościel.

– Antoś? – pochylił się nad poduszką ku bladej, zielonawej twarzy, która z głębi kolorowej pościeli patrzyła szklistymi nieruchomymi oczami z jakimś tragicznym spokojem zamierania.

Chory nie odezwał się, poruszał tylko ustami i utkwiał w nim szare, błyszczące oczy, a potem dotknął się wychudłymi palcami jego twarzy z pieśczożliwością dziecinną i uśmiech bladej, podobny do uśmiechu kwiatów więdących, prześlizgnął mu się po sinawych ustach i ożywił martwe spojrzenia.

Józio usiadł przy nim, poprawiał mu poduszki, uczesał swoim grzebykiem rozrzucone, pozlepiane i miękkie jak jedwab jasne włosy i znowu zapytał:

– Antoś, dobrze ci dzisiaj?

– Dobrze – wyszeptał cicho i zaczął mrużyć oczy potakująco i uśmiechać się.

– Niedługo wyzdrowiejesz!

Trzasnął z zadowoleniem w palce. On swoim zdrowym, silnym organizmem nie odczuwał zupełnie grozy tej choroby brata.

Antoś bowiem umierał powoli na suchoty, jakie się Wywiązały z silnej grypi, a chorobie dopomagała nędza, jaka żarła całą rodzinę od lat dwóch, to jest od czasu sprowadzenia się na bruk łódzki ze wsi; dobijała go twarz matki, która codziennie była smutniejsza, dobijało go młodsze rodzeństwo, które było coraz cichsze, i te wieczne klekotania warsztatów, co prawie bez ustanku, dzień i noc, wstrząsały nad jego głowami sufitem, ta wilgoć, jaka ściekała po ścianach, te wrzaski są-

siadów i bijatyki, jakie się często zrywały w sąsiednich suterynach i na górze; a najwięcej ta świadomość, powiększająca się z dniem każdym, nędzy ich wszystkich.

Chłopiec był bardzo rozwiniętym, nieszczęścia, jakie ich spotkały, i ta choroba przewlekła rozwinęły go jeszcze więcej. A przy tym była to natura cicha i marząca.

– Józiu, jeszcze nie zielono na polach? – zapytał cicho.

– Nie, dopiero piętnasty marzec dzisiaj.

– Szkoda – i oczy mu pociemniały żalem.

– Za miesiąc będzie zielono i ty już będziesz zdrowy wtedy, to zbierzemy sobie kolegów i pójdziemy na majówkę.

– Wy pójdziecie tylko sami i mama pójdzie, i ojciec, i Zośka pójdzie, i Adaś pójdzie, wszyscy pójdą, wszyscy, a ja nie pójdę, nie – zaczął trząść głową.

– Jak wszyscy, to przecież i ty z nami.

– Nie, Józiu, bo mnie już nie będzie z wami – mówił wolno i zaczęły mu piersi wznosić się łzami, jakie chciał powstrzymać, ale nie mógł, bo się polały jak wielkie perły, a on patrzył poprzez te łzy w jakąś głąb przerażającą, usta zaczęły mu drgać i wielki strach śmierci tak nim zatrzęsł, że zerwał się jakby do ucieczki. – Józiu, ja nie chcę umierać, nie chcę, Józiu! – szeptał i jakiś straszny żal rozdzierał mu serce.

Józio go ogarnął rękami i zasłonił sobą, bojąc się, żeby matka tego nie spostrzegła, i zaczął go pocieszać.

– Nie umrzesz, doktor wczoraj mówił mamie, że najdalej w maju będziesz zdrowy zupełnie. Nie płacz, bo mama usłyszy – szepnął mu ciszej.

Antoś uspokoił się nieco, otarł szybko łzy i długo patrzył na zasłone, poza którą była matka,

– Jak wyzdrowieję, to pojedę do wuja Kazia na całe lato, prawda?

– Mama już o tym nawet pisała do wuja. – W czerwcu to akurat będą młode dzikie kaczkę już w knotach. Wiesz, mnie się wczoraj śniło, że jechałem czółnem po naszym stawie, a ty i pan Walicki strzelaliście do kaczek wodnych. Tak było ładnie na wodzie! Potem byłem tylko sam i słyszałem najwyraźniej, jak na łąkach klepali kosy. Chciałbym widzieć nasze łąki.

– Zobaczysz je jeszcze.

– Ale kiedy one już nie nasze. Wiesz, dlaczego ja z tego bułanka zleciałem, co to mnie ojciec tak wybił za to? Nie chciałem wtenczas mówić, bo Maciek byłby dostał po łbie, ale to on winien, tak popręgi

spiał luźno, że siodło się ze mną przekreśliło i dlatego musiałem zlecieć. A na tatusiowym ogierku to już bym się nie bał jeździć. Uważasz, założyłbym mu kantar ze ściągaczami, wziąłbym go krótko, żeby nie mógł się zedrzczyć do góry i nie stanął dębem i dopiero go lekko szpicrutą pod brzuch, poszedłby, co?

– O, poszedłby, ale go nie ściągniesz, on twardy w pysku.

– Ściągnę, Józiu! O, wziąłbym go tak – zaczął pokazywać rękami, jak to on weźmie za lejce; ściągnął brwi w tym wysiłku, cmokał ustami i pochylał głowę, jakby poddając się ruchowi konia.

Czerwone plamy zabarwiły mu policzki.

– Józiu, i my pojedziemy! – wołały dzieci skupiając się koło łóżka.

– Pojedziecie, ale powozem – odpowiadał serio.

– Powozem, w steli kaštany – szczebiotała dziewczynka przyciskając do kolan Józia jasną jak len główkę i niebieskimi oczkami, pełnymi radości, wodziła po braciach.

– Heta! wio! – wykrzykiwał gruby chłopak pchając przed sobą krzeselko i okładając je jakimś batem, zrobionym z troków fartucha matki.

– Pojedziesz, Hela, wszyscy pojedą: i Ignas, i Boles, i Kazio.

– Mama nas ubierze i pojedziemy do kościoła, prawda, Józiu?

– Józiu, a ja wiem, co to kościół! To ten dom, cośmy jechali do niego tak długo za młynem i tam grlają organy buuum... buuum... a ludzie noszą takie chustki z obrazkami na kijach i tak śpiewają: A! a! a! a! – zaczął śpiewać naśladując te słyszane kościelne śpiewy; wziął miotłę z kąta, powiesił na nią Antosiową, zaplamioną krwią chustkę i chodził dookoła stołu z wielką powagą.

– Zaczekaj, Bolciu, zrobimy kościół – wołała starsza dziewczynka i zaraz wszystkie pookrywały sobie głowy, czym kto miał, pobrały z komody książki.

– A ja będę księdzem – wykrzyknął najstarszy z nich, dziewięcioletni Ignas.

Okrył się fartuchem, włożył na nos okulary matki, rozłożył książkę i zaczął śpiewać cienkim głosikiem:

– In saecula saeculorum... um...

– Amen!... – odpowiadały dzieci chórem i śpiewały wciąż, obchodząc z wielką powagą stół dookoła,

Zatrzymywali się na każdym rogu, bo ksiądz przyklękał, zegnał ich; śpiewał kilka dźwięków i szli dalej wydobywając z duszy te dźwięki pieśni, jakimi na wsi karmili się od dzieciństwa.

Jaskólska patrzyła na nich w milczeniu. I Antoś nucił półgłosem, Józio spoglądał na matkę, która ukradkiem obcierała oczy, wsparła się na stoliku i utonęła na chwilę w tej niedawnej przeszłości, która tak bardzo żyła w ich sercach.

A Antoś kładł całą duszę w te przypomnienia. Przestał śpiewać, bo stracił poczucie rzeczywistości, przeniósł się duszą do tej wsi ukochanej, za którą umierał z tęsknoty jak roślina przesadzona na zły grunt.

– Dzieci, do herbaty! – zawołała po chwili matka. Antoś się obudził natychmiast i nie wiedział, gdzie jest, oglądał się prawie ze zdumieniem po izbie, po tych ścianach zielonych od wilgoci, na których gnily razem z całą rodziną portrety przodków w poczerniałych ramach, uratowane z rozbicia, po tej strasznej rzeczywistości, i łyzy zaświeciły mu w oczach, leżał niemy i patrzył martwo na szarorudawe krople wilgoci błyszczące na ścianie.

Józio wysunął stół na środek i wkrótce cała rodzina go obsiadła, dzieci rzuciły się chciwie na chleb i herbatę, tylko Józio nie jadł, spoglądał poważnym ojcowskim wzrokiem na te jasne głowy i na oczy, z niespokojnością śledząc znikanie chleba, i na matkę, która z twarzą męczennicy, pochylona, wynędziała, przesuwała się po izbie niby cień delikatny i obejmowała wszystkich mocnym spojrzeniem miłości bezgranicznej. Jej arystokratyczna twarz o rysach bardzo delikatnych i wytwornych, napiętnowana jakby stygmatem bólu zakrzepłego, najczęściej zwracała się do chorego.

Nikt nic nie mówił przy herbacie.

Nad głowami bezustannie trzaskały warsztaty tkackie i warczały głucho kołowrotki, od czego cały dom drżał ustawicznie, a chwilami wrzawa głucha przedzierała się z ulicy okienkiem i zalewała izbę albo odgłosy człapiących po błocie kroków lub chlapanie przejeżdżających wozów i szczęk uprząży.

Lampa, otoczona zieloną umbrelką, przyciemnione światło rozlewała na izbę i oświetlała tylko głowy dzieci.

Drzwi się gwałtownie otworzyły i wbiegła młoda dziewczyna, z hałasem otupując nogi z błota o próg.

Jaskólską ucałowała zamasyście, wyściskała się z dziećmi, które się do niej rzuciły z okrzykiem, podała rękę Józiovi i pochyliła się nad chorym.

– Dobry wieczór, Antoś, masz fiołki! – zawołała i odpiąwszy od wydatnego gorsu bukiet, rzuciła mu na piersi.

– Dziękuję. Dobrze, żeś przyszła, Zośka, dziękuję!

Chciwie wciągał w siebie delikatny zapach kwiatów.

– Prosto idziesz z domu?

– Nie, byłam u Szulcowej, grał na harmonii Felek, posłuchałam trochę i poleciałam do Mani, a od niej wstąpiłam do państwa po drodze.

– Mama zdrowa?

– Dziękuję pani, bardzo zdrowa, bo się wyklóciła tak z nami, że ojciec poszedł na piwo, a ja uciekłam na cały wieczór. Wiesz, Józiu, ten twój młody Baum to bardzo przystojny facet.

– Poznałaś go?

– Pokazywała mi go dzisiaj w południe jedna gręplarka.

– Bardzo dobry człowiek – odpowiedział gorąco i patrzył na Zośkę, która nie mogła usiedzieć na miejscu, wyręczyła Jaskólską w nalewaniu herbaty, pooglądała książki leżące na starej komodzie, podkręciła lampy, obejrzała szydełkową serwetę, jaką była nakryta maszyna do szycia, przyglądała dzieciom włosy i kręciła się po izbie jak fryga.

Smutne i ponure jak grób mieszkanie napełniła weselem młodości bujnej i zdrowia, jakie tryskało z jej śniadej, bardzo ładnej twarzyczki i czarnych bystrych oczów.

Miała w ruchach i w stanowczości, z jaką mówiła, wiele męskiego, był to wynik pracy w fabryce i przebywania stałego z mężczyznami.

– Nie powinna pani nosić tej chustki na głowie, to panią szpeci.

– Zabawna jesteś, Zosiu, z tą uwagą.

– Ale, o! – trzasnęła się w biodro, pociągnęła za nos bardzo zgrabny o maleńkich prześlicznie wykrojonych nozdrzach i zaczęła przepinać włosy przed małym zwierciadełkiem, wiszącym na ścianie.

– Ale ty jesteś coraz ładniejsza, moja Zosiu!

– Ba! Powiedział mi to samo wczoraj młody Kessler, ten, co jest u nas w przędzalni dyrektorem. Roześmiała się swobodnie.

– Ciebie to cieszy?

– Mnie to wszystko jedno. Wszystkie facety mi to mówią, ale ja się z tego śmieję – wydeła pogardliwie nwcno czerwone usta, ale znać było po jaśniejącej zadowoleniem twarzy, że te uznania ją radują.

Gadała bezustannie, opowiadając różne szczegóły o robotnicach z ich fabryki, o majstrach, o dyrektorach; pomagała później Jaskólskiej porozbierać do snu dzieci, które się mocno temu opierały, bo wszystkie przepadały za nią, tak je umiała zająć i zabawić.

– Wie pani, sprzedawałam i te kapy szydełkowe, i dwa kaftaniki. Pieńiądze będą w sobotę, po wypłacie.

– Bóg ci zapłać, Zosiu!

– Co tam! Niech pani takich kaftanów zrobi więcej, tylko trochę ozdobniej szych, to już ja je wtrynię naszym.

– Któż kupił kapy?

– Młody Kessler. Zobaczył, że w podwieczorek pokazywałam w kantorze, zabrał je do domu i powiedział, że matka kupiła; nawet się nie targował, to feiny facet! Antoś, a pamiętasz, jakżeśmy w przeszłym roku tańcowali na Mani?

– Pamiętam – odpowiedział żywo.

– W tym roku ma fabryka wyprawić wszystkim majówkę, pojedziemy do Rudy. Ja tam, żeby nawet mama na głowie stawała, to muszę z ojcem pojechać. Józiu, graliście w niedzielę?

– Graliśmy, ale Adasia nie było, w domu był?

– Co tam Adaś, on już nie był w domu z miesiąc, podobno ciągle przesiaduje u tych pań na Spacerowej, a to podobno są jakieś lafiryndy.

– Nie mów tak, Zosiu, ja znam dobrze panią Łacińską i panią Stecką, to bardzo porządne kobiety, straciły jak i my majątek, a teraz ciężko pracują, jak wszyscy.

– Ja tam nie wiem, mama mówiła, ale mama tak łże czasami, aż się kurzy, a na te panie wciąż wygaduje, może dlatego, że Adam tam wciąż przesiaduje.

Adam był to Malinowski, ten popielaty blondyn z zielonymi oczami, a Zośki brat rodzony.

– Ojciec chodzi na nocną robotę?

– A jakże, dyma od dziesiątej do szóstej rano.

– Wie mama – przerwał milczenie Józio. – Spotkałem dzisiaj w południe na Piotrkowskiej Stacha Wilczka, tego co mi dawał korepetycje w szóstej klasie, syna organisty z Kurowa. Pamięta go mama? Był u nas raz na wakacjach.

– Cóż on w Łodzi robi?

– Nie wiem, mówił, że robi wszystko, służy w ekspedycji kolejowej, ale prowadzi przy tym różne przedsiębiorstwa: trzyma konie, którymi wozi węgle ze stacji do fabryk, ma skład drzewa na Mikołajewskiej i podobno otwiera w Warszawie sklep z resztkami z fabryk zgierskich. Namawiał mnie, żebym przyjął miejsce w jego składzie.

– Cóż mu powiedział?

– Odmówiłem stanowczo, bo chociaż płaciłby więcej, ale kto wie, jak on długo może potrwać.

– Dobrześ zrobił, a przy tym być w zależności od jakiegoś organiściaka. Pamiętam go dobrze jeszcze z tych czasów, kiedy do nas przynosił opłatki na Boże Narodzenie.

– Przystojny facet? – zapytała Zosia.

– O, przystojny i tak się elegancko ubiera, jakby był co najmniej właścicielem fabryki.

– Kłaniał się mamie i powiedział, że przyjdzie nas odwiedzić.

– Mój Józiu, niechaj nie przychodzi lepiej, po co ma widzieć, jak i gdzie mieszkamy, nie, nie, nie, sprawiłaby mi przykrość wielką ta wizyta. Niech mu tam Pan Bóg dopomaga w interesach, ale po co ma znać nasze położenie.

– Ale bo, widzi pani, taki to może się czasem przydać.

– Moja Zosiu, już my od takich nie będziemy żądać pomocy – prze-rwała jej dosyć cierpko, bo cała jej duma się oburzyła, aby brać cośkolwiek od jakiegoś chłopaka, któremu w lepszych czasach sama pomagała dostać się do gimnazjum, od syna jakiegoś organisty, którego się przyjmowało w przedpokoju i obdarowywało różnymi produktami.

Ta możliwość wydała się potworna dla jej dumy rodowej.

– Ojciec idzie z doktorem – szepnął Antoś usłyszawszy głosy w korytarzu.

Wszedł istotnie Jaskólski, poprzedzany przez Wysockiego, o którym mówiono, że ma klientelę najliczniejszą w Łodzi, ale za to jest na utrzymaniu u własnej matki, bo leczył tylko samą nędzę.

Pozdrowił wszystkich przyjaźnie, zatrzymując dłużej oczy na Zośce, która wysunęła się naprzód, aby być lepiej widzianą, a potem wziął się do egzaminowania chorego.

Zośka pomagała mu tak gorliwie unosić Antosia, tak się wciąż kręciła koło łóżka, że zniecierpliwiony powiedział;

– Proszę nas samych zostawić.

Zirytowana poszła za zasłonę, gdzie Jaskólski siedział na pace od węgla i prawie z płaczem usprawiedliwiał się przed żoną.

– Jak honor kocham, pijany nie jestem. Spotkałem się ze Stawskim, pamiętasz go? Przyjechał do Łodzi, sierota, bo i jego tak samo jak nas Szwabcy wyłuskały z majątku. Poszliśmy do Polskiego Hotelu, spłakaliśmy się nad naszą dolą, wypiliśmy po kieliszku i masz całą bibę naszą, a później nastęrczyłem jednemu Żydowi konie do kupna i znowuśmy pili litkup, i więcej już nic. Byłem u Szwarca, miejsce już zajęte, ale podobno otwiera się jakieś miejsce w magazynach kolejowych, jutro pójde do dyrektora, może mi się uda dostać.

– Jak zawsze ci się udaje – szepnęła cicho i z goryczą i patrzyła z niepokojem na Antosia i doktora.

Jaskólski utkwiał zaczerwienione oczy w lampce i milczał. W jego obrzękłej twarzy o sumiastych wąsach jasnych tkwiła rozpaczliwa bezradność i jakieś tragiczne prawie niedołęstwo.

Był istotnie typem niedołęgi.

Przez niedołęstwo stracił swój i żony majątek, przez niedołęstwo nie mógł od dwóch lat znaleźć miejsca, bo jeśli dostał jakie ze staraniem przyjaciół, tracił również przez niedołęstwo.

Miał wielką rozmiękczoną czułość, słabą nadzwyczaj głowę, wytrwałości ani za grosz, płakał z najmniejszego powodu, żył nadzieją spadków i zmiany na lepsze, a tymczasem szukał miejsca, stręczył konie i rozpijał się powoli, także z niedołęstwa, nie mając siły oprzeć się sposobnościom, i pozwalał rodzinie ginąć z nędzy, bo sam nie potrafił temu zaradzić, a zresztą nic nie umiał i do niczego nie był zdolnym.

Ona, Jaskólska, zaczęła szyć kaftaniki, fartuchy, czepki i chodziła w niedzielę sprzedawać na Stare Miasto; zaczęła przyjmować pranie od robotników, mieszkających w tym domu, ale zbrakło jej sił; zaczęła stołować tychże robotników, ale i to nie wystarczało; więc choć wiedząc, że nic nie umie, zaczęła dawać lekcje dziewczynom różnych majstrów i oficjalistów fabrycznych, lekcje języków polskiego i francuskiego i gry na fortepianie.

Te wszystkie sposoby zarobkowania, ta praca wytężona, po osiemnaście godzin dziennie, dawała jej razem rubli dziesięć miesięcznie.

Broniła jednak wszystkich od głodowej śmierci i obroniła.

Zaczął się ich położenie poprawiać od pewnego czasu, gdy Józio zarabiać począł po dwadzieścia rubli miesięcznie i oddawał matce co do grosza.

– Cóż panie doktorze? – zapytała podchodząc do niego, gdy skończył konsultację.

– Bez zmiany. Lekarstwa dawać te same, a do mleka można dolewać koniaku.

Wyjął z palta butelkę i pudełko z proszkami.

– Więc jakże? – zapytała tak cicho, że raczej się domyślił, niż usłyszał.

– Nic nie wiadomo. Tylko potrzeba go wysłać na wieś, jak tylko zrobi się ciepło. Myślałem o koloniach letnich, ale to nie dla niego. W każdym razie dwoje starszych, mogę się postarać, aby wysłano z innymi, kilka tygodni na wsi zrobi im doskonale.



- Dziękuję panu – szeptała.
- No, zuchu, pojedziemy w lecie na trawę, co?
- Dobrze, panie doktorze.
- A lubisz czytać?
- Bardzo, tylko że już wszystkie książki, nawet stare kalendarze przeczytałem.
- Przyślę ci jutro nowe książki, ale co przeczytasz, musisz mi opowiedzieć.
- Antoś ścisnął mu mocno rękę nie mogąc słowa przemówić z radości.
- No, bądź zdrow, za parę dni znowu zajrzę do ciebie.
- Pogłaskał go dobrotliwie po spoconym i zimnym czole i zaczął kłaść palto.
- Panie doktorze – szepnął nieśmiało. – One tak pachną, te fiołki. Mój złoty doktorze, niech je pan weźmie. Pan taki dobry dla mnie jak mama, jak Józio, niech pan weźmie, mnie dała Zośka, niech pan weźmie – prosił cichutko i tak serdecznie, że Wysocki z uśmiechem rozrzewnienia fiołki przypiął do klapy palta.
- Kiedy się żegnał, Jaskólska chciała mu wsunąć W rękę rubla.
- Odkoczył jak oparzony.
- Bez głupstw, proszę pani – wykrzyknął zirytowany.
- Ależ nie mogę wymagać, aby doktor poświęcał tyle czasu i trudów... nie.
- Zresztą, już mi mały zapłacił. Dobranoc pani. Zniknął w korytarzu z Jaskólskim, który go odprowadzał przez zaułki do Piotrkowskiej.
- Głupie fanaberie szlacheckie – mruzczał Wysocki biegnąc tak szybko, że Jaskólski nie mógł nadążyć.
- Nie ma doktor nic dla mnie? – zapytał nieśmiało, równając się z nim wreszcie.
- Miejsca są, tylko tam potrzeba robić.
- Więc ja pracować nie chcę?
- Może pan i chcesz, tylko to nie wystarcza w Łodzi, tu trzeba umieć pracować. Dlaczegoż pan nie siedział u Weisblata? miejsce było niezłe.
- Słowo honoru, nie winienem nic. Dyrektor mnie prześladował tak, że nie mogłem wytrzymać, obrażano mnie ciągle...
- Tych, co obrażają, bije się po zębach, a przede wszystkim nie daje się powodów ani do żartów, ani do obraz. Musiałem się wstydić za pana.

– Dlaczego, przecież pracowałem uczciwie.  
 – Wiem, ale musiałem wstydzić się pańskiego niedołęstwa.  
 – Tak robiłem, jak umiałem i mogłem – szepnął ze łzami w głosie.  
 – Nie płacz no pan, u diabła, nie facjenduje mi pan ślepego konia, więc wierzę na zwykłe słowo.

– Słowo honoru daję, ale pan mnie obraża...  
 – Więc wracaj pan z Bogiem do domu, sam trafię na Piotrkowską.  
 – Żegnam – rzucił krótko Jaskólski i zawrócił do powrotu.

Wysockiemu wstyd było własnej brutalności względem tego niedołęgi, ale bo go tak irytował, że nie mógł się powstrzymać.

– Panie Jaskólski – zawołał za odchodzącym.  
 – Słucham pana.  
 – Może panu potrzeba pieniędzy, kilka rubli mogę pożyczyć.  
 – A nie, słowo honoru daję, że dziękuję – bronił się słabo i już zmiękł, i zapomniał o obrazie.

– Weź pan, oddasz mi pan razem, jak ten spadek po ciotce odbierzesz.

Wsadził mu w rękę trzy ruble i poszedł. Jaskólski ze łzami oglądał pieniądze pod latarnią, wzdychał i powlókł się do domu.

Wysocki przedostał się na Piotrkowską i szedł wolno w górę, pełen głębokiego znękania tą nędzą, jaką codziennie widywał.

Wlókł zmęczonym, smutnym wzrokiem po mieście przycichłym, po fabrykach, które majaczyły w głębi dziedzińców jak czarne, śpiące potwory, po nielicznych oświetlonych oknach, jakie patrzyły w czarną wilgotną noc. Czuł się dziwnie zdenerwowanym i niespokojnym, miał duszę pełną lęku niewytłumaczonego i tych niepokojów dziwnych, które bez przyczyn zewnętrznych przylatują, obsiadają duszę i tak ją straszają, że wtedy człowiek zdenerwowany patrzy z obawą na domy, czy się nie walą na niego, czeka i spodziewa się jakich strasznych wieści, myśli o wszystkich nieszczęściach, jakie ludzi spotykają.

Wysocki był w podobnym nastroju.

Nie chciało mu się iść do domu, nie chciało mu się nawet wstąpić na gazety do cukierni, obok której przechodził, obojętnym mu było w tej chwili wszystko, bo zaczęła mu się w duszę wżerać coraz silniej zmora niepokoju.

– Głupie życie prowadzę – myślał. – Zupełnie głupie!

Przed teatrem spotkał się oko w oko z Melą, szła z Różą z przedstawienia, powóz jechał za nimi.

Przywitał się dosyć obojętnie i chciał zegnać zarazem.

– Nie odprowadzisz nas?

– Nie chciałem wam przeszkadzać.

– Chodź na herbatę, w domu musi już czekać Bernard.

Poszedł w milczeniu, nie odzywał się, bo nie chciało mu się mówić nawet.

– Co tobie, Wysocki?

– Nic, prócz zwykłego zdenerwowania i jakiejś ostrej apatii.

– Spotkało cię co złego?

– Nie, ale oczekuję na złą wieść, a nigdy mnie jeszcze przecucie nie zawiodło.

– Mnie tak samo, ale wstydziłam się przyznawać – szepnęła Mela.

– A przy tym byłem u nędzarzy dzisiaj, nałykałem się tyle widoków niedoli ludzkiej, że się upiłem. Wstrząsnął się nerwowo.

– Jesteś chory na litość, jak mówi o tobie Bernard.

– Bernard – zawołał mocniej – on ma stałe delirium tremens opluwania wszystkiego, on jest jak ślepy, który chce wmawiać we wszystkich, że nic nie ma, ponieważ sam nie widzi.

– Co to za nędzarze? może by im pomóc? – zapytała Mela.

Opowiedział im położenie Jaskólskich i kilku innych rodzin robotniczych.

Słuchała ze współczuciem, notując w pamięci adresy.

– Dlaczego ludzie muszą się tak męczyć? za co? – szepnęła.

– Teraz ja się spytam, co tobie, Mela? Masz łzy w głosie?

– Nie pytaj, nie chciej wiedzieć nawet.

Pochyliła głowę na piersi.

Nie pytał się, popatrzył się na jej twarz i zapadł znowu w zadumę.

Patrzył w puste, umilkłe ulice, upunktowane szeregami latarni, na szeregi domów podobnych do skamieniałych głów potworów, leżących obok siebie, które zdawały się drgać szybami okien w świetle żółtawym ulicy, jakby przez ciężki i niespokojny sen.

– Co jej jest? – myślał ogarniając rozpalonym spojrzeniem jej głowę i czuł, że ten jej smutek zaczyna go boleć i nękać.

– Nie bardzo musiałyście się bawić w teatrze?

– Przeciwnie! Ale straszna jest potęga miłości! – mówiła Róża, jakby wypowiadając dalszy ciąg myśli. – Jak ta Safo cierpiała! Wszystkie jej krzyki, błagania, wszystkie jej bóleści pamiętam, mam je w sobie jeszcze. Przeraziła mnie taka miłość, nie rozumiem jej, wątpię nawet, czy można tak bardzo czuć, tak zupełnie oddać się miłości, tak przepaść w niej.

- Można... można... – szepnęła cicho Mela podnosząc oczy.
- Przejdź na moją stronę, Wysocki! Daj mi rękę. I gdy to zrobił, wzięła jego chudą rękę i przyłożyła do czoła i twarzy rozpalonej.
- Czujesz, jak jestem zgorączkowana?
- Strasznie. Po cóż chodzić na takie denerwujące sztuki?
- Więc cóż ja w końcu robić będę! – wykrzyknęła boleśnie i rozszerzonymi oczami zawisła na jego twarzy. – Ty mi nie dasz rady żadnej na nudę, a mnie się już znudziły wszystkie fiksy, nudzą mnie przejażdżki po mieście, nudzą mnie wyjazdy za granicę, bo nie cierpię hotelowego życia, a teatr jeszcze mnie zajmuje czasem, bo zatarga nerwami, zdenerwuje, a lubię, gdy mną coś zatarga do głębi.
- Co jest Meli? – przerwał, nie słysząc, co mówiła.
- Zaraz się dowiesz.
- Nie, nie, nie – zaprzeczyła Mela, dosłyszawszy zapytanie i odpowiedź.

Weszli do oświetlonego przedpokoju pałacu Mendelsohna.

– Pan Endelman jest? – rzuciła Róża zapytanie lokajowi, razem z kapeluszem i długą peleryną.

– W myśliwskim pokoju i prosi, żeby tam jaśnie państwo przyszli.

– Chodźmy do myśliwskiego, tam będzie cieplej niż w moim buduarze, cieplej niż tutaj – mówiła prowadząc ich przez szereg pokoi, słabo rozświetlanych przez kandelabr sześcioramienny, jakim oświetlał drogę lokaj.

Pokój był Stanisława Mendelsohna, młodszego syna Szai, a nazwa jego pochodziła od dywanu ze skór tygrysich i takichże portier u drzwi i od mebli z rogów bawolich, obitych skórą o długim, popielatym włosiu; masy broni wisały na ścianie dookoła olbrzymiego łba łosia z potężnymi łopatkowatymi rogami.

– Czekam całą godzinę – odezwał się Bernard nie wstając nawet na powitanie; siedział pod łosiem i pił herbatę.

– Dlaczego nie przyszedłeś po nas do teatru?

– Bo nigdy nie chodzę na szopki teatralne, przecież o tym wiesz, to dobre dla was! Skrzywił się pogardliwie.

– Pozer! – szepnęła Róża lekceważąco.

Skupili się przy stoliku, ale nikt nie miał ochoty mówić.

Lokaj porozstawiał herbatę.

Cisza ciężka i nudna rozlała się po gabinecie, trzeszczały tylko zapalki, bo Bernard co chwila zapalał papierosa, lub dochodził głuchy stuk bil bilardowych uderzających o siebie.

- Kto gra?
- Stanisław z Kesslerem.
- Widziałeś się z nimi?
- Znudzili mnie prędko, a jeszcze prędzej ograli. Może nareszcie zaczniecie mówić! Nikt jednak nie zaczynał. Melę nurtowały jakieś przykre myśli, patrzyła smutnie na Różę i obcierała co chwila załamane oczy.
- Mela, jesteś brzydka dzisiaj! Kobiety płaksive są podobne do zmoczonych parasoli, zamknąć je czy rozpiąć – zawsze kapią. Nie cierpię łez babskich, bo są albo fałszywe, albo głupie. Tumania lub płyną z powodów najbłahszych.
- Daj spokój, Bernard, bo dzisiaj nawet twoje porównania przechodzą bez żadnego wrażenia.
- Niechaj mówi, to jego specjalność.
- No, i ty, Róża, nie wyglądasz świetnie. Masz taką minę, jakby cię kto w przedpokoju mocno wyściskał i wycałował, jakby ten słodki akt przerwano gwałtownie w najlepszym miejscu...
- Wcale nie jesteś wytworny dzisiaj.
- Nie idzie mi o to zupełnie.
- Więc po cóż mówisz głupstwa!
- Po to mówię, że usypiecie wszyscy, że ty, Wysocki, wyglądasz jak łojówka, która kopci na szabasowym stole i okapuje smętkiem na uroczu Sulamity.
- Nie czuję się tak dobrze na świecie jak ty.
- Masz rację, mnie jest bardzo dobrze – zaczął się śmiać nerwowo i zapalał papierosa równocześnie.
- Znowu poza! – zawołała, bo ją niecierpliwił.
- Róża! – wykrzyknął podrywając się, jakby podcięty biczem. – Albo przyjmuj wszystko, co mówię, albo mnie więcej nie zobaczysz u siebie.
- Irytujesz się, a ja nie chciałam cię obrażać.
- Irytują mnie twoje definicje. Nazywasz mnie pozerem, a nie znasz mnie zupełnie. Co możesz o mnie wiedzieć, o moim życiu; cóż mogą wiedzieć panny, które jeszcze nie wyszły z zakresu gałganów i nudy panińskiej – o mężczyźnie! nic, absolutnie nic prócz tego: jak ubrany, jakie ma włosy i oczy, w kim się kocha, czy dobrze tańczy itp. Znasz moją zewnętrzną garderobę, a chcesz definiować mnie całego. Wołasz na mnie: „Pozer!” Dlaczego? Że rzucam czasem paradoks o marności życia, pracy i pieniędzy. Gdyby to mówił Wysocki, uwierzy-

łabyś, bo on nic nie ma i musi ciężko pracować; ja zaś pozuję, gdy na to wszystko pluje, bo jakże by panna mogła zrozumieć, że mówię to na serio, ja, człowiek bogaty, akcjonariusz fabryki „Kessler et Endelman”! Zupełnie tak samo na Mullera mówisz „Błazen!” bo widzisz go tylko, jak u ciebie wywraca koziółki, opowiada kawały i przygody miłosne, jest zabawnym, ale poza tym Mullerem błaznującym jest jeszcze inny Muller, Muller, który myśli, uczy się, spostrzega, rozumuje – juści ani on, ani ja nie przychodzimy do ciebie z naszymi rozumowaniami, z naszym wewnętrznym ja, nie mówimy ci, co nas gnębi, gryzie lub zachwyca, bo ty tego nie potrzebujesz; nudzisz się i potrzebujesz się nami bawić, więc istotnie stajemy się błaznami dla was, bo się nam podoba być czas jakiś błaznami i koziółkować w różny sposób przed znudzonymi gąskami łódzkimi! Oglądacie nas jak towar na kontuarze, taksujecie podług tego, o ile wam będzie w nim do twarzy. A zresztą, mówić do kobiet rozumnie to łać wodę w sito.

– Może jesteśmy głupie, ale ty jesteś zarozumiały.

– A jeśli nie spostrzegamy tego, o co mnie obwiniasz, to twoja wina, to wasza wina, że nas traktujecie Jak dzieci – zaczęła Mela.

– Bo jesteście i zostanieie dziećmi – rzucił ostro i powstał.

– Więc czemu masz pretensje, że nie postępują jak dorośli!

– Jeżeli się gniewacie na mnie, to wychodzę, dobranoc! – Szedł ku drzwiom.

– Zostań, Bernard, proszę cię – zawołała Róża zagradzając mu sobą wyjście.

Pozostał, ale poszedł do jednego z pokojów i siadł przy fortepianie.

Róża chodziła po pokoju wzburzona jego słowami. Wysocki milczał, słowa Bernarda obijały mu się jak brzęczenie, którego nie starał się rozeznąć, patrzył na Melę, która położyła głowę na stole i zapatrzyła się tępo przed siebie.

– Usiądź przy mnie – szepnęła czując jego gorące spojrzenie.

– Co ci jest? – zapytał, pochylony nad jej twarzą.

Głos przytłumiony zadrgał takim miękkim akcentem, że zapalił w jej duszy jakąś dziwnie słodką radość i oblał jej twarz i dłonie płomieniem.

Nie odezwała się jednak, bo zabrakło jej głosu, a po tym chwilowym, rozkosznym wzruszeniu taka wielka żałość nią zatrzęsała, że łyzy błyskały w jej szarych oczach, położyła twarz na jego dłoni, trzymanej na stole, i łyzy długo powstrzymywane posypały się jak grube ziarna i spływały na jego rękę rozpalonym potokiem.

Tak go te łyzy rozrzewniły, że zaczął bezwiednym prawie ruchem gładzić jej włosy puszyste i szeptał cichym, przejętym tkliwością i wzruszonym głosem jakiegoś słowa prawie bez związku.

Podsuwała głowę coraz bliżej, bo każde dotknięcie jego ręki elektryzowało i przesycalo dziwną, nieopowiedzianą słodką rozkoszą. Miała szaloną ochotę położyć głowę na jego piersiach, zarzucić mu ręce na szyję, przycisnąć się do niego i powiedzieć wszystko, wszystko, co ją dręczyło.

Jej pełna tkliwości dusza łaknęła takiej pieśczozy, jak łaknęła miłości, z którą się bała zdradzać przed nim w tej chwili, powstrzymana jedynie jakimś odruchem kobiecej wstydlivej bierności. Płakała tak cicho, że tylko płynące łyzy i drzenie nerwowe bladych ust mówiło o jej stanie.

Patrzyła na niego przez te łyzy, które mu rozmiękczały duszę, a takim dziwnym przejmowały go wzruszeniem, że bał się ulec pokusie ucałowania jej ust rozpalonych płaczem. Nie kochał jej bowiem, to, co czuł, nawet w tej chwili, było tylko wielkim współczuciem dla cierpienia. Nie spostrzegł nawet jej miłości do siebie, widział przyjaźń, bo pragnął przyjaźni.

Bernard grał z coraz większą pasją, tłukł fortepian, rozbite, hałaśliwe dźwięki jakiegoś szalonego scherza huczały w pustych pokojach i drgały szalonym, drwiącym śmiechem, który zdawał się tarzać po dywanach.

Róża chodziła po amfiladzie pokojów nie zwracając na nic uwagi, co chwila wynurzała się z cieniów, przechodziła myśliwski pokój i ginęła w dalszych, powracając wkrótce tym swoim ciężkim, kołyszącym ruchem bioder.

Udawała zamyślenie, a w istocie chciała dać czas do porozumienia się Meli z Wysockim i niecierpliwiło ją to, że siedzieli przy sobie nieruchomie i w milczeniu. Chciała zobaczyć, jak będą sobie padać w ramiona z bełkotem miłości na ustach, jak się będą zjadać pocałunkami; tak sobie wszystko dobrze naprzód wyobrażała i tak chciwie pragnęła widzieć podobną scenę, że co chwila odwracała się spacerując, aby ich złapać na tym całowaniu.

– Niedołęga! – myślała ze złością i przystanąwszy przed drzwiami, z ciemności przypatrywała się jego głowie i twarzy.

– Ostryga! – mruknęła niechętnie i zwróciła się do Bernarda, który skończył grać.

– Pierwsza! Dobranoc, Róża, idę do domu.

– Idziemy razem – zawołała Mela. – Jeśli chcesz, to cię podwiozę, moje konie czekają przed bramą.

Zwróciła się do Wysockiego, który jak senny zapinał wciąż rozpinające się guziki surduta.

– Mela, nie zapomnij, że w sobotę urodziny Endelmanowej – zaczęła Róża na pożegnanie.

– Bratowa mnie dzisiaj prosiła, aby wam przypomnieć, że jesteście z upragnieniem oczekiwane.

– Wczoraj dostałam zaproszenie, ale czy będę – nie wiem!

– Przyjdźcie koniecznie, zobaczycie masę osobliwości, będziemy wspólnie kpić z bratowej. Szykuje się niespodzianka dla łaskawych gości: koncert, nowy obraz i ta tajemnicza Trawińska.

– Będziemy, warto ją obejrzyć. Wysocki sprowadził Melę do powozu.

– Nie wsiądziesz? – zapytała zdumiona, bo podawał rękę na pożegnanie.

– Nie, daruje mi pani... Potrzebuję się przejść...

Jestem tak zdenerwowany – tłumaczył się dosyć niewprawnie.

– A... to dobranoc panu! – powiedziała z naciskiem, dotknięta jego odmową, ale nie zważając na to, pocałował ją w rękę. Żałowała bardzo swej ostrości i jeszcze z powozu odwróciła się do niego.

– Pójdźmy gdzie do knajpy – rzekł Bernard.

– Nie, dziękuję, nie jestem dzisiaj usposobiony.

– Pójdziemy do Chatenau.

– Muszę zaraz iść do domu, matka na mnie czeka.

– Nie podoba mi się takie gadanie, ty cały jesteś dziwny od pewnego czasu, wyglądasz, jakbyś połknął bakcyła miłości.

– Nie, daję ci słowo honoru, że się nie kocham.

– Kochasz się, tylko nie zdajesz sobie jeszcze z tego sprawy.

– To wiesz więcej niż ja sam, a w kimże, jeśliś łaskaw?

– W Meli.

Wysocki zaczął się śmiać dosyć nieszczercze.

– Spudłowałaś rzetelnie.

– Nie, ja się w tych sprawach nie myślę nigdy.

– Przypuśćmy, ale po co mi to mówisz? – zagadnął dosyć niechętnie.

– Bo mi cię żal, że się kochasz w Żydówce.

– Dlaczego? – zapytał.



– Bo Żydówki są dobre do flirtu, Polki do kochania, a Niemki do zakładania obory zarodowej. Ale Żydówka na żonę dla ciebie – nigdy, lepiej się utop.

– A może ja ci przeszkadzam? Bądźmy szczerzy ze sobą – zawołał porywczo Wysocki przystając.

– Nie, słowo honoru, że nie. Co za myśl? – roześmiał się sucho. – Ostrzegłem cię tylko z przyjaźni, bo pomiędzy wami są za wielkie różnice rasowe, aby je mogła wyrównać nawet najszaleńsza miłość. Nie psuj sobie rasy, nie żeń się z Żydówką i bądź zdrow.

Wsiadł w dorożkę i pojechał do domu, a Wysocki szedł znowu jak przed dwoma godzinami Piotrkowską, ale szedł szybko i w zupełnie innym usposobieniu.

Słowa Bernarda dały mu wiele do myślenia, zaczął się sam egzaminować z uczuć, jakie w nim budziła Mela.

## XI

Mela zamknęła się w swoim pokoju i rozmyślała nad sobą.

Leżała z otwartymi oczami i wsłuchiwała się w ciszę nocy i w te głosy, jakie się w niej odzywać zaczynały, głosy stanowczego protestu przeciw zamiarom ojca, bo wczoraj rano przedstawił jej dosyć stanowczo propozycję małżeńską, zwykłą handlową ofertę od wielkiej sosnowickiej firmy Wolfisz et Landau, która miała syna i pragnęła go ożenić z córką firmy Grunspan et Landsberger.

Afera dla stron obu przedstawiała się korzystnie. Młody Leopold Landau zgadzał się, jemu było wszystko jedno, z kim się ożeni, byle żona miała posag w gotówce i w pożądanej wysokości, pieniądze były mu potrzebne do założenia interesu na własną rękę, a że Mela miała taki posag i że mu się do tego bardzo podobała z fotografii, jaką mu w tajemnicy dostarczyli swatowie, to gotów był się ożenić.

Czy go kochała, czy była mądra, czy głupia, zdrowa lub chora, dobra lub złoźnica – to mu było ganz fiksatuar! – jak powiedział pośrednikom.

Wczoraj przyjechał do Łodzi, żeby się przyjrzeć tej swojej przyszłej.

Papa podobał mu się bardzo, Mela go olśniła, a fabryka zrobiła na nim wrażenie świetnego interesu, ale z tym ostatnim się nie wygadywał przed starym, ale przeciwnie, oglądając, robił bardzo obojętną twarz i dosyć pogardliwie przyglądał się gotowym już chustkom.

– Łódzkie! – szeptał przymrużając oczy.

– Nie bądź pan głupi, to kurantny interes! – powiedział porywczo Grunspan.

Leopold się nie obrażał o zbytnią szczerość, w interesie nie ma gniewu, klepał papę po łopacie i w największej zgodzie powrócili na obiad.

Mela przemęczyła się przy stole i z nienawiścią w sercu słuchała sosnowickich komplementów Landaua i zaraz, jak tylko mogła, uciekła do Róży.

– Pół dnia zyskałam, a co jutro, co później? – myślała teraz, leżąc w ciemności i patrząc na sturę, przez którą księżyc siał na pokój zielonawe światło, jakie drżącym pyłem lśniło na jasnym dywanie i na

ciemnym, majolikowym piecu. – Nie zmuszą mnie przecież, nie – dodawała mocniej i ze wstrętem myślała o Leopoldzie, o jego wiewiórczej twarzy; przejmował ją wprost fizycznym obrzydzeniem jego głos chrapliwy i wywinięte, zaślinione murzyńskie usta.

Przymykała oczy ukrywając głowę w poduszkach, aby się pozbyć tego przypomnienia. Wzdrygała się nerwowo, jakby pod obrzydliwym dotknięciem jego rąk zimnych i spoconych, które czuła jeszcze; wytarła odruchowo ręce o kołdrę i przyglądała im się długo pod ten księżycowy brzask jakby z obawą, czy te dotknięcia nie pozostawiły plugawego śladu.

Czuła, że kocha Wysockiego całą mocą duszy, że w nim kocha cały ten świat, w jakim się wychowywała w Warszawie, świat tak zupełnie odmienny od otaczającego.

Wiedziała, że nie pójdzie za Leopolda, że potrafi się oprzeć wszelkim naleganiom ojca i rodziny, i na tym postanowieniu wyczerpywała się cała jej energia, a później już myślała tylko o Wysockim, nic pytała się nawet, czy on ją kocha, za bardzo go sama kochała, żeby to spostrzec lub przekonać się o jego obojętności.

Nie powiedziała mu dzisiaj o swoich cierpieniach, bo był taki zdenerwowany i smutny, a zresztą czuła się dziwnie onieśmiałoną wobec niego, jak dziecko, które obawia się skarżyć przed starszymi. Dotknęło ją boleśnie, że nie chciał z nią jechać, ale ten jego mocny uścisk i pocałowanie ręki przejmowały ją rozkosznym dreszczem.

Leżała długie godziny nieruchomo i rozpamiętywała cały okres ich znajomości i wieczór dzisiejszy; wyprężała się i wciskała silniej głowę w poduszkę, bo przypomnienie dotknięcia jego rąk. to pogłaskanie po włosach przejmowały ją denerwującym, słodkim dreszczem.

A później, gdy już szary świt rozbielał coraz silniej wnętrze pokoju, wydobywając na jawę dnia kontury mebli i sprzętów, myślała o znajomych doktorach, o ich powodzeniu.

Miała dwie koleżanki, które wyszły za doktorów i prowadziły dom otwarty wcale nie na niższą stopę niż niektóre z żon fabrykantów. To ją uspokoiło zupełnie i przepelniona myślami, jak by to ona prowadziła taki dom, w którym zbierałaby się cała inteligencja łódzka – zasnęła.

Obudziła się dość późno i z wielkim bólem głowy.

Rodzina cała była zebrana przy drugim śniadaniu, gdy weszła do jadalnego.

Nakarmiła najpierw babkę i nie zwracając uwagi na podniesiony głos Zygmunta, który coś wykrzykiwał, siadła do stołu.

Grunspan, jak zwykle, chodził po pokoju ze spodkiem pełnym herbaty, który podnosił do ust obu rękami; był wystrojony w aksamitny wiśniowy szlafrok, haftowany złotem na kołnierzu i rękawach, wyszywana również aksamitna czapeczka tkwiła mu na czubku głowy, twarz miał bardzo rozjaśnioną, herbatę chlipał głośno i w przerwach prędko odpowiadał Zygmunтови, który się śpieszył z jedzeniem, bo odjeżdżał do Warszawy.

Stara ciotka, prowadząca gospodarstwo domowe, pakowała mu walizkę.

– Zygmunt, ja ci kładę czystą bieliznę, ty potrzebujesz czystą bieliznę?

– Dobrze. Mówię ojcu – rzekł Zygmunt – że nie ma co czekać, niech Grosman zaraz wyjedzie, on jest chory naprawdę. Ojciec się z Reginą zajmie interesami.

– Co jest Albertowi? – zapytała Mela, która od pożaru fabryki straciła doń dawną życzliwość.

– Ma feler w sercu, on się bardzo zmartwił tym ogniem.

– To był duży fajer, ja się sam bałem – wyciągnął spodek, aby Mela nałapała mu herbaty, i dopiero zobaczył jej podkrążone oczy i szarą, jakby obrzękłą twarz.

– Coś taka blada dzisiaj, możesz chora? Nasz doktor zaraz będzie w domu rodzinnym u jednego robotnika, to mógłby cię obejrzeć.

– Zdrowa jestem, nie mogłam tylko wcale spać.

– Kochana Mela, ja wiem, dlaczegoś nie mogła spać – wykrzyknął uradowany i pogładził ją po twarzy pieszczotliwie. – Potrzebowałaś trochę myśleć o nim, ja to rozumiem.

– O kim? – zapytała ostro.

– O swoim przyszłym. Ale, przysyła przeze mnie ukłony, będzie tutaj po południu.

– Nie mam żadnego przyszłego, a jak przyjdzie, to możesz go sobie, Zygmunt, przyjąć.

– Słyszysz ojciec, co ta głupia mówi? – wykrzyknął ze złością.

– Sza, Zygmunt, przed ślubem wszystkie panny tak mówią.

– Jak się nazywa ten... pan? – zapytała pod wpływem jakiejś nowej myśli.

– Ona nie pamięta, co to za nowy kawał?

– Zygmunt, ja do ciebie się nie odzywam, to możesz dać mi zupełny spokój.

– Ale ja do ciebie mówię, to mnie słuchać powinnaś! – wykrzyknął rozpinając szybko mundur; co robił zawsze w irytacji lub wzruszeniu.

– Sza... sza... dzieci. Ja ci powiem, Mela, on się nazywa Leopold Landau, on jest z Częstochowy, to jak chcesz, żeby się nazywał? W Sosnowicach mają fabrykę. Wolfisz et Landau to solidna firma, samo nazwisko ma wagę!

– Ale nie dla mnie! – odpowiedziała dobitnie.

– Zygmuś? ja tobie kładę letni mundur, ty potrzebujesz letni mundur, co?

– Niech ciotka włoży! – zawołał prędko i sam zaczął pomagać jej w pakowaniu, i wkrótce pożegnawszy się z ojcem już od drzwi zawołał:

– Mela, przyjadę dopiero na twoje wesele. – Uśmiechnął się złośliwie i wyszedł. Grunspan bez ceremonii zaczął się przy pomocy Franciszka ubierać, bo chociaż miał swój pokój wspaniale urządzone, ale nie mógł się do niego przyzwyczać, wołał zawsze pokój brudniejszy i chociażby tłok niżli samotność. Mela milczała, a ciotka, żółta, chuda, zgarbiona Żydówka w rudej peruce, rozdzielonej na środku głowy białym sznurkiem, z twarzą zapadłą i jakby zakurzoną, o ciężkich, bezwładnie opadających powiekach, spod których tliły się zaropiałe oczy, chodziła po pokoju ustawiając w kredensie szklanki i talerze od śniadania, które zaraz myła w wielkiej miednicy.

– Niech to sobie Franciszek weźmie dla dzieci – mruzczała zgarniając z talerzy na ceratę kawałki chleba i ogryzione kości.

– Dla psów jedzenie takie, a nie dla moich dzieci! – odpowiedział hardo nie krępując się zupełnie.

– Ty głupi cham jesteś, jeszcze można z tego ugotować zupę.

– A niech pani da kucharce, to ugotuje.

– Cicho, nie piskuj, Franek! Daj mi wody do umycia.

I już prawie ubrany zaczął się myć, z wielką delikatnością oblewając swoje oblicze wodą, ale natomiast parszając bardzo donośnie.

– Co ty masz, Melu, przeciwko Leopoldowi Landau?

– Nic, bo go nie znam zupełnie, przecież widziałam go po raz pierwszy.

– Po co więcej? Jak się interes zrobi, to będziecie mieli czas poznać się lepiej.

– Powiem jeszcze raz ojcu stanowczo, że nie pójdę za niego!

– Co ty patrzysz jak mucha w mliku! – krzyknął na Franciszka, który się zaraz wyniósł razem z ciotką. Wytarł się starannie, uczesał, przypiął wykładany kołnierzyk do dosyć brudnej koszuli, założył krawat,

który mu ją przykrył w zupełności, powkładał do kieszeni zegarek i szczoteczkę z grzebieniem, wygłaskał przed lustrem brodę, schował pod kamizelkę długie białe sznurki, włożył kapelusz, nadział palto, wziął parasol pod pachę i wciągając ciepłe rękawiczki zapytał:

- Dlaczego nie chcesz iść za niego?
- Nie kocham go i jest mi wstrętnym, a po drugie...
- Ha, ha! Kochana moja Mela ma małe rybki w głowie.
- Być może, ale pomimo to nie pójdę za niego – zawołała z wielką stanowczością.

– Mela! ja nic nie powiem, bo ja jestem bardzo liberalny ojciec. Ja mógłbym ci kazać, ja mógłbym wszystko załatwić bez ciebie, a ja tego nie robie, dlaczego? bo ja cię kocham, Melu, i daję ci czas do namysłu. Ty się namyślisz, ty jesteś mądrą dziewczyną i nie popsujesz takiego kurantnego interesu, ty będziesz, Mela, pierwszą osobą na całe Sosnowice. Ja ci krótko wytłomaczę.

Ale Mela nie chciała słuchać, odsunęła gwałtownie krzesło i wyszła z pokoju.

– Te kobiety to zawsze mają swoją fanaberię! – mruknął nie zrażony jej odmową ani wyjściem, dopił zimną herbatę i wyszedł na miasto.

Przez kilka dni nie było zupełnie mowy o małżeństwie. Landau wyjechał, a Mela całe prawie dni przesiadywała u Róży, aby jak najrzadziej widywać się z ojcem, który, spotkawszy ją przypadkowo, uśmiechał się pobłażliwie, głaskał po twarzy i pytał:

– Mela, nie chcesz jeszcze Leopolda Landau? Zwykle nie odpowiadała, ale była zrozpaczona i zdenerwowana tym stanem. Nie wiedziała, co robić, na czym się to wszystko skończy. Zaczęło ją do tego trapić niepokojące pytanie, czy Wysocki ją kocha? Pytanie to tkwiło w jej mózgu jak igła i coraz bardziej kłuło ciemnymi, bolesnymi wątpliwościami. Były chwile, w których pomimo dosyć rozwiniętej dumy byłaby mu otwarcie wyznała swoją miłość, aby tylko usłyszeć to upragnione słowo: kocham! Ale Wysocki nie pokazywał się u Róży, spotkała go raz tylko na ulicy, prowadzącego pod ramię matkę, ukłonił się jej i musiał objaśniać matce, komu się kłania, bo Mela poczuła na sobie jej wzrok badawczy. Wybrała się z Różą do Endelmanów tylko dlatego, że miała nadzieję spotkać tam Wysockiego. Tylko nadzieję, bo nie wiedziała, czy tam bywa.

Jechały przez miasto wolno, bo dzień był piękny, ulice nieco obeschły i roiły się tłumem spacerujących, wyświętaczonych robotników, bo wypadało w sobotę jakieś uroczyście obchodzone święto. Sza-

ja jechał z nimi na przednim siedzeniu i bardzo troskliwie okrywał im nogi pledem.

– Róża, ja mam ochotę się przejechać, zgadnij gdzie? a jak zgadniesz, to cię zabiorę.

Spojrzała bezwiednie w błękitne niebo wiszące nad miastem i zawołała bez namysłu:

– Do Włoch!

– Zgadłaś, możemy za parę dni jechać.

– Pojadę z tobą, ale pod warunkiem, że Mela z nami pojedzie.

– Niech jedzie, będzie nam wesoło w drodze.

– Dziękuję ci, Róża, ale sama wiesz, że nie mogę, ojciec się na to nie zgodzi.

– Jak to się nie zgodzi? Jak ja chcę, to Grunspan się nie zgodzi! Jutro będę u niego w tym interesie i na drugą sobotę będziemy sobie już wachali kwiat pomarańczowy.

Róża już знаła Włochy, była tam z bratem i z bratową, ale teraz chciała jechać, aby je pokazać przyjaciółce. Stary Mendelsohn znał je również, ale bardzo pobieżnie, bo miał manię, że gdy mrozy ścisnęły ziemię i śniegi zasypały cały kraj, budziła się w nim głucha, niezmożona tęsknota za słońcem i ciepłem i dotąd go nurtowała, aż kazał pakować walizy, brał któregoś z synów i jechał pośpiesznie, bez odpoczynku do Włoch, do Nizzy albo do Hiszpanii. Ale najdalej po dwóch tygodniach był już z powrotem. Nie mógł i nie umiał żyć bez tego miasta; brakowało mu tych godzin sześciu, jakie musiał przesiedzieć w kantorze codziennie, brakowało mu turkotu maszyn, szalonego ruchu, wytężonego życia fabryki, brakowało mu Łodzi, więc zaledwie stracił ją z oczów, powracał stęskniony. Przyciągała go, jak wielki magnes przyciąga opłuki żelazne.

– Papo! ale ja zaraz nie wrócę z tobą?

– Dobrze, ja także chce dłużej tam posiedzieć, mnie już Łódź mężczy.

Zajechali przed dwupiętrowy dom, dosyć szczęśliwie udający ciężki pałac w stylu florenckim, stojący w ogrodzie przy jednej z bocznych ulic i odgradzony od niej żelazną kratą pokrytą bluszczem, z którego świeciły złożone ostrza sztchet i niebieskie majolikowe wazony ustawione na słupach, różowiac się krzewami azalii kwitnących, poustawianych tam specjalnie na dzisiejszą uroczystość u Endelmanów.

Fabryki towarzystwa akcyjnego Kessler et Endelman zamykały ogród czerwoną olbrzymią ścianą, błyszczącą w słońcu niezliczonymi oknami.

Stangret objechał klomb ułożony z oranżeryjnych kwiatów i krzewów i wjechał pod kolumnowy podjazd, którego słupy objęte bluszczem dźwigały na sobie terasę, obwiedzioną drewnianą balustradą, malowaną na marmur.

Z długiego przedsionka, wyłożonego czerwonym dywanem, na środku którego stał wielki klomb kwitnących rododendronów, prowadziły na pierwsze piętro szerokie schody, wyłożone również czerwonym dywanem i ubrane podwójnym rzędem obsypanych kwiatami azalii, które jak smugi śniegu odcinały się od ścian obitych adamaszkiem ciemnoczerwonym.

Elektryczność zalewała przedpokój i schody, skrząc się w ogromnych zwierciadłach przedpokoju.

Kilku lokajów czarno ubranych, ze złotymi galonami na kołnierzach kurtek, rozdziwiała wchodzących.

– Ale tu bardzo ładnie! – szepnęła Mela idąc po Schodach z Różą.

– Ładnie – odpowiedział pogardliwie Szaja i skubał niedbale kwiaty, i rzucał je na dywan, deptając skrzypiącymi butami.

Endelman wyszedł aż przed drzwi, witał ich z uniesieniem i ostentacyjnie wprowadził do salonu.

– Pan prezes jest bardzo łaskaw, pan prezes, co? – kończył zapytaniem nadstawiając ucha, bo był głuchym nieco.

– Chciałem cię zobaczyć, Endelman, no, jak się masz? Poklepał go przyjacielsko po łopatkach.

– Bardzo dziękuję, ja się mam dobrze i moja żona też, co?

Gwar, jaki wrzał w salonie, przycichł z ich wejściem, kilkadziesiąt osób powstało na przywitanie bawelnianego króla, który w długiej czarnej kapocie, w długich lakierowanych butach, odrzynał się mocno od frakowych kostiumów zebranych.

Szedł przez salon z bardzo łaskawym uśmiechem, niektórym podawał rękę, niektórych klepał po ramionach, kobietom kiwał głową i przymrużonymi oczami wodził po salonie.

Młody Kessler podsunął mu fotel; opadł na niego ciężko i zaraz otoczyła go ciżba ludzi.

– Pan prezes zmęczony? Może kieliszek szampańskiego, wybornej marki, co?



– Napiję się – wyrzekł uroczyście, przecierając kolorową chustką okulary i gdy je założył, zaczął dopiero odpowiadać na liczne zapytania.

– Jakże zdrowie pana prezesa?

– Wrócił pan prezes do dawnego apetytu?

– Kiedy prezes wyjeżdża do wód?

– Doskonale pan prezes wygląda!

– Dlaczego miałbym źle wyglądać – odpowiedział z uśmiechem i z pewnym lekceważącym znużeniem słuchał dalej chóru głosów, a gonił oczami za Różą, którą otoczyło kilka młodych kobiet jasno ubranych.

Zgiełk trochę za hałaśliwy zaczął się zrywać z buduarów sąsiadujących z salonem i z sali bufetowej, i z wielkiej grupy pań i panien siedzących w środku salonu.

Panowały dwa języki: francuskim mówiły prawie wszystkie Żydówki młode i stare z nieliczną garścią polek; niemieckim posługiwali się Żydzi, Niemcy i Polacy.

Gdzieniedzie tylko i po cichu brzmiała polska mowa, którą się komunikowała grupa inżynierów, doktorów i innych specjalistów, dość wybitnych na to, aby być zaproszonymi do Endelmanów, i dość niewielką grających rolę wobec milionerów, aby zajmować naczelne miejsce w salonie.

Endelman powrócił wkrótce, przed nim szedł lokaj i na srebrnej tacy niósł kieliszek, srebrną wanienkę i zamrożoną butelkę szampańskiego.

Endelman podcinał druty kapsla i gdy korek wyskoczył, sam nalewał perłący napój i podawał.

Mendelsohn pił wolno i smakował ze znanstwem.

– Niezłe, dziękuję ci, Endelman.

– Myślę, jedenaście rubli butelka.

Kilkanaście krzeseł, taburetów i niskich fotelików utworzyło półkole, w środku którego siedział Szaja, jak król wśród dworzan i wasalów; surdut rozpiął, że poły opadły na ziemię i odsłoniły jedwabną atłasową kamizelkę, spod której zwieszały się dwa białe sznurki, nogę założył na nogę tak wysoko, że szpic jego buta był na wysokości głów siedzących, które za każdym jego słowem pochylały się pokornie, usta milkły w pół wyrazu, gdy on mówił, a wszyscy śledzili każdy błysk jego czarnych wielkich źrenic obwiedzionych zaczerwienionymi powiekami, każde poruszenie chudej, żółtej ręki o poobgryzanych paznokciach i pałkowa-

tych palcach, gładził długą siwą brodę i krótko ostrzyżone siwe włosy, przez które różowiła się skóra głowy.

Twarz miał koloru szafranu, bardzo chudą i niesłychanie ruchliwą, nos garbaty i tak wydłużony z powodu braku przednich zębów, że wisiał mu nad ustami. Mówił wolno, akcentując każdy wyraz i marszcząc białe czoło, zapadnięte na skroniach, bardzo wypukłe i bardzo pomarszczone w grube zastygnięto fałdy.

Jego dwudziestu milionom składały hołd i czołobitność nędzne pojedyncze miliony i nikczemne setki tysięcy rubli; otaczali go zgodnym harmonijnym kołem Żydzi, Niemcy i Polacy; wobec jego potęgi, ciężającej na wszystkich i hipnotyzującej najtrzeźwiejszych, znikwały rasowe antagonizmy, konkurencyjne nienawiści, osobiste nieprzyjaźnie – bo wobec tego szczupaka wszyscy czuli się kielbami i czekali z niepokojem, rychło zechce ich połknąć, jak określał Dawid Halpern stosunek małych fabrykantów do Szai, ale Szaja był dzisiaj w dobrym humorze, nie chciał rozmawiać o interesach, a zaczął żartować z niektórych.

– Kipman, ty masz brzuch, jakbyś tam schował sztukę perkalu.

– Dlaczego ja miałbym schować sztukę perkalu w brzuch, ja jestem chory, ja zaraz muszę jechać do Karlsbadu.

I tak sobie rozmawiali dalej milionerzy łódzcy, a salon wrzał coraz silniejszym życiem, bo co chwila ktoś przybywał.

Endelmanowa robiła honory domu z wielką wprawą i godnością, mąż jej pomagał energicznie, bo co chwila słychać było jego przenikliwe: „co?”

Szum jedwabnych sukien, szept rozmów i zapachy perfum i kwiatów zapełniały z wolna ten olbrzymi salon, jeden z najwspanialszych w Łodzi.

Towarzystwo dzieliło się wciąż na grupy, które niknęły prawie w ogromie salonu, w masie mebli porozstawianych i w kilku bocznych buduarach.

Salon był narożnikowy z oknami na ogrody, poza którymi niby kije sterczały kominy fabryk.

Żółte jedwabne story nie przepuszczały słońca do wnętrza, rozsiewały złotawy półmrok, w którym niewyraźnymi zarysami błyszczały ze ścian ramy obrazów, brązowe ozdoby mebli i lśniąca jedwabna materia, obciążająca ściany, pohaftowana w bladozielone gałązki i kwiatki, o bardzo delikatnym rysunku; bladozielone lamperie zarzucone złotymi haftami kwiatów trzymały niby w ramie ściany i stanowiły otoczkę dla sufitu, na którym był rozpięty rodzaj plafonu, ~~prześliczne malowidło, przedstawiające scenę a la Watteau: łąka,~~

widło, przedstawiające scenę a la Watteau: łąka, strzępiaste drzewa, strumyk wijący się srebrną wstęgą przez murawy pełne kwiatów, wśród których pasły się baranki z niebieskimi wstążeczkami na białych runach karków, a gromada pasterzy i pasterek w perukach, w krótkich kostiumach tańczyła kadryla przy dźwiękach formingi, na której wygrywał ryży faun.

W narożniku salonu wznosiła swoje brązowe kształty wdzięczna Diana z Fontainebleau, wśród róż białych i purpurowych, które delikatnymi pędami pięły się na marmurowy postument i plamiły barwami popielatozielonawy ton brązu.

Na tym tle siedział Mendelsohn i gromada fabrykantów.

Kilka garniturów w najczystszy styl Ludwika XIV, białych ze złotem, z pokryciami malowanymi lub haftowanymi w bladzielone barwy, stało pod ścianami, pod szeregiem obrazów, przeważnie bardzo cennych, bo Endelmanowie mieli całą galerię zbieraną nie tyle ze znanstwem ile z namiętnością; prócz tych mebli stało jeszcze dosyć w innych stylach, było pełno stolików inkrustowanych, obijanych materiałami, chińskich fotelików ze złoconego bambusu z wybiciami z jaskrawych jedwabiów, żardinerek złoconych, pełnych kwiatów; na marmurowym stylowym kominku płonął wielki ogień i rzucał krwawo złoty brzask na kilka młodych panien, pomiędzy którymi siedziały Róża i Mela.

Endelmanowa, wspaniała w swojej toalecie z ciemnowiśniowego aksamitu, ubranej podług panującej mody imitacjami drogich kamieni przy gorsie bardzo wydatnym, zbliżyła się do Róży.

– Jeśli się nie bawicie, to wam przyślę Bernarda.

– Może ma pani kogo zabawniejszego.

– Znudził już panią?

– Na co dzień dobry, ale przy dzisiejszej uroczystości wolałabym jaką zmianę.

– Przyprowadzę wam Kesslera albo Borowieckiego.

– Jest i pan Borowiecki? – zagadnęła ciekawie, bo widziała przed chwilą Likiertową.

– Cała Łódź jest u nas! – powiedziała z zadowoleniem i na jej odwiniętych ustach, podobnych do wydeptanych mocno stopni, wykwitł uśmiech, z którym odeszła wspaniałym, majestatycznym krokiem, w aureoli ufryzowanych szpakowatych włosów, spiętych brylantowymi szpilkami; duża rozlana twarz o cienkim zgrabnym nosie i małych czarnych oczkach mocno podkreślonych jaśniała dumą.

Rozmawiała ze wszystkimi, była wszędzie, ale co pewien czas spoglądała na wielkie sztalugi pokryte zasłoną i otoczone wieńcem laurowym, które stały pod jednym z okien, i na wszystkie zapytania, co się tam kryje, odpowiadała tajemniczo:

– Niespodzianka! cud! Panie Endelman – wołała podniesionym głosem na męża, który spieszenie przybiegał na to wezwanie i z ręką przy uchu słuchał rozkazów żony i śpieszył je natychmiast wykonywać.

W bufecie, urządzonym w jednym z bocznych pokojów, było kilkunastu wyfraczonych mężczyzn, pomiędzy którymi stał Borowiecki z Trawińskim i ze starym Mullerem, który więcej czerwony niż zwykłej gadał głośno i pogardliwie pluł na posadzkę, wymyślał na Żydów, bo go podrażnił przepych mieszkania Endelmanów i ich wielkopańskie maniery, Borowiecki kręcił wąsy i uśmiechał się tępo, a Trawiński patrzył na żonę, która pierwszy raz dzisiaj występowała w Łodzi na tak wielkim zebraniu, siedziała wśród gromady kobiet i gasiła wszystkie swoją arystokratyczną urodą i wykwinłą prostotą stroju.

Musiała się nudzić wśród tego banalnego szczebiotu kobiet, bo odpowiadała krótko i wodziła oczami po obrazach i dziełach sztuki rozrzuconych po salonie;

wał jedwabów, koronek, aksamitów, obrzucony masą drogich kamieni, błyszczący wszystkimi kolorami tęczy, ponad którymi wznosiły się jakby nasadzone główki kobiet, tworzył dla niej wspaniałą ramę, z której jej biała suknia, zapięta pod szyję i ściśnięta w stanie złotym paskiem, mocno występowała.

– Kto to ta śliczna kobieta? – zapytał Groszlik.

– Moja żona, panie.

– A, to panu winszuję, to anioł, to cztery razy anioł nie kobieta! – wykrzyknął bankier i zmusił Trawińskiego, że musiał iść go przedstawić.

– Panie Borowiecki, pan wielu pań nie zna? – pytał Bernard.

– A dosyć, może pan mnie przedstawi?

– To moja dzisiejsza funkcja.

Wziął Borowieckiego pod ramię i weszli do salonu, gdzie już jakiś długowłosey mistrz próbował fortepianu, przed chwilą wtoczonego z jednego z buduarów.

– Będzie i muzyka?

– Spytaj pan, czego nie będzie, na to łatwiej odpowiem. Pan po raz pierwszy na przyjęciu bratowej?

– Tak, jakoś nigdy przedtem nie mogłem się wybrać.

- A, to pana żałuję.
- Dlaczego, że wcześniej nie byłem?
- Tak, bo miałbyś pan te nudy już za sobą – drwił lekko Bernard.
- O, przeciwnie...
- Uwaga, zaczynamy! Milion okrągły! – szepnął przedstawiając go Mullerównie.
- O, my się znamy dobrze! – zawołała Mada z radością, wyciągając rękę.
- Powiedzcie sobie, państwo, co przyjemnego, a ja wrócę za chwilę po pana.
- Ja już usłyszałem przed chwilą – szepnął Borowiecki stając przed nią.
- To się liczy – zawołała naiwnie.
- I liczy, i dobrze pamięta.
- Ach, jaki pan dobry! – wykrzyknęła i szybko urwała przysłaniając twarz wachlarzem.
- Obrzucił ją spojrzeniem, pod którym rozczzerwieniła się cała. Wyglądała dzisiaj bardzo ładnie w różowej jedwabnej sukni, upiętej białymi konwaliami: żółte jak marchew włosy, spięte w grecki węzeł, odsłaniały biały kark, pokryty niby puszką złotawym cętkami piegów, które gdy się rumieniła, zabiegały krwią; złote obrączki rzes otaczające jej błękitne porcelanowe oczy opadły na źrenice i nie śmiały się podnieść na niego.
- Bawi się pani dobrze? – zapytał poważnie, aby ją wyprowadzić z zakłopotania.
- Nie... tak... proszę, niech pan usiądzie przy mnie.
- Mama jest tutaj?
- A, nie; mama nie lubi takich zebrań, bo, widzi pan, mama się musi krępować, a głównie to mama nie chce z Żydówkami razem bywać – skończyła cicho, uśmiechając się za wachlarzem ze strusich piór.
- A pani?
- Mnie wszystko jedno, tylko że się ogromnie nudziłam z początku.
- A teraz?
- A teraz już nie. Jak tylko pana zobaczyłam, poczułam się swobodniejszą.
- Dziękuję pani. Uśmiechnął się.
- Czy powiedziałam co niewłaściwego? To już nic nie będę mówić ani ust nie otworzę.
- Przeciwno temu protestuję bardzo gorąco i energicznie.

– A nie, nie będę mówić, bo co powiem, to albo głupstwo, albo śmieszność.

– Ani jedno, ani drugie, słucham pani nie tylko uważnie, ale i z przyjemnością prawdziwą.

– Chodźmy dokończyć pańszczyznę! – zawołał Bernard powracając.

Borowiecki się skłonił i odeszli, przeprowadzani wzrokiem Mady, która nie śmiała go prosić, aby powrócił do niej.

– Dwieście tysięcy w wysortowanych towarach albo w niepewnych wekslach – szeptał znowu Bernard przedstawiając go brzydkiej, czarnej prawie od piegów pannie, której głowa, twarz i chudy biust zasypane były pudrem i brylantami.

– Czy ma zęby własne – nie ręczę, ale za brylanty odpowiadam,

– Pan jesteś nieporównanym ciceronem.

– Znana rzecz w Łodzi. Zaraz pana do ruin doprowadzę. Pięćdziesiąt tysięcy bares geld na stół – ale papa może się raz jeszcze spalić, to posag się skwadratuje!

Niemłoda, blada panna, o anemicznym spojrzeniu, zielonawej twarzy i sukni, uśmiechnęła się jakimś bolesnawym uśmiechem, odsłaniając długie rzadkie zęby i sine dziąsła.

Borowiecki się skłonił i spiesznie odszedł, bo niemiłe, wprost przykre wrażenie zrobiła na nim ta zgaszona twarz, podobna do zatrzymanego zegaru ze starej zakurzonej i obtłuczonej porcelany saskiej.

– Sto tysięcy, kaprysów za dwieście, a rozumu za trzy grosze – szeptał przedstawiając go Feli, przyjaciółce Róży, która cała była w ruchu, bo włosy się jej trzęsły, oczy biegały, poruszała nogami, ramionami, ustami, brwiami i wybuchała co chwila wesołym dziecinnym śmiechem i była taka wdzięczna, uśmiechnięta, rozbawiona, tak prześlicznie składała rączki, takim naiwnym głosikiem szczebiotała, tak się słodko wdzięczyła, że Borowiecki szepnął:

– Śliczne dziecko!

– Tak, tylko w tym ślicznym dziewczątku siedzi przyszła Mesalina!

Borowiecki nie mógł zaprotestować, bo się zbliżali do Róży.

– Róża Mendelsohn! Nazwisko samo mówi: ile! ta druga, popielata, to Mela Grunspan, posagu nie wymienię w cyfrach, ale mogę pana objaśnić, że to najlepsza i najrozumniejsza panna w Łodzi – szepnął i przedstawiał go przyjaciółkom, które ciekawie mu się przyglądały.

– Za chudy! – szepnęła Róża z taką miną, że Mela nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

A Bernard przedstawił go jeszcze kilkunastu kobietom starym i młodym i wszędzie go odpowiednio informował, a skończywszy pracę puścił wolno na środku salonu.

Borowiecki stanął przy ścianie i ciekawie się przyglądał zebrany. Na wprost niego były drzwi osłonięte zielono-złotymi portierami, prowadzące do buduaru, w którym siedziała samotnie Likiertowa i patrzyła na niego, nie zauważyła na razie tego wzroku, bo go zajmowały kolorowe grupy kobiet wśród mebli, kwiatów i zieloności, skrzące się drogimi kamieniami jak wystawy sklepowe złotników, i grupy czarnych fraków porozrzucane na tle ścian i na tle tego przepychu barw strojów kobiecych jak czarne brzydkie kraby na tle gobelinu. Kilka starszych pań, uginających się prawie pod masą koronek, złota i brylantów, siedziało obok niego i rozmawiało tak głośno, że się odsunął nieco.

– Prawda, że to wspaniałe, można by z tego obraz namalować – zagadnęła przechodząca Endelmanowa pociągając go za sobą.

– Nieporównane!

– Zabieram pana, bo ktoś chce pana poznać, tylko uprzedzam, że ten ktoś bardzo piękny i bardzo niebezpieczny.

– Tym gorzej dla mnie – szepnął tak skromnie, że Endelmanowa roześmiała się i uderzając go wachlarzem po rękę, szepnęła słodko:

– Z pana jest człowiek niebezpieczny.

– Dla samego siebie najbardziej – odpowiedział zupełnie serio i wszedł za nią do maleńkiego, po chińsku urządzonego buduaru.

Przedstawiła do słynnej piękności łódzkiej, siedzącej niedbale na żółtej chińskiej sofie, z filiżanką herbaty w rękę.

– Musi mi pan wybaczyć śmiałość chociażby dla odwagi przyznania się, że dawno pragnęłam poznać pana.

– Doprawdy, ale nie godzien jestem tego zaszczytu – mówił znużony i znudzony, oglądając się na salon, czy nie nadchodzi jaki wybawca.

– Mam jednak do pana pewien żal!

– Czy nie do zapomnienia? – zapytał z uśmiechem, śledząc jej żywe ruchy.

– Z pewnością zapomnę, jeśli pan okaże skruczę odpowiednią.

– Chociaż nie wiem za co, żałuję jednak szczerze.

– Żal mój pochodzi stąd, że mi pan męża oczarował.

– Czy narzekał, że bawił się wtedy źle z nami?

– Przeciwnie, dowodził bowiem, że pierwszy raz w życiu bawił się tak dobrze.

– Więc zamiast żalu powinna pani zapłacić mi wdzięcznością, i to podwójną.

– Dlaczego podwójną?

– Że się bawił dobrze i swoją obecnością nie popsuł pani przejażdżki do Pabianic – dodał z naciskiem i bystro patrzył w jej oczy i brwi napięte niepokojem.

Roześmiała się sucho i zaczęła poprawiać wspaniały naszyjnik z pereł, osadzonych w brylanty, który otaczał jej marmurową, prześlicznie uformowaną szyję. W tym ruchu rękawiczki, dochodzące aż do ramion, zsunęły się nieco i odsłoniły klasycznie piękne ręce;

oddychała tak szybko, że do połowy tylko przysłonięte piersi wznosiły się i opadały.

Była istotnie bardzo piękną, ale tą suchą, klasyczną, zimną pięknoscią; szarostalowe bez połysku oczy patrzyły jak zamarznięta szyba pod przyczernionymi mocno brwiami, patrzyła długo na Karola i w końcu szepnęła:

– Dlaczego Lucy nie przyszła?

I lekka ironia zamigotała w jej oczach.

– Nie wiem, bo nie wiem, kogo pani ma na myśli – rzekł spokojnie na pozór.

– Pani Zukerowa.

– Nie wiedziałem, że pani Zuker ma takie imię.

– Dawno się pan z nią widział?

– Muszę rozumieć pytanie, abym mógł na nie odpowiedzieć.

– Ach, pan nie rozumie? – powiedziała przeciągle z uśmiechem i błysnęła rzędem wspaniałych zębów spoza małych bardzo i wyciętych w łuk amora ust.

– Pani mnie indaguje? – zapytał dosyć porywczo, bo go irytowało jej spojrzenie i ta chętką udręczania, jaka się przewijała w jej twarzy. Ściągnęła brwi lekko i patrzyła się w niego spojrzeniem Junony, do której była bardzo podobna.

– Nie, panie, ja pytam tylko o Lucy, o naszą serdeczną przyjaciółkę, bo i ja ją kocham nie mniej, może tylko trochę inaczej – dodała łagodnie.

– Muszę pani wierzyć, że pani Z. jest godną kochania.

– I jest godną niezapierania się tej miłości, panie Borowiecki. Żyjemy ze sobą jak dwie siostry i nie ukrywamy przed sobą nic – powiedziała z naciskiem.



– Więc? – zapytał stłumionym przez gniew głosem, bo załżała go złość, że Lucy wypaplała przed tą klasyczną lalką ich tajemnice.

– Więc trzeba mi ufać i starać się zasłużyć na moją przyjaźń, która nieraz może być bardzo pomocna.

– Dobrze. Zaczynam od tej chwili.

Przesiadł się na sofę i pocałował ją w obnażone ramię, bo była wygorsowaną pod pachy i tylko paski naszywane drogimi kamieniami trzymały suknię na ramionach.

– Tą drogą nie idzie się do wiernej, siostrzanej przyjaźni! – szepnęła, odsuwając się nieco, z uśmiechem.

– Ale przyjaźń nie powinna mieć tak cudownych ramion ani być tak piękną.

– Ani nie powinna zdradzać takich gwałtownych, ludożerczych instynktów – powiedziała wstając i rozprostowując swoje rozwinięte doskonale kształty, poprawiła troskliwie kunsztownie ufryzowane w wálki na skroniach blond włosy i rzekła widząc, że i on podniósł się:

– Pan zostanie na chwilę, byliśmy ze sobą akurat tak długo, że mogę pana posądzić o miłość do mnie.

– Czyżby się pani gniewała za taką miłość?

– A Lucy, panie Karolu! Dobrzem Dowiedziała, że pan jest ludożercą.

– A raczej pięknożercą.

– Przyjmuję w czwartki, proszę przyjść trochę wcześniej!...

– Zobaczymy się jeszcze dzisiaj?

– Nie, bo ja zaraz wychodzę, opuściłam chore dziecko dla pana...

– Szkoda, że nie mogę wyrazić swojej wdzięczności tak, jak chciałbym? – zawołał z uśmiechem, ogarniając spojrzeniem jej gorsz wspaniały i szyję.

Zakryła się wachlarzem, skinęła mu głową i poszła, pokrywając uśmiechem pewne zakłopotanie.

– Panie Borowiecki, pani Trawińska o pana się dopomina! – zawołał Bernard. – Gdzież piękna dyrektorowa?

– Poszła siał oczami śmierć i zniszczenie – odrzekł.

– Nudna baba!

– Czy pan bywa na jej czwartkach?

– Cóż bym tam robił! Bywają tylko jej wielbiciele i kochankowie: przeszli, obecni i przyszli... Czekamy na pana!

Borowiecki czuł się tak znudzonym, że zamiast iść do Trawińskiej, chciał bokiem nieznacznie przesunąć się do drzwi głównych i wyjść,

ale przechodząc obok portier sąsiedniego buduaru spotkał się oko w oko z Likiertową, swoją dawną miłością.

Cofnęła się z powrotem, a on, ciągnięty nieprzeparcie jej spojrzeniem, poszedł w ślad za nią.

Nie mówili ze sobą już od roku, rozeszli się nagle, bez jednego słowa wyjaśnień; spotykali się czasami na ulicy, w teatrze, witali się z daleka, jak obcy sobie zupełnie, a jednak często stawała przed nim jej twarz dumna i smutna, jak wyrzut cichy i bolesny.

Kilkakrotnie chciał mówić z nią, ale zawsze brakło mu odwagi, bo go trapiło to, że nie miał jej co powiedzieć, nie kochał jej. A teraz to niespodziewane spotkanie oszołomiło i przeniknęło bolesną męką.

– Dawno pana nie widziałam – powiedziała spokojnie.

– Emma! Emma! – wyszeptał bezwiednie, wpatrując się w jej bladą twarz.

– Proszę państwa, w tej chwili rozpoczyna się koncert? – zawołała Endelmanowa obrzucając ich spojrzeniem.

Jakoż zaraz rozległ się akompaniament fortepianu i czysty, dźwięczny sopran zalał melodią piosenki salon.

Wrzawa umilkła i wszystkich oczy utonęły w śpiewacze.

Ale oni nic nie słyszeli prócz niespokojnego, trwożliwego bicia serc własnych.

Emma usiadła na niskim, wspartym na smokach foteliku, osłoniętym od kominka ekranem, przez który złoty brząsk ognia przeciekał i zabarwiał różem jej bladą, o liliowym tonie twarz, bardzo smutną twarz starzejącej się piękności.

Borowiecki stanął z boku i patrzył się spod spuszczonej nieco powiek na jej twarz jeszcze bardzo piękną, ale już poznaczoną pazurami czasu; na skroniach zapadniętych rozwijała się cała sieć drobnych zmarszczek i zbiegała pod oczami, pod królewskimi oczami, których czarne źrenice, otoczone błękitnawymi białkami, jak u dziecka, świeciły ostrym blaskiem spod ciężkich, długich powiek, porysowanych siatką sinych i cienkich jak włosy żyłek.

Oczy były podkreślone również sinymi plamami, które przebijały się spod delikatnej warstwy bielidła.

Czoło wysokie i bardzo piękne było odsłonięte, bo miała czarne włosy, przeświecające srebrnymi nitkami, zaczesane na uszy, w których wisiały ogromne dwa brylanty.

Mocno purpurowe usta, bardzo wydatne, miały wyraz cierpienia, opuszczały się kątami ku silnie zarysowanemu szczękowi. A w całej

twarzy i głowie lekko pochylonej czuć było znękanie, jakie bywa po długiej i bolesnej chorobie, bo nawet te jedynie młode usta wyglądały jak więdnący kwiat granatu – i miała w swej twarzy jakąś cierpką, melancholijną słodycz kobiet wyczerpanych miłością.

Jej delikatne rysy, odbijające natychmiast każde uczucie, jakie przewijało się przez serce i mózg, ściągały się nerwowo i drgały samymi odruchami wrażeń.

Była ubrana w ciemnofioletową suknię, przybraną przy odsłoniętym biuście mocno żółtymi koronkami, naszywanymi rubinami i amethystami; figurę miała tak zgrabną i wysmukłą, że można ją było wziąć za młodą dziewczynę, gdyby nie pewna sztywność pleców i opadnięcie ramion.

Siedziała wachlując się lekko, nie patrzyła na niego, nie patrzyła na nikogo, chociaż jej promienne spojrzenia obejmowały cały salon, bo czuła jego oczy na swej twarzy i to spojrzenie, które paliło, przenikało jej rozgoryczone i smutne serce zarzewiem dziwnie palącego bólu.

Stał przy niej tak blisko, że słyszała jego oddech i skrzyp gorsu, gdy się pochylał, widziała jego rękę, którą się podpierał o żardinierkę, mogła podnieść oczy i nasycać się tym tak bardzo kochanym, tak bardzo wyczekiwanym, ale nie zrobiła tego, siedziała nieporuszenie.

Wiedział, że ona jest z tych kobiet, które raz tylko kochają, że to jedna z tych marzycielskich bluszczowych dusz, spragnionych idealnego życia, głuchych i ślepych na zwykłą codzienność, a pełnych namiętnych żądz kochania i oddawania się na wieczność całą ukochanemu, a równocześnie pełnych dumy i poczucia własnej godności.

To go właśnie irytowało najwięcej, bo wołał stosunek z kobietami pospolitymi, którym pod wykwinną zewnętrżnością biją zwykłe serca samic lub sprzętów gospodarskich. Takie nie robią tragedii z miłości przelotnej, kończą ją na łzach, na bezsenności, na drugim wreszcie kochanku albo powracają do przerwanych chwilowo funkcji gospodarskich i zostają znowu tym, czym były przedtem, tj. niczym.

– Co ja jej powiem? – myślał znowu.

– Bardzo ładnie śpiewa, prawda? Przerwała milczenie nie patrząc na niego.

– Tak, tak! – odpowiedział prędko, goniąc wzrokiem śpiewaczkę, którą po skończeniu piosnki otoczył tłum mężczyzn i odprowadzał do bufetu.

Fortepian zamilkł i gwar z większą siłą niż przedtem wionął po salonie.

Lokaje roznosili lody, konfitury, ciastka, cukierki i szampańskie, które co chwila hukąło korkami.

– Czy pan już puścił w ruch swoją fabrykę?

– Nie, jeszcze, dopiero koło jesieni to zrobię – odpowiedział zdumiony, bo był przygotowany na inne zupełnie zapytanie.

Spojrzeni sobie w oczy, zajrzeli aż do głębi dusz.

Emma opuściła pierwsza, bo źrenice jej zaszklily się łzami, i rzekła cicho:

– Z całej duszy życzę panu szczęścia we... wszystkim... a chyba... pan... wierzy... że mu szczerze... życzą...

– Jak nikomu.

– I zawsze jednakowo... bez zmiany... Głęboki żal zadrgał w jej głosie.

– Dziękuję... Pochylił głowę.

– Żegnam pana – powiedziała powstając, ale takim tonem, że zadrgał i pod wpływem jakiejś nagłej obawy czy strachu zaczął szeptać gorączkowo:

– Emma, nie odchodź tak! Muszę się z tobą widzieć, jeśli nie zapomniałaś o mnie zupełnie, jeśli mnie nie masz za ostatniego nędznika, to pozwól mi przyjść do siebie, muszę z tobą mówić, chcę ci powiedzieć... odpowiedz mi chociaż słówko, błagam cię.

– Patrz na nas! Żegnam pana. Nie mam panu nic do powiedzenia, przeszłość tak zamarła w moim sercu, że jej już nie pamiętam, a jeśli chwilami wspominam, to ze wstydem.

Powlekła przyćmionym łzami spojrzeniem po jego pobludłej twarzy i odeszła.

Te ostatnie słowa były nieprawdą, ale włożyła w nie całą swoją zemstę, której teraz idąc wolno przez salon tak bardzo żałowała, że miała nieprzepartą chęć powrotu do niego i rzucenia mu się do nóg, błagania o przebaczenie – ale nie powróciła, szła wolno, uśmiechając się do znajomych i zamieniając słowa i spojrzenia z nimi, a nie widząc prawie nikogo.

Przyjechała do Endelmanów umyślnie dla Karola, zdecydowała się na ten krok po długich miesiącach cierpień, po strasznych szamotaninach z tęsknotą i z miłością, które ją całą przepalały.

Chciała go widzieć i mówić z nim, bo na dnię jej dumnego serca, pod rumowiskami cierpień i zawodów, tlił się ostatni płomyk nadziei, że on ją kocha jeszcze, że tylko jakieś niewytłumaczone przyczyny rozdzieliły ich chwilowo, po których wyjaśnieniu i usunięciu...

A teraz wracała jak grób, w którym ostatnie ślady życia zgniły i rozpadły się w strzępy, pokryte wielką, martwą cichością nocy wiecznej.

Borowiecki poszedł pomiędzy ludzi do bufetu, aby się orzeźwić, bo połknął jej słowa ostatnie jak wilk połykający zamrożoną w tłuszczu sprężynę, która teraz rozprężyła się z wolna i darła mu wnętrzości ostrym, przenikliwym bólem.

Byłby wszystko zniósł: i łzy, i rozpacz, i wyrzuty, ale tej pogardy, jaką go spoliczkowała, znieść nie mógł, a znieść musiał, bo Endelmanowa go zabrała, aby mu pokazywać obrazy i zbiory dzieł sztuki, nagromadzone w kilku pokojach dosyć bezładnie, ale musiała go zaraz odstąpić Groszlikowi, który miał do niego jakiś interes.

Po śpiewach towarzystwo znowu się rozsypało. Szaja, otoczony swoim dworem, przeniósł się do bufetu, a w salonie panowała teraz Trawińska, otoczona gronem młodych kobiet, pomiędzy którymi były Mela i Róża.

Endelmanowa co chwila podchodziła do kogoś i szeptała tryumfująco:

– Cała Łódź jest u nas dzisiaj! Prawda, że się dobrze bawią?

– Cudownie! – odpowiadano ziewając ukradkiem, bo się istotnie nikt dobrze nie bawił.

– Panie Endelman! – wołała na męża, śpiesznie podbiegającego krokiem baletowym, co przy jego cienkich nóżkach i dużym brzuchu robiło śmieszne wrażenie. – Panie Endeiman, do buduaru chińskiego każ pan zanieść lodów!

– Zaraz każę zanieść lodów, co? – odpowiadał osłaniając dłonią ucho.

– I szampańskiego dla panów.

– Zaraz i szampańskiego dla panów.

– Prawda, że się dobrze bawią? – zapytała go po cichu.

– Co? Ślicznie, bardzo ślicznie, wypili prawie wszystko szampańskie.

Rozeszli się, bo Endelman zaglądał co chwila do bufetu, aby tam gospodarzyć i z pewną wyniosłą przykrością stwierdzać, że goście pomijali inne wina, a pili tylko szampańskie,

– Te chamy piją szampańskie, jakby to było Munchenbier, co? – szepnął do Bernarda.

– Masz przecież jeszcze dosyć zapasów.

– Mam wino, ale oni nie mają wychowania, żeby tak pić, jakby to nic nie kosztowało!

– Paradny jesteś, muszę to w Łodzi opowiedzieć.

– Co? no, nie bądź głupi, Bernard.

Ale Bernard nie słuchał i ze śmiechem opowiadał Róży, przy której usiadł.

– Panowie, damy się nudzą same! – wołał Endeiman do młodzieży zgromadzonej w bufecie, aby ją odciągnąć od picia, nikt się jednak nie ruszył.

Bernard sam jeden bawił panie, siedział na wprost Trawińskiej i rozmawiał z nią, wyrzucając co chwila takie zabawne paradoksy, że czerwona głowa Róży pochylała się aż ku kolanom, żeby stłumić śmiech, a Trawińska śmiała się swobodnie i z subtelnie pobłażliwym śmiechem z jego błazeństw, a szukała oczami męża, który teraz rozmawiał z Borowieckim pod Dianą tak żywo, że głosy ich chwilami słyszała. Reszta towarzystwa nudziła się, jak mogła. Mada chodziła nieco senna i udawała, że się przygląda obrazom, a przysuwała się coraz bliżej do Borowieckiego.

Starsze panie drzemały w fotelikach lub skupione po buduarach opowiadały sobie nowiny, młodsze słuchały rozmowy Trawińskiej z Bernardem i spoglądały ciężkim, żalonym wzrokiem w stronę bufetu, skąd huczały podniecane szampanem głosy mężów i ojców.

Z wolna nuda rozlewała się po salonie. Patrzano na siebie obojętnie i jakby wrogo, jakby jedni drugim przypisując winę tego wspólnego nudzenia się.

Obejrzano stroje, otaksowano klejnoty, jakimi panie i panny były literalnie obładowane, obgadano i salon, i gospodarzy, i przyjęcie, i samych siebie, a teraz nie było już co robić więcej.

Nic tutaj zebranych nie łączyło, nie mieli nic wspólnego. zebrali się razem, bo pewien ton łódzkiego życia nakazywał bywać u Endelmanów, jak nakazywał zachwycać się ich galerią obrazów i ich zbiorami dzieł sztuki, jak nakazywał czasom bywać w teatrze. Jak również nakazywał od czasu do czasu dać coś na biednych, narzekać na brak życia towarzyskiego w Łodzi, wyjeżdżać za granicę itd.

Naginali się z trudem do pewnych form przyjętych w świecie, a które były im obce i obojętne, Właśnie prawie o tym samym rozmawiał Bernard.

– Pan Łodzi nie kocha? – przerwała mu Trawińska, aby skrócić zbyt długą tyradę.

- Nie, ale żyć bez niej nie mógłbym, bo nigdzie bardziej się nie nudziłem i nigdzie więcej nie spostrzegłem śmieszności.
- A, pan się zajmuje zbieraniem pewnych śmieszności.
- Potępiła pani uśmiechem moją zabawę.
- Niezupełnie, rada bym usłyszeć o celu tego zbierania.
- Myślałem, że pani będzie rada co usłyszeć z mego zbioru.
- Omylił się pan w przypuszczeniu, nie jestem ciekawa.
- Niczego? – zapytał trochę drwiąco.
- Przynajmniej bliźnich swoich.
- Jeśli ci są nudni, ach, jak bardzo nudni! – szepnęła Toni żałośnie.
- Nawet kobiety panią nie obchodzą?
- Obchodzą mnie tyle tylko, ile wszyscy ludzie.
- A gdybym chciał opowiedzieć coś bardzo ciekawego, na przykład o pani dyrektorowej Smolińskiej, która w tej chwili wychodzi? – zapytał cicho.
- O nieobecnych, tak samo jak o umarłych, nie mówię nigdy.
- Może ma pani rację, bo jedni i drudzy bywają nudni.
- A najbardziej ci pozujący na znudzonych – zawołała z naciskiem Róża, patrząc na niego ironicznie.
- Dobrze. Mówmy o obrazach, czy to nie właściwy temat dla pani?
- zawołał podrażniony.
- To już lepiej o literaturze – podjęła Toni gorąco, która była słynną zjadaczką romansów.
- Pan czytał Bourgeta La Terre Promise? – zapytała nieśmiało milcząca cały czas ta zakurzona, z twarzą podobną do zatrzymanego zegara.
- Nie czytuję literatury jarmarcznej; w dzieciństwie czytałam Historię o Magielonie, Różę z Tanenbergu i podobne arcydzieła, to mi wystarcza na resztę żywota.
- Za ostro pan sądzi Bourgeta – odezwała się Mela.
- Być może, że ostro, ale sprawiedliwie.
- Dziękuję pani za poparcie – skłonił głowę przed Trawińską. – Czytałem jakąś książkę tego niby wielkiego pisarza, niby psychologa, niby moralisty, czytałem dosyć pilnie, bo zmusił mnie do tego rozgłos, jakim się on cieszy u nas, no, i wydał mi się starcem lubieżnym, opowiadającym w tonie podniosłym, a z cynicznym uśmieszkiem, szkaradne historyjki.
- Może zaczniemy teraz mówić o kobietach, czy to nie właściwy temat dla panów? – zaczęła Trawińska złośliwie.

– Ha, to mówmy o tak nazywanej płci pięknej, kiedy już nie mamy zabawniejszego tematu. Rozkrzyżował komicznie ręce, ale był zły na Ninę.

– Ostrożnie, bo pan nas obrażać zaczyna.

– Anioły ziemskie obrażać się nie powinny, że jednak ja mało mogę mówić o aniołach, bo ten rodzaj niewiele jest znany w Łodzi, odejdę i przyprowadzę kogoś, który w tej specjalności jest au courant.

Powiedział dosyć twardo, podniósł się i zaraz przyprowadził Kesslera, młodego, chudego Niemca, o żółtych włosach, niebieskich wylupiastych oczach i wielkich, mocno wysuniętych szczękach, obrośniętych również żółtym zarostem.

– Robert Kessler! – zarekomendował, posadził na swoim miejscu i odszedł do grupy mężczyzn, którzy pod przewodnictwem Endelmana oglądali obrazy w długim, stanowiącym właściwą galerię pokoju.

– Panie Grosplik, patrz pan na tę Madonnę, to jest z Drezna Madonna.

– Śliczny obraz! – mówił przeciągle stary Libernrian i włożywszy ręce w kieszenie, wypiął brzuch, pochylił głowę na piersi i przypatrywał się ramom obrazu.

– To jest obraz medalowany, patrz pan, tu stoi: „Medaille d'or”, to jest obraz masiw i kosztuje grube pieniądze, co?

– Ile? – rzekł cicho Grosplik gładząc wskazującym palcem lewej ręki, na którym błyszczał krwawnik oprawny w złoto, twarde czarne bokobrody, które mu oblepiały okrągłą twarz niby kotlety z kostką; wąsy i brodę miał wygolone starannie.

Podnosił brodę tak wysoko, że dwie fałdy skóry na grubym czerwonym karku zakrywały mu kołnierzyk i czyniły go podobnym do krótkiej wypasionej świni, usiłującej daremnie ściągnąć z błota wiszącą bieliznę; prawą rękę trzymał w kieszeni białej kamizelki.

– Ile? – powtórzył cicho, bo zawsze mówił cicho, i z wielką powagą podniósł brwi, które ostrymi półkolami rysowały się na jego wypukłym czole i stanowiły mocny kontrast swoją czarnością z siwymi włosami i różową cerą twarzy.

– Nie pamiętam, bo tym się zajmuje mój sekretarz – odpowiedział niedbale Endelman.

– Patrz pan na ten obraz rodzajowy, to żywe prawie, to się rusza.

– Bardzo ładne farby! – mruknął któryś.

– I jeszcze ładniejszy kapitał, co?



– Ja, ja? same ramy do taki landszaft kosztuje drogo – mówił z powagą gruby Knaabe, ze znanstwem stukając cygarniczką w brązowe ramy.

– Przecież pana stać nawet i na złote, panie Knaabe; bo kogo stać na kapelusz, tego musi być stać

i na głowę – zaśmiał się Grosplik, który zawsze prawie popierał swoje wywody porównaniami.

– To jest genialne powiedzenie, panie Grosplik – zawołał Bernard tłumiąc śmiech.

– Mnie stać i na to – szepnął skromnie bankier. – Proszę panów, jeszcze jedna Madonna, to jest kopia z Cimabuego, ale lepsza od oryginału, ja panu daję słowo, że lepsza, bo ona kosztuje całe tysiąc rubli, co? – zawołał zobaczywszy wąpiący uśmiech na ustach bankiera.

– Zobaczymy, ja bardzo lubię Madonny. Ja swojej Mery kupiłem Murillofską Madonnę, jej to sprawia przyjemność mieć w swoim pokoju taki obraz, to czemu ja nie miałem kupić?

Obejrzeni w ten sposób kilkadziesiąt obrazów i stanęli przed wielkim mitologicznym malowidłem, zajmującym pół ściany i przedstawiającym wejście do Hadesu.

– To duża sztuka – wykrzyknął z podziwem Knaabe. Endelman zaczął objaśniać treść obrazów, ale mu żywo przerwał Grosplik.

– To jest zwykły grabarz, a to jest głupi obraz, po co malować takie smutne rzeczy! Jak zobaczą pogrzeb, to ja się później muszę leczyć, bo mnie przez parę dni boli w sercu. Kto ma umrzeć, to się nie utopi!

– Drugi numer koncertu, proszę panów do salonu! – zapraszała Endelmanowa.

– Powinszować państwu takiej galerii, powinszować! – wołał bankier.

– Co oni będą wprawiać w salonie?

– Służę panu programem, tam jest wydrukowane. Bernard podał mu długi pasek surowego jedwabiu, ozdobiony ręcznymi malowidłami, na którym był po francusku wypisany program.

Wrócili do salonu, gdy się już przyciszyło, bo wynajęta para popisywała się jakimś dialogiem francuskim.

Mężczyźni, skupieni przy drzwiach od bufetu, słuchali ze znudzonymi twarzami i powoli cofali się do porzuconych szklanek i kieliszków; kobiety natomiast słuchały z chciwością i pożerały oczami parę deklamatorów, udających młodych naiwnych kochanków, którym się

zdarzył wypadek, że na przejeżdżających napadli w górach zbójcy, zabrali i rozdzielili.

Spotkali się właśnie i opowiadali swoje przygody z takim naiwnym cynizmem, z takim eleganckim wyuzdaniem, że panie trzęsły się ze śmiechu i co chwila były entuzjastyczne brawa.

– Ah, mon Dieu, mon Dieu! Tres joli, tres joli! – wykrzykiwała głośno z zachwytu uklejnutowana jak sklep jubilerski pani Cohn, żona jednego z fabrykantów, i jej małe, zarosłe tłuszczem oczka tryskały łzami zadowolenia, i tak się bawiła doskonale, że trzęsły się jej tłuste, nalane policzki i ramiona podobne do wałów obwiniętych w czarny jedwab.

– Co oni cię kosztują, Endelman? – zapytał cicho Grosplik.

– Sto rubili i kolację, ale to warto tysiąc, bo się goście dobrze bawią.

– To jest dobry pomysł, na imieniny żony muszę ich zamówić.

– Zamów pan zaraz, to ustąpią dobry rabat – szepnął mu Bernard przez ramię i przesunął się do Meli, siedzącej poza wszystkimi samotnie, bo Róża siadła w pierwszym rzędzie, aby nie stracić i słowa z dialogu.

– Budzę cię, Mela! O czym marzysz?

– W tej chwili myślałam o tobie – szepnęła cicho, podnosząc na niego swoje szare oczy.

– Nie, myślałaś o Wysockim! – syknął i gniewnie obrywał hiacynty rozkwitłe, stojące na stoliczku, obok którego usiadł.

Patrzyła na niego zdumionymi i jakby wylękłymi oczami.

– Mogłam tak samo myśleć o L. Landau, o którym ze znajomych, jakich nazwiska mogłeś wymienić z równą domyślnością, jeśli nie uwierzyłeś moim słowom.

– Przepraszam cię, Mela, zrobiłem ci przykrość?

– Tak, bo wiesz, że nigdy nie mówię tego, czego nie myślę.

– Daj mi rękę.

Wysunęła mu dłoń obciśniętą w białą rękawiczkę z szarym wysyciem.

Odpiął guziki i pocałował ją w dłoń dosyć mocno.

– Skoro Wysockiemu wolno, wolno i mnie! – tłumaczył, gdy mu dosyć ostro wyrwała rękę. – Ale, a propos Landaua. Mówili mi na mieście, że wychodzisz za niego, czy to prawda?

– A coś odpowiadał tym, którzy ci mówili o moim małżeństwie?

– Że to pogłoska, która się nigdy nie sprawdzi.

– Dziękuję, bo się istotnie nie sprawdzi. Daję ci słowo, że za niego nie wyjdę – dodała silniej, widząc niedowierzenie w jego oczach.

Po jego chudej, nerwowej twarzy przeleciał błysk zadowolenia.

– Wierzę ci, ja ani chwili nie przypuszczałem, żebyś mogła iść za niego. Ty i taki kantorowicz ordynarny. Przecież to zwykły macher bez wychowania, brudny Żydziak. Wolałbym już w ostatnim razie Wysockiego dla ciebie.

Błysnęła oczami, lekki rumieniec mgłą różu powłókł jej twarz, spuściła powieki pod jego badawczym wzrokiem i poprawiając bransoletkę szepnęła:

– Nie bardzo lubisz Wysockiego?

– Cenię go jak człowieka, bo jest prawym i dosyć rozumnym, ale nie cierpię go jako twojego wielbiciela.

– Mówisz, aby mówić, bo dobrze wiesz, że nikt nie jest mniej moim wielbicielem od niego – powiedziała niby szczerze, bo chciała wyciągnąć z Bernarda, jeśli wiedział, jakie szczegóły o Wysockim.

Przypuszczała bowiem, że jeśli się przyjaźnią, to i zwierzać się muszą przed sobą.

– Wiem, co mówię. On jeszcze z tej miłości nie zdaje sobie sprawy, ale już cię kocha.

– Cóż z tego, kiedy on katolik! – zawołała bezwiednie, zdradzając się ze swojej tajemnicy.

– A, tak rzeczy stoją! Winszuję ci, winszuję! – szeptał wolno i zjadliwy, żrący uśmiech okolił mu cienkie usta.

Rozgarnął niedbałym ruchem czarne kędzierzawe włosy, pokręcił małe wąsiki i powstał; na jego delikatną, wybitnie semicką twarz padł jakiś cień rozdrażnienia czy też gniewu.

Nozdrza mu drżały ze wzruszenia tłumionego, a czarne, o oliwkowym odcieniu oczy biegały niespokojnie po jej twarzy.

Wykręcił się i odchodził bez słowa.

– Bernard! – zawołała za nim prędko.

– Zaraz powrócę – powiedział odwracając do niej twarz już spokojną, przez którą wił się tylko zwykły pogardliwy uśmiech.

Mela nie zwracała uwagi na jego rozdrażnienie, bo to, co powiedział, zatopiło jej serce w dziwnie rozkosznym cieple.

Siedziała z przymkniętymi oczami i wciągając silną woń hiacyntów szeptała, upojona wielką radością i szczęściem:

– Więc to jest prawda?

Ale jej radość przerwały grzmiące brawa, jakimi ogólnie zasypywano dialogistów, gdy skończyli.

– Tres joli, mon cher Bernard! – wykrzykiwała jeszcze Cohnowa, wycierając załzawione oczy i mokrą od tłuszczów twarz, do Bernarda, który przechodził obok niej.

– Ona mówi francuszczyzną krowy hiszpańskiej – szepnął do Trawińskiej, która szukała oczami męża.

Uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi.

– Może państwo zechcą nie opuszczać swoich miejsc, co? – mówił podniesionym głosem Endelman. Jakoż i zaraz lokaje wynieśli pod okno sztalugi i ustawili je w świetle, a na znak Endelmanowej odkryli zasłonę.

– Proszę państwa do obrazu! do nowego arcydzieła! proszę oglądać! Panie Endelman, każ pan podnieść story.

Skupili się wprost płótna uwieńczonego wieńcem laurowym, z którego wychylała się scena morską Kraya: kilka nimf odpoczywało na skale, wynurzającej się spod błękitnych cichych wód jakiejś południowej zatoki.

Magnoliowe drzewa, pokryte kwiatem, podobne do stożkowych bukietów, kładły różowy ton na szafiry wód, które z jakąś pieśczęcią marszczyły się i biły w zielone skaliste brzegi.

Kilka mew zataczało kręgi nad nimfami, a z boku, z lasu laurów o błyszczącej zieleni jasnej, z drzew migdałowych i magnolii wychylały się wielkie ciała centaurów, pokryte rudym włosem, z twarzami błyszczącymi żądzą.

Nad całym krajobrazem leżała wielka słodka cisza upalnego dnia, przesycona zapachami kwiatów, szmerem morza i barwami turkusowego nieba, które się rozlewało w wielką roztocz i w głębi obrazu łączyło się w jeden ton z morzem.

– Czemu one bez ubrania?

– Bo im gorąco.

– Jak pan chcesz, panie Grosklik, żeby się one kąpały!

– To scena mitologiczna, panie Grosklik.

– To jest przede wszystkim goła scena.

– Cudowny obraz, zachwycający! – wołały panie.

– Nu, a gdzie tu leży ich ubranie, dlaczego tu ubranie nie namalowane, ten malarz to musi być fuszer.

– To są przecież nimfy, panie Cohn.

– Cohn, ty się tak znasz na nimfach jak... nimfy na tobie – zawołał Grosplik.

– Panie Cohn, żeby Kray był fuszer, to jego obraz nie byłby u mnie, pan wie? – rzekła wyniośle, z politowaniem Endelmanowa.

– Mój mąż się nie zna na tym, on się zna na barchanie – tłumaczyła Cohnowa tak gorąco, że kilka osób wybuchnęło śmiechem.

– Jakie to śliczne! Jakie to morze prawdziwe, zupełnie takie same, jakie było przy naszej willi w Genui. Myśmy byli w przeszłym roku w Genui.

– W Biarritz też jest dużo wody, ale ja nie lubię patrzeć, bo mnie się zaraz niedobrze robi.

– Ale niechaj państwo uważają, że to morze prawie słyhać, o! a te kwiaty są tak ładne, jakby były robione, i pachną prawdziwie – szeptała Endelmanowa, usilnie zwracając uwagę zebranych na obraz, bo zaczęli już odchodzić.

– Farbę czuć – zawołał Knaabe pochylając się do obrazu.

– Ale, bo, widzicie państwo, kazałam obraz powerniksować.

– Przez to barwy straciły na świeżości i poczerniały, a potem warstwa werniksu błyszczy się tak, że trudno przez to co zobaczyć – tłumaczyła jej Trawińska po cichu, bo sama dosyć odczuwała malarstwo.

– Ja lubię, żeby był glanc! Mnie jest wszystko jedno: landszaft, scena rodzajowa, mitologiczna czy historyczna, ja wszystko kupuję, bo my możemy sobie na to pozwolić, ale ja lubię, żeby moje obrazy miały glanc? To porządniej wygląda – tłumaczyła się głośno i tak szczerze, że Nina musiała przysłonić twarz wachlarzem, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Bernard, czy ja nie mam racji?

– Zupełną, bo się nadaje większą wartość obrazowi. Któż trzyma rondle w kuchni nie wyczyszczone i bez glancu?

– Mon cheri, ty się śmiejesz ze mnie, a ja się i tak przyznaję, że lubię, aby wszystko wyglądało porządnie, nowo...

– Wiem, bo dlatego kazałaś poczyścić pomadką stare zbroje i chińskie brązowe figurki.

Róża roześmiała się z tych objaśnień i żeby zatrzeć ten śmiech zawołała:

– Idę ojca przyprowadzić do obrazu. I poszła zaraz do bufetu, gdzie Szaja siedział z Mullerem, i prosiła go, żeby szedł.

– Po co mi taka ekspozycja! Mnie tu jest dobrze z panem Mullerem. Ja morze znam, co to jest za wielkie widowisko? Trochę większa

sadzawka od mojej, jaką kazałem wykopać w moich dobrach. Kipman, ja cię kiedy zaproszę do moich majątków ziemskich! – zwrócił się do starego przyjaciela, który siedział przy bufecie.

– Jakże się panu wydała moja bratowa? – pytał Bernard Borowieckiego.

– Bądź co bądź wyjątkowa kobieta. Kupuje obrazy, zbiera galerię.

– Aby się nią chwalić. Ta galeria wynosi ją we własnym mniemaniu ponad tę ordynarną, ciemną masę milionów. To kwestia nie potrzeby, zamiłowania, sztuki, a wprost ambicji.

– Mniejsza o powody, bo czy są takie lub inne, zgromadziły zawsze dosyć pokaźną liczbę dzieł istotnie wartościowych.

– Ach, bratowa ma swój system. Jeśli się jej jaki obraz podoba, to długo chodzi koło niego, wypytuje się znawców o jego wartość, targuje go wytrwale dopiero wtedy, gdy już wie, że kupiwszy go, nic na nim stracić nie może.

– Przyjdzie pan do hotelu? Kurowski ma być dzisiaj.

– Przyjdę, bo nie widziałem go ze dwa miesiące.

– Może mnie pan usprawiedliwi przed braterstwem, ale wyjść zaraz muszę.

Uścisnął mu rękę i wyszedł niepostrzeżony.

Mrok już zalewał miasto, zapalano latarnie i wystawy sklepów, gdy się znalazł na Piotrkowskiej.

Odetchnął z pewną ulgą na powietrzu.

Nie opuścił salonu Endelmanów zaraz po wyjściu Likiertowej, żeby nie zwrócono na to uwagi i nie zrobiono nowych plotek, które i tak dosyć szarpały imię Emmy.

Nudził się piekielnie, bo ani go nie obchodziło towarzystwo, ani produkcje koncertantów, ani obraz nowy.

Był jeszcze ogłuszony tą dziwną rozmową z Emmą i jej ostatnimi słowami.

Nie mógł zrozumieć własnego stanu, bo nigdy przedtem nie czuł się tak bardzo zdenerwowanym i dotkniętym.

– Pogardza i nienawidzi! – myślał i bolała go ta pogarda i nienawiść coraz silniej.

## XII

Pod drzwiami mieszkania, na trotuarze, czekała na niego kobieta z czworgiem dzieci, ta sama, która wciąż się starała o wynagrodzenie za śmierć męża.

– Wielmożny panie! a to z pokorną prośbą przyszedłam – błagała rzucając mu się do nóg.

– Czego chcecie? – zapytał osi co.

– A to wedle tego, co wielmożny pan mi obiecali, że fabryka zapłaci mi za to, co maszyna mojego rozerwała.

– A, to Michalakowa? – zapytał łagodniej, patrząc na jej czerwone oczy i twarz wynędzniałą i siną, przejeżdżoną przez nędzę.

– Michalakowa, juści ta sama, co już ode żniw...

– Mają wam zapłacić dwieście rubli. Trzeba wam iść do pana Bauera, bo on wam zapłaci i tam u niego jest cała sprawa.

– Byłam jako i dzisia u tego Niemca, ale ten zapowietrzony kazał me ze schodów ściepnąć i pedział przez lokaja, że me wsadzi do kryminału, kiej go będę nachodziła, jak un ma swoje święto. Ażebyś zmarniał, psubracie, za moje siroctwo i poniewierkę.

– W poniedziałek przyjdźcie do kantoru pana Bucholca, to wam wypłacą. Zaczekajcie jeszcze ten dzień.

– Adyc ja czekam, wielmożny panie: lato zeszło, kopania zeszły, twarda zima zesza i wiosna nadchodzi, a ja czekam, wielmożny panie. Bieda me z dzieciami żyre kiej ten zły zwirz, a znikąd poratowania ni ma, jaże mi już mocy i pomysłunku brakuje do ścierpienia. A jak me wielmożny pan, nasz dziedzic i ociec kochany, nie poratuje, to już pewnikiem zmarniejemy.

Zaczeła płakać cicho i z rozpaczliwą bezradnością patrzyła mu w oczy.

– Przyjdźcie w poniedziałek, jak wam powiedziałem – szepnął i wszedł do mieszkania, polecając Mateuszowi zanieść tej kobiecie rubla.

– To ona jeszcze jest? Wyrzuciłem ją z sieni już trzy razy, a ta jak suka wraca pode drzwi i skomle ze swoimi szczeniętami. Ni ma co, ino ją trzeba sprać.

– Dasz jej pieniądze i ani ją tkniesz palcem, słyszysz! – krzyknął podrażniony, wchodząc do pokoju.

Maks z fajką w zębach leżał na otomanie, a Murray, ubrany czarno, z bardzo wzruszoną twarzą siedział przy nim i słodko patrzył w dno kapelusza, który trzymał w ręku.

Szczęka latała mu szybciej niż zwykle, bo przeżuwał ustawicznie i podrzucał garbem tak często, że pół surduta wjechało mu aż na kark.

Karol kiwnął im tylko głową i poszedł do swojego pokoju.

Uporządkował papiery na biurku, poprawiał kwiaty w wazonach, przyglądał się długo fotografii Anki, otworzył list czekający na niego, ale nie czytał, odłożył i zaczął chodzić, przysiąść na wszystkich krzesłach, wyglądać przez okno.

Był jak człowiek ugodzony w samo serce, który nie może zdać sobie sprawy z własnego stanu i chwieje się na wszystkie strony, bezwiednie poszukując równowagi i zaczepienia się myślą o co bądź.

Nie mógł się pozbyć tej gryzącej pamięci słów Emmy.

Usiadł wreszcie przed oknem i zapatrzył się bezmyślnie w resztki dnia, jakie gasły z ostatnimi zorzami nad miastem.

Mętna, brudna szarość zalewała pokój i przynosiła ze sobą nudę i zniechęcenie, jakie zaczynał teraz czuć.

Nie dał zapalać lamp, siedział w ciemności i słuchał gwarów usypiających ulicy.

Głos Maksa rzadko się rozlegał, a natomiast coraz wyraźniej słyszał przyduszony, głuchy szept Anglika, który mówił:

– Co pan chce! Pies się przyzwyczajają do własnej budy. Wie pan, jak idę do Smolińskich, to mnie ogarnia takie dziwne ciepło, taki spokój, tak mi tam dobrze, jasno, wesoło, że potem ze strachem myślę, że przecież muszę powrócić do siebie, do pustych ścian, do ciemnego, zimnego mieszkania. Już mi tak zbrzydło kawalerstwo, że dzisiaj właśnie postanowiłem...

– Oświadczyć się... a który to raz z rzędu – mrucał Maks.

– Tak, oświadczę się i zaraz po Wielkiejnocy ślub. W czerwcu wezmę urlop i zawiozę żonę do Anglii, do rodziny. Ach, jaka ona była dzisiaj śliczna w kościele! – zawołał.

– Któż to ta ona, wybrana?

– Dowiesz się pan jutro.

– Niemka, Żydówka, Polka? – badał Maks zaciekawiony.

– Polka.



– Jeśli katoliczka, to nie pójdzie za pana, bo one się swojej religii trzymają z uporem pijanych.

– Nic nie szkodzi, bo ja się panu przyznam po cichu, że zaraz, skoro tylko zostanę narzeczonym, przejdę na katolicyzm. Mnie jest wszystko jedno, bo i tak moją religią jest miłość.

– Jak teraz, to tylko żona.

– Tylko żonę można kochać i szanować, tylko żony godne są uwielbienia.

– Immer langsam voran, langsam! jeszcześ pan nie był żonatym, spróbuj pan pierwej, Borowiecki przerwał im rozmowę.

– Maks, przyjdiesz do Kurowskiego?

– Przyjdę. A ty już wychodzisz?

– Tak, do widzenia, Murray.

– Pójdę razem z panem.

Obciągnął szybko surdut, pożegnał się i zaraz wyszli.

W tej stronie Piotrkowskiej, pomiędzy Rynkiem Geyera a Ewangelicką, dosyć pusto było na trotuarach i cicho.

Niskie, parterowe domy patrzyły na ulicę oświetlonymi oknami, przez które widać było doskonale wnętrza mieszkań.

Borowiecki milczał, a Murray ciekawie zaglądał przez okna i co chwila przystawał.

– Spójrz pan, jak to ładnie wygląda! – zawołał przystając przy jednym, przez które, lekko przysłonięte, widać było duży pokój: stół na środku, oświetlony wiszącą lampą, obsiadła rodzina.

Czerwony papa, obwiązany serwetką, nalewał z dymiącej wazy zupę na talerze dzieci, które łakomymi oczami mierzyły ruchy ojca.

Matka, tęga Niemka o jasnej, uśmiechniętej twarzy, obwiązana niebieskim fartuchem, rozstawiała talerze przed starą siwą kobietą i starym mężczyzną, który wytrząsał fajkę do popielniczki i opowiadał coś głośno.

– Im musi być bardzo dobrze – szepnął Murray, zazdrośnie obejmując oczami tą zwykłą scenę.

– Tak, jest im ciepło, mają apetyt i obiad na stole – szepnął niechętnie Karol i przyśpieszył tak kroku, że Anglik pozostał w tyle i włókł się wolno, przyglądając się wszystkim oświetlonym oknom.

Był chory na silną nostalgię rodziny i miłości.

Borowiecki zmieszał się z tłumem robotników, wylewających się z bocznych ulic i napełniających trotuary Piotrkowskiej, i płynął z nim bezmyślnie.

Do Kurowskiego było jeszcze za wcześnie, do knajpy żadnej ochoty nie czuł, z domu wypędziła go nuda, więc się włókł ulicą nie wiedząc, co zrobić ze sobą i z kilku godzinami czasu.

Skręcił w ulicę Benedykta i wszedł na Spacerową, jako cichszą i bardziej ciemną. Chodził z jednego końca alei w drugi i zawracał.

Chodził wprost po to, aby się zmęczyć, aby fizycznym wysiłkiem przyciszyć te dziwne głosy jakby sumienia, które się budziły w nim i rozdrażniały go coraz boleśniej, i przechodziły następnie w głuchy jeszcze, nieuświadomiony żal do Emmy.

Zaczął na nowo rozmyślać nad tym stosunkiem, zerwanym tak brutalnie i nieludzko, i który ona dzisiaj przekreśliła pogardą pełną nienawiści.

Nie był młodzieńcem niedoświadczonym ani sentymentalnym, nie był zbyt skorym do odczuwania niedoli ludzkiej, a pomimo to gryzła go świadomość, że wyrządził wielką krzywdę.

A poza tym, kiedy sobie przypominał jej dawne pocałunki, jej miłość i szlachetność, to wszystko, czego pamięć wobec niej, tam u Endelmanów, nie potrafiła przyspieszyć krążenia krwi – teraz, w takim zdenerwowaniu, przepalało go jakimś upartym, mocnym pragnieniem.

Zaprzagnął znowu jej miłości.

Nie mógł znieść spokojnie tej myśli, że się rozstali na zawsze, że nigdy już nie ucałuje jej ust, nie zobaczy tej dumnej głowy w swoich ramionach.

Tak go oszałamiała ta myśl, że kilkakrotnie szedł już ku jej domowi i z denerwującym biciem serca myślał o okrzyku, z jakim go przywita. Pamiętał dawne czasy.

Ale nie poszedł, wracał znowu na ulicę.

Byłby się musiał usprawiedliwiać, a usprawiedliwiać się nie miał czym.

A potem gryzł go jakiś wstyd, bo dobrze pamiętał przysięgi i te zapewnienia wiecznej miłości, jakie jej składał tak niedawno jeszcze...

Wstyd było mu również tego rozmazgajenia, jakie czuł w tej chwili.

Wziął się przecież w garść rozumu i zimnego handlowego rozsądku, popełniał wiele rzeczy złych umyślnie, zasklepiął się w sobie umyślnie i opancerzał serce egoistycznymi sofizmatami.

Wyrzucał stale z budżetu swojego życia wszystko, co tylko nosiło ślad jakikolwiek uczucia, porywu bezwiednego, interesu ogólniejszej

natury – wszystko, co mogło przeszkodzić mu do zrobienia majątku i do spokojnego nasycania się życiem.

Spekulował na zimno, uwodził kobiety na zimno, bo wypadały mu taniej niż płatne kochanki, żenił się prawie na zimno, wszystko obliczał i tak się trenował dobrze, że chwilami czuł, że jest nowym, innym człowiekiem, że wyniesione z domu, ze szkół, ze społeczeństwa popędy, aspiracje i wierzenia – zagasły w nim zupełnie.

Zdawało mu się tylko, bo przyszło coś, taka choćby pogarda kobiety kiedyś kochanej, takie jedno nic, które swoją potęgą niewytłumaczoną skojarzeń zbudziło w nim na nowo tak starannie pogrzebane światy.

Patrzył teraz z trwogą, że jednak nie zdołał utopić całej duszy w interesach, w fabryce, w takiej ściśle egoistycznej egzystencji, że duszę ma pełną tych mar, które się zbudziły i potężniejsze niż dawniej dopominały się o swoje prawa.

Jakby pierwsza młodość się w nim zbudziła spod popiołów tego mechanicznego łódzkiego życia, młodość ze wszystkimi wierzeniami i złudzeniami. Poczł jakiś mocny głód wrażeń.

Samotność mu zaciążyła.

Poszedł spieszenie do „kolonii”, ale tam prócz służącej nie zastał nikogo.

Służąca go zapewniała, że panie zaraz przyjdą, ponieważ niedługo zaczną się schodzić zwykli niedzielni goście,

– A gdzie panna Kama?

– W salonie. Niedawno słyszałam Picola, to tam być musi i panna Karna.

Jakoż znalazł Karne, śpiącą na kozetce. Picolo zawarczał cicho na intruza, ale poznawszy go, schował biały kudłaty łeb w jej włosy i zamilkł.

Kama spała na wznak, z rękami pod głową. Przez otwarte drzwi z przedpokoju oblewało ją światło i złościło jej dziecinną, zarumienioną twarzyczkę, otoczoną pierścionkami czarnych włosów pozakręcanych w białe szpilki.

Wyszedł po cichu, aby jej nie zbudzić.

– Nie mam nawet gdzie pójść – myślał, bo chociaż pamiętał, że obiecał być dzisiaj o zmroku u Lucy, nie poszedł.

Teraz, gdy miał tak rozmiękczoną duszę melancholijnymi przypomnieniami Emmy i tak pełną przeróżnych drgań, Lucy była mu wyrzutem sumienia.

Gniewała go swoją ordynarnością i głupotą. Nie mógł się w niej teraz dopatrzeć ani jednej z tych zalet, jakie jeszcze wczoraj widział.

I na pewno, gdyby mógł mówić o niej w tej chwili, toby ją odsądził od wszystkiego, aby tym sposobem usprawiedliwić się przed sobą i uspokoić nieco roztrzęsione nerwy.

Nie namyślając się już poszedł do hotelu, do Kurowskiego, z którym się kilka tygodni nie widział.

– Pan Kurowski? – zapytał na pierwszym piętrze posługacza.

– Zaraz się dowiem, czy wstał. Powrócił za chwilę, prosząc za sobą.

– Karol? – zapytał silny, dźwięczny głos z drugiego pokoju.

– Tak, śpisz jeszcze?

– Niezupełnie. Bądź łaskaw przejść do saloniku, za dwie minuty przyjdę.

Borowiecki czekał dosyć niecierpliwie, spacerując po niewielkim, bardzo wykwintnie umeblowanym saloniku.

Kurowski, prócz mieszkania przy swojej fabryce w jednej z podmiejskich wsi, miał w tym hotelu drugie, łódzkie mieszkanie, do „dyskretnych funkcji”, jak mówił.

Przyjeżdżał co sobotę i zwykle wieczorem przyjmował grono dobrych znajomych, pił z nimi, gadał i grywał w karty; przez niedzielę całą spał i wieczorem jechał do domu, znikając na cały tydzień.

Życie podobne prowadził od lat kilku.

Nie miał zupełnie przyjaciół, chociaż z bliskimi, których przyjmował, był na ty.

Był to dziwny egzemplarz wykołojonego, który przywarł do powierzchni tej „ziemi obiecanej”, zaaklimatyzował się o tyle, że robił pieniądze i zerwał ze światem, z którego wyszedł.

Niewiele wiedziano o nim.

Przed dziesięciu laty zjawił się na bruku łódzkim z resztkami wielkiej fortuny, którą stracił podobno z dobrym humorem. Założył fabrykę z jakimś aferzystą ciemnego gatunku i po roku wyszedł z niej bez grosza. Potem usiłował sam coś robić, również bez powodzenia. A potem „uczył się pracować”, jak określał swój kilkoletni ciężki żywot, spędzony na podrzędnym stanowisku w fabryce Bucholca.

Założył w końcu znowu do spółki jakąś fabryczkę przetworów chemicznych, bo kończył kiedyś podobny wydział w Niemczech, i już nie zbankrutował, przeciwnie, pozostał sam, a wspólnik, jakiś eksobywatel, wyjechał do Warszawy starać się o miejsce przy tramwajach.

Fabryka rozwijała się z tym szalonym amerykańskim pośpiechem, jaki tylko w Łodzi widzieć można, popychana jego energią i niesłychanie wytrzymałą, rozumną administracją i gruntowną fachowością.

Nie zbankrutował, nie spalił się ani razu, nie oszukiwał, a szedł prędko do majątku. Postanowił go zdobyć i zdobywał szaloną pracą i wytrzymałością.

Poza tym był to dziwny człowiek.

Arystokrata do głębi, nienawidzący arystokracji; konserwatysta, fanatycznie wierzący w postępy wiedzy; wolnomyślny, a zajadły wielbiciel absolutyzmu;

katolik szczery, szczerzej jeszcze drwiący z wszelkich religii, wykwinny sybaryta nie cierpiący wszelkiego trudu, a równocześnie pracownik namiętny.

Drwił z wszystkich i ze wszystkiego, a miał współczujące serce dla każdej niedoli i wielki pobłażający rozum.

Była to paradoksalna sprzeczność, pokrywająca bardzo jednolitą, oryginalną jednostkę.

– Kurowski to jest polnische Misch-Masch! – określił kiedyś Bucholtz, który go bardzo poważał.

Borowiecki przystanął, bo zdawało mu się, że słyszy jakby głos kobiety i szelest sukien w pokoju Kurowskiego, ale przycichło zaraz i on sam wszedł.

Był jakiś niespokojny, przywitał się i usiadł przy stole z pewną niecierpliwością.

– Przyjdzie kto dzisiaj? – zapytał podnosząc na Karola orzechowe wielkie oczy.

– O ile wiem, to będą wszyscy. Nie widzieliśmy się całe trzy tygodnie.

– I tęskniliście, co? – rzucił niedbale.

Uśmiech przeleciał po jego twarzy.

– Chociażby dlatego, abyś mógł wątpić.

– Nie wątpię, bo musiałbym i wam to królewskie dostojęństwo myśli czasem przeznaczać. – A nie chcesz?

– Nie mogę jakoś. Pomińmy to, jesteś jakiś niewyraźny, masz wyraz twarzy zdradzonego po raz pierwszy męża.

– Czemuż nie wyraz chorego na niestrawność? – wykrzyknął Karol, dotknięty pewną prawdą, zamkniętą w tym określeniu.

– Jak chcesz! Czy oni na pewno przyjdą? – zapytał spoglądając na zegarek i ironiczne, złośliwe spojrzenie rzucił na kotarę, przysłaniającą drzwi sypialni, poza którą rozległ się bardzo delikatny szmer.

– Maks, Endelman i Kessier będą z pewnością, bo Maks się wyspał, a tamci dwaj wynudzili się porządnie na dzisiejszym przyjęciu Endelmanów.

– Dostałem zaproszenie! No i cóż, dużo było złotych cieląt?

– Doskonałe określenie, Bernard informował mnie szczegółowo o ich posagach, no i oglądaliśmy je po kolei, ale to wcale nie zajmujące widowisko, nie.

Trząśł głową melancholijnie, bo twarz Emmy stanęła przed nim i przypomniały mu się jej słowa,

– Trawińscy być mieli, bo on wczoraj był u mnie i mówił.

– A byli. On się nudził w tym żydowsko-niemieckim morzu, a ona robiła sensację swoją urodą i wykwintem. Była także i Smolińska.

– Była? To wypadek dnia. Jakże znajdujesz tę antyczną piękność?

– Że jest bardziej antyczną niż piękną.

– Masz rację, jej uroda ma więcej sławy niż piękności. Obmówili ją za odległej młodości, że jest piękną, i ta plotka kursuje z jednaką siłą przez szereg pokoleń.

Borowiecki skrzywił się tylko do uśmiechu i zamilkli.

– A jednak tobie coś jest?

– Dlaczego przez całe trzy tygodnie nie byłeś w Łodzi? – zapytał nie odpowiadając na pytanie.

– A, dlaczego? – zaczął podrzucać nóż i chwytać ze zrećznością zonglera. – Dlaczego? oto dlatego – obrócił się do niego ramieniem i pokazał lewą rękę na temblaku.

– Wypadek?

– Tak, dwa cale stali.

– Kiedy! – zapytał prędko, jakby z niedowierzaniem.

– Dwa tygodnie temu – odpowiedział ciszej i jego brwi czarne napięły się niby łuki nad oczami, świecącymi twardo i surowo.

Teraz dopiero Borowiecki spostrzegł jakąś chorobliwą zielonawą bladość jego twarzy i wpadnięte oczy.

– Kobieta? – rzucił więcej do siebie niż do niego.

– Nie znam ani jednej takiej, za którą bym poświęcił paznogieć! – powiedział prędko i zaczął niespokojnie gładzić czarne, mocno przereźdzone włosy i brodę również kruczo czarną, która mu zakrywała kołnierzyk i pół gorsu.

– Bo takich nie ma! Zupełnie nie ma! – zaczął gorąco Karol. – Są albo samice głupie, albo płacziwe sentymentalne gęsi; człowieka, pełnego człowieka pomiędzy nimi nie znalazłem.

Chciał za obecny swój nastrój mścić się na ogóle kobiet, ale Kurowski mu przerwał.

– Bo nie człowieczeństwa szukałeś w swoich kochankach – tylko miłości. Nie masz głosu w tej sprawie dotąd, dopóki nie przestaniesz pleść o nieczłowieczeństwie kobiet, dopóki nie przestaniesz traktować je jako zabawki, jako żer; dopóki patrzysz na kobiety przez pryzmat apetytu – tylko apetytu.

– Ciekawym, kto patrzy z nas na młode, piękne kobiety inaczej?

– A nie wiem, bo ja to nie – odpowiedział niedbale.

– A mnie z takiego samego powodu odbierasz prawo sądenia? – pytał podrażniony.

– A ty mi zabraniasz mówienia chociażby pozornych sprzeczności? Zaczął się śmiać.

– W takim razie po cóż się bawimy pustymi słowami!

– O tym właśnie myślę od początku, a ty dopiero po czterdziestu minutach przyszedłeś do tego samego.

– Bądź zdrow! – rzekł zirytowany Karol i szedł ku drzwiom, ale mu Kurowski zastąpił drogę bardzo żywo.

– Nie dziwacz, jesteś zirytowany na ludzi, a chcesz się odbijać na mnie. Zostań. Chciałbym, żeby nikt więcej dzisiaj nie przyszedł – dokończył.

Karol został; usiadł w fotelu i tępym wzrokiem zapatrzył się w światło kilkunastu świec, pozapalanych w wielkich srebrnych kandelabrach, bo Kurowski nie cierpiał w mieszkaniu gazu, nafty i elektryczności.

– Odwołaj, że dzisiaj nie przyjmujesz nikogo, ja zaraz wyjdę.

– Ba, odwołać muszę, ale chce mi się jednocześnie widzieć i tego łódzkiego Hamlecika, Bernarda, który nie tylko karykaturuje naśladownictwem moje słowa i definicje, ale i kolor moich skarpetek. Chciałbym również zobaczyć to mięso – Maksa, i tego wilka niemieckiego – Kesslera, nie mówię już o reszcie. Brakowało mi was przez ten czas.

– Nie miał cię kto bawić w chorobie?

– Istotnie, przyznam ci szczerze, że wy bywacie nieraz wysoce zabawni.

– Dobrze wiedzieć o tym, muszę ci w imieniu wszystkich podziękować za szczerość.

– A, trudno nie być szczerym – zawołał takim akcentem żartobliwym, że obaj spojrzawszy sobie w oczy uśmiechnęli się i zamilkli.

Kurowski poszedł do drugiego pokoju i powrócił za chwilę.

Karol spoglądał na niego i czuł jakąś niezwykłą potrzebę mówienia, wypowiedzenia się nawet choćby półsłówkami, a milczał, bo wobec jego zimnej twarzy i gryzącego ironią spojrzenia zamykał się w sobie i cofał pospiesznie w głąb, i siłą powstrzymywał wyrazy cisnące się na usta.

– Cóż twoja fabryka? – zapytał po pewnym czasie Kurowski.

– Sprawy stoją tak, jak ci objaśniałem w ostatnim liście. Za tydzień Moryc przyjedzie, to się zabierzemy do roboty.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że widziałem pannę Ankę w Warszawie.

– Nie wiedziałem nawet, że miała tam być.

– Po cóż się opowiadać miała? Chcesz, żeby się dla panien świat kończył na narzeczonych?

– Zdawało mi się, że powinien się kończyć na narzeczonych właśnie,

– Jeśli nie mają kochanków. A dlaczegoż to ty na tym nie poprzestajesz?

– Zabawne pytanie! Jesteś wyznawcą idei Bjornstjerna-Bjornsona. Wątpię, czy się to podoba twojej kochance.

– Aaa! – zaczął ziewać – mówimy o rzeczach, które mnie nic a nic nie obchodzą.

– Dzisiaj.

– Może i przez jutro jeszcze – zakończył niedbale dzwoniąc na garsona, któremu polecił nie puszczać dzisiaj nikogo do siebie i przynieść kolacyjną kartę.

Karol przeciągał się ociężałe i położył głowę na grzbiecie fotelu.

– Może kazać wnieść łóżko, co?

– Dziękuję ci, pójdę zaraz do domu. Jestem strasznie znużony i taka wstrętna apatia obwinęła mnie, że się czuję coraz bezsilniejszym.

– Każ się własnemu lokajowi wypoliczkować, to cię orzeźwi; jest to środek radykalny, bo apatia jest najstraszniejszym wrogiem życia.

– Nie odpisałeś mi, czy dajesz kredyt lub nie?



– Daję. Proszę cię, czemuś nie zameldował lokajowi, że przychodzisz z interesem, byłbym ci powiedział, że interesy załatwiam w kantorze, a tutaj przyjmuję tylko przyjaciół,

– Przepraszam cię, zapytałem się prawie bezwiednie. Nie dziw się temu, że jestem pochłonięty tą swoją fabryką. Chciałbym ją widzieć jak najprędzej w ruchu.

– Tak mocno pragniesz pieniędzy?

– Nie tyle co niezależności.

– Niezależność mają tylko nędzarze, bo już nawet i miliarderzy są jej pozbawieni. Człowiek posiadający rubla jest już niewolnikiem tegoż rubla.

– Paradoks!

– Rozważ, a przekonasz się.

– Być może, ale w każdym razie wolę być zależnym na sposób Bucholca od własnych milionów niż od pierwszego lepszego zubożonego parobka.

– To inna kwestia, bardziej praktyczna, ale patrząc szerzej, to zobaczymy, że ta niezależność jest złudzeniem absolutnym w ogólności, a niezależność poszczególna, niezależność ludzi bogatych jest niewolą. Przecież taki Knoll, Bucholc, Szaja, Muller i stu innych to najbardziej nędzni niewolnicy własnych fabryk, najmniej samodzielne mechanizmy, nic więcej. Znasz przecie życie fabrykantów i życie fabryk, to wiesz tak dobrze o tym jak i ja. Pomyśl, co za dziwna kombinacja rozwija się dzisiaj w świecie: człowiek ujarzmił potęgę przyrody, odkrył masę sił – i poszedł w pęta właśnie tych samych potęg. Człowiek stworzył maszynę, a maszyna człowieka zrobiła swoim niewolnikiem; maszyna będzie się rozrastać i potężnieć do nieskończoności i również wzrastać i potężnieć będzie niewola ludzka. Voila! Zwycięstwo kosztuje zawsze więcej niż przegrana! – Rozważ.

– Nie, bo musiałbym dojść do innych zupełnie wniosków.

– Ja mam gotowe, mogę ci je rozsunąć natychmiast, również będą logiczne.

– Dziwi mnie tylko, że sam tak ochotnie poszedłeś w niewolę swojej fabryki.

– Skąd wiesz, że ochotnie? czemu nie przypuszczasz konieczności, żelaznej konieczności, musu ohydneho!

Mówił prędko i ze złością, którą mu przyniosły te bolesne jakieś przypomnienia.

– Jesteś niekonsekwentny. Gdybym tak myślał i miał podobny do twojego kąpatrzenia na świat, to nie robiłbym nic, bo i po co?

– Żeby mieć pieniądze, dużo pieniędzy, tyle, ile mi potrzeba mieć, to pierwsza przyczyna, a druga jest ta, żeby rozmaite chamy niemieckie nie mogły powiedzieć: „Jedźcie do Monaco.” A potem chcę na tym gruncie szachrajstw zaszcześcić nieco cnoty – zakończył szyderczo.

– Aby ją tym lepiej sprzedawać?

– Cóż warta jest cnota, której dobrze sprzedać nie można?

– Tyś się ze swoją nie bardzo drożył – rzucił Karol przypomniawszy sobie ostatniego jego współnika, który ze spółki nie wyniósł ani grosza, pomimo że włożył w nią wiele.

– To podłe oszczerstwo! – krzyknął Kurowski gwałtownie uderzając krzesłem o podłogę.

Oczy mu rozblęły potężnym płomieniem, a twarz zadrgała gwałtownie ze wzruszenia, ale się wnet opanował, usiadł z powrotem, zapalił papierosa, pociągnął kilka razy, rzucił go i wyciągając rękę rzekł cicho:

– Przepraszam cię bardzo, jeśli cię dotknął.

– Wierzyłem trochę plotkom, bo sądziłem cię po łódzku, ale teraz wierzę tobie i nie gniewam się zupełnie, rozumiem, że mogło cię moje przypuszczenie zabołec.

– Nie okpiłem, bo sposobność nie była po temu i i nie miałem kogo – powiedział, ale pod tym cynizmem czuć było jeszcze wzburzenie wielkie.

Kazał sobie przynieść butelkę wina i pił szklanka po szklance.

– Szkoda, że nie żyłem sto lat temu – zaczął zwykłym tonem.

– Dlaczego?

– Byłbym się lepiej bawił na świecie. Sto lat temu było jeszcze dobrze. Istniały jeszcze potężne instynkty i potężne namiętności, jeśli byli zbrodniarze, to takiej miary jak Danton, Robespierre i Napoleon, jeśli byli zdrajcy, to tacy, którzy sprzedawali całe ludy, jeśli złodzieje, to tacy, którzy kradli państwa. A dzisiaj co? kieszonkowe złodziejstwo i zgniecie scyzorykiem w brzuch!

– I nie potrzebowałbyś w tamtej epoce fabrykować swoich chemikaliów.

– Miałbym robotę inną, pomagałbym Robespierrom ścinać łby Ży-rondzie i Dantonom, a Barrasom ścinać Robespierrow, żeby pozostałych kazać zatłuc kijami i wyrzucić psom.

– A w końcu? – zapytał Karol, niespokojnie patrząc na niego, bo mówił z zamkniętymi oczami i wyglądał na niezupełnie przytomnego.

– A w końcu pani Liberte, Fraternite, Egalite plunąłbym w oczy, bo jest nonsensem i śmierdzi,

a poszedłbym pomagać Wielkiemu oczyszczać świat z hołoty.

Karol zaczął się śmiać biorąc jednocześnie kapelusz.

– Dobranoc ci.

– Już idziesz? Dopiero siedzisz godzinę i pół.

– Liczyłeś tak ściśle?

– Ze strachem, żeby nie było więcej. No, dość tych głupstw. W przyszłą sobotę czekam cię, czekam was wszystkich.

– Mam zamiar być wtedy u narzeczonej.

– Poślij zastępcę, a sam pojedziesz w niedzielę. Liczę na ciebie z pewnością.

Karol szedł Piotrkowską, ale czuł się jeszcze więcej zdenerwowanym i znużonym niż przedtem.

Zyskał tylko to, że pozbył się tych jakichś ciemnych niepokojów i wyrzutów sumienia.

Jakieś resztki niedawnego nastroju miał jeszcze w duszy, ale co chwila zapominał o sobie, bo mu w mózgu dźwięczały paradoksalne wywody Kurowskiego, które również prędko przeżył.

Wracał do równowagi, bo zachciało mu się gwałtownie jeść. Więc wstąpił po drodze do „Victorii”.

W restauracji było prawie pusto z powodu przedstawienia w teatrze, które się niedawno zaczęło.

Garsoni drzemali w ciemnej sali od ulicy, a po dwóch pierwszych, oświetlonych, łąził Bum-Bum, poprawiał binokle obu rękami, trząsał w palce i przystawał co chwila, wpatrując się w światła wysadzonymi, martwymi oczami.

Przy bufecie stał wysoki, tęgi mężczyzna z bardzo małą spiczastą głową, pokrytą czarnym mchem włosów, maleńkie czarne punkciki, które stanowiły głęboko obsadzone oczy. świeciły mu z czerwonej twarzy, przeciętej tak szerokimi ustami o wywiniętych ergach, że były podobne do nalepionych sinych wałków waty.

Pochylił się nad bufetem, oblizywał świecące usta, wysysał co chwila wąsy, wycierał serwetką spiczastą czarną bródkę i szeptał do stojącego przy nim niskiego grubasa, który połykał prawie jakiś butersznit, ruszając przy tym wąsami, nosem, brwiami i wytrzeszczając zapłynięte tłuszczem oczy.

– Mój paneczku kochany, a może by tak koniaczek jeszcze raz, co? Niech no pani strzyknie, a potem tak kawioru, befsztyczek po tatarsku, co? Oby nam się dobrze działo!

Stuknęli się i wypili.

– Mój paneczku kochany, a tak przepowiedzieć sobie jeszcze do trzeciego razu, co?

Karol przeszedł do pokoju od podwórza i nim mu podali jeść, przeglądając zaczął ostatnie gazety.

Przyszedł zaraz za nim Bum-Bum, szedł zygzakowato, nogi mu ostro wyskakiwały i drgały tabetycznie, a binokle co chwila opadały na piersi.

– Dobry wieczór! Z dyrektora rzadki gość! – bełkotał jakoś niewyraźnie i rybie martwe oczy nastawiał na niego.

– Mieszkam daleko – odpowiedział krótko, przysyłając się gazetą, aby się go prędzej pozbyć. – Co to? – zapytał prędko, odsuwając się mimowolnie, bo Bum-Bum nachylił się nad nim.

– A, niebieskie nitki ma dyrektor na ramionach i plecach, o!

Zaczął z niego ściągać ruchem takim, jakby te nici były nieskończonej długości.

Borowiecki przejrzał się w lustrze, ale nie zobaczył nic.

– Wszyscy dzisiaj tak jakoś oplątani... – bełkotał Bum-Bum. – Ma pan jeszcze na plecach!

I znowu snuł z niego te urojone jakieś nici, motał je w rękach, rzucał na podłogę i snuł dalej, poruszając się automatycznie, zapatrzony wzrokiem, który nic nie widział, w te zwoje błękitnych włókien, jakimi był osnuty Borowiecki, który zniecierpliwiony zadzwonił na garsona wskazując głową Bum-Buma.

Garson ujął go pod ramię i odprowadził.

Bum-Bum nie stawiał oporu, szedł jak senny, tylko zaczął z niego zdejmować nici całymi garściami i rzucać na ziemię.

Na Borowieckim zrobiła ta scena tak przykre wrażenie, że z pośpiechem zjadł i wyniósł się; w bufecie Bum-Buma już nie zastał, był tylko ten wysoki, siedział przy stole, głośno mlaskał językiem i z kawałkiem befsztyku w zębach gadał.

– Ręka rękę... tego, uważa paneczek kochany! O ile się da... o tyle się zrobi.

Gruby nie odpowiadał, bo miał usta zapchane mięsem, tylko jeszcze szybciej poruszał twarzą,

Na rogu pasażu Meyera pod latarnią Borowiecki znowu spostrzegł Bum-Buma, szedł wolno i snuł dalej tę urojoną przędzę, snuł z latarni, z przechodniów, z domu; z powietrza łapał nad głową, bo mu się zdawało, że cała ulica jest zasnuta niby pajęczyną, więc ją rwał, ściągał i jakby się przedzierał przez nią.

– Delirium tremens – szepnął Karol z politowaniem i pojechał do domu; obiecywał sobie, że zaraz pójdzie spać i wyśpi się za wszystkie czasy.

Mateusz grał na harmonijce, a w ciemnej, długiej sieni kilka sług z domów sąsiednich walcowało z zapalem.

Przerwał im tę zabawę zabierając Mateusza do mieszkania.

Maksa Bauma już nie było, pozostał tylko po nim szumiący jeszcze samowar.

Kazał posłać łóżko, zapowiadając, żeby w sieni było cicho, bo zaraz po herbacie pójdzie spać.

Nie poszedł jednak, bo gdy go owionęła cisza mieszkania, wtedy go schwycił taki ostry spazm nudy, że nie wiedział, co ma z sobą zrobić.

Rozebrał się, ale spać nie poszedł, zaczął przeglądać jakieś papiery i rzucił je z niechęcią na stół, zajrzał do Maksa pokoju – ciemny był i wionął pustką.

Popatrzył na ulicę cichą i usypiającą już po świątecznym ruchu.

W całym domu panowała cisza przygnębiająca, a z każdego kąta mieszkania wyłaziła nuda i pustka.

Nie mógł już dłużej wytrzymać w tej samotności pospiesznie się ubrał i nie pamiętając już ani o niedawnych zgryzotach z powodu Emmy i postanowie niach życia inaczej, pojechał do Lucy.

### XIII

Po południu na drugi dzień Borowiecki, rzeźwy, wyświeżony, spokojny zupełnie po wczorajszej burzy, która przeszła nie zostawiając w nim innego śladu nad drwiący uśmiech z samego siebie, podobny jasnością i humorem do tego dnia niedzielnego, jaki zatopił Łódź w słonecznych blaskach, ciepłe i radości nadchodzącej wiosny, wybierał się z wizytą do Mullerów.

Szykował się do niej tak starannie, że Maks mruknął niechętnie:

– Komediodowy amant!

Ale Maks nie był dzisiaj w dobrym humorze. Przyszedł do domu późno, wstał jeszcze później, bo o drugiej po południu, i łaził po mieszkaniu w pantoflach, zaglądał we wszystkie kąty, próbował się ubierać, ale wszystko mu było niedogodnym, więc zarzucił cały pokój bielizną i garderobą, kopiąc je ze złości i wymyślając co chwila na Mateusza, to na prачkę, że mu przypaliła kołnierzyki, to znowu zaczął irytować się na szewca, który mu reperował kamaszki i pozostawiał w środku ostre końce szpilek; tak zapewniał o tym Mateusza, który się zaklinał na wszystkie świętości mu znane, że to nieprawda, że kamaszki w środku są gładkie jak aksamit.

– Ani kruszyny nie ma, ani tylego ździebdiu!

– Małpa zielona jesteś, mnie najwyraźniej kole, a ten gada, że nic nie ma!

– Wsadziłem palec, nic nie czuję, potem całą rękę i tyż nie ma.

– To ozorem pomacaj, to odczujesz tak samo jak ja nogą! – krzyzczał wyrrywając mu but.

– Hale, ja ta ni mam ozora w tym samym miejscu co pan – rzekł z gniewem famulus i wyniósł się trzaskając drzwiami.

Maks poszedł do okna i tam pod światło skrobał w bucie pogrzebaczem.

– Po czym ty masz taki katzenjamer złości? – zagadnął go Borowiecki wciągając rękawiczki.

– Po czym? Już mnie diabli biorą ze wszystkiego. Wczoraj zmarnowałem sobie wieczór przez Kurowskiego. Był, a nie przyjmował u siebie, bo przyjmował jakaś... małpę! Poszedłem do domu już zły, a

tam przy kolacji uraczyłem się na dobre! Niech jasne pioruny spalą wszystkie buty i wszystkich szewców!

Trzasnął kamaszką o podłogę, pogrzebacz rzucił pod piec i zaczął się szybko rozbierać.

– Co robisz?

– Idę spać – powiedział ponuro. – Niech diabli wszystko wezmą, tu buta włożyć nie mogę, bo kłuje, ta klempa popaliła mi kołnierzyki, w domu piekło, tego już za wiele. Mateusz! – ryknął pełną pierśią. – Jakby kto do mnie przychodził, to mnie dzisiaj nie było i nie ma, słyszysz?

– To się wie, a jakby ta... jak się nazywa, panna Antka przyszła?

– To ją wyrzuć, a jak mnie obudzisz, to ci łeb przekręcę na drugą stronę i taką watę ci z pyska zrobię, że cię rodzona kochanka nie pozna. Telefon zaknebluj, przynieś samowar i wszystkie dzienniki.

– Cóż się u was stało? – zapytał Karol, zupełnie nie zdziwiony jego sposobem przepędzania świąt i niedziel, bo się to zdarzało zbyt często.

– Co? Od jutra zmniejszamy dzień roboczy o dwadzieścia pięć procent. Sezon zupełnie martwy, nic się nie sprzedaje, magazyn zawalony, weksli nie płacą, a w dodatku ojciec zamiast dawno zmniejszyć ilość godzin roboczych lub oddalić z połowę robotników, płacze, że ci biedacy nie będą mieli co jeść, i żyruje rozmaitym łajdakom weksle. Za rok sam nie będzie miał co jeść. Niech sobie zdycha, jeśli mu się tak podoba, ale po co ja mam na tym cierpieć!

– Połowa fabryk zmniejsza płacę, oddała robotników i ogranicza produkcję. Słyszałem wczoraj u Endelmanów, rozprawiano dosyć szeroko.

– Niech ich diabli wezmą wszystkich razem, co mnie to obchodzi, ja tylko nie chcę, żeby mnie wzięli, i żebym spokojnie mógł spać!

Wsunął się pod kołdrę, wykręcił twarzą do ściany i sapał głośno z irytacji.

– Ojciec musi być bardzo zmartwiony, żal mi go bardzo.

– Nie gadaj mi o nim, bom taki zły, że oddałbym go każdemu za darmo! – zawołał siadając gwałtownie na łóżku. – Stary niedołęga! robi sam jak ostatni robotnik, zamęcza się, odmawia sobie nawet tego, że w tym roku nie pojedzie do Ems, chociaż doktor radził mu jechać i nawet nakazywał; robi bokami tak, że mu już wszystkie warsztaty staną niedługo, a tu wczoraj przyjeżdża mąż Berty, ten miły Fryc Wehr, i jak zaczął go podchodzić, tak stary wyciągnął prawie ostatnie pieniądze i dał łajdakowi, a potem matce mówi, że się czuje tak dobrze, iż już nie pojedzie do wód. Już nie wiem, co się stanie z nami, bo straciłem na-

dzieję uratowania firmy. Dorobił się tyle na swojej uczciwości, że po czterdziestu latach roboty, jak teraz umrze, to będę go musiał pochować za swoje pieniądze.

– Za wcześniej o tym mówisz, będzie się jeszcze trzymał długo.

– Fabryka nie wytrzyma roku, musi zdechnąć, bo paszy zbraknie, a jak fabryka klapnie, to stary jej nie przeżyje! Zdechnie z nią razem, ja go znam dobrze. A kto się uparł ręczną fabryką wytrzymać konkurencję z parą, tego można od razu posłać do domu wariatów.

– Rzeczywiście, jest to maniactwo tak dziwne, że aż śmieszne.

– To jest śmieszne dla obcych, ale dla nas to maniactwo jest tragiczne, a szczególnie teraz, kiedy cała Łódź się trzęsie, kiedy mocne nawet firmy kładą się jak zboże, kiedy bankructwami całe miasto śmierdzi, kiedy już nie wiadomo komu dać kredyt, a komu nie dać, bo wszyscy zarywa ją. Jak ty myślisz, czym my od paru lat żyjemy? już nie kołdrami ani kapami, bo te już naśladuje Zuker i sprzedaje o pięćdziesiąt procent taniej, żyjemy tymi czerwonymi płócienkami, żyjemy czerwonym kolorem, którego jeszcze dzisiaj nikt nie potrafi naśladować. Tylko ten towar idzie jako tako, ale on jest taki drogi, że gdyby szedł najlepiej, żeby się sprzedawało wszystko, co tylko zrobić można, to się zarobi na tym dziesięć procent. Ja mam już tak dosyć tego kramarstwa, że jak ty prędko nie zajmiesz się fabryką, to sam, chociaż nic nie mam, założę i plunę na wszystko. Zbankrutuję, to zbankrutuję, ale będę przynajmniej coś robił!

Położył się znowu, okręcił kołdrą po uszy i milczał.

– Sezon jest zły, bankructwa są na porządku dziennym, ogólnie zmniejszają produkcję wszyscy z wyjątkiem trzech, może czterech wielkich fabryk, które mają za co przeżyć kryzys; jest nawet źle, ale już są widoki poprawienia się interesów. Ostatnie urzędowe zawiadomienia głoszą, że w całej Rosji oziminy jesienią doskonałe, zimę przetrzymały świetnie i zapowiadają się doskonale. Jeśli wiosna nie zawiedzie, jeśli urodzaje będą dobre przez dwa lub trzy lata, a ceny na zboże nie spadną w tym czasie, czego się nawet nie przewiduje z powodu wyczerpania zapasów u nas i za granicą i z powodu nieurodzajów indyjsko-amerykańskich, to nasz rynek koło jesieni zacznie się ożywiać. Jest jeszcze jedna przyczyna, dlaczego musi być lepiej w przemyśle tkackim: oto rozpoczęcie olbrzymich państwowych robót, które pochłoną setki milionów i zajmą dziesiątki tysięcy rąk obecnie bezczynnych! Słyszysz, Maks!



– Słyszę, ale powiem waszym przysłowiem: Patyczki strużą, a ptaszki jeszcze w lesie.

Karol nic się na to nie odezwał, tylko włożył palto i pojechał do Mullerów.

Na Piotrkowskiej spostrzegł Kozłowskiego, który po całych dniach włóczył się po mieście.

Stał jak zwykle w baletowym pas, z cylindrem na tyle głowy, który co chwila zsuwał na czoło gałką laski i odsuwał, rozmawiał z dyrektorem teatru, który w baraniej siwej czapce, z jasnym zawieszistym wąsem i orlim nosem miał minę atamana koszowego.

Odkłonił im się spiesznie i nie zważając na znaki

Kozłowskiego, chcącego zatrzymać dorożkę, pojechał dalej.

Mullerowie mieszkali za gmachami swojej fabryki, oddzielonej ogrodami od mieszkania, wychodzącego na inną ulicę.

Ulica była mało zabudowana i zaraz prawie za ich domem wychodziła w pola, ale pomimo to była już uregulowaną, miała bruk, trotuary i gazowe oświetlenie z tego powodu, że kilku fabrykantów miało tutaj swoje mieszkania.

W oknie niskiego parterowego domu, przyciśniętego bokiem do piętrowego pałacyku, zażółciła się na

chwilę pomiędzy masą kwiatów twarz Mady i zniknęła.

W przedpokoju zastał Mullerową, która mu otwierała drzwi i niemal chciała pomagać przy zdejmowaniu palta.

Była tak zakłopotana i onieśmielona, że tylko ruchem ręki zaprosiła go do pokoju.

– Mąż w kantorze, a Mada zaraz przyjdzie, niech pan siada! – zaczęła przysuwając mu fotel, na którym położyła jedwabną czerwoną poduszkę.

Zaczął rozmawiać, ale pomimo że mówił o najbanalniejszych rzeczach, o pogodzie, wiośnie, a nawet o drożyznie na targach, Mullerowa nie dała się wywieść z cierpliwego milczenia.

– Ja, ja! – odpowiadała wygładzając niebieski fartuch, jakim była okryta, i podnosiła na niego blade, wypełzłe przy ognisku kuchennym oczy, poruszające się ciężko w pomarszczonej, martwej twarzy.

Miała na sobie jakiś barchanowy w kratkę kaftan i chustkę wełnianą na głowie, zawiązaną pod brodę.

Wyglądała jak stara kucharka, bo nawet jakiś zapach rosółów i frytur otaczał ją i rozlewał się po pokoju.

Najlepiej się przeto czuła w kuchni z pończochą w rękę, która teraz wyglądała z kieszeni fartucha,

– Jakże pani zdrowie? – zapytał w końcu z rozpaczą.

– Dobrze, bardzo dobrze – odpowiadała złą polszczyzną i spoglądała niecierpliwie na drzwi, którymi miała wejść Mada.

– A pana żona i dziecka? – zapytała po długim namyśle.

– Jestem jeszcze kawalerem, łaskawa pani,

– Ja, ja! i mój Wilhelm jeszcze kawaler. Pan zna moja Wilhelma?

– Mam przyjemność go znać. Czy już wyjechał?

– Ja, do Berlina – odpowiedziała z westchnieniem i byłaby się powoli może rozgadała, ale Mada weszła i tak promieniejąca zadowoleniem, że stara popatrzyła na nią, obciągnęła jej stanik i wyszła.

– Widzi pani, że czasami umiem dotrzymać słowa.

Podał jej długi spis książek, jaki mu zrobił Horn, który z literaturą był w bliższych stosunkach.

– A było panu bardzo trudno? – zagadnęła akcentując słowa na ostatnich literach.

– Było mi bardzo łatwo, ponieważ pani sobie tego życzyła.

– Pan nie kłamie? – zapytała naiwnie.

– Nie, nie! – odpowiedział z uśmiechem. – Pani myśli, że mężczyźni zawsze kłamią!

– Ja nie wiem. tylko Wilhelm to zawsze kłamie. Ja mu nic a nic nie wierzę.

– Ale mnie pani wierzyć będzie? Zaczynał się bawić tą rozmową.

– A, jak pan nigdy nie skłamię, to będę wierzyć.

– Obiecuję pani to solennie.

– Dobrze. Wie pan, a tamte książki ciocia mi przywiozła i już czytam.

– Bardzo panią zajmują?

– Takie są tam ładne wzruszające kawałki, że płakałyśmy razem z mamą. Ojciec się z nas śmiał, ale musiałam mu wczoraj czytać cały wieczór.

– Późno pani powróciła od państwa Endelmanów?

– Już było ciemno. Widziałam, jak pan wychodził z salonu.

– Musiałem wcześniej wyjść i bardzo żałowałem tego.

– Bardzo ładnie jest u Endelmanów i tak wspaniale przyjmowali.

– Żałowałem, że nie mogłem porozmawiać dłużej z panią.

– Ale ja za to mówiłam o panu z panią Trawińską.

– I bardzo mnie panie obmawiały?

- O nie, nie! To tylko panowie nas obmawiają.
- Przekonała się pani o tym?
- Zawsze, jak Wilhelm powraca z wizyt i wieczorów, to przychodzi do mnie opowiadać i wykpiwać ze wszystkich kobiet.
- I myśli pani, że wszyscy mężczyźni tak robią?
- Jak pan powie, że nie wszyscy, to ja panu będę wierzyć! – zawołała prędko, rumieniąc się gwałtownie.
- Zapewniam panią, że nie wszyscy.

I tak dalej toczyła się rozmowa w tonie naiwnego szczebiotu o niczym, aż go znudziła, i zaczął oglądać kwiaty, bardzo starannie hodowane i przysłaniające szyby okien.

Chwalił je gorąco.

- Powiem Gotliebowi, to jemu będzie przyjemnie. – Któż to taki?
- Nasz ogrodnik. Pan Storch nie lubi kwiatów i powiada, że jakby w tych doniczkach posadził kartofle, to byłoby więcej pożytku, ale pan Storch jest głupi, prawda?

– Pewnie, że tak jest, skoro pani mówi.

Bawił się coraz lepiej, a później, gdy się ośmieliła więcej i rumieńce coraz mniej ją kłopotwały swoją czerwonością, rozmawiała tak rezolutnie, że spoglądał na nią z pewnym zdziwieniem.

Brakowało jej znajomości wielu form towarzyskich, bo ojciec był za świeżym milionerem i wychowywała się pomiędzy kuchnią a fabryką, w prostym otoczeniu webrów, robotników i takich samych dorobkiewiczowskich rodzin jak oni, ale zdradzała dużą żywość umysłu i wiele rozsądku życiowego.

Obłuda życia towarzyskiego nie stała z niej szczerości, która nieraz wydawała się śmiesznie dziecinna, ale porywała swoją prostotą.

Skończyła nawet jakąś pensję w Saksonii, skąd Muller przybył przed laty jako zwykły tkacz do tej ziemi, która istotnie stała się dlań „ziemią obiecaną”.

Miała nawet pewne pojęcie o wartości pieniędzy, bo w rozmowie powiedziała o wspólnej ich znajomej;

- Pan wie, że Mania Godfryd zerwała z narzeczonym?
- Nie, czy panią to oburza?
- Dziwi mnie tylko, bo ani nie jest piękną, ani nie ma posagu i już z drugim zrywa.
- Może woli czekać na bogatego młodego fabrykanta.
- Przecież i ten jej narzeczony mógł się dorobić.

Mój ojciec, jak się żenił, nie miał ani talara, a teraz przecież jest bogaty.

– A może panna Godfryd chce zostać starą panną?

– A któraż by chciała zostać starą panną dobrowolnie! – wykrzyknęła gorąco.

– Jest pani tego pewną?

– Ja bym nigdy nie została. Mnie zawsze bardzo żal starych panien, one są tak samotne i takie biedne.

– Bo pani dobra,

– A potem ludzie się z nich śmieją. Gdybym mogła, toby wszystkie kobiety na świecie miały mężów i dzieci, i...

Zatrzymała się patrząc, czy Borowiecki się nie śmieje, ale on stłumił uśmiech i spoglądając na jej złote rzęsy i twarz mocno zaczerwienioną, powiedział poważnie:

– Dobrze by pani zrobiła.

– I pan nie śmieje się ze mnie? – pytała podejrzliwie.

– Podziwiam pani dobre serce.

– Papa idzie – zawołała odsuwając się nieco od niego.

Muller istotnie wyszedł z drzwi prowadzących do pałacu, był w pantoflach klapiących drewnianymi podeszwami i w barchanowym podwatowanym i mocno zatłuszczonym kaftanie.

Wyglądał jak karczmarz z wypasioną czerwoną twarzą, pozbawioną zupełnie zarostu i świecąca się tłuszczem, tylko zamiast porcelanowej fajki miał w ustach cygaro, które przerzucał językiem z jednego kąta ust w drugi.

– A czemu, Mada, ja nie wiedziałem, że jest pan Borowiecki – zawołał po przywitaniu się.

– Mama nie chciała przerywać ojcu roboty.

– Widzi pan, ja mam duży kłopot. Wyjął cygaro i poszedł splunąć pod piec do kraszuarki.

– Pan nie zmniejszy produkcji?

– Muszę mniej robić, bo tyle gotowego towaru, że mało co się sprzedaje. Sezon przepadł zupełnie. Kupcy są, ale ci wszyscy tylko bankrutują i zarywają. W tym roku dosyć straciłem na nich. Co robić, trzeba czekać na lepsze czasy.

– No, pan się sezonu nawet najgorszego nie obawia – zauważył z uśmiechem.

– Ja! ale co się straci dzisiaj, tego już i najlepszy sezon nie powróci. U Bucholca nie zmniejszają dnia?

– Przeciwnie, bo w oddziale białym będą robić wieczorem.

– On ma zawsze gluck. On ciągle chory? – Niby zdrowszy, bo już próbuje wychodzić.

– Ale po co ty, Mada, trzymasz tutaj pana, przecież mamy pałac dla gości. – Może pan pozwoli dalej? – szepnęła.

– Pójdźmy, pokażę panu moją chałupę.

– O której cuda opowiadają w Łodzi.

– Zobaczysz pan; kosztuje mnie całe sto sześćdziesiąt tysięcy rubli, ale wszystko nowe. Ja nie kupuję starych gratów jak Endelmanowie, mnie stać na nowe.

Obciągnął na dość wydatnym brzuchu kaftan i wydał pogardliwie usta na wspomnienie starych, bardzo cennych mebli Endelmanów.

Szli wąskimi schodami, jakie prowadziły ze starego domu na pierwsze piętro pałacu, bo cały jego parter zajmował kantor główny fabryki.

Mada biegła naprzód i otworzyła wielkie drzwi, u których klamki schowane były w barchanowe futerały.

– Dobrze, że pan przyszedł – gadał Muller sapiąc i przerzucając ustawicznie cygaro w ustach.

– Dawno pragnąłem, ale nigdy mi czas nie pozwalał.

– Ja wiem, ja wiem! – zawołał klepiąc go w łopatkę.

U nas nudno, to się pan bał przyjść – szczebiotała Mada wprowadzając ich do pałacu.

– Niech pan siądzie na tej ładnej kanapie – zapraszał Muller. Mieszkanie tonęło w półmroku, ale Mada popodnosiła story do góry i jaskrawe światło dnia zalało szereg pokojów umeblowanych z przepychem.

– A może pan zapali dobre cygaro? – Nigdy nie odmawiam.

– Spróbuj pan tych, mocne, po siedmdziesiąt pięć kopiejek sztuka!

Wyciągnął z kieszeni spodni mocno zatłuszczonych i powypychanych garść zmiętych i pokrzywionych cygar.

– A te słabsze, po rublu, spróbuj pan! – dodał wyciągając z drugiej kieszeni jeszcze silniej zmiętoszone, rzucił je na stolik, wałkował brudnymi rękami, żeby się poprostowały, ugryzał końce i podawał.

– Spróbuję mocniejszych. Zapalił nie bez obrzydzenia.

– Fein, co? – pytał rozkraczając się na środku pokoju z rękami w kieszeniach.

– Doskonałe, ale to, które pan pali, ma inny jakiś zapach.

– Moje kosztują po pięć fenigów, ja bardzo dużo palę i przyzwyczaiłem się do nich – usprawiedliwiał się. – Chce pan obejrzyć mieszkanie?

– Z całą przyjemnością. Maks Baum dużo mi o nim opowiadał.

– Pan Maks jest pana wielkim przyjacielem – wtrąciła Mada.

– To mądry chłopak, ale jego ojciec to ma coś... w głowie. Zobacz pan dobrze, oglądaj pan wszystko, to nie żadna tandeta używana, to wszystko na obstalunek robione w Berlinie.

– Wszystko pan sprowadzał z zagranicy?

– Wszystko, bo Huberman powiedział, że tutaj U was nic nie dostanie porządnego.

Karol zamilkł i oglądał dość pobieżnie garnitury mebli, ciężkie portierey z jedwabiów i aksamitów, dywany, obrazy, a raczej wspaniałe ramy, bo na to zwracał uwagę Muller, kandelabry kosztowne a niesmaczne, piece pękate z niemieckiej rnajoiki, specjalne do jednego z damskich pokoików sprowadzone zwierciadła w ramach z saskiej porcelany.

Mada go objaśniała szczegółowo o każdym sprzęcie, była bardzo zadowolona z jego obecności i co chwila podnosiła swoje jasne porcelanowe oczy i p rzykrywała je spiesznie złotawą strzechą rzęs, bo Karol częste spojrzenia zatrzymywał na jej białej twarzy, pokrytej drobnymi punkcikami piegów, które ją obsypywały niby puchem brzoskwinowym, ale nie zanieczyliwał przy tym wykrzykiwań głośno:

– Wspaniałe, wspaniałe!

Mieszkanie było istotnie urządzone z dorobkiewiczowską wspaniałością.

Było w nim wszystko, co można kupić za pieniądze, ale nie było w nim życia ani gustu.

Był gabinet do pracy bardzo paradnie urządzone, w którym nikt nie pracował; była łazienka wyłożona majoliką białą w niebieski deseń z wanną marmurową, do której się schodziło po kilku stopniach pokrytych szkarłatem, sufit był ozdobiony malowidłami w stylu pompejańskim, ale czuć było, że tutaj się nikt jeszcze nie kąpał.

Pod wieżyczką, która wyskakiwała nad dach pałacyku niby gruby wańtuch wełny, był pokój urządzone po mauretańsku; okna, ściany i odrzwia pstrzyły się w jaskrawe ordynarne figlasy rysunkowe, udające styl mauretański, długie, a niskie sofy pokrywały meblowe barchany w tymże stylu; pokój był karykaturalny i ordynarny krzykliwością barw, w jakie upstrzono ściany i okna, a w którym również nikt i nigdy nie

siadał pod mauretańską kopułą, świecąca jak stary przepalony rondel ceglasto-miedzianymi malowaniami.

– To jest po hiszpańsku – objaśniał Muller.

– Po mauretańsku, ojciec się omylił – poprawiała Mada.

– Pan sam urządzał?

– Ja sam płaciłem, a Huberman urządzał.

– Panu się podoba ten pokój? – pytała Mada.

– Bardzo, jest śliczny i oryginalny. Kłamał z uśmiechem.

– On jest bardzo drogi! Huberman doliczył mi za niego całe dwa tysiące rubli. Ja nie lubię głupstw, lubię tylko solidne rzeczy, ale jak mi zaczął gadać, że w każdym porządnym pałacu musi być pokój urządzone po chińsku lub po japońsku, a że i Mada chciała, to on zrobił po mauretańsku dla oryginalności. Mnie to nic nie szkodzi, niech sobie będzie po jakiemu chce, ja i tak w tym nie będę mieszkał.

– To państwo nie mieszkają w pałacu?

– Panie Borowiecki, żebym ja mieszkał w pałacu, toby się ze mnie tak śmieli, jak się śmieją z Meyera i z Endelmana. Po co mi to, kiedy wygodniej w starej chałupie.

– Ale szkoda trzymać pustką.

– Niech stoi. Wszyscy stawiają pałace, i ja kazałem postawić, mają salony, i ja mam salony, mają powozy i konie, i ja mam powozy i konie. Kosztuje drogo, niech kosztuje i niech sobie stoi, niech ludzie wiedzą, że Muller może mieć pałace, a woli mieszkać w starym domu.

Poszli dalej oglądać.

W środku mieszkania, z oknem na alejkę prowadzącą do fabryki, był długi wąski pokój obity ciemną materią.

Pod ścianami stały niskie sofy pokryte czerwoną w złote kwiaty skórą, z tyłami sięgającymi do pół wysokości ścian i poprzegradzanymi na pojedyncze siedzenia jak w coupe drugiej klasy.

Wąskie zwierciadła wpuszczone w mur patrzyły mrocznie znad sof i marmurowych konsol obwiedzionych brązowymi galeryjkami.

Był to pokój do palenia, jak objaśniała Mada, ale znać było po niepokalanej nowości sof i stolików niskich, symetrycznie przed nimi rozstawionych, że tutaj nikt jeszcze nie palił.

Potem oglądali ogromny salon oświetlony czterema oknami, zupełnie białe, ze stiukowym sufitem gęsto złożonym, zapchany meblami, przeładowany masą obrazów, kandelabrow, kolumn, kanapek i krzeseł, które w wyciągniętych szeregach, owinięte w białe pokrowce, stały pod

ścianami; znać było, że nikt tutaj się jeszcze nie bawił i nikt nie siadał na tych meblach.

Były jeszcze maleńkie gabineciki, wyłożone i ozdobione jak bombonierki, pełne gracików, pustych żardinerek, paradnych marmurowych kominków, na których się wdzięczyły porcelanowe statuetki.

Był i pokój jadalny połączony windą z kuchnią, cały wyłożony mahoniowymi kwadratami, ujętymi w cienkie jak ostrza brązowe listwy, ze stołem ciężkim w pośrodku, z kredensami w stylu empire, które Muller kolejno otwierał i pokazywał ich wnętrza zapchane porcelaną i zastawami stołowymi, których nikt nie używał.

Była i biblioteka, bo budowniczy i tapicer o niczym nie zapomnieli; mały pokój obstawiony szafkami z białego dębu, w stylu staroniermeckim, w którym się złożyły przez szyby szaf grzbiety dzieł wszystkich wielkich pisarzy świata, a których tutaj nikt nie tylko nie czytał, ale i nikt nie znał ich imion.

A na zakończenie poszli do sypialni; na środku stały dwa olbrzymie łóża, zasłane jedwabną niebieską pościelą i przysłonięte takimiz kotarami, niebieski również dywan zaścielał całą posadzkę i niebieskie obicie miały ściany.

W rogu stała wielka marmurowa umywalnia dwuosobowa, tak wielka, że można by w niej pławić konie, połączona rurami z fabryką, która dostarczała wody ciepłej.

Nikt nie sypiał w tej sypialni.

– Wspaniały pokój do spania! – szepnął Karol.

– To Mady, jak pójdzie za męż. Chodźmy do pokoju Mady.

Ale Mada zaczęła protestować, że jeszcze w nim nie sprzątnięto.

– Głupia jesteś – mruknął i wprowadził Karola do bardzo jasnego pokoju, wybitego białoróżową materią.

Maleńkie mebelki stały w wielkim nieładzie na jasnym dywanie.

– Doskonałe miejsce do pisywania liścików – powiedział Karol przypatrując się maleńkiemu biurku, na którym w wielkim porządku ułożone leżały pudełka z papierem i przybory do pisania.

– Cóż z tego, kiedy zupełnie nie mam do kogo pisywać. A tyle razy chciałam bardzo pisać list – mówiła ze szczerą przykrością i zaczęła cmokać na dwa kanarki rozbijające się w mosiężnej klatce, stojącej na parapecie okna.

– Słuchają pani?

– O, słuchają. Wilhelm przychodził, gwizdał im ciągle i ponauczał śpiewać.



– Ma pani pokój jak Goethowska Gretchen.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, ale zarumieniła się po włosy.

Powracając na dół Karol raz jeszcze przyglądał się tym licznym pokojom, które stały w ciszy pustki i sztywności.

Były tak wspaniałe, tak czyste, świeże, nowe, że robiły wrażenie wystawy tapicerskiej, urządzonej bardzo bogato, ale zupełnie bez gustu.

Prócz Mady nikt nie mieszkał w pałacu, stał na pokaz gościom i dlatego, żeby Muller mógł powiedzieć: – Mam pałac.

Na dole w małym pokoiku, przylegającym do kuchni i który służył za jadalnię całej rodzinie, Mullerowa podała kawę.

Karol wymawiał się brakiem czasu, ale Muller odebrał mu kapelus, wziął go wpół i posadził na krzesło.

Pozostał, bo Mada tak wymownie prosiła go oczami, że nie chciał jej robić przykrości, tylko się spieszył, gdyż miał jeszcze być dzisiaj u Bucholca.

Prosił też Mullera o protekcję do Szai dla Horna.

Fabrykant przyrzekł uroczyście, że jutro osobiście się tam uda, i ręczył nawet za skutek, bo żył z Szają w bliskich stosunkach.

Mullerowa w milczeniu podsuwała różne ciastka swojej roboty i kilka razy poprawiała Madzie włosy, które się wysuwały złotymi kosmykami na czoło bo dziewczyna tak była uradowana i podniecona, że ciągle się śmiała i na nic nie zważała.

Nie umiała nawet ukryć tego, że się jej Karol bardzo podobał, mówiła mu to kilkakrotnie w różny sposób.

Muller był również rad, brał go wpół, klepał po kolanie i szeroko opowiadał o swojej fabryce.

Karol, jak mógł, udawał zajęcie tym, co mu mówiono, słuchał cierpliwie, odpowiadał, ale w głębi nudził się i męczył tym przymusem i banalnością tematów, jakie Muller podnosił.

Dom cały miał wybitne cechy małego mieszczaństwa w obyczajach i poglądach, pachniał porządkiem i tą czysto niemiecką wołową pracowitością.

Wyjątkowi byli tylko na tym punkcie, że nie popsuły ich miliony i mieli wymagania i instynkty robotników.

– Jak pan będzie naszym sąsiadem, to musi pan bywać częściej u nas.

– A pan będzie blisko mieszkał? – zawołała Mada rozpromieniona.

– Tak. Widzi pani ten długi rząd okien za fabryką Trawińskiego? – pokazywał oknem.

– To stara fabryka Meisnera!

– Ja ją kupiłem.

– To pan będzie blisko? – zawołana radośnie i umilkła nagle zachmurzona, siedziała już cicho do samego odejścia Karola, tylko prosiła go, aby przyszedł znowu.

Obiecał to solennie i tak ścisnął jej rękę na pożegnanie, że oblała się rumieńcem i długo oknem wyglądała za nim.

Borowiecki szedł już prosto do Bucholca, ale szedł wolno, bo go obciążała ta serdeczność Mullera i jeszcze większa Mady.

Uśmiechał się do jakiegoś obrazu, który w coraz pełniejszych formach wyłaniał mu się z mózgu.

Czuł, że Miiller dałby mu córkę bez żadnego wahania.

Roześmiał się prawie głośno, bo przypomniał sobie tego grubego czerwonego Niemca, w barchanowym kaftanie, w zatłuszczonych spodniach i w starych pantoflach, na tle salonów.

Był śmiesznym, ale co go to obchodziło.

– Mada ma dużo naturalnego wdzięku i okrągły milion w dodatku! Do licha – mruknął. – A jednaki – myślał i zaczął stawiać pewne przypuszczenia i kombinacje, ale rychło się ich pozbył, bo przypomniał sobie Ankę i list jej, jaki rano odebrał i którego jeszcze nie przeczytał.

– Zawsze coś staje w poprzek, zawsze człowiek Jest niewolnikiem! – szepnął wchodząc do kantoru Bucholca.

Bucholc po ostatnim ataku prędko uczuł polepszenie i już nie tylko przesiadywał w kantorze jak dawniej, ale zaczynał wychodzić do fabryki i laził po niej z pomocą kija lub którego z robotników.

Z Borowieckim był na dobrej stopie, pomimo że ten wymówił mu miejsce i że kłócili się po kilka razy dziennie.

Ufał mu we wszystkim i potrzebował go teraz, nim Knoll powróci, bo zięć na wezwanie do powrotu, z powodu choroby teścia, odpowiedział telegraficznie, że gdyby stary umarł, to przyjedzie a inaczej nie myśli sobie psuć interesów.

Bucholc przeglądał wielką księgę, którą mu August podtrzymawał, i tylko spojrzawszy na wchodzącego, kiwnął mu głową i dalej sprawdzał pozycje budżetu.

Karol w milczeniu zabrał się do klasyfikowania korespondencji, a później rozpatrywał plany i kosztorysy nowych urządzeń w farbiarni,

jakie sam zaprojektował; robota była pilna, bo na nowych maszynach miał się drukować towar już na następny sezon zimowy.

Wieczór robił się prędko i przez okna kantoru park czerniał coraz bardziej i zaczynał szumieć nagimi drzewami, które kołysane wiatrem zaglądały do okien, trzęsły się chwilę w świetle i cofały.

Robota szła mu niesporo, bo co chwila przypominał się Muller, odkładał wtedy sztywne karty pełne rysunków, cyfr i notat i zapadał w zadumę.

Cisza zupełna panowała w kantorze, wiatr tylko się wznagał na dworze, harcował po drzewach, tłukł nimi o ściany i okna i dudnił głucho po blaszanych dachach.

Elektryczne światło drgało i ślizgało się po czarnych szafach, w których stały uszeregowane olbrzymie księgi, mające na grzbietach białe cyfry lat, z jakich pochodziły.

Bucholc oderwał oczy od księgi i zasłuchał się w dalekich tonach harmonijki, jakie płynęły z wiatrem gdzieś od domów rodzinnych.

Usta mu dragały nerwowo, okrągłe jastrzębie oczy, bardziej czerwone niż zwykle, powlekły się jakby smętkiem, słuchał długo, a w końcu rzekł cicho:

– Nudno tutaj, prawda?

– Jak w kantorze.

– Mam dziwną chęć usłyszenia muzyki, tylko głośniejszą bardzo, gwaru wielkiego: a nawet chciałbym widzieć dużo ludzi.

– Zdażyłby pan prezes jeszcze do teatru. Dopiero dziewiąta.

Bucholc nic nie odpowiedział, położył głowę na grzbiecie fotelu i zapatrzył się przed siebie, i z wolna zaczęło mu twarz powlekać jakieś ostre zniechęcenie i nuda.

– Jak się pan prezes czuje dzisiaj? – spytał Kafol po chwili.

– A dobrze, dobrze! – odpowiedział stłumionym głosem i ostry, gorzki uśmiech okolił mu sine usta.

Nie, nie było mu dobrze; serce wprawdzie biło spokojnie i normalnie, bóle nóg przeszły, mógł się dosyć swobodnie poruszać, ale czuł, że nie jest mu dobrze.

Czuł dziwną ociężałość w sobie, nie mógł myśleć bo co chwila rwała mu się przędza świadomości i zapadał w głuchy stan apatii; nudziła go robota, cyfry zyski i straty, wszystko stawało mu się zupełnie obojętnym dzisiaj.

A głęboko pod linią świadomości, poprzez tę szarą ciężką mgłę nudy wyrwały się błyski pragnień nieokreślonych, zachcenia tak mgnie-

niowe, że w drodze do uświadomienia przepadały i zalewały mu mózg mrokiem, a serce smutkiem zniechęcenia.

– Strasznie pusto w całym domu – powiedział cicho i rozglądał się po kantorze, po tych szafach, po oknach, patrzył na Augusta, który oparty grzbietem o framugę drzwi wyprostował się nagle i czekał rozkazu.

Przypatrywał się wszystkiemu dziwnie badawczym wzrokiem, jakby oglądał po raz pierwszy, i opadł w fotel bezwładnie, zwiesił głowę na piersi i dyszał ciężko, bo mu duszę ścisnął jakiś mocny, bardzo bolesny spazm strachu niewytłumaczonego, czepiał się jeszcze oczami czarnych punktów cyfr na białej karcie książki, błyszczenia światła na brązowym wielkim kałamarzu, to wiesział się jakby na tym coraz słabiej dźwięczącym odgłosie harmonijki, na szumie parku i na dalekim, głuchym odgłosie turkotów ulicznych, ale dusza ześlizgiwała się bezwładnie z tych krawędzi i zapadała w ciemnię, pełną strasznej ciszy.

Przed dziesiątą Karol skończył robotę i podał papiery, tłumacząc obszernie każdą pozycję.

– Dobrze, dobrze! – mówił od czasu do czasu Bucholc, nic prawie nie słysząc.

Nic go to nie obchodziło, bo coraz głębiej czuł tę pustkę i osamotnienie, w jakim żył, coraz mocniejszym kołem zaciskało mu duszę zniechęcenie i niemoc.

– Po co ja się tym zajmuję. Kosztuje tyle czy tyle, to kwestia kasjera – powiedział niechętnie. Borowiecki zabierał się do wyjścia.

– Idziesz pan już?

– Skończyłem robotę na dzisiaj. Dobranoc panu. Uścisnął mu rękę i wyszedł, a Bucholc nie mógł się zdobyć na prośbę, aby pozostał, bo w ostatniej chwili wstyd mu się zrobiło tej dziecinnej słabości..

Słuchał słabnących w oddali jego kroków i byłby bardzo wiele dał, gdyby Borowiecki powrócił.

– August, pójdźmy na górę – szepnął podnosząc się z miejsca i poszedł bez pomocy lokaja, który gasił światła i zamykał drzwi.

Drugi lokaj czuwający w przedpokoju szedł przed nim ze świecą, a Bucholc wolno włókł się przez olbrzymie, ciche i puste mieszkanie.

Tak mu się dziwnie pustym wydawało dzisiaj, tak mu ciężyla ta samotność, że poszedł zajrzeć do żony, ale żona spała, zakopana w betach, że tylko kawałek jej żółtej woskowej twarzy widać było na poduszce, nie obudziła się na odgłos jego wejścia, tylko papuga, przebu-

dzona blaskiem światła, zeskoczyła z klatki i uwieszona pazurami, na firance zakrzyczyła żałościwie:

– Kundel, Kundel!

Cofnął się zawiedziony i poszedł prosto do siebie.

– August! – zawołał półgłosem.

Lokaj stanął w oczekującej postawie, ale mu Bucholc nic nie powiedział, siedział w fotelu przed piecem, poruszał nieodstępny kijem dogasający ogień i z dziwną, po raz pierwszy odczuwaną, obawą myślał, że musi zostać sam.

– Pozamykaj okiennice – rzekł w końcu i sam sprawdzał, czy dobrze zamknięte są żelazne wewnętrzne okiennice, rozebrał się, położył i próbował czytać, ale oczy miały ciężar ołowiu, nie mógł nimi poruszać.

– Czy mogę już iść? – zapytał szeptem lokaj.

– Idź, idź! – odpowiedział gniewnie, a gdy August już dochodził do drzwi, zawołał:

– August!

Lokaj zawrócił i stał czekając, wtedy Bucholc zaczął się go pytać powoli o żonę i o dzieci, a pytał tak łaskawie, że August odsunął się na bezpieczną odległość od jego kija i odpowiadał nieśmiało, zaniepokojony tą niesłychaną dobrocią.

Bucholcowi szło o to, aby go zatrzymać jak najdłużej w pokoju, a nie mógł powiedzieć mu prosto w oczy, aby został.

Ta dziwna rozmowa prędko go zmęczyła i w końcu skinął, żeby sobie szedł spać.

Pozostał sam i te obawy samotności, te jakieś dziwne, ciemne trwogi zaczęły mu przenikać duszę coraz ostrzejszymi włóknami.

Nasłuchiwał pilnie odgłosów z ulicy, ale ulica spała, a słabsze echa nie były w stanie przedrzeć się przez żelazne, obite wojłokiem okiennice.

Uniósł się na łokciu i z zapartym oddechem, kurczowo ściskając rewolwer, słuchał długo, bo mu się wydało, że słyszy coraz bliższy i wyraźniejszy odgłos kroków przez puste pokoje,

Nikt jednak nie szedł, tylko odgłos bijącego zegaru

doszedł go jęklwym dźwiękiem z któregoś z pokoiów.

To mu się wydawać znowu poczynało, że ciężka aksamitna portiera, zasłaniająca drzwi, wydyma się tak dziwnie, jakby się za nią krył człowiek.

Uśmiechnął się z własnego złudzenia i znowu leżał Spokojnie, przytłumiwszy światło.

Nie mógł jednak zasnąć.

Godziny płynęły tak strasznie wolno, że wydawały mu się nieskończonością.

I nie uspakajał się zupełnie, a nawet to zdenerwowanie i te wszystkie obawy wzrastały stopniowo i z wolna zamieniały się w jedną obawę śmierci.

Zdawało mu się, że zaraz umrze, i tak jasno to zobaczył, tak nim ta straszna myśl zatrzęsła, tak go oszołomiła, że zerwał się z łóżka, jakby chciał uciekać, trząsł się cały z trwogi i zaczął gwałtownie dzwonić na dyżurnego lokaja, śpiącego na dole.

– Idź prędko, niech tutaj zaraz przyjdzie doktor – wołał sinymi ustami.

A gdy po pewnym czasie przyszedł Hamerstein, rzekł mu:

– Mnie coś jest! Obejrzyj no mnie i zaradz.

– Nic nie widzę – odpowiedział zaspany doktor, obejrzawszy go dosyć starannie.

Bucholc zaczął mu opowiadać swój stan.

– Jak się pan prezes wyśpi, to i wszystko przejdzie.

– Głupiś! – odparł mu porywczo Bucholc, ale wielką dozę chloralu zażył i wkrótce zaraz zasnął.

Borowiecki, zmęczony nadprogramową pracą, pojechał do miasta na herbatę.

U Roszkowskiego pusto było już w tej godzinie, tylko w ostatnim pokoju cukierni za lustrem siedziało trzech mężczyzn: Wysocki, Dawid Halpern i Myszkowski, inżynier z fabryki barona Meyera.

Przysiadł się do nich, bo znał dwóch ostatnich, a z Wysockim zaraz go poznał.

Dawid Halpern, pochylony nad stolikiem, bił w niego chudymi rękami i prawie krzyczał:

– Pan, panie Myszkowski, nie wie, co daje ta praca w Łodzi, bo pan wiedzieć nie chce, ale ja pana zaraz przekonam, ja panu pokażę rezultaty!

Wyjął z pugilaesu kilka wycinków z „Kuriera” i podsuwając mu pod oczy czytał:

– Słuchaj pan: „Od dnia 22 do 28 wywieziono z Łodzi: wyrobów żelaznych 1791 pudów, przędzy 11 614 pudów, wyrobów bawełnianych 22 852 pudów, wyrobów wełnianych 10 309 pudów.” To panu nic

nie mówi, to się samo zrobiło! A ja panu pokażę, co przez ten tydzień robiono w Łodzi.

– Nie nudź pan swoją statystyką. Chłopiec, kawy trzy! Pan Borowiecki napije się z nami?

– Ja tylko parę cyfr panu przeczytam, słuchajcie, panowie, bo to tyle warto co Biblia, a może i trochę więcej: „Przywóz następujący: wełny 11 719 pudów, przędzy 12 333, żelaza 7303, maszyn 4618, smarów 8771, mąki 36 117, zboża 8794, owsa 18 685, drzewa razem 36850, bawełny surowej 120682, węgla kamiennego 1 032 360 pudów.” Takie cyfry głośno dzwonią, to jest ładny papier taki wykaz; Łódź musi mieć dobry brzuch, żeby to wszystko przetrawić, to trzeba trochę pracować, a pan mówi, że tylko głupi pracują.

– I bydło, pędzone batem – mówił spokojnie Myszkowski popijając kawę.

– Aj, aj, co pan wygaduje! Jakim batem, gdzie bat! Ludzie muszą robić, no, powiedz pan, co by robił taki prosty cham, żeby on nie musiał robić! On zgniłby z próżniactwa i zdechłby z głodu.

– Daj pan pokój! Pan się zachwycaj pracowitością Łodzi, wysławiaj pan dalej swoje cudowne miasteczko, całuj pan po rękach każdego, który tylko zechce zostać milionerem, i gadaj pan, że ci milionerzy mają dlatego miliony, że najwięcej pracowali.

– Bo oni dlatego właśnie mają, skąd by inaczej je wzięli! – krzyczał zaperzony.

– Bo są głupszy od swoich robotników i dlatego mają pieniądze.

– Ja już nic pana nie rozumiem. Jak pana szanuję, panie Myszkowski, ja nic nie rozumiem, co pan mówi. Ja dotychczas wiedziałem, że jak kto pracuje, to ma, a jak kto pracuje i jest mądry, to ma jeszcze więcej, a jak kto jest bardzo mądry i bardzo pracuje, to robi miliony! – krzyczał głośno Halpern.

– O co panom idzie? – zapytał Borowiecki nie mogąc się połapać.

– Ja twierdzę, że wszyscy milionerzy, wszyscy pracujący całym wysiłkiem swoich i cudzych mięśni i władz – są głupcami, są kretynami. Pan Dawid Halpern dowodzi przeciwnie. Wygaduje bajeczne brednie na czegę pracy i stawia na ołtarzu bydłęta gnijące na podściółce z pieniędzy i każe mi ich podziwiać.

– A prawda musi być w pośrodku! – wtrącił milczący dotychczas Wysocki.

– Idź pan do nieba z tą swoją średnią prawdą. Jest się bydlęciem zupełnym albo człowiekiem, przejść nie ma w naturze, chyba we łbach zidiociałych ideologów.

– Panie Myszkowski, ja muszę pana przekonać, że fabrykant, że człowiek, który chce zrobić miliony, robi więcej sto razy niż robotnik i że jego trzeba szanować.

– Daj mi pan spokój z głupcami, którzy się zapracowują na to, aby zrobić pieniądze, mów mi pan lepiej o wszelkich boskich stworzeniach, które pracują tyle tylko, żeby wyżyć, one mają rozum.

– Panie Myszkowski, żebyś pan miał miliony, tobyś pan inaczej mówił.

– Szanuję pana, ale mogę panu powiedzieć głupstwo, jak pan będziesz gadał rzeczy, których pan nie rozumie. Miałem dosyć pieniędzy i puściłem je, ot tak! – dmuchnął dymem w oczy Halpernowi.

– Spytaj się pan Kurowskiego, myśmy razem je puszczała. Ja dbam o pieniądze tyle co o deszcz wczorajszy. Pan mnie masz, panie Halpern, za głupca! Nie, panie Dawidzie, ja dlatego, żeby zarobić rubla więcej, niż potrzeba, nie wstanę pięć minut wcześniej, niż mi się chce, a dlatego, żeby zrobić nawet miliardy – nie poświęcę przyjemności pełnego człowieczego życia, nie wyrzeknę się patrzenia na słońce, spacerów po powietrzu, swobodnego oddychania, myślenia nad trochę większymi rzeczami niż miliardy, kochania itd., itd.

Ja nie będę robił, robił, robił! bo ja chcę żyć, żyć, żyć! Nie jestem bydlęciem pociągowym ani maszyną. Jestem człowiekiem. Tylko głupiec chce pieniędzy i dla zrobienia milionów poświęca wszystko, życie i miłość, i prawdę, i filozofię, i wszystkie skarby człowieczeństwa, a gdy się już tak nasyci, że może pluć milionami, cóż wtedy?

Zdycha na materacu wypchanym tytułami własności. Wielka pociecha, zupełnie tej samej wartości, jak gdyby zdychał na gołej ziemi. A gdyby go później spytano, jak żył? powiedziałby: Robiłem. Po co? Zrobiłem miliony! Na co? No, żeby mieć miliony, żeby ludzie podziwiali, żeby jeździć powozem i imponować głupcom i żeby zdechnąć w połowie życia, zdechnąć z wycieńczenia pracą, ale na milionach! Tfu, z taką głupotą.

– Porusza pan ważną kwestię, o której można by wiele mówić.

– To sobie mówcie, ja idę do domu, ale podejmuję się kiedy indziej w stosownej chwili przekonać pana, panie Borowiecki, że wam wszystkim zaszczepili strasznego baccilusa pracy, który toczy cały organizm ludzkości, i myślę, że jeśli się nie opamiętają, to ludzkość prę-



dziej zginie, niż to przewidują geologowie. Szli pustym trotuarem w górę ulicy.

Wysocki po długim milczeniu zabrał głos i zaczął namiętnie dowodzić, że złe nie tkwi w tym, że wszyscy pracują za wiele, a w tym, że nie wszyscy pracują.

Myszkowski nic nie odpowiedział, bo zaraz się z nimi pożegnał i poszedł do domu.

Borowiecki sennym wzrokiem patrzył w uśpioną cichą ulicę.

Halpern podchwycił to spojrzenie i zaczął:

– Pan się przypatruje miastu? Pan sprawdza, że Myszkowski racji nie ma, bo jakby robili, jak on chce, toby tutaj nie stały te domy, te pałace, te fabryki, te składy, tu nie byłoby Łodzi! Byłby ładny kawałek lasu, gdzie by sobie mogli obywatele wyprawiać polowanie na dzikie świnię!

– Nam nic nie szkodziłoby to, panie Dawidzie.

– Panu może nie, panu Wysockiemu, to nie wiem, ale dla mnie potrzebną jest Łódź, mnie potrzeba fabryk, wielkiego miasta i wielkiego handlu! Co ja robiłbym na wsi? co ja robiłbym z chłopami – wykrzyknął.

– Byłbyś pan pachciarzem – rzekł zimno Borowiecki oglądając się za dorożką.

– I pomiędzy nimi. jest taka konkurencja, że z głodu umierają.

– Tylko ci, co nie umieją oszukiwać chłopów i obywateli.

– To jest gadanie? to jest tylko antysemityczne gadanie, w które pan nie wierzy, bo pan dobrze wie, że płotkę zjada duży kielbik, kielbika zjada okoń, a okonia zjada szczupak, a szczupaka? Szczupaka zjada człowiek! A człowieka zjadają drudzy ludzie, jedzą go bankructwa, jedzą choroby, jedzą zmartwienia, aż go w końcu zjada śmierć. To wszystko jest w porządku i jest bardzo ładnie na świecie, bo z tego robi się ruch.

– Pan masz talmudyczną filozofię, panie Dawidzie.

– To jest filozofia patrzenia, a ja na świat patrzę bardzo dawno, panie Wysocki. Panie dyrektorze, co pan myśli o Myszkowskim? – zapytał przytrzymując go za rękę, bo Karol zaczął się z nim żegnać.

– Bardzo dobry człowiek, bardzo! – szepnął wymijająco.

– On jest genialny człowiek! on ma w głowie miliony i nie chce ich stamtąd wyciągnąć. Pan wie, że on zrobił nowe odkrycie u Meyera? Nowy sposób blichowania białego towaru. Meyer zarabia na tym pięćdziesiąt procent, a co, pan myśli, ma z tego Myszkowski? On nic nie

ma! Jemu za ten wynalazek, który wart milion, dali dwa tysiące rubli pensji rocznej, on wziął i jeszcze chodzi do fabryki, i pracuje w laboratorium! Ja go bardzo szanuję, ale żeby nie chcieć majątku, żeby się śmiać z tego, że drudzy robią pieniądze, tego nic nie rozumiem, to jest trochę ciemne. Stuknął się w czoło.

– Dobranoc panom – rzekł Karol.

– Miałem do pana interes i załatwię go w kilku słowach – zaczął Wysocki. – Nie znając pana, miałem jednak być u niego z prośbą za jednym człowiekiem.

– Szuka pan zajęcia dla kogo?

– Tak, znam jednego biedaka, który od dwóch lat na próżno poszukuje pracy.

– Specjalista?

– Eks-obywatel ziemski, ale człowiek uczciwości nieposzlakowanej.

– To razem tyle kwalifikacyj, że może szukać miejsca jeszcze drugie dwa lata z takim samym skutkiem.

– Bardzo biedny i bardzo obciążony rodziną, umierają wprost z głodu.

– Nie wyjątkowy wcale, bo takich nie brakuje w Łodzi.

– Może by pan pomógł. Jakiegokolwiek miejsce, jakkolwiek płatne, najprostsze, byłoby dla niego prawdziwym dobrodziejstwem. Niechaj mi pan daruje, że prawie nieznajomy i zaraz z prośbą się udaję.

– Nie w tym środek kwestii, tylko że nie wiem, co panu odpowiedzieć. Miejsc lepiej płatnych nie ma nigdy wolnych, ponieważ na każdą opróżnioną posadę zgłasza się dwudziestu kandydatów, i to przeważnie samych specjalistów.

– Mnie idzie o najzwyczajszą pracę, więc jeśli pan może...

Borowiecki dał mu swój bilet wizytowy.

– Niechaj ten protegowany pański przyjdzie do mnie z tym biletem jutro po południu do fabryki. Miejscami nie rozporządzam, ale będę się starał coś zrobić dla niego, tylko że panu nie ręcę za skutek.

Rozeszli się zaraz w różne strony.

## XIV

Dawid Halpern szedł wolno Piotrkowską, rozmyślał o Myszkowskim i przypatrywał się miastu, które kochał całą swoją entuzjastyczną duszą.

Nie chciał pamiętać, że to miasto zabrało mu wszystko, co kiedyś posiadał po ojcu, że od lat wielu żyje z dnia na dzień, że wciąż zmieniać musi sposoby zarobkowania, że wciąż jest tylko na drodze do majątku, który mu się wiecznie wyślizgiwał z rąk, co sobie tłumaczył brakiem szczęścia, ale pomimo tego wytrwale zakładał kantory, to sklepy, to zostawał agentem i zawsze kończył bankructwem, ale nie tracił nadziei, szedł jednak przez życie, zapatrzonej w Łódź i w jej potęgę, oszołomiony jej wielkością, zahipnotyzowany milionami, jakie się przewalały dookoła niego.

Nie miał dzieci, miał tylko żonę, na którą pracował, aby mogła corocznie jeździć do Franzensbadu leczyć się, sam zaś od wielu lat nie wychylał się za Łódź, nie dbał, co jada, jak mieszka, w czym chodzi, sam nic nie miał, ale był szczęśliwym, że miasto posiada coraz więcej, że mógł widzieć ten ruch szalony, przewalanie się towarów, huk maszyn pracujących, zgietk na ulicach, zapchane składy, nowe ulice, milionerów, fabryki, wszystko, co składało się na ten kolos, który spał teraz pod cichym ciemnym niebem, przez które płynął księżyc.

Kochał Łódź, jak kochał fabrykantów i robotników i jak kochał nawet prostych chłopów, tłumnie ściągających na każdą wiosnę, bo większa ich liczba na ulicach mówiła, że znowu przybędzie miastu fabryk i domów, i ruchu. Kochał Łódź.

A co go obchodziło, że ta Łódź była brudna, źle oświetlona, źle zabrukowana, źle zabudowana, że domy waliły się corocznie na głowy mieszkańców, że w bocznych ulicach w biały dzień zarzynali się ludzie scyzorykami!

O takich głupstwach nie myślał, jak i nie myślał o tym, że tutaj tysiące ludzi marło z głodu, że tysiące ludzi gniło w nędzy, że tysiące ludzi walczyło całym wysiłkiem o nędzny byt i że ta walka, cicha i straszna przez swoją ustawiczność, walka prowadzona nawet bez nadziei zwycięstwa, zżerała więcej ludzi rocznie niżli najgroźniejsze epidemie.

– „Z tego robi się ruch” – tłumaczył ciesząc się, że miasto wzrastało z szalonym pośpiechem, że mógł podziwiać olbrzymie cyfry „wywozu i przywozu” a ogólna cyfra obrotów wzrastała corocznie o całe dziesiątki milionów.

Jego sucha semicka dusza tonęła w tych cyfrach i lubowała się ich zwiększaniem.

Z dumą spoglądał na nowych milionerów i czczył ich całą duszą; z zachwytem niekłamany podziwiał z trotuarów przepych zaprzęgów i mieszkań; z entuzjazmem rozgłaszał po mieście cyfry sum, jakie różni królikowie bawełniani i półwełniani wyrzucali na przyozdobienie swoich pałaców i legowisk.

Takim był Dawid Halpern, który teraz szedł na ulicę Średnią do mieszkania i rozmyślał o Myszkowskim.

Dla niego, czciciela pieniędzy, Myszkowski był zupełnie niezrozumiałym.

Nie mógł pojąć, jak można nie brać milionów, skoro same włożą do kieszeni.

Z podobnymi myślami otworzył cicho drzwi na trzecim piętrze jakiegoś wielkiego domu, ale nim wszedł, usłyszał przyciszone tony muzyki, płynące z głębi ciemnego korytarza. Wszedł do mieszkania.

Żona już spała, a że mu się zachciało jeść, przeszukał szafkę i z kawałkiem cukru, bo nic więcej nie znalazł, poszedł cicho do kuchenki zrobić sobie herbaty,

Samowar był już zimny, nalał jednak herbaty w filiżankę i przegryzając cukrem pił spacerując w malutkim przedpokoju, żeby nie budzić żony i słyszeć trochę tej muzyki sączącej się przez drzwi.

Znudziło mu się dość prędko to spacerowanie, bo z filiżanką w ręku przeszedł korytarz i zapukał bardzo delikatnie do drzwi, za którymi grano.

– Herein! – odezwał się głos ze środka.

Wszedł śmiało, kiwnął życzliwie głową grającym

i usiadł pod piecem, popijał herbatę małymi łykami i słuchał muzyki z nabożnym skupieniem.

Horn grał na flecie, Malinowski na wiolonczeli, Szulc na klaryecie, a na skrzypcach Blumenfeld, który prowadził całą drużynę, Drugie skrzypce prowadził Stach Wilczek.

Józio Jaskólski siedział w drugim pokoju przy stoliku i list jakiś przepisywał.

Prócz Horna wszyscy byli kolegami ze szkoły i zbierali się po dwa razy na tydzień, aby wspólnie grywać.

Muzyką bronili się bezwiednie przed stepieniem, jakie dawała codzienna, ciężka praca, bo pracowali jako technicy, majstrowie lub praktykanci po fabrykach lub kantorach.

Horn, jako na j zamożniejszy, bo był tylko w Łodzi na praktyce i miał bogatego ojca, gromadził ich w swoim mieszkaniu i pokupował instrumenta. ale duszą tych biesiad muzycznych był Blumenfeld, muzyk z powołania i wykształcenia, bo skończył konserwatorium, ale że muzyka nie dawała mu w Łodzi utrzymania, więc tymczasem pracował w kantorze Groszlika jako buchalter.

Józio Jaskólski był pomiędzy nimi najmłodszym. grać nie umiał, ale żył z nimi blisko i często przychodził, bo namiętnie lubił słuchać ich opowiadań o różnych awanturach miłosnych. Marzył bowiem o miłości z całą pasją osiemnastoletniego chłopaka, surowo wychowanego.

Tamci grali, a on przepisywał sobie list miłosny, jaki mu dał do przeczytania Malinowski, który z powodu swojej urody dosyć ich otrzymywał

List był pisany nieortograficznie, ale tak namiętnie. że Józio czerwienił się co chwila i zamglonymi oczyma wpatrywał się w te szeregi koszlawych i niezgrabnych liter.

Upajał się tymi wybuchami dzikiej czułości i równocześnie gryzło go straszne pragnienie, żeby go kto tak kochał, a raczej, żeby otrzymywał podobne listy.

Muzyka skończyła się wreszcie, bo posługaczka wniosła samowar. Horn pomagał nakrywać stół i sam rozstawiał szklanki.

– Wilczek, trzy razy pan sfalszowałeś. Wzięłeś pan C zamiast D, potem jechałeś pan o jedną oktawę niżej – zaczął Blumenfeld.

– Nic nie szkodzi, bo was dogoniłem prędko – śmiał się Wilczek chodząc po pokoju, zacierał ręce, a potem bardzo uperfumowaną chustką obcierał sobie tłustą, okrągłą twarz, pokrytą rzadkim, niezdecydowanego koloru zarostem.

– Pachniecie jak cały skład perfum! – szepnął Horn.

– Mam perfumy w komis! – usprawiedliwiał się.

– Czym wy już nie handlujecie? – śmiał się Szulc, który pomimo swojej baryłkowatości rażno się uwijał, nalewając herbatę dla wszystkich.

– Choćby waszym mięsem, Szulc.

– To nie dowcip! – szepnął Blurnenfeld siadając przy stole i rozgarniał chudą, nerwową ręką jasnozłociste włosy, które jakby aureolą otaczały jego wysokie, bardzo ładne czoło i długą, cierpiącą twarz o gorzkim uśmiechu.

– Panie Halpern, może pan z nami siądzie – zapraszał Horn.

– A dobrze, napiję się gorącej herbaty. Panowie, gracie coraz lepiej, ten kawałek, co to podobny do tego, jakby kto bardzo płakał, to mi zrobił takie wrażenie, że siedzieć nie mogłem. Śliczny koncert.

– Panie Józefie, herbata czeka na pana! – wołał Horn.

Józio, rozczzerwieniony jeszcze, przyszedł siadając na końcu, ażeby ukryć wzburzenie i pomieszenie, jakie w nim sprawił ten list.

Pił herbatę prędko, parzył się ciągle i milczał, powtarzając w myśli ogniste frazesy, a chwilami spoglądał z podziwem na Malinowskiego, że siedzi tak spokojnie i pije herbatę.

– Pijcie wódkę, a nie oglądajcie zegarka, gdzież wam się spieszy, Wilczek?

– Idziecie na dyżur?

Bo Wilczek pracował w magazynach kolejowych.

– A nie, z biurem już dzisiaj pożegnałem się na zawsze.

– Co, co? Wygraliście na loterii?

– Żenicie się może z Mendelsohnówną?

– Dajecie może drapaka z kasą kolejową do Ameryki?

Wołali chórem.

– Nic z tego, bo mam coś lepszego, interes cudowny, który mnie musi postawić, zobaczcie, że stanę od razu na czterech nogach.

– Ty zawsze byłeś czworonogiem! – odezwał się Malinowski i spojrział na niego zielonymi oczami, w których była pogarda i niechęć.

– Ale nigdy nie byłem wariatem, nie zajmowałem się wynalazkami, niemożliwymi do urzeczywistnienia.

– Co ty wiesz, co ty możesz wiedzieć prócz tego, żeby okpiwać na kupnie i na sprzedaży, ty jesteś prosty, ordynarny handeles. Wiedźże o tym, że wariactwa ludzi genialnych więcej przyniosły dobrego światu niżli praktyczna głupota podobnych tobie, umiejąca tanio kupić i drogo sprzedać. Słyszysz, Wilczek?

– Słyszę i będę o tym pamiętał, gdy zażądasz nowych kredytów.

– A propos, sprowadź mi dwadzieścia funtów drutu miedzianego, takiego, jaki był ostatnio – rzucił spokojnie Malinowski.

Wilczek pomimo gniewu zanotował obstalunek w notesie.

– Dajcież spokój z kłótniami i interesami.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza – szepnął Wilczek i chodził po pokoju, zacierał ręce nerwowo, oblizywał duże, wywinięte usta i często poprawiał włosy, rozczesane przez całą głowę i tworzące mu grzywkę nad niskim, brzydko pomarszczonym czołem. Malinowski powłókł za nim oczami i szepnął:

– Wyglądasz jak stara pokojówka!

– Co wam to przeszkadza!

– Irytuje mnie widok takiego mebla, przeszkadza patrzeć swobodnie.

– To patrzcie się w samowar albo w koniec własnego nosa, macie przecież na co.

– Kiedy kufa mi właśnie przeszkadza patrzeć na samowar.

– Malinowski! – syknął Wilczek z uśmiechem i jego małe niebieskie oczki, głęboko schowane, zamigotały gniewem, zaczął szarpać wielki złoty łańcuszek od zegarka.

– Wilczek! – uśmiechnął się słodko i słodko patrzył na Stacha.

– Wam niedługo trzeba włożyć kagańce, bo się kiedy jeszcze pogryziecie.

– Powiem wam wspaniałą rzecz, tylko nie przeszkadzajcie – zawołał Szulc, znowu nalewając wszystkim herbatę. – Mówił mi dzisiaj Reck, który przyjechał z Sosnowca od Dulmana.

– Ciekaw jestem, co można jeszcze nowego powiedzieć o tym bydłęciu.

– Zaraz się dowiesz. Miesiąc temu bawił w Sosnowcu przejazdem jakiś hrabia. Dulman, dawny handlarz świń, dawny oberkelner z Katowic i dawna kanalia, zaprosił hrabiego do siebie, ale mało, że go zaprosił, kazał na jego przyjęcie wystawić bramę triumfalną, wyprawiał wspaniałe obiady, specjalnymi pociągami sprowadzone z Berlina, sam mu buty ściągał, bo chciał przez pośrednictwo tego hrabiego dostać jaki pruski order. Hrabia spał w jego pałacu przez całe trzy dni i odjechał do Vaterlandu. Po jego wyjeździe w parę dni Dulman przysyła po Recka, który jest technikiem w jego fabryce, w oddziale stolarskim. A gdy Reck przyszedł, Dulman każe mu zrobić rysunek wspaniałej skrzyni, jak można najozdobniejszej. Reck zrobił coś w rodzaju olbrzymiej trumny i podług jego rysunku wykonano tę skrzynię w Berlinie i przywieziono do Dulmana. Otóż ten idiota, wobec całej rodziny i dyrektorów swoich, ustawił skrzynię na honorowym miejscu w salonie, a do skrzyni wstawił łóżko z całą pościelą i ze wszystkim, czego używał ów hrabia, skrzynię zamknął na klucz, a na niej przybito brązową

blachę z takim napisem niemieckim: „W tej skrzyni stoi łóżko, a na łóżku leży pościel, a w tej pościeli, na tym łóżku dnia X roku 18... raczył spać trzy razy jaśnie wielmożny graf Wilhelm Johann Somerst-Somerstein.”

– Ależ to farsa, to niemożliwe! Zaczęli oponować.

– Ja Reckowi wierzę, on nigdy nie kłamie.

– Ależ to byłaby głupota potworna!

– Co chcecie, takiego eks-świniarza olśniła łaskawość grafa.

– To jest możebne, a bo to w Łodzi mało jest podobnych śmieszności pomiędzy milionerami! Przecież wszyscy znają szczegóły pojedynku Stanisława Mendelsohna z tym inżynierem Myszkowskim.

– A Knaabe to nie śmieszny? A stary Lehr, który jak siedzi w restauracji, a kto zawoła głośno: „Kelner!” to się bezwiednie zrywa z krzesła, bo był przecież kiedyś kelnerem, a Zuker jeszcze mojej matce przynosił do domu resztki do sprzedania. Lehr, na przykład, umie się tylko podpisywać, a przyjmuje interesantów w swoim gabinecie z książką w rękę, a którą mu zawsze lokaj daje otworzoną, bo były wypadki, że Lehr trzymał ją przy gościu do góry nogami.

– Każdemu wolno robić, co mu się podoba, nie widzę potrzeby wyśmiewania się.

– Ale i każdemu wolno się z tego śmiać, co jest głupie.

– Ty, Wilczek, bronisz swojej sprawy, bo i z ciebie się śmieją, z twojej grzywki, z perfumowania i z twoich łańcuszków i pierścionków, z twojego szyku.

– Głupcy śmieją się ze wszystkiego. Ten się śmieje najlepiej, kto się ostatni śmieje.

– Czyli jak zrobisz miliony, obiecujesz śmiać się z nas wszystkich.

– Bo jesteście godni śmiechu.

Halpern uściśnął im ręce i wyszedł, nie lubił bowiem, żeby młodzież ośmielała się przekpiwać z fabrykantów.

– Dlaczego? powiedzcie no wyraźnie, Wilczek.

– Bo wy się nie śmiejecie szczerze, wy drwicie ze złości, że nic nie macie, a oni mają miliony.

– Nowe rzeczy gada! Myślałem, że powiecie co nowego, a jeśli chcecie mówić tak dalej, to już lepiej przestańcie.

– Bądźcie no cicho na chwilę, jest ważna sprawa – podniósł głos Malinowski. – Józio Jaskólski potrzebuje stu rubli na jutro wieczór i prosi nas wszystkich o pożyczenie tej sumy, będzie oddawał po dziesięć rubli miesięcznie. Pieniądze te są dla niego kwestią życia i śmierci,



więc ja jeszcze od siebie proszę was wszystkich o koleżeńską pomoc. Za całą sumę rękę.

– Dasz ewikcję na swoim wynalazku.

– Wilczek! – krzyknął rozdrażniony uderzając pięścią w stół. – Zróbmy składkę pożyczkową, panowie – dodał łagodniej, kładąc na stole jedyne pięć rubli, jakie miał. Szulc położył drugie pięć, Blumenfeld dziesięć.

– Co będzie brakować, dołożę, bo chociaż dzisiaj nie mam, ale mogę pożyczyć jutro – mówił Horn. – No, Wilczek, dajcie no ze dwadzieścia rubli.

– Słowo honoru, że nie mam trzech rubli nawet przy sobie, załóżcie za mnie pięć rubli.

– Dowcipnie kombinujecie – szepnął Horn.

– Na niego nie liczcie. Musicie, Horn, pożyczyć ośmdziesiąt rubli, bo jest dwadzieścia, ale koniecznie przed szóstą wieczorem jutro.

– Z pewnością, niech pan przyjdzie do mnie, panie Józefie.

Józio ze łzami rozrzewnienia dziękował wszystkim, prócz Wilczkowi, który pogardliwie się uśmiechał i chodził coraz prędzej po pokoju. Miał pieniądze, ale nigdy nikomu nie pożyczał.

– Na co ci potrzeba aż stu rubli? – zapytał Józia.

– Kiedy nic nie dajesz, to niepotrzebnie się wypytujesz.

– Pozdrów mamę ode mnie.

Józio nic się na to nie odezwał, miał do niego wielki żal, bo dobrze pamiętał, ile ten sam Wilczek zawdzięczał im, a potem śpieszno mu było lecieć z radosną nowiną do domu, bo tych pieniędzy potrzebował dla matki, której jakiś piekarz oddawał w zarząd sklepik, ale pod warunkiem złożenia storublowej kaucji. Było to niejaki zabezpieczenie od głodowej śmierci całej rodziny, bo mieszkanie mieli mieć darmo i pewien procent określony od sprzedaży. Józio wyszedł pośpiesznie, ale ze schodów wrócił i szepnął do Malinowskiego:

– Adaś, pożycz mi na parę dni tego listu, ja ci go nie zniszczę.

– Możesz go sobie wziąć na własność, nic mi po nim.

Józio go ucałował i pobiegł.

Zamilkli na chwilę.

Blumenfeld nastrojał skrzypce, Horn pił herbatę, Szulc patrzył na Malinowskiego, który z tym swoim wiecznym uśmiechem wpatrywał się w formuły algebraiczne, jakie kreślił ołówkiem na serwecie, a Wilczek wciąż spacerował i rozmyślał o jutrzejszym interesie, jaki miał go postawić na cztery nogi, a w przerwach wodził po towarzyszach iro-

nicznym, niedbałym wzrokiem, w którym było wiele politowania, a jeszcze więcej lekceważenia, a czasami przysiadł z sykiem i zdejmował kamasz na chwilę, bo był obuty w lakierki bardzo eleganckie, ale tak ciasne że czuł je coraz mocniej.

Był ubrany z wielką a przesadną elegancją kantorowicza.

– Szulc, odkryłem bezwiednie tajemnicę waszego młodego Kesslera! – zaczął nakładając znowu but i spacerując po pokoju.

– Wy macie specjalną zdolność śledczą.

– Bo dobrze patrzę.

– Czasem się opłaca taki dobry wzrok!

– Malinowski! – zawołał siadając, bo kamasz palił go jeszcze więcej.

– Nie przerywajcie sobie popisów własnego sprytu i przenikliwości, będziemy słuchać cierpliwie i może buciki trochę zmiękną – szydził Adam.

– Spotkałem wczoraj rano na Wschodniej bardzo ładną dziewczynę, poszedłem za nią, żeby się jej przyjrzeć lepiej, bo znałem skądś jej twarz. Weszła do jednego z domów na Dzielnej i zniknęła mi w podwórzu. Trochę strapiiony szukam stróża, aby się od niego dowiedzieć, gdy natykam się na młodego Kesslera, wchodzącego do bramy. Wydało mi się to podejrzanym, bo przecież wiadomo, że Kessler wciąż się włóczy za dziewczynami. Zaczekałem przed domem i po kilkunastu minutach doczekałem się, że wyszedł, ale nie sam, wyszedł z tą dziewczyną, tylko tak ubraną wspaniale, że z trudem ją poznałem. Wsiedli do powozu czekającego o kilka domów dalej i pojechali w kierunku kolei. Tę dziewczynę, Malinowski, musisz znać?

– Skądże takie przypuszczenie? – zapytał spokojnie na pozór.

– Widziałem cię z nią przeszłej niedzieli, wyszedłeś z domów rodzinnych Kesslera i prowadziłeś ją nawet pod rękę.

– To nieprawda! to nie mogła być... – zawołał gwałtownie, połykając jakieś imię.

– Jestem najpewniejszy, że to ona. Brunetka, bardzo żywa i bardzo ładna.

– Dajmy pokój, co mnie to obchodzi – szepnął niedbale i czuł, że mu jakaś ręka wsunęła się do wnętrza i szarpie je strasznie.

Z tego jednego szczegółu poznał, że to była Zośka, jego siostra.

Nie, nie mógł w to uwierzyć, siedział w milczeniu i chciał iść, lecieć do domu, ale się nie ruszył, nie podniósł nawet oczu na towarzyszy-

szów, bo się bał spotkać z ich wzrokiem, żeby mu nie wyczytali tajemnicy.

Ochłonawszy nieco, najspokojniej ubrał się i wyszedł nie czekając na kolegów.

Pobiegł do rodziców, mieszkających w domach rodzinnych Kesslera.

Wielkie trzypiętrowe czworoboki, podobne do koszar, w których się gnieździło kilkaset osób, stały ciemne i ciche, tylko w jednym oknie błyskało światło. Dom spał zupełnie, bo nawet na korytarzach, którymi biegł Malinowski, było ciemno i pusto, a tylko jego kroki huczały po całym domu.

W mieszkaniu zastał matkę i młodszego brata, który siedział w kuchni i okręcony w chustkę, zatykając uszy rękami, kiwał się i monotonnym głosem wbijał sobie w pamięć jutrzejszą lekcję.

– Dawno ojciec poszedł do fabryki? – zapytał szukając oczami Zośki w drugim pokoju.

Matka nie odezwała się, klęczała przed złocistym obrazem Częstochowskiej, który stał na komodzie w oświetleniu purpurowej lampki, modliła się półgłosem, szybko przesuając ziarnka wielkiego różańca.

– A gdzie Zośka? – zapytał, znowu drżąc z niecierpliwości.

– „... I błogosławiony owoc żywota Twojego Jezus, Amen!” – Ojciec poszedł już dawno. Zośka jeszcze wczoraj pojechała do cioci Oleśi.

Ciągnęła dalej przerwany pacierz.

Adam nie wiedział, co robić; chciał matce powiedzieć o swoich podejrzeniach, ale zobaczywszy ją w takim nabożnym skupieniu, tak rozmodloną, nie śmiał.

Żał mu było zamącać tego spokoju, jaki panował w mrocznym, cichym mieszkaniu.

Siedział czas jakiś, patrząc na starą, zmęczoną twarz matki, na jej siwe włosy pokryte krwawym refleksem lampki, to na dwie doniczki kwitnących hiacyntów, postawionych z boku obrazu, które rozaczały po pokoju duszący zapach.

– Rivus – strumień, terra – ziemia, mensa – stół, nautilus – marynarz – powtarzał z monotonnym uporem brat, kołysząc zawzięcie nogami.

– Naprawdę Zośka pojechała do ciotki? – zapytał ciszej.

– Mówiłam ci. Herbata jeszcze będzie gorąca, Józiek niedawno wodę przynosił z fabryki jeśli chcesz, to ci zrobię herbaty, co?

Nic nie odpowiedział, wyszedł spiesźnie, nie zwracając uwagi na wołania matki, aby powrócił; poszedł do fabryki Kesslera, gdzie ojciec pracował jako mechanik przy głównym motorze.

Szwajcar przepuścił go bez trudności na wielki ciemny dziedziniec, obstawiony z trzech stron olbrzymimi gmachami, które połyskiwały setkami okien i wrzały nieustannym głuchym hukiem maszyn pracujących, bo oddziały tkackie i przędzalniane z powodu nawału roboty szły już od miesiąca dniem i nocą.

Z czwartej strony, zamykającej ten długi czworobok przed olbrzymim kominem, stał wysoki trzypiętrowy budynek, podobny do wieży, przez którego słabo oświetlone okna majaczyło w szalonym ruchu olbrzymie koło rozpedowe.

Przeszedł obok niskich, beczynnych teraz pawilonów, gdzie były farbiarnie włóczki i mydlarnia, bo z olejów otrzymywanych przy odłuszczeniu wełny prócz potażu robiono i szare mydło; szedł obok pieców z daleka już czerwieniących się wielkimi ogniskami, które rzucały krwawe smugi światła na kupy węgla leżące niedaleko.

Kilku półnagich, czarnych od pyłu ludzi zwoziło nieustannie węgiel wózkami, a kilku innych wrzucało go do palenisk, i wszedł do wieży.

Na razie nie spostrzegł nic w półmroku, w którym główne koło, ni by jakiś gad potworny skręcony w kłębek, z szybkością szaloną rozpryskując stalowymi błyskami, wypryskiwało z ziemi, gdzie było do połowy zanurzone, rzucało się w górę z szaleństwem, jakby chcąc rozbić te więzące je mury i uciec, zapadało z wściekłym świstem, wyrывało się znowu i biegło bezustannie i z taką szybkością, że nie można było uchwycić jego kształtu, widać było tylko drżącą mgłę błysków, odpryśniętych od stalowej polerowanej powierzchni, która srebrną aureolą pędziła za kołem i przepelniała ciemną wieżę miliardami ostrych iskier.

Kilka olejnych lampek, przyczepionych do ścian, drżącymi płomykami oświetlało tłoki, które ni by stalowe, grube jak drzewa ręce pracowały również nieustannie z jednostajnym, przesywającym świstem, jakby usiłowały z nadaremną wściekłością pochwycić to koło, już oburącz trzymane i wiecznie się wymykające.

Stary Malinowski chodził z oliwiarką w rękę dokoła mosiężnej bariery otaczającej maszynę i co pewien czas sprawdzał na manometrze ilość produkowanej siły.

Spostrzegł syna, ale obszedł maszynę, powycierał jej pewne części, zbadał wzrokiem funkcjonowanie i dopiero przyszedł; nabił fajkę tytunem, zapalił i spojrzał pytająco na syna.

– Przyszedłem ojcu powiedzieć, że Zośka prawdopodobnie jest kochanką Kesslera.

– Głupis! Widziałeś?

Malinowski zaczął mu opowiadać, co słyszał od Wilczka, ale mówił szeptem, gdyż w tym roztrzęsionym, piekielnym szumie i głos armaty zginąłby bez echa.

Stary słuchał uważnie, jego bure oczy podobne do stalowych błysków koła, które wznosiło się i zapadało bezustannie, poczynały świecić i drgać.

– Dowiedz się wszystkiego, wszystkiego – szeptał nachylając ku niemu suchą, szarawą twarz o ostrych jakby z kamienia ciosanych ryśach.

– Ja się dowiem, ale jeśli tak jest, to już mu się na zawsze odechce uwodzić swoje robotnice, na zawsze – dodał z naciskiem i jego zielone, słodkie oczy strzeliły ogniem zawziętości, a słodkie karminowe usta posiniały, odsłaniając długie i ostre jak u wilka zęby.

– Suka! – rzucił stary przez zęby zaciśnięte, przypychając palcem tytuń.

– Co ojciec o tym myśli? mamie nie mówiłem jeszcze nic.

– Sam jej powiem. Dowiedz się tylko dobrze, to już się z Kesslerem załatwię.

Poszedł do maszyny i powrócił po chwili.

– Czemu nie byłeś u mnie cały tydzień? – zapytał; miękko, z wielką miłością w głosie.

– Robiłem koło swojej maszyny. Stary spojrzał na niego spod oka, ale się nic nie odezwał, chociaż nienawidził całą duszą tę maszynę, którą od roku już stwarzał Adam, nie żałując czasu ani pieniędzy.

– Późno, idź spać, Adaś. Dobrze, żeś powiedział. Przekonaj się zupełnie i powiedz mi, w domu nie mów nic. Jeśli jest, jak przypuszczasz, to ja sam się z nimi załatwię. Kessler ma miliony, ale radę mu dam.

Mówił z chłodnym, prawie okrutnym spokojem, tak samo jak kiedyś w Zabajkalskim kraju, gdy chodziło o zakład na szarego niedźwiedzia z toporem w ręku.

Ścisnęli sobie ręce i popatrzyli w oczy.

Stary znowu zaczął chodzić dookoła maszyny, naoliwiać, czyścić, patrzeć na manometr, a chwilami opierał się grzbietem o trzęsącą się ścianę i zapatrzony w ten wir błysków, drgań, cieniów i świstów, pokrywający szalony ruch koła, szeptał jakby z żalością:

– Zośka!

Adam powrócił do mieszkania z pewną ulgą w duszy.

Horn już spał, więc przymknął drzwi od jego pokoju i zabrał się do rozbierania tej maszyny, która mu wypijała życie, bo robił ją od roku i nigdy skończyć nie mógł.

Miała to być maszyna dynamo-elektryczna o tak prostej konstrukcji i tak tanim motorze, że zrobiłaby przewrót w świecie, gdyby się tylko udała, gdyby go tylko nie zawodziły ciągle obliczenia, gdyby mu ciągle coś nie staowało na przeszkodzie.

Był ciągle bliskim zwycięstwa, codziennie sobie obiecywał, że to już jutro zwycięży, a te jutra tworzyły długie miesiące i zwycięstwa nie było.

Siedział tak długo, że nad ranem Horn się obudził i zobaczywszy światło zawołał:

– Adam, idźcie spać.

– Zaraz – mruknął i rzeczywiście zgasił światło i położył się do łóżka.

Świt szary zaczął zaglądać oknem i napępniać pokój tym dziwnym światłem, w którym ludzie i rzecz/ymają wygląd trupów, a świat wygląda jak pustka.

Adam patrzył w okno, w gwiazdy, które bladły coraz bardziej i kolejno zapadały w jasności zalewającej świat. Spać nie mógł, po kilka razy wstawał i sprawdzał obliczenia lub głowę wychylał przez lufcik na surowy powiew poranku i ślizgał się po tysiącach czarnych lśniących dachów, zaledwie słabo wyłaniających się z mroku.

Miasto spało w zupełnej, absolutnej ciszy, nie zmaconej najmniejszym dźwiękiem.

Setki kominów, niby las kolumn czarnych, chwiały się w tych ruchomych mgłach, co wstawały z pól rozmiękłych i z wolna niby białym obłokiem zwłóczyły się na miasto i darły się o ostre szczyty.

Położył się raz jeszcze, ale teraz znowu przeszkodziły mu spać myśli o Zośce i ten chór gwizdań, jaki wkrótce zaczął się rozlegać nad cichym miastem.

Gwizdawki piałły przenikliwie i ze wszystkich stron: z południa i z północy, ze wschodu i zachodu miasta zrywały się ryki metalowych gardzieli, łączyły w jeden chór, rozdzielały na pojedyncze tony, a darły zgrzytem powietrze.

Horn, który od czasu zerwania z Bucholcem nic nie robił i czekał na rezultat starań, jakie czynił Borowiecki, aby go umieścić u Szal, wstał dzisiaj tak późno, że nim wypił herbatę, czas było już iść na

obiad, a nim zaszedł do „kolonii”, gdzie się stołował, już tam byli wszyscy po obiedzie i nie zastał Borowieckiego, z którym się chciał zobaczyć.

Kama zajęta była fryzowaniem piór, a kilka pań i panien szyło w stołowym pokoju, przemienionym na pracownię.

– Pan z pewnością jest chory, ja to widzę – wykrzyknęła Kama, bo miał ze znużenia i bezczynności bardzo nieszczęśliwą minę.

– Dobrze Kama widzi, bo jestem chory rzeczywiście.

– Ja wiem, wczoraj pan u nas nie był, bo poleciał pan na łobuzerkę.

– Graliśmy cały wieczór w domu.

– A nieprawda, był pan na bibce, bo ma pan oczy podsiniałe, o! – zaczęła paluszkami wodzić mu pod oczami.

– Pewnie umrę, Kama, pewnie umrę – mówił robiąc tragiczną minę.

– Tak nie trzeba mówić, ciociu, no, ja nie chcę! – zawołała, bo zamknął oczy, głowę przechylił na poręcz krzesła i udawał trupa.

Karna uderzyła go piórem po twarzy i udawała mocno rozgniewaną, bo połowa jej wichrowatych włosów opadła na czoło i zasłoniła oczy.

Horn po obiedzie siedział w milczeniu i umyślnie nie zwracał uwagi na jej minki, jakie stroiła do niego. udawał obojętnego, a w istocie był znudzonym i leniwie przypatrywał się szeregowi portretów rodzinnych, tym wielkim głowom szlachciców z XVIII wieku, które spod wygolonych czupryn zdawały się patrzeć surowo, groźnie prawie na setki dachów i kominów fabrycznych, roztaczających się za oknem, to na te zniekane, blade, wycieńczone nadmierną pracą bezbarwne twarze prawnuczek, zajętych pracą ciężką na chleb powszedni.

– Czy mam prosić, aby pan raczył przemówić do nas słówko?

– Kiedy mi się nie chce mówić.

– Ale pan nie chory, prawda? – zapytała cichutko, z niepokojem patrząc mu w oczy. – A może pan nie ma pieniędzy? – dodała prędko.

– Nie mam i jestem bardzo biedna sierota – zartował.

– Ja panu pożyczę, naprawdę panu pożyczę! Oho, mam czterdzieści rubli.

Ujęła go za rękę i wyprowadziła do saloniku, gdzie biały Picolo zaczął szczekać na nią i ciągnąć za sukienkę.

– Naprawdę panu pożyczę – zaczęła nieśmiało. – Mój złoty panie, mój drogi, mój kochany – szczebiotała wspinając się przed nim na palce i gładząc go po twarzy – niech pan pożyczycy ode mnie. To są moje

własne pieniądze, ja sobie uskładałam na kostium lotni, ale to mi pan jeszcze na czas odda, no! – błagała go prawie, z wielką serdecznością.

– Dziękuję, Kama, bardzo dziękuję, ale pieniędzy mi nie potrzeba, mam!

– Nieprawda. Proszę pokazać pugilares. A gdy się wzbraniał, wyciągnęła mu szybko pugilares z kieszeni i zaczęła w nim przewracać, ale jeszcze szybciej spostrzegła w nim swoją fotografię.

Patrzyła na niego długo i słodko, rumieniec z wolna powlókł jej szyję i twarz, oddała mu pugilares i szepnęła bardzo cicho:

– Ja pana kocham za to, kocham! Ale fotografię wziął pan z cioci albumu, aha!

– Kupiłem u fotografa.

– Nieprawda!

– Kiedy pani nie wierzy, to wychodzę.

Dopędziła go przy drzwiach i zastąpiła mu drogę.

– Ale pan nikomu nie pokazuje tej fotografii?

– Nikomu.

– I zawsze pan ją nosi przy sobie?

– Zawsze, ale nigdy na nią nie patrzę, nigdy.

– A nieprawda! – wykrzyknęła energicznie. – Weźmie pan pieniądze?

– Czasem tylko patrzę, ot tyle, o! Ujął jej obie rączki i obie gorąco obcałowywał. Wyrwała się zaraz, uciekła do drzwi saloniku, rozczewieniona i zadyszana wołała:

– Pan jest taki mocny jak niedźwiedź! nie cierpię pana, nienawidzę.

– I ja Kamy nie cierpię i nienawidzę – wołał wychodząc.

– Aha!

Usłyszał wąpiący głos za sobą i chociaż go nienawidziła, pobiegła do salonu i lufcikiem patrzyła, jak wyszedł z bramy i szedł środkiem Spacerowej, posłała mu kilka pocałunków na palcach i na wyścigi z Picolem pobiegła do przerwanej roboty.

Horn kilka godzin chodził po znajomych, zanim zdołał pożyczyć potrzebnych mu pieniędzy dla Józia Jaskólskiego, a potem poszedł do Borowieckiego.

Prawie już przed samą fabryką dopędził go Sierpiński, znajomy z „kolonii”.

Szlachcic był ubrany w długie do kolan buty, w brązową czamare, suto ozdobioną czarnymi potrzebami, i z fantazją trzymał na siwej głowie granatową maciejówkę, zamasyście wywijając okutym kijem.



– O tej godzinie na ulicy, a fabryka? – zawołał zdumiony Horn.

– Fabryka nie ucieknie, panie dobrodzieju, nie zając.

– Gdzież pan się wybrałeś?

– A bo, uważasz pan, słońce tak przygrzewa od rana, tak wiosną pachnie, że mnie rozebrało na amen, nie mogłem już wytrzymać w fabryce, jakoś się tam wykpiłem od południa i macham sobie, panie dobrodziejski, trochę za miasteczko, w polu zobaczyć, jak tam, tego i owego, oziminki wyszły spod śniegu. Uważa pan dobrodziejski, jakie to już diabelskie ciepłe słońce, to by człowiek łykał z radości, tego i owego.

– A cóż pana obchodzą wszystkie oziminy razem!

– Jak to nie obchodzą! No tak, tak, ja już nie sieję, nie orzę, tak, juści, jestem fabrycznym parobkiem, służę u Żyda, ale widzi pan – obejrzał się i po cichu szepnął mu do ucha – mnie już ta Łódź gardłem wyłazi, to wszystko razem, tego i owego, świństwo i psiakrew, panie dobrodziejski! – Zaklął raz jeszcze bardzo energicznie, podał mu rękę i spiesznie poszedł stukając laską po trotuarze.

## XV

Horn prędko się rozmówił z Borowieckim, bo ten nie miał żadnych nowych wieści, i wychodząc spotkał się z Jaskólskim, który szedł do Borowieckiego na skutek wczorajszej rozmowy z Wysockim.

Jaskólski był dzisiaj bardziej jeszcze zaleźniony i niedołączny.

Wyprostowywał się chwilami, gładził wąsy, chrząkał, ale mimo to odwagi mu nie przybywało, czekał w małej poczekalni przy farbiarni i miał już kilka razy szczerą chęć umknienia, ale na wspomnienie żony i dzieci, na wspomnienie tylekrotnych, nadaremnych wyczekiwań po rozmaitych kantorach i przedpokojach fabrykantów siadał z powrotem i czekał z rezygnacją.

– Pan jest Jaskólski? – zapytał Karol wchodząc.

– Tak, mam zaszczyt się przedstawić panu dyrektorowi, jestem Jaskólski!

Mówił wolno tę sakramentalną formułę, powtarzaną już wielokrotnie.

– Nie o taki zaszczyt chodzi. Pan Wysocki mówił, że pan potrzebuje miejsca.

– Tak – odrzekł krótko, mnąc wytarty kapelusz w rękę i ze strachem czekając, że znowu usłyszy, że miejsca nie ma.

– Co pan umie, gdzie pan pracował?

– U siebie.

– Miałeś pan interes jaki?

– Miałem majątek ziemski, straciło się i teraz z powodu chwilowej potrzeby, tylko chwilowej – upewniał z rumieńcem wstydu – bo właśnie jesteśmy w procesie, który musi wypaść na naszą korzyść. Sprawa bardzo prosta, bo po moim stryjecznym bracie, zmarłym bezpotomnie...

– Nie mam, panie, czasu na genealogię. Byłeś pan obywatelem ziemskim, to znaczy, że pan nic nie umiesz. Chciałbym panu pomóc, a że na pańskie szczęście od kilku dni jest w magazynach miejsce, więc jeśli pan chce przyjąć...

– Z wdzięcznością, z podziękowaniem, bo istotnie jesteśmy trochę w kłopotach, nie potrafię nigdy się odwdziżyć panu dyrektorowi. Wolno wiedzieć, jakie to miejsce?

– Stróża magazynowego Dwadzieścia rubli pensji, zajęcie w godzinach fabrycznych.

– Żegnam pana! – rzekł twardo Jaskólski i odwrócił się do wyjścia.

– Co się panu stało? – zawołał zdumiony.

– Ja jestem szlachcic, panie, a pańska propozycja jest niegodna. Zdechnąć z głodu Jaskólski może, ale stróżem u Szwabów być mu nie wolno – szepnął wyniośle.

– A zdychajże pan ze swoim szlachectwem jak najprędzej, nie będziesz pan przynajmniej miejsca zajmować drugim! – krzyknął zirytowany Borowiecki wychodząc.

Jaskólski w wielkim rozdrażnieniu wyszedł na ulicę, czas jakiś szedł wyprostowany, dumny, z nabiegłymi krwią policzkami, pełen obrażonej godności, ale gdy go owionęło powietrze, gdy znowu się zobaczył na ulicy, pod gołym niebem, potrącany przez szybko pędzących przechodniów, pod kołami tych nieskończonych platform naładowanych towarem, opadł z westchnieniem, opuścił ramiona bezwiednie, stanął nad trotuarem i zaczął szukać w dziurawych kieszeniach chustki.

Oparł się o jakiś parkan i bezsilnym, ogłupiałym wzrokiem patrzył na morze domów, na setki kominów bijących brudnymi kłębami dymów, na fabryki huczące pospieszną pracą, na ruch, jaki wrzał dookoła, na tę wiecznie czynną, twórczą i potężną energię ludzką, uprzedmiotowaną w tym mieście, a potem na te spokojne obszary błękitu, przez które szło słońce.

Szukał znowu chustki, nie mogąc już trafić do kieszeni, bo go schwycił za serce kurcz najstraszniejszego z bólów – bezsilności.

Miał szaloną ochotę przykucnąć przy tym parkanie, oprzeć głowę na kamieniu i umrzeć, niechby się już raz skończyło to straszne mocowanie z życiem, niechby już raz nie wracać do tej zdychającej z głodu rodziny, niechby już raz nie czuć własnej bezsilności.

Nie, już nie szukał chustki, zakrył podartym rękawem twarz i zapłakał.

Borowiecki powrócił do swego laboratorium przy „kuchni” i zastawszy Murraya, siedzącego na rogu stołu, opowiedział mu o Jaskólskim.

– Pierwszy raz spotykam podobnego człowieka! Daję mu pracę, a przez nią możliwość wegetowania, a ten z oburzeniem powiada: „Szlachcicie jestem i stróżem u Szwaba nie będę; raczej zdechnę z głodu!” Dali-

bóg, że byłoby lepiej, aby tego rodzaju szlachetczyzna wyzdychała jak najprędzej.

– Już kończą drukować „bambus” – meldował robotnik.

– Zaraz przyjdę! Wstydzą – się roboty, a nie wstydzą się zwykłej żebraniny, tego już zaczynam nie rozumieć. Co wam jest? – zapytał prędko, bo Murray nie słuchał, tylko jakimś wyblakłym, przepłakany wzrokiem patrzył w okno.

– Nic, jestem jak zwykle – odpowiedział niechętnie.

– Macie taką smutną twarz.

– Nie mam znowu specjalnego powodu do radości! Ale, może kupicie meble ode mnie? – wyrzucił prędko, unikając jego wzroku.

– Meble sprzedajecie?

– Tak, tak... Chcę się pozbyć tych gratów, tanio sprzedam, weźmiecie?

– Pomówimy o tym później, ale jeśli do tego kroku zmusza was jaka gwałtowna potrzeba, to może bym wam co poradził, bądźcie szczerzy ze mną.

– Nie, pieniędzy mi nie potrzeba, ale i meble mi na nic.

Karol popatrzył na niego i po dłuższym przestanku rzekł ze współczuciem:

– Znowu nic z waszego małżeństwa?

– A nic, a nic! – zaczął szybko chodzić, aby pokryć wzburzenie, jakie nim trzęsło.

Szczęka mu drgała spazmatycznie, przystawał chwilami, oddychał głębiej, wodził martwym wzrokiem po obojętnej twarzy Karola, obciągał kurtkę z garbu, wycierał spocone ręce i znowu biegał zakreślając wielkie koło dookoła stołu.

Karol się nie odzywał, zatopiony w robocie, tylko gdy Murray pobiegł do „kuchni”, rzucił za nim pogardliwym spojrzeniem i mruknął:

– Małpa sentymentalna!

– Ja dopiero wczoraj zobaczyłem, że małżeństwo to gorzka satyra na miłość i godność ludzką – zaczął Murray, powróciwszy do przerwanej przechadzki.

– Jak dla kogo!

– Ja wczoraj dopiero zobaczyłem, że to jest najbardziej niemoralna instytucja! o tak, małżeństwo to stek kłamstw brudnych, podłości, obłudy najnikczemniejszej, fałszu! nie zaprzeczycie mi tego, co? – zaczął się rozpalać nienawiścią.

– Nie będę przeczył ani twierdził, bo mnie to nie obchodzi.

– Ale ja wam mówię, że tak jest! Wczoraj byłem w jednym domu na herbacie, byli tam także ci idealni małżonkowie Kaczyńscy. Ciągłe siedzieli przy sobie i trzymali się za ręce. Wstrętny zwyczaj, żeby się ciągle o siebie ocierać. Wciąż tylko szeptali ze sobą i tak się patrzyli na siebie łakomie, że aż to było głupie i nieprzyzwoite. Irytowali mnie cały wieczór, bo nie wierzyłem w ich szczerłość, podejrzewałem nędną blagę, jakoż się zaraz przekonałem, bo po herbacie wyszedłem do sąsiedniego pokoju i usiadłem pod oknem ochłodzić się nieco. Kaczyńscy przyszli wkrótce, nie spostrzegli mnie i zaczęli najordynarniej się kłócić. Nie wiem, o co szło, ale słyszałem, jak ta idealna, boska, podobna do świętej Kaczyńska wymyślała mu z ekspresją ostatniej ulicznicy, a na dokończenie uderzyła go w twarz, wtedy on, ten wzór małżonków, chwycił jej ręce w jedną, trzasnął ją kilka razy w twarz i uderzył całą siłą o piec, że aż upadła na ziemię. Nie zemdląła, ale dostała spazmów, zbiegł się cały dom na ratunek, a wtedy on klęczał przed nią, całował ją po rękach i najśłodszymi imionami nazywał, i niemal płakał z rozpaczy, że ona cierpi! Wstrętna i podła farsa!

– Opowiadacie fakt wyjątkowy. Ale to zdumiewające bądź co bądź!

– O, to nie wyjątkowy fakt, tak żyje dziewięć dziesiątych małżeństw i inaczej być nie może, dopóki ludzi będzie łączył dobór handlowy, dopóki prawo skuwać będzie ludzi nierozzerwalnymi pętami i dopóki panny będą z małżeństwa robić przedsięwzięcie zyskownego utrzymania.

– A ta cała nienawiść wasza powstała tylko z osobistego zawodu, co?

– Zawszem tak czułem, bo dawnom już przejrzałem.

– Dlaczegoż się nie zenicie? – zapytał Borowiecki.

Murray się zmieszał, milczał chwilę, przykładając rozpalone czoło do zimnych blach podręcznej maszyny drukarskiej stojącej przy stole.

– Mam za wielki garb, a za mało pieniędzy. Gdybym był ślepy, głupi, rakowaty, a był choćby Bucholcem, to każda z waszych Polek na kolanach przysięgałaby mi miłość do śmierci! – szepnął nienawistnie.

– Ach, więc to Polka dała wam kosza? – mruknął złośliwie.

– A tak, Polka, to uosobienie głupoty, fałszu, kaprysów, złych instynktów, to...

– Macie bogaty słownik synonimów – przerwał mu ironicznie.

– Ja pana nie proszę o uwagi – syknął wyszczerzając swoje kły rzadkie.

– Ja znowu nie błagam o zwierzenia.

– Pan prezes prosi pana! – zawołał robotnik wsadzając głowę do laboratorium.

Karol poszedł do Bucholca.

Murrayowi zrobiło się nieco przykro, wstydził się własnej porywczoci, ale pomimo to gorycz zawodu przesycala go głuchą nienawiścią do całego świata, a w szczególności do kobiet, bo w oddziale farb suchych, których tarcie zajętych było kilka kobiet, usłyszawszy głośne rozmowy i śmiechy, wywarł na nich złość swoją; wybił jedną, a pozostałe wypędził natychmiast z roboty, a potem łąził po fabryce i szukał tylko okazji, aby krzyżeć, zapisywać na kary i wyrzucać.

Bucholc siedział w drukarni i witając się rzekł do Karola:

– Knoll przyjeżdża w sobotę. Niech pan przyjdzie do mnie wieczorem na górę.

– Dobrze; ale po co prezes wychodzi z domu, takie spacery mogą być szkodliwe.

– Nie mogę już wysiedzieć w domu. Nudzi mnie wszystko, potrzebuję ruchu.

– A to czemuż pan prezes nie pojedzie gdzie na spacer?

– Jeździłem dzisiaj, nudzi mnie to więcej jeszcze. Cóż słysząc?

– Robi się jak zwykle.

– A dobrze. Dlaczegoż tak dzisiaj cicho idzie fabryka? – szepnął nasłuchując ze zdziwieniem.

– Ależ idzie jak zwykle! – odpowiedział i poszedł do dalszych sal.

Bucholc chwilę łowił uchem ogłuszający, monotony łoskot maszyn, rozlegający się potężnym szumem, ale słyszał niewiele, bo nie mógł zupełnie skupić uwagi, a że przy tym zaczynało mu być i duszno, i gorąco w drukarni, wyszedł przed fabrykę i usiadł na wystającej cembrowinie sadzawki, do której spływała woda skroplona z pary zużytej.

Przymykał oczy i wodził nimi po konturach swoich fabryk, rozrzuconych dookoła olbrzymiego dziedzińca, po brązowych sznurach wagonów, ładownych węglem i materiałami, które wchodziły w dziedzińiec, pod magazyny; po lśniących w słońcu dachach, po kominach wyrzucających kłęby zaróżowionych przez słońce dymów, po nikłych sylwetkach robotników, snujących się pod magazynami i pchających wagony.

Oddychał z trudnością tym przesłonecznionym, a pełnym dymów i miału węglowego powietrzem.

Zakaszłał się silnie, ale nie poszedł do domu, bo go opanowywała jakaś przyjemna bezwładność.

Słońce świeciło całą wiosnianą potęgą, a wiatr miękki zawiewał od przeszlonych wodą pól; na nagich jeszcze topolach, stojących przy parkanie zamykającym z jednej strony dziedziniec fabryczny, biły się z krzykiem stada wróbli i ćwierkały radośnie jakby do wiosny nadchodzącej, która ukazywała już słoneczną twarz spoza wielkich białych chmur, które niby kłęby wełny najbielszej leżały cicho na olbrzymiej tafli błękitu, rozpiętej nad miastem zadymionym, pełnym łoskotu fabryk, a ciszy na pustych ulicach.

Fabryki grały nieustannym rytmem pracy. Bucholec podniósł się wreszcie i poszedł do domu, ale z takim uczuciem bezsilności wobec tych olbrzymich gmachów, wobec tych maszyn potężnych, wobec sił tego kolosalnego życia fabryki, że włókł się ledwie i jeszcze z parku spoglądał z zawiścią bezwiedną na czerwone, olbrzymie gmachy błyskające oknami.

Nie wracało mu jednak zdrowie pomimo cudownych środków Hammersteina, codziennie czuł się gorzej, mało sypiał i noce przepędzał nieraz na fotelu obawiając się iść do łóżka, bo coraz częściej myślał, że skoro się położy, umrzeć musi, coraz częściej obawa śmierci ścisła go strasznym spazmem głuchej męki, coraz częściej bał się nocy i samotności, ale nie chciał się jeszcze przyznać do tego nawet przed samym sobą i walczył całą potężną swoją wolą z niemocą.

Apatia bezmyślna i ciężka przenikała go coraz silniej.

Nie chciał się już niczym zajmować, nudziło go wszystko i wszystko przestało nawet interesować.

Siedział godzinami bez ruchu w kantorze, gdzie Borowiecki załatwiał wszystkie sprawy, i bezmyślnym wzrokiem tonął w drganiach drzew chwiejących się za oknem, i zapominał, gdzie jest, na co patrzy; to znowu budził się, odzyskiwał świadomość i wtedy włókł się do fabryki, zbliżał się do ludzi, pragnął ruchu dookoła, ludzi, życia, którego się czepiał bezwiednie, z rozpaczą topielca czepiającego się oślizgłych a stromych brzegów.

W sobotę, w dzień zapowiedzianego przyjazdu Knolla, czuł się jeszcze gorzej, ale pomimo to po południu poszedł do fabryki.

Trawiła go gorączka i taka niecierpliwość, że nie mógł minuty wytrzymać w jednym miejscu, szedł z pawilonu do pawilonu, z sali do sali, z piętra na piętro i chciał iść i iść naprzód, wszystko widzieć, a jednocześnie od wszystkiego uciekać, bo denerwowały go maszyny, a

te niezliczone włókna transmisji i pasów, co się przewijały dookoła z jęklwym świstem, przejmowały go bólem.

Poszedł do tkalni i przechodził pomiędzy warsztatami, które drgały spazmatycznie jak zwierzęta usiłujące się zerwać z łańcuchów.

Olbrzymie sale przepęniał taki krzyk warsztatów, szczęki, warczenia, huki, że przechodził spieszenie i przywartymi, czerwonymi oczami ślizgał się po robotnikach pochylonych, przykutych oczami do warsztatów, ogłuchłych i ośleplonych na wszystko, co się obok nich działo.

Kurz bawełniany powlekał drgającą szarawą mgłą czarne, roztrzęsione kontury maszyn i nieruchome prawie sylwetki ludzi i skrzył się w smugach słońca pod długim szeregiem okien.

Nie, nie czuł się tutaj dobrze: ten monotony, ciągły krzyk żelaza, zmuszonego do pracy, ten nadmiar sił, poruszających warsztaty, trzęsących ścianami, wyjących jakby w męce gwałtu i oporu, rozdrażniał go.

Przechodził przez niskie pawilony apretury, ale tam znowu wyziewy sody, krochmalu, potażu, szarego mydła wygryzały mu oczy, a te maszyny, podobne do krokodyłów wymiotujących nieustannie nieskończonymi wstęgami różnokolorowych materiałów – przejmowały go obrzydzeniem.

Szedł dalej i w jakimś korytarzu wyrzwał na dziedziniec, wagony pełne bel bawełny podsuwano pod magazyny, przed drugimi magazynami ładowano gotowy towar, a na wprost okna dyszała maszyna, ciągnąca węglarki puste.

Gonił wzrokiem, aż mu zniknęła gdzieś za fabryką, pod lasem, a potem z uwagą przypatrywał się obłokowi czarnego pyłu, w którym migotały sylwetki robotników zrzucających węgiel z wagonów na sterety czworokątne.

– Co mnie to obchodził – myślał z niesmakiem i oparł się o parapet, aby nieco odpocząć, bo czuł się tak ociężałym, iż ruszać się nie mógł i brakowało mu coraz częściej oddechu, chwilami chwiała się z nim wszystko dookoła i z takim dziwnym szumem, że oderwał się, znalazł siły i poszedł spieszenie, gnany trwogą.

Dopiero widok ludzi przy pakowaniu towarów uspokoił go znacznie.

Kilkadziesiąt kobiet pracowało w tej wielkiej sali, która cały środek aż pod sufit miała zawalony towarem niby zwojami blach różnokolorowych.



Gwarne rozmowy, śmiechy i żarty brzmiały wesoło w powietrzu, ale gdy Bucholc wszedł, sala ogłuchła prawie. Głosy wszystkie zamilkły, uśmiechy zamarły,

spojrzenia sposepniały, a twarze powlokły się surowością i niepokojem.

Słyszeć było tylko monotonne trzaskanie maszyn, odmierzających towar i nawijających go na deski, głuchy stęk rzucanych sztuk na wózki, które je z dudnieniem przewoziły do sąsiedniego składu, i ostry szelest załamywanych przy opakowywaniu papierów.

Bucholc wolno przesuwiał się obok stołów, przyglądając się z uporem rzędom głów brzydkich, bladych, anemicznych, zbezkształconych ciężką codzienną pracą, ale żadna nie podniosła się do niego, łapał tylko

spojrzenia rzucane spod czoła, spojrzenia niechętne lub pełne obawy.

– Dlaczego one się mnie boją? – myślał usłyszawszy za sobą, gdy wyszedł, że sala buchnęła dawną wrzawą głosów.

Szedł coraz wolniej i z taką trudnością, że postanowił już powrócić do pałacu, pominął blichy i przez magazyny gotowego towaru skrócał sobie drogę do wyjścia.

Składy były w specjalnym budynku jednopiętrowym z kamienia i żelaza, z oknami małymi i tak zakratowanymi, że półmrok panował w olbrzymiej sali, zajmującej całe piętro i zapakowanej pod sufit stertami sztuk opakowanych, pomiędzy którymi wiły się głębokie uliczki niby kanały, biegnące wskroś olbrzymiej masy towarów.

Półmrok i głęboka cisza panująca w składach rozlewały jakiś uroczysty nastrój powagi, czasami tylko na głównej uliczce przesunął się wózek wiozący nową partię i nikał w bocznych przejściach bez śladu i bez echa albo jakiś głośniejszy huk fabryki uderzył w zasnutą pajęczyną i pyłem bawełnianym szyby i konał rychło w głębokich, sinych uliczkach.

Bucholcowi brakło już sił iść, usiadł bliżej okna na rozrzuconych sztukach perkalu i myślał, że odpocząwszy pójdzie zaraz dalej, ale gdy chciał się podnieść, nogi pod nim ugięły się i opadł ciężko z powrotem.

Poczuł się strasznie niedobrze.

Chciał krzyknąć, aby zawołać kogo na pomoc, ale nie miał sił, nie mógł wydobyć głosu, z trudem jeszcze podnosił powieki i czerwonymi, pełnymi przerażenia oczami wodził błędnie po tych milczących, ol-

brzymich czworobokach, stojących dookoła w jakiejś groźnej powadze zadumy kamiennej.

I chwycił go wtedy za gardło okropny dziki strach, że oszalały rzucał się do najbliższego okienka, uwiesił się, chciał wołać pomocy, ale tylko drgał spazmatycznie i bełkotał wodząc błagalnym, rozpaczliwym wzrokiem po robotnikach, ładujących wagony na dziedzińcu.

Nikt nie przychodził na ratunek; fabryka szumiała głucho jak morze wiecznie burzliwe, a jemu brakło sił, ręce się ześlizgiwały z krat, upadł na materiały, ale raz jeszcze się zerwał strasznym wysiłkiem i potykając się o te sterty towarów, które ze wszystkich stron zdawały mu się zastępować drogę, upadł powtórnie i już nie mógł się podnieść, czołgał się tylko, chwycił powietrze, czepiał się sztywniejącymi już palcami czworoboków, darł żelazną podłogę, aż jakby żgnięty nożem w samo serce, porwał się na nogi, zachwycił powietrza, buchnął krótkim, okropnym rykiem i zwałił się bezwładnie na ziemię.

Usłyszano ten krzyk i wkrótce robotnicy zbiegli się i otoczyli go bezradni, wystraszeni, nie ośmielając się nawet dotknąć drgającego jeszcze trupa.

A on leżał wyprężony, z czerwonymi, wysadzonymi z orbit oczami w sinej i pokrzywionej twarzy i z szeroko otworzonymi szczękami, z tym ostatnim, śmiertelnym krzykiem – posepny jak te czworoboki towarów, bezwładny jak te miliony, wśród których skonał, tylko ten wstrząsający, skamieniały na ustach krzyk istności zdławionej zdawał się huczeć w mrocznej sali, pod żelaznym sufitem, w wąskich uliczkach, wskroś gór towaru, wskroś murów przenikał i łączył się z potężną falą życia, jakim wrzało miasto i huczały fabryki.

## XVI

Dwa wypadki zaalarmowały Łódź: śmierć Bucholca i podskoczenie cen bawełny do niebywalej przedtem ceny.

Bucholc umarł! Ta wiadomość rozlała się lotem błyskawicy po Łodzi, wywołując głębokie wrażenie.

Nie chciano wierzyć w tę śmierć, potrząsano głowami z niedowierzaniem.

Nie, to nie może być.

Nieprawda, zaprzeczali niektórzy stanowczo.

Bucholc umarł?

Ten Bucholc, który zawsze był, o którym od lat pięćdziesięciu mówiono, którego każdym krokiem się zajmowano, który niepodzielnie panował nad Łodzią; ten Bucholc, którego bogactwa olśniewały wszystkich, ten mocarz, ta dusza Łodzi i jej duma! ten przeklinany i podziwiany – umarł!

Jakieś zdumienie opanowywało masy, które nie mogły się pogodzić z tym prostym faktem śmierci.

Po kantorach, warsztatach i fabrykach zaczęło się zaraz wysnuwać tysiące legend o jego życiu, o jego milionach i o jego szczęściu; ciemne masy robotnicze nie rozumiały jego woli żelaznej i bezwzględnej, którą naginał dowolnie wszystko i wszystkich, jego genialności w swoim rodzaju; masy widziały tylko skutek – olbrzymie bogactwa, które wzrosły w ich oczach, przy nich, gdy oni jak dawniej nie posiadali nic.

Niestworzone rzeczy wygadywano na niego. Jedni twierdzili, że miał fabrykę fałszywych pieniędzy, jeszcze ciemniejsi, niedawno przedzierzgnięci z bezrolnych chłopów na robotników, przysięgali, że diabeł mu pomagał, byli i tacy, którzy gotowi byli przysięgać, że widziano rogi na jego głowie, iż sam był diabłem, ale wszyscy jednogłośnie nie mogli uwierzyć w śmierć zwykłą, taką, jaka brała każdego z nich.

Wieść jednak była prawdziwą.

Kto chciał, mógł iść się przekonać do pałacu Bucholca, do wielkiego przedsionka, zamienionego na pogrzebową kaplicę, obitą czarnym suknem skropionym srebrnymi łzami, gdzie Bucholc leżał na niskim katafalku wśród palm, kwiatów, wielkich świec woskowych, których

światła chwiały się od brzmień ponurych psalmodii, ustawicznie śpiewanych przez liczny kler.

Oczekiwał na dzień pogrzebu, a tymczasem był pastwą ciekawych, płynących tłumami, aby zobaczyć, jak wygląda ten legendowy Bucholc, ten pan życia dziesiątek tysięcy ludzi, ten milioner!

Ludzie z trwogą i w cichości smutku dziwnego stawali wobec martwego mocarza, który leżał spokojnie, ze skamieniałą siną twarzą w srebrzystej trumnie, zaciskając w rękach czarny krzyżyk.

Leżał twarzą wprost drzwi otwartych na rozcież i zdawał się patrzeć zapadniętymi oczami przez poczerniałe powieki na park, na mury fabryk, na kominy buchające kłębam dymów, na swoje królestwo dawne, na cały ten świat, wyciągnięty własną wolą z nicości, który teraz żył pełnią sił wszystkich, bo słychać było łoskot maszyn, świsty i sapania pociągów zwożących i wywożących, całą gamę olbrzymiej produkcji, splatanej z wysiłków myśli i materii ujarzmionej, jaka huczała w ogromnych gmachach fabrycznych.

Dwie potęgi stały wobec siebie – człowiek umarły i żywa fabryka.

Twórca i ujarzmiiciel potęg przyrody został ich niewolnikiem, a z niewolnika łachmanem wyżętym do ostatniej kropli krwi przez te same potęgi.

Knoll, przyjechawszy w sobotę, jak zapowiadał Bucholc, zastał już trupa.

Kazał zająć się pogrzebem jednemu ze swoich ludzi, a sam zanurzył się w pozostawionych interesach. W pałacu zapanowała atmosfera smutku.

Całe piętro zajmowane przez nieboszczyka opustoszało zupełnie.

Bucholcowa siedziała jak zwykle po dniach całych z pończochą w rękę, tylko częściej niż zwykle myliła się, gubiła oczka i pruć robotę i częściej zapadała w tępą zadumę, i częściej patrzyła przez okno, a nawet chwilami jej wybladłe, zagasłe oczy napełniały się blaskiem łez i wtedy cicho przesuwiała się przez puste pokoje, schodziła na dół i z trwogą i ze zdumieniem przyglądała się martwej twarzy męża – powracała jeszcze cichsza, jeszcze silniej onieprzytomniona samotnością i szukała pociechy i zapomnienia w modlitwach, powtarzanych za pokojówką, która jej czytywać musiała.

W godzinach śniadań i obiadów, przez siłę długoletnich nawyków, poprawiała toaletę i oczekiwała na męża – nie przychodził jednak; wracała do modlitw i pończochy, z trwogą nasłuchując ponurych lamentacji płynących z dołu albo głosu papugi, która chodziła po

mieszkanu niespokojna, zdenerwowana i ochrypniętym głosem, czepiając się portier i mebli – wołała:

– Kundel, kundel?

W tydzień dopiero odbył się pogrzeb; pogrzeb, jakiego Łódź nigdy przedtem nie widziała.

Wszystkie wielkie fabryki stanęły dnia tego i cały ich personel miał polecone pójść za trumną Bucholca, Piotrkowska ulica na przestrzeni wiorst kilku literalnie była zapchana ludźmi; cała ta ludzka czarna fala niosła na grzbiecie swoim, w obramowaniu złotych sznurów, świec zapalonych, wielki pogrzebowy rydwan, pod którego baldachimem, osnutym wieńcami palm, leżała srebrna trumna zarzucona kwiatami.

Przed karawanem, na tle szarych ścian ulicy i błękitnego nieba, trzepotały się niby ptactwo różnokolorowe, spowite mgłami krepy, chorągwie bractw kościelnych, stowarzyszeń wszystkich,

Długi szereg księży, chóry śpiewaków i zjednoczone orkiestry fabryczne śpiewały posepny hymn śmierci, płynący przejmującymi rytмами smutku nad rozkołysanym morzem głów, ku balkonom i oknom zapchanym widzami, ku słońcu wiszącemu w bezdniach błękitu.

Orszak posuwał się noga za nogą z powodu nadzwyczajnej ciżby, zwiększanej ustawicznie przyływami z ulic bocznych.

Zaraz za trumną postępowała rodzina, a za nią główna administracja i zarządy licznych majątków ziemskich, a potem szły głębokie falangi robotników, ustawione oddziałami fabrycznymi i płciami, bo mężczyźni i kobiety szli osobno, szły tkalnie, przedzalnie, apretury, farbiarnie, drukarnie, wykończalnie, magazyny itd. ze swoimi dyrektorami, technikami i majstrami na czele.

A resztę, tłum kilkudziesięciotysięczny, stanowili robotnicy innych fabryk i cały prawie komplet łódzkich fabrykantów.

– To się nigdy nie skończy! – szeptał często Szaja Mendelsohn do syna i towarzyszy, z którymi jechał w karecie za pogrzebem, i spod ściągniętych brwi patrzył niespokojnie na baldachim, chwiejący się nad głowami tłumów, opuszczał na chwilę głowę, skubał nerwowo brodę i znowu wpijał rozgorączkowane oczy w trumnę, gdzie leżał jego nieprzyjaciel i konkurent.

Nie cieszył się tą śmiercią, chociaż tyle razy mu jej życzył całą swoją fanatyczną nienawiścią, nie radował się tym, że nareszcie został sam w Łodzi panować niepodzielnie, bo Bucholc umarł, ale zostały jego fabryki, a przy tym jakiś żal, współczucie prawie poplątane z delikatnymi włóknami obaw wiło się w duszy.

Poczuł jakąś dziwną pustkę dookoła, bo razem z Bucholcem umarli i w nim wszelkie dawne zawiści, hodowane tak długo i podsycane ciągłą walką konkurencyjną.

Nie miał kogo nienawidzić!

Patrzył z pewnym zdumieniem w głąb siebie i nie rozumiał tego stanu, nie mógł zdać sobie sprawy z niego.

– To Bucholc! – myślał patrząc na trumnę z przykrością głęboką i niepokojem.

– Mendelsohn, ty wiesz, co się dzieje z bawełną?

– Co mnie to obchodzi, mów, Kipman, o tym do Stanisława.

– Ale warto przeczytać urzędową gazetę – nalegał.

– Ja jestem trochę niezdrowy dzisiaj, trochę smutny, a ty mi gadasz o bawełnie.

– Co to jest: smutny! Bucholc był starszy od ciebie, to i umarł, a ty żyć będziesz jeszcze długo.

– Daj spokój, Kipman, mówisz o przykrych rzeczach – szepnął niechętnie i utonął oczami w ruchomej masie głów, zalewających całą ulicę.

– Stanisław, gdzie jest Róża?

– Jedzie z Grunspanami, zaraz za naszą kareta. Szaja wychylił się oknem, aby zobaczyć córkę, uśmiechnął się do niej i cofnął spieszenie, zapadając w długie milczenie, którego nie śmieli przerywać towarzysze.

Róża jechała z Mełą, Wysockim i starym Grunspanem w otwartym landzie, zaprzężonym w dwa kare, wspaniałe konie.

Panny robiły po cichu uwagi nad tłumem, a Grunspan rozmawiał o rynku bawełnianym z Wysockim, który odpowiadał monosylabami, bo był zajęty bardziej patrzeniem na Mełę, bardzo dobrze dzisiaj wyglądającą i rozpromienioną.

– To jest za wiele na raz jeden: cło wyższe, taryfy wyższe od surowej bawełny i taryfy jeszcze wyższe od gotowego towaru wywożonego do Cesarstwa. Ja panu mówię, że to jest razem taki bal dla nas wszystkich, że może się po nim pół Łodzi położyć na fest. Tfy, żebym ja w złą godzinę nie wymówił – splunął ze złością.

– Podobno bawełna już poszła w górę?

– Co to poszła! ona skacze jak lokomotywa, ona idzie jak balon, bo jej to nic nie szkodzi, ale Łódź może sobie nadkręcić karku.

– Nie rozumiem przyczyny tego wszystkiego – mówił Wysocki starając się jednocześnie słyszeć rozmowę panien.

– Pan nie rozumie?... To jest proste, to jest takie proste, jakby zwyczajny rabuśnik wziął pana za kołnierz i powiedział: „Dawaj pieniądze, bo mnie się robić nie chce i nie mam.” To jest ordynarny geszeft! Jak się pan ma, panie Cohn – zawołał do Leona Cohn, wyciągając do niego z powozu rękę.

Cohn oddał uścisk i przeszedł dalej z całą grupą młodzieży.

– Panie Halpern, słuchaj pan, co powiem. Bucholc zrobił pierwszą plajtę i ta mu się nie udało!... ale on się jeszcze wprawi! ha, ha, ha! – śmiał się z własnego dowcipu.

– Panie Cohn, śmierć to nie jest wesoła operacja! – odpowiedział melancholijnie Halpern, bo nie był dzisiaj dobrze usposobiony, szedł ze wszystkimi i milczał uparcie, wzdychał i tak się pochylał, że przydeptywał sobie przód surduta, drżał z wielkiego zdenerwowania i gubił często swój parasol nieodstępny, podnosił go machinalnie, obcierał poły i w zamyśleniu przyglądał się twarzom milionerów, zebranych na pogrzebie. Dopiero kiedy orszak rozlewał się w Nowym Rynku i skręcał w Konstancyńską, szepnął do Myszkowskiego, idącego obok:

– Bucholc nie żyje! pan wie?... Miał fabryki, miał miliony, był całym hrabią i nie żyje! A ja nie mam nic i jeszcze na jutro mam protestowane weksle, ale ja żyję! Pan Bóg jest dobry, Pan Bóg jest bardzo dobry!

Wielka, bezgraniczna wdzięczność zadrgała mu w głosie i smutna dotychczas twarz zajaśniała głębokim rozradowaniem, całą rozkoszą świadomą istnienia własnego.

– O jednego błazna mniej, o jednego za dużo! – odpowiedział Myszkowski pozostając w tyle, aby się złączyć z Kozłowskim, który jak zwykle w cylindrze na czubku głowy, z gałką laski przy ustach, w majtkach zawiniętych po kostki, maszerował wzdłuż wolno ciągnących się powozów i robił staranny przegląd wszystkich kobiet.

– Wiesz, Myszkowski, że ta ruda Mendelsohnówna ma sznyt, ma jakiegoś diabła w ślepiach.

– Co mnie to obchodzi, chodź, pójdziemy na piwo, bo mi już w gardle zaschło od tej parady milionerskiej.

– Pójdę na cmentarz, bo, widzisz, zobaczyłem tu w jednej karecie coś cacanego. Spojrzałem raz – ona patrzy; spojrzałem drugi – patrzy.

– No i spojrzałeś trzeci raz, a ona także patrzy.

– Ba, ale jak patrzała, ma oczy tak smolne, zem Sie do nich przylepił.

– Bądź zdrow i niech cię od nich nie odlepią kijem czasami, bo, widzisz, tutaj w Łodzi nie znają się na oczkowaniu.

Opuścił go i znowu przysunął się do znajomych, upatrując ponurym wzrokiem, kto by tu chciał z nim iść na piwo.

– Pan słyszałeś o bawelnie, panie Cohn?

– Ja na tym potrzebuję trochę zarobić, panie Horn.

– Czy to prawda, że Bucholc zostawił wielkie zapisy na cele publiczne?

– Śmieję się pan z tego, Bucholc nie był głupi!

– Welt, jak się masz? – wołał Kurowski spostrzegłszy Moryca.

– Tak się mam, jak dzisiaj bawełna.

– To znaczy, że dobrze!

– Brylantowo – akcentował dobitnie Moryc Welt, witając się ze znajomymi.

– Kiedyś przyjechał?

– Wczoraj w nocy.

– Czytałeś ogłoszenie o taryfach?

– Od trzech tygodni umiem je na pamięć, od trzech tygodni.

– Nie blaguj, bo przed dwoma dniami dopiero ogłoszono.

– Zostaję przy swoim.

– Cicho! – zawołał ktoś z boku, bo Moryc podnosił głos zbyt mocno.

Umilkli na chwilę, śpiew księży wzniósł się jakby zapytaniem, na które odpowiadał chór śpiewaków i orkiestry, których potężne głosy ściśnięte wysokimi murami huczały głęboko.

– Jak to, wiedziałeś i nie skorzystałeś?

– Nie skorzystałem? Za kogóż mnie masz? Spytaj się, ile mamy z Borowieckim bawełny w składach, ile już na stacji, a ile jeszcze przyjdzie z Hamburga w tych dniach, to ci odpowiem grubą sumą pudów.

– Jesteś za sprytny, Moryc, możesz się nie dochować.

– Dochowam się, bo potrzebuję zarobić na taki pogrzeb, jak ma Bucholc.

– Ale gdzież się podział Borowiecki?

– Nie wiem, był przy nas, jak wchodziliśmy w Rynek.

Moryc Welt obejrzał się dookoła, ale nie spostrzegł nigdzie, bo Borowiecki pozostał przy karecie Lucy, zatrzymanej wraz z innymi na Rynku, bo w wąskiej uliczce tłum nie mógł się pomieścić od razu.

– Karl, nachylił się lepiej, bliżej! – szeptała Lucy.



– Tak dobrze? – pytał również szeptem Karol, wsadzając pół głowy w okno karety.

– A czy tak dobrze? – szeptała całując go silnie w ucho.

– Bardzo!...

Cofnął głowę i stał oparty ramieniem o drzwiczki karety.

– Czemu oni nie ruszają? – jęczała z głębi karety ciotka, towarzysząca Lucy.

– Muszę już panią pożegnać.

– Jeszcze chwilę, proszę o rękę.

Rzucił oczami na sznur powozów stojących w jednej linii i podał ją nieznacznym, zasłaniając sobą ten ruch.

Podniosła ją szybko do ust, ucałowała mocno i pogłaskała sobie brodę i szyję jego palcami.

– Wariatka? – szepnęła odsuwając się od okna na dozwoloną względami towarzyskimi odległość.

– Kocham cię, Karl! Przyjdź dzisiaj koniecznie, chcę ci coś powiedzieć bardzo ważnego! – szeptała cicho i purpurowe usta płonęły jej i wysuwały się do pocałunków, a oczy błyszczały promiennie.

– Do widzenia paniom! – wyrzekł głośno.

– Mąż mój przyjeżdża jutro, może pan o nas nie zapomni! Przyjdź!

– Przyjdę! – rzucił szeptem, kłaniając się z powagą.

Odnalazł przyjaciół i zwrócił się zaraz do Moryca.

– Może byśmy pojechali zaraz z cmentarza na kolej, co?

– Bawelna przyszła rano! Masz pieniądze?

– Mam, chcę zaraz wykupić.

– Kiedyż uwalniasz się od Knolla?

– Jestem już wolny zupełnie. Jutro pójdziemy szczegółowo obejrzeć budynek.

– Dobrze, bo na jutro zamówiłem majstra, za kilka dni będzie można już wziąć się do murowania.

– Gdzie Maks?

– Matka mu bardzo chora, obawiam się, że znowu będziemy mieli pogrzeb.

– Śmierć ma jednak swoje dobre strony – zauważył Kurowski.

– Chyba tylko bezmyślność, z jaką zamiata mechanicznie potrzebnych i niepotrzebnych.

– Co to dzisiaj ludzi odpoczywa za darmo.

– Mylisz się, Knoll zapowiedział, aby z list płacy wykreślono im połowę dnia. Uznał, że mogą wypoczywać z wdzięczności dla zmarłego.

– Odbiją sobie część kosztów pogrzebowych. Muszę to samo polecić testamentowo swoim spadkobiercom. Cóż, Myszkowski, tak dumacie?

– Że jest głupio.

– Nie martwcie się, bo i bez was było tak samo. Umarł, cóż robić! „Ząb śmierci dotknął go palcem swoim”, jak mówi Eklezjasta. Śmierć to jest „passives genie”.

– Nie o to mi chodzi, Bucholc jest już ausgespilt! – pociągnął ręką po gardle – a mnie się chce iść na piwo i nie mam z kim.

– Nie pójdziecie i ze mną, bo ja zaraz jadę do domu.

– Może jeszcze kogo znaję.

Rozeszli się w różne strony, a i orszak wchodził w długą uliczkę, wysadzoną topolami, wiodącą do cmentarza.

Uliczka była nie brukowana i pokryta grubą warstwą czarnego błota, które rozbijane tysiącami nóg, ochlapywało wszystkich i wszystko i powstrzymało z połowę ludzi, zawracających przed nim do miasta.

Rzędy nagich jeszcze topoli, obłamanych przez wiatry, poodzieranych z kory, półżywych od trujących ścieków, jakie płynęły głębokim rowem od fabryk, stały wyciągniętą linią kalek ohydnych, trzęsących smutnie resztkami gałęzi i resztkami życia, jakby wygrażały za swoją nędzę temu wspaniałemu orszakowi, który od czasu do czasu wybuchał ogromnym chórem głosów, rozlewających się w szerokiej przestrzeni pól czarnych, przeszlonych wodą, naznaczonych grupami nagich drzew, małymi domkami, kominami cegielni i konturami kilku wiatraków, które niby potworne motyle, nadziane na szpilkę, migotały się czarnymi skrzydłami na błękitnym tle przestrzeni.

Orszak z wolna wypływał z miasta, rozwłóczył się po błotnistej drodze, wzdłuż pokrzywionych, nędznych domostw i z wolna tonął ciężką fałą głów w bramach cmentarza, i rozlewał się wśród grobów i ulic – tylko w głębi, poza murami, pomiędzy gąszczem drzew bezlistnych i krzyżów czarnych, zaczęły błyskać barwy chorągwi, światła świec i długie szeregi ludzi, ponad którymi chwiała się srebrna trumna Bucholca, niesiona na ramionach.

Zapanowała cisza, śpiewy pomilkły, głosy przycichły, dźwięki muzyk przygłuchły, tylko było słychać ciężki tupot nóg i suchy chrzęst drzew rozkołysanych. Dzwony były głucho – mocno – żalobnie.

Przy trumnie zaczęła się ostatnia komedia śmierci – jakiś mówca, stanąwszy na podwyższeniu, patetycznie przypominał cnoty i zasługi zmarłego, drugi mówca rozbolałym, przełzawionym głosem żegnał zmarłego i płakał nad ludzkością osieroconą; trzeci mówca zwracał się do trumny w imieniu rodziny, w imieniu przyjaciół niepokieszonych; czwarty mówił w imieniu tych rzesz wynędzniałych stojących dookoła – w imieniu tych pracowników spędzonych tutaj groźbą – dla których zmarły miał być ojcem, przyjacielem, dobroczyńcą.

Głuchy pomruk przeleciał nad tłumami, tysiące westchnień się zebrało, tysiące spojrzeń zamigotało krwawych, morze głów zakołysało się jak fala.

Wreszcie skończyła się ceremonia, trumna spoczęła we wspaniałym grobowcu, na podwyższeniu podobnym do tronu, z którego, przez złożone kraty drzwi, widać było miasto spowinięte w mgły i dymy, huczące tysiącami fabryk potężny hymn życia.

Robotnicze falangi podchodziły kolejno do tego tronu i na marmurowych stopniach składały wieńce – ostatni hołd poddańczy, i rozprasały się z wolna, aż w końcu pozostał sam jeden w srebrnej trumnie i pod stosami wieńców zmarły król łódzki.

Tylko Stach Wilczek nie czekał końca i gdy usłyszał dzwony, szepnął:

– Wesoła parada – mieć tyle milionów i zdychać! – Splunął ze złości i wyszedł z Józkiem Jaskólskim, który szedł w milczeniu i wzdychał.

– Czegóż się mazgaisz!

– Smutno mi! – szepnął Józio, wzdrygnął się i obtulił szczelnie w mizerny paltocik, przerobiony z uczniowskiego szynelu.

– Józciu, puść kantor Bauma, ja potrzebuję człowieka zaufanego, wziąłbym cię, wyrobiłbyś się przy mnie.

– Nie mogę, muszę pozostać u Bauma.

– Ależ on lada dzień się „położy”, nie bądź głupi, dam ci pięć rubli więcej miesięcznie.

– Nie mogę, nie wypada mi opuszczać teraz Bauma, kiedy tak źle stoi i kiedy zostałem prawie sam jeden w kantorze.

– Głupis! Żebyś był tak sentymentalnym, to chodziłbym jak i ty bez butów i całe życie parobkowałbym wszystkim! – Obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i pożegnał na Piotrkowskiej.

– Hołota! Pogniją wszyscy po fabrykach! – pomyślał o towarzyszach z politowaniem.

On dzisiaj już wiedział, że nie zgnije na marnej posadzie, że nie będzie tylko parobkiem cudzym, kółkiem w mechanizmie.

Szedł wolno i rozkoszował się poczuciem własnej siły, wyższości i rozumu, tym, co już zrobił, i tym, co zrobić jeszcze zamierzał.

Dzisiejszy dzień liczył do najlepszych w swoim życiu i przełomowych – bo dzisiaj zrobił pierwszy wielki interes, który musiał go postawić na nogi.

Kupił kilka morgów gruntu, z dwóch stron otaczającego fabrykę Grunspana, kupił cichaczem i był pewnym wielkiego zarobku, gdyż z pewnością wiedział, że Grunspan ma rozszerzać swoje fabryki i musi od niego kupić place po cenie, jaką tylko naznaczyć zechce.

Uśmiechnął się z głębokiego zadowolenia!

Istotnie, interes przedstawiał się świetnie, obliczenia zawieść nie mogły.

Grunta były dawno do sprzedania i Grunspan przez całe lata je targował, dorzucając corocznie po kilkadziesiąt rubli, nie spiesząc się i będąc pewnym, że go nikt podkupić nie może.

Wilczek zwięszył interes, oplątał dotychczasowego posiadacza całą siecią podstępów, uprzejmości, pożyczek gwałtem wciskanych – aż w końcu stał się właścicielem.

Dzisiaj rano został już prawym posiadaczem ziemi.

Wyobrażał sobie wściekłość Grunspana i bawił się tym doskonale.

Podnosił głowę coraz wyżej i coraz dumniej, a coraz drapieżniej spoglądał na miasto, na wypakowane towarami składy, na fabryki – jego nienasycona chłopska chciwość budziła się coraz potężniej na widok bogactw.

Postanowił je zdobyć i był już pewnym, że zdobędzie.

Mniejsza o sposoby i środki – wszystkie były dobre, jeśli prowadziły do celu, do pieniędzy.

Stach Wilczek liczył się tylko z kodeksem, z policją.

Na resztę uśmiechał się wzgardliwie i z politowaniem.

Opinia, etyka, uczciwość! Kto się z tym w Łodzi liczył! Komu tutaj podobne głupstwa mogły przychodzić do głowy! Co to wreszcie jest ta uczciwość!

Czy był uczciwym Bucholc? Któż się o to pytał! Pytano się tylko, ile zostawił milionów!

Mieć miliony, czuć je w swoim ręku, otoczyć się nimi, panować nad nimi.

Rozmyślał skręcając ku stacji i duszę mu przepełniło szalone, dochodzące do bólu pragnienie pieniędzy, użycia, panowania.

Jak pies zgłodniały patrzy na mięso – tak on łakomie patrzył na fabryki, domy, zbytek bogaczy, piękne kobiety, pałace.

Miał szalony apetyt użycia, który obiecywał sobie zaspokoić.

Był głodnym od wieków i przez tyle pokoleń poniewieranym, traktowanym przez mocniejszych, odpychanym od stołu życia, przepracowanym, łaknącym – teraz przyszła kolej na niego, podnosił głowę, wyciągał chciwie ręce, chwycił zdobycz i nasycił głód odwieczny.

– Odbiję sobie wszystko i za wszystko! – myślał i z nienawiścią przypominał sobie lata dzieciństwa, pasanie krów, posługi, jakie czynił w klasztorze, kije, jakie odbierał, nędzę całej rodziny, upokorzenia, jakie znosił w gimnazjum, upokorzenia, jakie odbierał razem z pomocą od swoich dobroczyńców, upokorzenia, jakie znosiła cała rodzina.

– Odbiję sobie wszystko! – mruknął z szaloną zawziętością w sercu.

Ale tymczasem dopiero zdobywał środki, handlował, czym mógł, zarabiał, na czym się tylko dało.

Zarządzał składami Groszlika, a prócz tego handlował węglem na własną rękę, handlował drzewem, handlował resztkami bawełnianymi, handlował jajami, które sprowadzał za pośrednictwem rodziny, brał w końcu różne artykuły – próbował wszystkiego.

Mówiono, że kupuje „czerwony towar”, tj. wyniesiony z podpalonych fabryk, mówiono, że trudni się lichwą, że z Groszlikiem do spółki robi jakieś bardzo ciemne interesy – tak mówiono.

Wiedział, co o nim mówią, i uśmiechał się pogardliwie.

– Mocno Blinie to obchodzi! – szepnął myśląc o tym, skręcił na boczną uliczkę ciągnącą się wśród parkanów, poza którymi wznosiły się szeregi składów drzewa budulcowego, cementu, żelastwa, wapna i węgla. Ulica była nie brukowana, bez trotuarów i stanowiła jedno głębokie morze błota, przez które przekopywało się setki wozów, ciężko naładowanych.

Składy węgla rozciągały się po lewej stronie ulicy, u podnóża wysokiego nasypu kolejowego, na którym tłoczyło się tysiące towarowych wagonów, nakrytych chmurą czarnego pyłu, jaki się wznosił z wyładowywanego węgla.

Wilczek mieszkał przy składzie, w ohydnej budzie zbitej z desek i obryzgananej po płaski dach czarnym błotem, która służyła za kantor.

Przebrał się spiesźnie, wciągnął długie buty i zabrał się do roboty...

Ale nie mógł robić spokojnie, czuł się zdenerwowanym, roztrzęsła mu nerwy radość dzisiejszego kupna, to znowu przypomnienia pogrzebu lub huk głuchy sztosujących na nasypie wagonów tak go drażnił, że odrzucił pióro i zaczął spacerować po kantorze, wyglądając raz po raz okienkiem na zapchane pryzmami węgla i wozami składy.

Wozy co chwila wjeżdżały na wagę z takim turkotem, aż cała buda się trzęsła; ogromny zgiełk splątanych głosów ludzkich, turkotów, kwików końskich, gruchotu wyrzucanych z wagonów węgla, świstów maszyn bił przez otwarte drzwi i rozlewał się po brudnej, odrapanej izbie, po której Wilczek spacerował w zadumie.

– Tam jakieś panowie czekają przy wagonach! – zameldował robotnik.

Na nasypie kolejowym, czekał Borowiecki i Moryc. Wilczek wyczekująco wyciągnął rękę do przywitania. Moryc mu uściśnął dłoń, a Borowiecki udał, że nie widzi.

– Potrzebujemy natychmiast platform przewozowych!

– Ile? pod co? skąd? – zapytał krótko, podrażniony zachowaniem Karola.

– Jak najwięcej, bawełna, kolej, do mnie – odpowiedział Moryc.

Szybko załatwili interes i rozstali się.

– Szlachcic! – mruknął Wilczek ze złością, bo na pożegnanie Borowiecki wsadził ręce w kieszenie i kiwnął mu głową bardzo łaskawie.

Nie mógł zapomnieć tej obrazu, jego mściwe serce zanotowało sobie jeszcze to jedno upokorzenie, tym boleśniejsze, że niezasłużone.

Ale nie było czasu na rozczuwanie krzywdy, bo z powodu końącego się dnia ruch w składach zapanował szalony.

Co chwila maszyny parowe podciągały sznury ładowanych wagonów, krzyżowały się, wyciągały puste, buchały kłębami dymów i ze świstem, hukiem, szczękiem sztosowań przewijały się wskroś dymów i pyłów lub odczepione od pociągów leciały z dzikim krzykiem do remiz.

A niżej, ze składów nakrytych czarną kurzawą biło tysiące splątanych gorączkowych głosów, konie kwiczały dziko, świsty batów, krzyki woźniców, turkoty ulic i głuchy, potężny szum miasta, stojącego dokoła, nakrytego dymami.

Wilczek uwijał się gorączkowo, biegał do kantoru, do kup węgla, na nasyp, do ludzi wywożących, na stację; przemykał się pomiędzy wozami, człapał po błocie, zmęczył się w końcu śmiertelnie i aby odpocząć, usiadł na brzegu jednego z pustych wagonów.

Mrok się już robił – pozachodnie zorze rozlały się po niebie strugami purpury i okrwawiały cynkowe, błyszczące dachy, po których staczały się kłęby rudych dymów; noc gęstniała, szarość ponura, zmaczona zalewała ulice, pełzała po murach, czaiła się po zaułkach, zacierała kontury, gasiła barwy, wypijała resztki dnia, okręcała miasto brudnymi łachmanami zmroku, z którego zaczęły z wolna wybliskiwać światła.

Noc zapadła, miasto pokryło się łunami, szумы się podniosły, łaskoty stały się wyraźniejsze, turkoty się wzmogły, krzyki spotężniały – aż w końcu wszystkie dźwięki zlały się w przeogromny dziki chór, śpiewany głosami maszyn i ludzi, od którego drżało powietrze i trzęsła się ziemia!

Łódź pracowała nocną, gorączkową pracą:

– Resztki szlacheckie! wezmą was diabli niedługo! – mruknął Wilczek, który jeszcze nie mógł zapomnieć Borowieckiego, splunął pogardliwie, podparł brodę rękami i zapatrzył się w niebo.

Zbudził go dopiero głos lecący z opustoszałej ulicy.

A na rynku Gajera  
Znalazła se frajera  
ta ra ra, bumdera!

Śpiewał jakiś głos i zginął w oddaleniu i nocy.

Wilczek zeszedł do kantoru, pozałatwiał resztę spraw, wyprawił ostatnie wozy.

Kazał pozamykać wszystko, zjadł kolację, jaką mu przygotował robotnik, i poszedł na miasto.

Lubił włóczyć się bez celu, przyglądać się ludziom, fabrykom, węszyć po mieście, lubił oddychać tym rozdrganym, przesyconym węglem i zapachami farb powietrzem. Olśniewała go potęga miasta, olbrzymie bogactwa nagromadzone w składach i fabrykach zapalały mu w oczach płomień chciwości, rozpalały duszę marzeniami strasznymi, przepelniały coraz potężniejszą żądzą panowania i użycia; ten szalony wir życia, ta struga złota, jaka przepływała przez miasto, upajały go swoją potęgą, hipnotyzowały, przejmowały drżeniem żądy nieopowiedzianej, dawały siły do walki, do zwyciężania, do grabieży.

Kochał tę „ziemię obiecaną”, jak kocha zwierzę drapieżne głuche puszcze pełne łupów. Uwielbiał tę „ziemię obiecaną” płynącą złotem i krwią, pożądał jej, pragnął, wyciągał do niej ramiona chciwe i krzyczał głosem zwycięstwa – głosem głodu: – Moja! Moja! – I już chwilami

czuł, że ją posiadał na zawsze i że nie puści zdobyczy, póki nie wysie  
złota wszystkiego.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO